

A U T O R

« C E N T R Y F U G I »

Pollo J.C. Poloček



Lista Göringga

WYDAWNICTWO ADAMSKI I BIELIŃSKI

J.C. Pollock

Lista Göringa

Tłumaczyła
Maria Gębicka-Fraç

SPIS TREŚCI

Strona tytułowa

<u>20</u>				<u>1</u>	<u>2</u>	<u>3</u>	<u>4</u>	<u>5</u>
<u>21</u>				<u>6</u>				
<u>22</u>				<u>7</u>				
<u>23</u>				<u>8</u>				
<u>24</u>				<u>9</u>				
<u>25</u>	<u>26</u>	<u>27</u>		<u>10</u>	<u>28</u>	<u>29</u>		<u>30</u>
				<u>11</u>				<u>31</u>
				<u>12</u>				<u>32</u>
				<u>13</u>				<u>33</u>
				<u>14</u>				<u>34</u>
<u>15</u>	<u>16</u>	<u>17</u>	<u>18</u>	<u>19</u>				<u>35</u>

Epilog

I

Niemcy - 17 maja 1991

Stary człowiek był zmęczony. Przejazd pociągiem z Monachium do Berchtesgaden stanowił ostatni etap jego kilkugodzinnej podróży. Był sam w przedziale, więc gdy pociąg wyjechał ze stacji, położył głowę na oparciu i pozwolił, by monotony rytm uwolnił jego ciało od napięcia i zmęczenia. Prosił los jedynie o kilka dni życia. I jakby w odpowiedzi na jego milczącą prośbę, w chwili gdy pociąg wjechał nad skraj niebieskich wód Chimsee w kierunku Traunstein, gdzie tory kolejowe skręcały na południe ku podnóżu Alp, ból w lewym ramieniu zelżał, a oddech stał się mniej płytki i wolniejszy.

- *La neige aternelle* - wyszeptał na widok odległych szczytów, na których ciągle błyszczał śnieg. Był zaskoczony, że przypomniał sobie ten poetycki zwrot, pochodzący ze szkolnej francuszczyzny.

Opuścił ręce na popękana ze starości teczkę, leżącą na kolanach, a na jego twarzy pojawił się wyraz spokojnej rezygnacji. Przesunął palcami po nierówności na powierzchni skóry, tuż ponad mosiężnym zatrzaskiem, skąd dawno temu usunął wytłoczone runy SS, a miejsce po nich natarł pastą do butów, by ukryć zdradliwą bliznę. To namacalne wspomnienie sprawiło, że jego myśli

powędrowały jeszcze dalej w przeszłość. Oczyma wyobraźni zobaczył dumnego, młodego podchorążego oficerskiej szkoły SS w Bad Tölz, a teczka - jej piękna cienka skóra była wtedy gładka, lśniąca i nowa - przechowywał w niej jego prace pisemne. Niemalże znowu poczuł w płucach aksamitną miękkość wieczornego powietrza po ciepłym jesiennym dniu i usłyszał chór młodych, silnych głosów, powtarzających na dziedzińcu w czasie ceremonii promocji słowa przysięgi:

Przysięgam ci, Adolfie Hitlerze, jako Führerowi i Kanclerzowi Rzeszy, wierność i męstwo. Ślubuję tobie i tym, których wyznaczyłeś na moich dowódców, posłuszeństwo do śmierci. Tak mi dopomóż Bóg.

Wszystko to zdarzyło się w innym życiu. W życiu, w którym był dwu - dziesięcioletnim majorem, SS - *Sturmbannführerem*, Heinzem Dieterem Strasserem. Odznaczono go jako bohatera wojennego, rannego w boju na froncie wschodnim. Ze względu na zgruchotane kolano odkomenderowano go do służby w honorowym batalionie strażników, wyselekcjonowanych z szeregów 1. Dywizji Panczernej SS „Leibstandarte SS Adolf Hitler”, który zapewniał bezpieczeństwo przywódcom Rzeszy w ich górskim ustroniu w Obersalzbergu.

Przez ostatnie czterdzieści siedem lat mieszkał w Erfurcie, na terytorium byłej NRD, ani razu nie wyjeżdżając poza jej granice. Wiódł tam - pod rządami reżimu totalitarnego, korzystającego z doświadczeń nazistów - proste, spokojne życie. Pracował jako elektryk i przez cały ten czas zdołał utrzymać w tajemnicy swoją esesmańską przeszłość, pogrzebaną razem z mundurem zrzuconym pod koniec wojny, gdy wracając do żony przyłączył się do przewalającej przez Niemcy fali uciekinierów.

Jego syn, Jürgen, urodził się przed trzydziestoma siedmioma laty. Oboje z żoną pogodzili się już z myślą, że nigdy nie będą mieli dzieci, więc urodziwy dzieciak był niespodziewanym

błogosławieństwem. Stało się ono wątpliwe, gdy dzieciak wyrósł na upartego, nonszalanckiego i agresywnego chłopaka - ale takie było nowe pokolenie Niemców. Skończył studia i wówczas jego wizyty w domu stały się sporadyczne. Dystans między ojcem i synem powiększał się coraz bardziej, a w ciągu ostatnich siedmiu lat Jürgen w ogóle nie był w domu, nie dzwonił; nawet nie odpowiedział na list ojca, który informował go o śmierci matki. Dopiero po upadku NRD przesłał ojcu krótką wiadomość, zawierającą numer skrytki pocztowej we Frankfurcie.

Strasser wiedział jedynie, że syn związany był z tajną policją NRD Stasi, ale nie wiedział, co dokładnie robił. Często bał się, że stało mu się coś złego; może wykonywał jakąś niebezpieczną robotę albo po zjednoczeniu został aresztowany za swoją działalność. Jego najgorsze obawy rozwiały się, gdy w odpowiedzi na wysłany przed trzema tygodniami list, w którym pisał o swojej chorobie i prosił o krótkie spotkanie, dostał lakoniczne i precyzyjne instrukcje oraz zapewnienie, że Jürgen zrobi wszystko, by stawić się wybranego dnia w Obersalzbergu.

Pociąg klekotał przejeżdżając przez górską przełęcz, a Strasser ponownie utkwiał spojrzenie w teczce. Przez lata, obawiając się, że może sprowadzić nieszczęście na swoją rodzinę, nie miał odwagi skorzystać z jej zawartości. Pomyślał jednak, że może mogłaby ona przydać się do czegoś - na przykład pomóc synowi ustawić się w służbie wywiadowczej zjednoczonych Niemiec. To było wszystko, co mógł mu ofiarować.

Pociąg wjechał do tunelu i przedział nagle pogrążył się w ciemności. Przedwieczorne słońce znów rozjaśniło jego wnętrze, gdy wyłonił się z tunelu i zwolnił, by zatrzymać się na stacji, której nazwa przywołała kolejną falę wspomnień. Mała alpejska wioska Berchtesgaden była miejscem poza czasem, takim, jakie zapamiętał. Z trzech stron otaczały ją strzeliste szczyty, których niższe partie otulone były gęstymi sosnowymi lasami. Wieś była większa, bardziej ludna niż wtedy, gdy widział ją po raz ostatni, ale jej charakter i naturalne piękno okolicy pozostały nietknięte.

Ze stacji udał się na przystanek i wsiadł do autobusu, który powiózł go na wznoszący się ponad trzysta metrów nad doliną szczyt Obersalzbergu. Wsiadł w miejscu, gdzie kończyła się droga publiczna. Pozostali pasażerowie zamierzali pojechać na wycieczkę innym autobusem na szczyt Kehlstein. Wiodła nań droga wycięta w litej skale. Dwa tysiące czeskich i włoskich robotników ponad trzy lata pracowało nad jej zbudowaniem. Była prawdziwym cudem sztuki inżynieryjnej, na który składały się ponadto trzy tunele i wykuty w samej górze stumetrowy szyb windy, prowadzący na sam szczyt, do przypominającej fortecę rezydencji Hitlera. Żołnierze amerykańscy, którzy pierwsi zajęli ten obszar w 1945 roku, nazwali rezydencję Orlim Gniazdem.

Wspomnienia stały się bardziej żywe, w miarę jak Strasser zbliżał się do celu. Z początku czuł się nieco zagubiony - nic sobie nie przypominał - ale przecież był tu czterdzieści siedem lat temu. Ściśle mówiąc, ostatni raz był tu 25 kwietnia 1945 roku. Żywo pamiętał ten jasny, słoneczny dzień, gdy o 9.30 rozległ się ryk syren alarmowych i wraz z innymi wartownikami SS wybiegł z luksusowego alpejskiego domku Göringa. Razem odprowadzili Marszałka Rzeszy, skazanego dzień wcześniej rozkazem Hitlera na areszt domowy, do schronu przeciwlotniczego - podziemnego systemu tuneli i bunkrów, wyposażonych w żelazne drzwi, zbrojone ściany i śluzy przeciwgazowe.

Pierwsza z tysięcfuntowych bomb, zrzuconych przez brytyjskie *Lancastery* z 617. Dywizjonu, spadła po dziesiątej. Trzydzieści minut później pojawiła się druga fala bombowców, zrzucając bomby *Tallboy*. Nalot trwał ponad godzinę; na prywatną górską siedzibę notabli nazistowskich spadły tony materiałów wybuchowych. Z ponad dwóch tysięcy osób ukrytych pod ziemią zginęło tylko sześć, a kilkanaście odniosło rany. Goring, jedyny wysoki rangą nazista przebywający tego dnia w rezydencji, nie ucierpiał, ale niszczycielskie bombardowanie obróciło jego dom i resztę budynków w ruiny.

Dzień po nalocie dowódca SS podjął decyzję, by nie bronić

zrujnowanego kompleksu. Zwolnił tych ze swoich ludzi, którzy chcieli radzić sobie na własną rękę, a z pozostałymi esesmanami uciekł na południe. Oddział, eskortujący Göringa i jego rodzinę, następnego dnia przekroczył pobliską granicę z Austrią. Strasser został, ukrył się w małej chacie w lesie pod Berchtesgaden i jeszcze przez tydzień tam przebywał. Szukał wagonów zawierających część złupionych przez Göringa dzieł sztuki. Znalazł je w tunelu niedaleko stacji kolejowej, starannie zabezpieczone przed nalotami.

Strasser opuścił rejon Berchtesgaden 4 maja, na widok wkraczającej do górskiego miasteczka szpicy amerykańskiej 7. Dywizji Piechoty. Podróżował pieszo i nie miał możliwości, by ukryć rzeczy, które zabrał z wagonów ze złupionymi skarbami. Bał się, że gdyby go złapano, a łupy znaleziono, zostałby rozstrzelany. Niechętnie porzucił starannie wybrane, ale ciężkie i nieporęczne ikony oraz zdobione drogimi kamieniami sztylety i kielichy. Zatrzymał tylko kilka złotych monet, zaszytych w poszewce płaszcza, i wepchnięty w skórzaną teczkę plik dokumentów. Zabrał je, ponieważ wydawały mu się interesujące.

Stary człowiek był przytłoczony kłębiącymi się w jego głowie wspomnieniami. Wspomnienia i bliskość miejsc, w których zaszły te wszystkie wypadki, spowodowały w nim nieświadomą transformację. Stok był stromy, ale on wyprężył ramiona i wyprostował plecy. Jego chód zaczęła cechować nawet pewna sprężystość - dopóki ból w lewym kolanie nie przypomniał mu, że nie jest już młodym człowiekiem, który raźnie maszerował dziesięć metrów za Führerem, wędrującym szlakami wokół Obersalzbergu.

Zwolnił i szedł skrajem drogi, zatrzymywał się od czasu do czasu i rozglądał. Zniknęły wszelkie ślady alpejskich domków Hitlera, Bormanna, Goebbelsa i Göringa. W 1952 roku ruiny zostały zburzone na rozkaz Amerykanów - wysadzone w powietrze w rocznicę dnia, w którym Hitler popełnił samobójstwo, a nawet o tej samej godzinie, o której jego ciało spłonęło siedem lat wcześniej w Berlinie. Grunt splantowano, by teren ten nie stał się miejscem kultu pokonanych nazistów. Z niegdyś wspaniałych górskich

domków pozostały jedynie porozrzucane fragmenty kamiennych fundamentów, widoczne gdzieś w poszyciu gęstego modrzewiowego i sosnowego lasu, który teraz gęsto tu porastał.

Strasser zatrzymał się kilkaset metrów od miejsca, w którym wysiadł z autokaru - u podnóża podjazdu, prowadzącego do małej górskiej gospody. Zalała go kolejna fala wspomnień. *Gasthof „Zum Turken”* - gdy po raz ostatni widział tę gospodę, była tłącą się ruiną, ściany jeszcze stały, ale dach zapadł się i wewnątrz zostało strawione przez ogień. Strasser nie wiedział, czego się teraz spodziewać. Ku wielkiemu zdziwieniu zobaczył jej nazwę wpisaną do przewodnika i zatelefonował, by zarezerwować miejsca. Gospoda została odbudowana i wyglądała dokładnie tak samo, jak w czasie wojny, nim spadły bomby, gdy służyła jako kwatera główna Gestapo na obszar Obersalzbergu.

Zobaczył dwa autokary na małym parkingu i kolejkę turystów na tyłach gospody. Podeszedł do nich i stwierdził, że czekają, by kupić bilety wstępu. Resztki systemu podziemnych tuneli i bunkrów, niegdyś łączące kwaterę Gestapo w „Zum Turken” z domkiem Hitlera i innymi głównymi budynkami stały się teraz atrakcją turystyczną.

Drzwi gospody były zamknięte, wisiała na nich tabliczka informująca zwiedzających, że do środka mogą wchodzić jedynie zameldowani goście. Frau Graber, która otworzyła na dźwięk brzęczyka, przeprosiła za tę niewygodę i wyjaśniła, że to konieczne zabezpieczenie, mające powstrzymać turystów zwiedzających tunele od ciągłych próśb o skorzystanie z toalety.

- *Herr Bauer?* - zapytała cofając się, by mógł wejść do środka. - Mam nadzieję, że miał pan przyjemną podróż.

- Tak, bardzo przyjemną - odparł po krótkim wahaniu Strasser. Prawie zapomniał, że - zgodnie z instrukcjami syna - zarezerwował dwa pokoje posługując się panieńskim nazwiskiem swej żony. Wiadomość od Jürgena była wyraźnie sprecyzowana: ma podróżować pociągiem, zameldować się pod panieńskim nazwiskiem jego matki, podać fałszywy adres stałego zamieszkania

i płacić gotówką. Strasser zastosował się do tej prośby, która w świetle profesji syna wcale nie wydawała mu się niezwykłą.

Stary człowiek przez kilka chwil stał jak sparaliżowany. Jego oczy powoli wędrowały po wnętrzu gospody. O ile dobrze pamiętał, było ono wierną rekonstrukcją pierwotnego budynku. Gestapo korzystało z pomieszczeń zgodnie z ich przeznaczeniem i niczego nie zmieniło. Wspomnienia stawały się zbyt natrętne.

Frau Graber uważnie przyjrzała się przybyszowi. Mężczyzna był wysoki, ale zgarbiony. Strzechę niegdyś jasnych, teraz siwych włosów zaczesał nad wysokim czołem do tyłu. Miał ciemnoniebieskie oczy, wyrazistą twarz, mimo zaawansowanego wieku był nadal przystojny. Frau Graber, jako wnuczka pierwotnego właściciela, który w 1913 roku zbudował tę gospodę, a później został zmuszony do sprzedania jej nazistom - tak jak i inni właściciele ziemscy w Obersalzbergu - stoczyła prawną bitwę z władzami Bawarii, by po wojnie odzyskać prawo własności. Teraz mieszkała tu w czasie sezonu i prowadziła gospodę. Widywała już wielu takich jak „Herr Bauer” - starszych ludzi o takim samym zamysłonym spojrzeniu, przybywających, by złożyć hołd przeszłości. Przeszłości, do której woleli się nie przyznawać, jak niejeden raz zauważyła.

- Tędy, proszę - powiedziała i poprowadziła Strassera do lady w kuchennej części gospody, która służyła za recepcję. Mężczyzna wypełnił kartę na nazwisko Bauer i wpisał monachijski adres.

Kobieta podała mu dwa klucze.

- Jeden jest do drzwi frontowych, drugi to klucz do pokoju. Proszę zamykać drzwi frontowe za każdym razem, gdy będzie pan wchodził czy wychodził. Ci turyści... - przypomniała mu raz jeszcze, z dezaprobatą marszcząc brwi.

- Wieczorem przyłączy się do mnie syn - powiedział Strasser.

- Jest początek sezonu, będziecie panowie jedynymi gośćmi. Przeznaczyłam dla niego pokój sąsiadujący z pańskim.

- Świetnie. - Strasser zerknął do małego pomieszczenia, przylegającego do kuchni. Przypomniał sobie, że było tu biuro

komendanta Gestapo - przysadzistego, kłocowatego mężczyzny o zmiennym usposobieniu i świńskich oczkach. - Chyba rozpakuję rzeczy, potem może pójde na spacer.

- Czy chce pan kupić mapę turystyczną tych okolic?

- Wydaje mi się, że sam znajdę drogę.

- Jak pan sobie życzy. - Na jej twarzy znowu pojawił się uśmiech.

- Serwujemy tylko śniadania, od siódmej do dziewiątej. Gdy przybędzie pański syn, mogę polecić kilka restauracji w mieście, w których podają obiady i kolacje.

- Dziękuję pani - odparł Strasser i, skręcając do wyjścia, zajrzał do małej jadalni po drugiej stronie korytarza. Jadł w niej kiedyś obiad, podczas spotkania z Gestapo. Omawiano wtedy koordynację specjalnych środków bezpieczeństwa, jakie przedsięwzięto z powodu przybycia Hitlera na gwiazdkowy urlop w 1943 roku.

Frau Graber obserwowała Strassera, gdy szedł korytarzem i powoli wspinał na schody. Zwróciła uwagę, że jego torba jest tanim, syntetycznym wyrobem, prawdopodobnie produkcji wschodniemieckiej, podobnie jak jego ubranie. Pomyślała, że nie dotyczy to zniszczonej teczki, którą trzyma pod pachą.

Strasser, czekając na syna, próbował uciąć sobie krótką drzemkę, lecz obecność w starej historycznej gospodzie powodowała niepokojący, prawie mistyczny efekt wędrówki w czasie. Raz jeszcze słyszał w korytarzach echo żołnierskich butów i wyszczekiwane rozkazy. Szczególnie denerwujące wspomnienie przyprawiło go o dreszcz i gwałtownie wyrwało z pół - snu: w czasie jednej z wizyt w kwaterze Gestapo usłyszał dobiegające z piwnic przerażające wrzaski. Później dowiedział się, że torturowano Czecha, przymusowego robotnika. Chciano wydusić z niego nazwiska współorganizatorów buntu podniesionego przeciw nieludzkim warunkom pracy przy budowie drogi do rezydencji. Strasser próbował uwolnić się od niechcianych wspomnień. Wyszedł na mały balkon i popatrzył ponad lasem na odległe górskie szczyty, teraz obramowane szkarłatem zachodzącego słońca.

Był wczesny wieczór, gdy opuścił pokój. Zszedł z boczem w dół i zatrzymał się zaledwie po pięćdziesięciu metrach, tam, gdzie niegdyś znajdował się odchodzący od głównej drogi podjazd. Zobaczył, że zachował się jedynie fragment asfaltowej nawierzchni. Podziurawiony i rozkruszony, kończył się trzy czy cztery metry dalej w gęstych zaroślach, jednakże Strasser wiedział, co to było - dawna droga dojazdowa do Berghofu Hitlera. W czasie dwóch lat spędzonych w batalionie maszerował nią wiele razy. Wcześniej, stojąc na balkonie, obrał gospodę za punkt odniesienia, miał jednak pewne trudności z umiejscowieniem pozostałości podjazdu i dopasowaniem zapamiętanego terenu do obecnego pejzażu. Przypomniawszy sobie, że domek Hitlera stał w przybliżeniu sto metrów na skos poniżej „Zum Turken” na czymś, co kiedyś było alpejską łąką, a obecnie - gęstym lasem.

Wiedział, że forsowanie się nie jest zbyt rozsądne, że lepiej wrócić do gospody i odpocząć przed przybyciem Jürgena. Jednak stare znajome miejsca zachęcały do poszukiwania przeszłości. Ignorując tablice ostrzegające przed niebezpiecznymi, zalanyymi wodą dziurami, wspinał się nad kępę krzaków i wszedł w las, teraz pogrążony w wieczornych cieniach. Ruszył w górę szlaku wydeptanego przez ciekawskich turystów. Stromizna była duża, zaczął się pocić, choć jednocześnie poczuł owiewające go chłodne, wieczorne powietrze. Miał krótki oddech, więc zrobił przerwę. Postawił kołnierz kurtki, by ochronić się przed zimnym wiatrem, szeleszczącym szpilkami w koronach modrzewi. Postanowił odpocząć.

Siedział spokojnie na podszyciu, powoli rozglądając się po okolicy. Kręciło mu się w głowie. Zatrzymał spojrzenie na fragmencie kamiennego muru, którego stare oczy w gasnącym świetle dnia z początku nie zauważyły. Wyglądzone kamienie były w niektórych miejscach porośnięte mchem i winoroślą, ale rozpoznał je natychmiast. Dawniej stanowiły część ściany garażu, usytuowanego od frontu, pod szerokim tarasem domu Hitlera.

Napłynęło kolejne wspomnienie: spaliny z wjeżdżających i

wyjeżdżających z ogromnego garażu samochodów często zadymiały taras, a gdy było otwarte wielkie, wychodzące na góry okno widokowe, wpadały do salonu. Był to stały punkt zadrażnień z Führerem, podejmowano więc rozliczne, choć nieefektywne próby usunięcia tego problemu.

Strasser wstał, żeby z bliska przyjrzeć się ścianie, i wówczas ujrzał w myślach migawkową scenkę: był rześki październikowy poranek. Wraz z oddziałem swoich ludzi został odkomenderowany do Berghofu, by towarzyszyć Führerowi na wycieczce. Zobaczył wtedy Ewę Braun, ubraną w spodenki i lekką bawełnianą bluzeczkę. Gimnastykowała się na drążku, osadzonym na tarasie. Uśmiechnęła się do niego, i on odpowiedział jej uśmiechem.

Przyjemne wspomnienie spłowiło, kiedy Strasser dotarł do resztek ściany garażu i ukląkł, by dotknąć wilgotnych, chłodnych kamieni. Po chwili podniósł się i zaczął iść powoli, zatoczył koło, przystanął i rozejrzał się, póki precyzyjnie nie ustalił, gdzie stał Berghof. Po lewej stronie wznosił się ogromny nasyp porośnięty niskimi krzewami i drzewami - zrozumiał, że został on utworzony przez gruzy zniszczonego domu.

Od szlaku odbijała w bok wąska ścieżka. Wiodła ona na szczyt stromego nasypu. Strasser zaczął się wspinać, chwycił krzewy dla utrzymania równowagi, gdy nagły, ostry ból w piersiach powalił go na kolana. Poślizgnął się, uchwycił młode drzewko, które na chwilę, nim się złamało, spowolniło jego osuwanie. Straszliwy ból wzrósł, gdy przetoczył się na plecy i próbował hamować obcasami. W chwilę później nastąpił ostateczny, miażdżący wybuch rozdzierającego bólu, który go ogłuszył i unieruchomił. Jego serce, przed czym wielokrotnie ostrzegał go lekarz, odmówiło posłuszeństwa.

W kilka chwil później, zsunąwszy się z nasypu, Heinz Dietrich Strasser zmarł, zaledwie kilka metrów od miejsca, w którym niegdyś dumnie trzymał wartę obok Hitlera.

Sierżant Armii USA i jego poślubiona przed trzema dniami żona, robiąc sobie przerwę w namiętym uprawianiu miłości, opuścili

„General Walker Hotel” w Obersalzbergu, by wieczorem pobiegać po lesie. Kobieta przyśpieszyła, pobiegła szlakiem do przodu i nieledwie potknęła o ciało Strassera. Krzyknęła, a sierżant natychmiast pojawił się u jej boku. Ciało było jeszcze ciepłe, gdy ukląkł i przyłożył palce do szyi, szukając pulsu. Popatrzył na młodą żonę i powoli pokręcił głową.

- Czy to Amerykanin z hotelu? - zapytała.

Jej mąż przeszukał zewnętrzne kieszenie kurtki starego człowieka i znalazł klucze z drewnianym breloczkiem „Zum Turken”.

- Wygląda na to, że zatrzymał się w tej gospodzie z dala od głównej drogi.

- Można mu jeszcze jakoś pomóc?

- Nie wiem. Biegnij do hotelu i zadzwoń po karetkę. Spróbuję zastosować sztuczne oddychanie i masaż serca, ale jestem pewien, że to nic nie da.

Jürgen Strasser nie ufał nikomu, nawet własnemu ojcu. Była to wrodzona cecha jego natury, wzmocniona przez lata szkolenia i doświadczeń ze Stasi. List od ojca sugerował pośpiech, a dla Strassera wiązało się to z zagrożeniem jego bezpieczeństwa, a może nawet ujawnieniem przeszłości i prawdziwej tożsamości. Nigdy nie przyszłoby mu na myśl, że ojciec mógłby chcieć spotkać się z nim po prostu z pobudek osobistych - umierający człowiek, który pragnie po raz ostatni zobaczyć swego jedyne go syna.

Wyruszył z Frankfurtu szarym dwudrzwiowym Audi. Przeprowadził, na długo przed podróżą, dokładne profesjonalne śledztwo, którego celem było wykrycie, czy nikt się nim nie interesuje. Wybrał okrężną trasę, od czasu do czasu zawracał i przystawał, a przed Stuttgartern podjechał do restauracji przy autostradzie i w ubikacji zmienił ubranie. Odlepił również fałszywą brodę i wąsy, zdjął okulary w rogowych oprawkach i piętnaście minut później, bez śladu podobieństwa do człowieka, który wszedł do lokalu, oddalił się kuchennym wyjściem. Za budynkiem, w umówionym miejscu, znalazł podstawione przez kolegę czarne BMW. Odjechał, zostawiając Audi, by skorzystać z niego później.

Ominął autostradę, na której stosunkowo łatwo śledzić obserwowany samochód - inwigilujący są niewidoczni, pozostają w kontakcie radiowym, jadąc przed i za namierzonym pojazdem.

Skierował się na południe i podążył boczną drogą na zachód, przez południową Bawarię. Wąskie, wijące się drogi, z licznymi odgałęzieniami prowadzącymi do odległych śródgórskich dolin i małych wiosek, zmuszałyby każdego, kto go śledził, do trzymania się w tak niewielkiej odległości, że nawet amator nie miałby kłopotu z zauważeniem ogona.

Dotarł do Berchtesgaden na dwie godziny przed planowanym przyjazdem pociągu z Monachium i zaparkował na tyłach stacji. Z tego miejsca mógł bez przeszkód obserwować peron i przystanek, z którego odchodziły turystyczne autokary do Obersalzbergu, oraz wjazd i wyjazd z parkingu. Siedział w samochodzie, odpalając papierosa od papierosa i obserwował rytm otoczenia, lecz nie dostrzegł ani narastającej aktywności, ani nikogo podejrzanego, kto by kręcił się po peronie przed przybyciem pociągu.

Bez żadnych emocji, jedynie z pewną podejrzliwością obserwował, jak ojciec wysiadł na peron, przeszedł na przystanek i wsiadł do autobusu. Nikt, kto wysiadł z pociągu, nie poszedł za nim, nikt też nie zareagował w widoczny sposób na jego przybycie. Wszystko było zwyczajne, nie pojawił się żaden niezsynchronizowany element, który mógłby być sygnałem dla kogoś ukrytego w pobliżu. Nie wydarzyło się nic, co mogłoby świadczyć o tym, że zastawiono na niego pułapkę, a ojciec występuje w roli przynęty.

Miejscowy policjant, wykorzystujący parking jako pętlę rutynowych rundek, dwukrotnie mijał czarne BMW. Raz, ze znudzeniem i bez zainteresowania, zerknął w kierunku człowieka siedzącego za kierownicą, natychmiast klasyfikując go jako kogoś, kto czeka, by zabrać przybywającego pasażera. Nie mógł wiedzieć, że intensywne, czujne oczy nie odrywały się od niego, póki nie zniknął z pola widzenia. Nie podejrzewał, że kierowca na najmniejszą próbę sprawdzenia tożsamości zabiłby go w jednej chwili. Nie mógł również zauważyć, że ręka mężczyzny przez cały czas spoczywa na kolbie pistoletu maszynowego, wiszącego na zaczepach pod deską rozdzielczą BMW.

Każda próba konfrontacji Jürgena Strassera z jednostką mniejszą od wyszkolonej brygady antyterrorystycznej skończyłaby się jej klęską. Ktoś zbliżający się od tyłu czy z boku wozu, jak zawsze robią to doświadczeni funkcjonariusze policji, popadłby w śmiertelne zdziwienie. Pod obiciem drzwi po stronie kierowcy ukryta była śrutówka kalibru dwanaście o odciętych lufach. Wyloty luf znajdowały się w jednej linii z krawędzią drzwi. Jeden koniec przewodu wyzwalającego przymocowany był pod tablicą rozdzielczą, a drugi do spustu, co pozwalało kierowcy otworzyć drzwi i, korzystając z bocznego lusterka, strzelać celnie bez zawracania czy wysiadania z samochodu. Strasser sam zaprojektował i zainstalował to śmiercionośne urządzenie, i raz miał okazję sprawdzić jego użyteczność. Działo jak należy, zabijając amerykańskiego żandarma, który zatrzymał go na rutynową kontrolę, gdy uciekał z bazy Sił Powietrznych USA Ren - Men pod Frankfurtem po podłożeniu bomby w centrali telefonicznej.

Miejscowy gliniarz byłby bardzo zdziwiony, gdyby dowiedział się, że człowiek, którego zlekceważył, znany jest wszystkim organizacjom antyterrorystycznym na świecie jako „Dieter”. Żadna z nich nie znała jego prawdziwego nazwiska, nie wiedziano również, jak wygląda. Strasser słynął z umiejętności przybierania fałszywej skóry oraz maskowania się i oszukiwania. Wiadomo było tylko, że jest uzdolnionym, zuchwałym i brutalnym przeciwnikiem, nieskończenie bardziej niebezpiecznym z powodu umiejętności szkolenia ludzi, a także planowania operacji.

Jürgen Strasser, mając za sobą siedmioletnie doświadczenie w szkoleniu terrorystów dla wschodnioniemieckiego Ministerstwa Bezpieczeństwa, w pełni zasługiwał na taką opinię. Służąc jako starszy instruktor w Massow, tajnym obozie szkoleniowym Stasi, leżącym czterdzieści kilometrów na południe od Berlina, włączył do swego arsenału najnowszą technologię. Ośrodek, porośnięty gęstym lasem, zajmował około pięciu tysięcy hektarów. Do czasu zamknięcia po upadku Niemiec Wschodnich nie miał sobie

równych w szkoleniu terrorystów.

Od likwidacji Ministerstwa Bezpieczeństwa Strasser działał na własną rękę, kierując wszelkie wysiłki ku odbudowaniu RAF - Frakcji Armii Czerwonej, zachodnioniemieckiej organizacji terrorystycznej, niegdyś potężnej i popieranej przez Stasi. Szeregi tej ostatniej zostały zdziesiątkowane, gdy rozjuszony tłum w pierwszych dniach przewrotu zajął kwaterę główną Stasi w Berlinie Wschodnim. Macki potężnej organizacji były długie i liczne - Stasi zatrudniała osiemdziesiąt pięć tysięcy pracowników pełnoetatowych i ponad sto tysięcy płatnych informatorów, kontrolujących więcej niż cztery miliony własnych obywateli i dwa miliony mieszkańców Niemiec Zachodnich. Jej akta wzbudziły ogromne zainteresowanie zachodnich agencji wywiadowczych i w konsekwencji w tłumie, który zajął siedzibę Stasi, roilo się od zachodnioniemieckich i amerykańskich agentów. Szukali oni informacji, które ujawniłyby funkcjonariuszy Stasi oraz ich terrorystyczne odpowiedniki działające na Zachodzie. Akta Frakcji Armii Czerwonej znajdowały się wśród tych akt, które wpadły w ręce amerykańskich i zachodnioniemieckich brygad antyterrorystycznych.

Strasser widział, co się święci, więc na dwa dni przed zajęciem biur Stasi przybył do Berlina Wschodniego i przedsięwziął także kroki na przyszłość. W zamieszaniu i chaosie, towarzyszącemu zawsze ucieczce szczurów z tonącego okrętu, znalazł dojście do archiwum. Odnalazł i zniszczył swoje akta, a następnie zmusił jednego z urzędników, by ten wykasował całkowicie jego dane z pamięci komputera, łącznie z tymi, które umieszczono na zapasowym dysku. W ten sposób skutecznie zlikwidował wszystkie biurokratyczne ślady wskazujące, że kiedykolwiek pracował dla Stasi i był przydzielony do Massow. Bazą jego operacji przez dwa ostatnie lata była mała farma na wsi, znajdująca się na południe od Baden - Baden. Nabyta przez osobę trzecią, sympatyka RAF, odosobniona i odległa od innych gospodarstw, doskonale spełniała rolę ośrodka szkoleniowego.

Strasser wyjechał z przydworcowego parkingu i dokonał niespiesznego, uważnego oglądu miasta. Nie jadł niczego od śniadania, więc zatrzymał się na wczesną kolację. Zajął stolik przy oknie, skąd mógł obserwować ulicę i sąsiedni rynek. Było już ciemno, gdy wjeżdżał stromą górską drogą na szczyt Obersalzbergu. W połowie drogi musiał zjechać na miękkie pobocze, aby ustąpić policyjnemu wozowi, który zarzucił szeroko na ostrym zakręcie.

W pobliżu dojazdu do „Zum Turken” zwolnił i zauważył, że na parkingu przy budynku stoją tylko dwa samochody. Doszedł do wniosku, że prawdopodobnie należą do pracowników. Obecność policyjnego wozu mogła wynikać z wielu nieszkodliwych powodów, miał się jednak na baczności. Minął małą gospodę i dojechał do pętli przy wjeździe na drogę prywatną, prowadzącą na Kehlstein. Było tu całkowicie pusto; kasa biletowa, budka z pamiątkami i mały bar - zamknięte od rana. Przez piętnaście minut siedział w ciemności, obserwując drogę i pałac, lecz nikt nie podążył za nim, nie pojawił się też żaden inny samochód.

Parę minut po dziewiątej podjechał z powrotem pod „Zum Turken” i zadzwonił. Kobieta, która podeszła do drzwi, miała dziwny wyraz twarzy. Wyglądała na zmartwioną. Instykt podpowiedział mu, że coś jest nie w porządku. Kobieta zbyt długo wpatrywała się w nieznanego. Strasser poczuł wzrost poziomu adrenaliny. Rozpiął suwak skórzanej kurtki i rozchylił poły, by móc szybko sięgnąć po dziewięćmilimetrowy pistolet *Sig Sauer*, zatknięty za paskiem spodni na plecach.

Frau Graber w stojącym przed nią mężczyźnie natychmiast dostrzegła rodzinne podobieństwo. Był on wysoki i chudy, ale cechowała go atletyczna budowa, sugerująca dużą siłę fizyczną. Miał inną karnację, włosy ciemniejsze, gęste i faliste, a twarz drobniejszą, bardziej kościstą. Był jednak uderzająco przystojny, pewno jak jego ojciec, gdy miał tyle samo lat co on. Przestała mieć wszelkie wątpliwości co do łączącego ich pokrewieństwa, patrząc w głęboko osadzone, ciemnoniebieskie oczy, w pewien sposób groźne

i niezgłębione.

- Herr Bauer? - zapytała pełnym szczeremu smutku tonem osoby, która ma zawiadomić syna o śmierci ojca.

- Tak. - Strasser wszedł do oświetlonego przyćmionym światłem holu. Zachowywał się nadzwyczaj spokojnie. Szybko omiół wzrokiem ciemne kąty i korytarz, szukając nagłego ruchu, gotów odpowiedzieć siłą na najmniejszy sygnał.

- Obawiam się, że stało się coś strasznego.

- O co chodzi?

- Przykro mi, że muszę to panu powiedzieć, ale pański ojciec miał atak serca... Nie żył już, gdy przyjechał ambulans.

Frau Graber z zaskoczeniem spostrzegła, że na twarzy mężczyzny pojawiła się ulga, lecz uznała to za swoisty wyraz szoku czy żalu.

Strasser milczał przez chwilę, dopasowując obraz wozu policyjnego do usłyszanej informacji. Kiedy się odezwał, jego głos był wyprany z wszelkich uczuć.

- Gdzie są rzeczy mego ojca?

- Wydaje mi się, że w jego pokoju - odparła *Frau Graber*, zdumiona jego reakcją.

- Czy policja je przeglądała?

- Nie. Pytali tylko, kim był pański ojciec, a ja podałam jego nazwisko i adres z karty meldunkowej.

- Poproszę klucz od pokoju. - Strasser wypowiedział to zdanie tak, że wcale nie zabrzmiało jak prośba.

- Oczywiście. - *Frau Graber* zaprowadziła go do recepcyjnej lady obok kuchni i dała mu klucz. - Inspektor policji w Berchtesgaden prosił, bym przekazała, że byłby wdzięczny, gdyby zechciał pan skontaktować się z nim... Aby zidentyfikować ciało i poczynić odpowiednie kroki.

Strasser skinął głową.

- Gdzie jest pokój mego ojca?

- Na górze, w prawo, na końcu korytarza.

Strasser zawrócił i zniknął na piętrze, zabierając ze sobą

lotniczą torbę. Hol na górze oświetlał tylko jeden kinkiet, który rzucał długie cienie. Strasser, nadal ostrożny, z ręką zaciśniętą na kolbie pistoletu, przemierzył pogrążony w półmroku korytarz i otworzył drzwi. Stołowa lampa była zapalona i nim podszedł do łóżka, na którym leżała torba i skórzana teczka, szybko rozejrzał się po pokoju.

Usiadł na skraju łóżka i otworzył torbę. Wyjął portfel ojca i wschodnio - niemieckie dowody tożsamości, od czasu zjednoczenia już nieaktualne i niepotrzebne. Szukał innych dokumentów, osobistych papierów czy jakichś kwitów, które mogłyby pomóc ustalić tożsamość ojca. Znalazł tylko bilet powrotny do Erfurtu. Schował go razem z dokumentami do własnej torby.

Wysypał na łóżko zawartość skórzanej teczki, jego uwagę przyciągnęło światło, połyskujące na metalu. Było to odznaczenie wojenne. Obejrzał je dokładnie i zdał sobie sprawę, że jest to Krzyż Rycerski z Liśćmi Dębu, jedno z najwyższych odznaczeń za odwagę nadawanych przez hitlerowskie Niemcy. Były tam jeszcze dwa inne orderzy ozdobione insygniami trupiej główki Waffen SS: jednym z nich był medal za zwalczanie partyzantów. Ojciec nigdy nie rozmawiał z nim o tym, co robił w czasie wojny, a wszystkie pytania zbywał zawsze mało znaczącymi uwagami, że był jedynie szeregowym w piechocie. Teraz Strasser zrozumiał dlaczego.

Odłożył medale i zwrócił uwagę na pozótkły skoroszyt z pozałamywanymi i wytartymi rogami. Wewnątrz znajdowały się raporty, pospinane zaśniedziałymi spinaczami, dotyczące transakcji przeprowadzanych w czasie wojny w Szwajcarii w imieniu marszałka Hermanna Göringa. Kilka dokumentów miało znaki wodne, a wszystkie opatrzone były marszałkowską pieczęcią. Strasser, zaintrygowany, przerzucił zawartość skoroszytu, lecz zdecydował, że dokładniej przestudiuje ją później.

Chciał szybko wyjechać bez konfrontacji z ciekawską miejscową policją. Wsunął skoroszyt i medale z powrotem do teczki, którą schował do swojej torby. Szybko omiół wzrokiem pokój sprawdzając, czy nie zostało nic, co pomogłoby w zidentyfikowaniu

jego ojca. Niczego nie znalazł, więc zszedł na dół, gdzie w małej alkowie obok holu natknął się na Frau Graber.

- Mam do pani prośbę.

- Tak, oczywiście. O ile tylko będę mogła pomóc.

Strasser podał jej kopertę, w którą włożył dziesięć tysięcy marek.

- To powinno wystarczyć na stosowny pogrzeb. Niech pani sama wybierze przedsiębiorcę pogrzebowego.

- Nie zamierza pan złożyć ostatniego hołdu swemu ojcu?

- Mój ojciec nie żyje. Okazywanie szacunku zmarłym jest przedstawieniem dla żywych. Nie mam na to ani czasu, ani ochoty. Frau Graber była wstrząśnięta jego gruboskórnością.

- Ale policja chce, żeby pan zidentyfikował ciało... I jest jeszcze kwestia miejsca ostatniego spoczynku pańskiego ojca.

- Niech zostanie skremowany.

- Nalegam, by pan sam zajął się tymi sprawami, *Herr Bauer*. To nie mój obowiązek - rzuciła ostro Frau Graber; do głosu doszedł jej temperament.

- Dobranoc. - To było wszystko, co Strasser rzekł w odpowiedzi. Wyszedł, nim oszołomiona kobieta zdążyła cokolwiek wykrztusić.

Strasser, zjeżdżając na dół, myślał o ojcu, którego właściwie nie znał. Zawsze widział w nim elektryka, człowieka pospolitego, bez aspiracji. Kogoś, kto wiódł nudne, nieciekawe życie, kto w przeszłości został wciągnięty w wir wojny, w której nie chciał brać udziału. Jednakże, gdy przypominał sobie, co czytał w podręcznikach o SS, raczej nie wątpił, że ojciec musiał być zaprzeczeniem jego wyobrażeń, skoro został zakwalifikowany do tak elitarnej formacji i miał tyle odznaczeń.

Zerknął na siedzenie obok, na którym leżała skórzana teczka, i zastanowił się, dlaczego ojciec ją ze sobą przywiózł. Czy wiedział, że jest umierający? Czy zamierzał ujawnić swoją przeszłość synowi? „Dam ci coś ważnego” czy „powiem ci”? Nie mógł sobie przypomnieć. Ale jaki związek mogły mieć z tym dokumenty, które dziś liczyły prawie pięćdziesiąt lat? I dlaczego ojciec przechowywał

je przez te wszystkie lata?

Było po dziesiątej, gdy Strasser wjechał z podrzędnej drogi na autostradę na północ od Bad Reichenhall - pod osłoną ciemności bardziej bezpiecznie czuł się na głównej arterii. Skierował się na zachód, w stronę Monachium. Ruch był niewielki, ale on nie przekraczał dozwolonej prędkości i trzymał się skrajnego prawego pasa. Zapalił światło. Tajemnica starych dokumentów rozpała jego wyobraźnię. Sięgnął do skórzanej teczki, wyjął akta i, wciąż jadąc, zaczął czytać.

Inspektor Hans Becker w ciągu niecałych trzydziestu minut sprawdził, że monachijski adres, jaki podała w „Zum Turken” ofiara ataku serca w Obersalzbergu, był fałszywy. Mieścił się tam sklep z tytoniem, tuż obok Marienplatz, prowadzony przez marokańskiego imigranta. Zachowanie syna, o którym Frau Graber zawiadomiła inspektora godzinę później, także go zaintrygowało i nasunęło podejrzenie, że staruszek zameldował się pod fałszywym nazwiskiem. Wysłał jednego ze swoich ludzi po rzeczy ofiary, lecz okazało się, że zawartość torby została przetrząśnięta, a z pokoju usunięto wszystko, co pomogłoby ustalić tożsamość Heinza Bauera.

Dochodziła północ, a Becker nadal był w swoim biurze. Zazwyczaj wracał do domu nie później niż o ósmej, pił piwo - nie przekraczając narzuconej sobie granicy trzech butelek - potem siadał z żoną i dziesięcioletnią córką do kolacji, kompletnie znudzony po kolejnym dniu pełnym niegroźnych wypadków drogowych, drobnych kradzieży i sporadycznych zakłóceń spokoju publicznego. Jednakże dzisiaj śmierć starego człowieka w Obersalzbergu dała mu okazję do skorzystania z faksu i komputera, który miał dostęp do bazy narodowego centrum danych o przestępcach. Zdarzenie w Obersalzbergu mogło zaowocować solidnym śledztwem.

Właśnie siedział przy biurku, układając prośbę do Interpolu i

bawarskiej policji o wyszukanie nazwisk wszystkich używających pseudonimu Heinz Bauer, gdy zadzwieczył telefon. Dzwonił jeden z etatowych lekarzy miejscowego szpitala, prawie tak samo stary jak „Herr Bauer”. Przeprowadziwszy badanie wstępne, orzekł, że w tym przypadku nic nie wskazuje na mokrą robotę.

- Podczas sekcji znalazłem coś, co, jak sądzę, powinien pan zobaczyć - zaczął doktor. - Może to panu pomóc w odkryciu prawdziwej tożsamości denata.

Becker telefonował do doktora już wcześniej, po tym, jak dowiedział się, że zmarły zameldował się w „Zum Turken” pod fałszywym nazwiskiem. Powiedział mu, że przyjdzie do szpitala pobrać komplet odcisków palców, by przesłać je razem ze swoimi pytaniami do Interpolu i policji. Zabrał zestaw do zdejmowania odcisków i natychmiast wyszedł z komisariatu. Od miesiący jego praca nie dostarczyła mu tyle satysfakcji. Dziesięć minut później wszedł do małego szpitala i udał się prosto do pomieszczenia w suterenie, które służyło za kostnicę.

Doktor ruchem ręki przywołał go do nierdzewnego stalowego stołu, stojącego pod ścianą. Przesunął do wysokości piersi prześcieradło okrywające ciało starego człowieka i podniósł jego lewą rękę.

- Poznaje pan to? - wskazał spłowiały i prawie nieczytelny tatuaż na bladej, przywiedniętej skórze pod pachą.

Becker pochylił się i zerknął z ukosa. Rozróżnił dwie postrzępione linie, przypominające nieco błyskawice, i sześciocyfrowy numer.

- SS?

- Dokładnie rzecz biorąc, *Waffen SS* - jednostki bojowe SS. O ile dobrze pamiętam, tylko oni mieli numery wytatuowane na skórze pod lewą pachą - tak jak pan tu widzi.

Becker wyjął z kieszeni munduru notes i pióro i skopiował sześciocyfrowy numer.

- Prześlę to do Interpolu i policji federalnej razem z odciskami palców.

- Sugeruję, żeby wysłał pan ten numer do Berlińskiego Centrum Dokumentów. To główna składnica akt nazistowskich. Tylko tam znajduje się obszerne archiwum starych akt SS.

Chłodny wiosenny deszcz, który zaczął padać na południe od Monachium, w czasie gdy Jürgen Stesser podjechał do stacji benzynowej przy autostradzie Monachium - Norymberga i zatrzymał się przy budce telefonicznej, przekształcił się w lekką mgłę. Mężczyzna był podniecony tym, co wyczytał w starych dokumentach z teczki ojca. Nie tylko zrozumiał, jakie mają znaczenie i jaka jest ich wartość, ale już formułował podstawowy plan ich wykorzystania.

Pora nie mogła być lepsza. Jego fundusze były znikome i dotkliwie potrzebował dużych pieniędzy, by wesprzeć istniejącą siatkę i sfinansować ambitne operacje, jakie planował. Miesiąc po upadku Niemiec Wschodnich Stesser skontaktował się z kilkoma nie zdekonspirowanymi przez akta Stasi członkami Frakcji Armii Czerwonej i z łatwością objął przywództwo nad ich zdziesiątkowaną organizacją. Potem zwerbował najlepszych ze swych byłych instruktorów z Massow, którzy nie uciekli do terrorystycznych baz szkoleniowych w Libii i Libanie, i z ich pomocą w ciągu niecałego roku przekształcił grupę bezmyślnych morderców w spójny związek o światowym zasięgu. Po przyłączeniu sprzymierzeńców z innych europejskich ugrupowań terrorystycznych utworzył sieć zakonspirowanych lokali na kontynencie europejskim, w Wielkiej Brytanii i w Stanach Zjednoczonych - jako ich gospodarzy wykorzystując nowych członków organizacji, szczególnie preferując młode studentki bez powiązań z radykalną lewicą czy terrorystami.

Problemy finansowe były wynikiem autonomii jego organizacji i nie dopuszczania do tego, by inni kontrolowali jej operacje - takie nastawienie irytowało arabskie ugrupowania terrorystyczne i ich sponsorów. Brak funduszy nie zmienił jednak przekonań Strassera - nadal nie pozwalał, by inni dyktowali mu, w jakie cele powinien

uderzyć, nikomu też nie ujawniał szczegółów swych planów. Taka postawa spowodowała niedawno rozdźwięk między nim a jego arabskimi dobroczyńcami, w konsekwencji doprowadzając do odcięcia przez nich niewielkiego, ale stałego dopływu gotówki.

Kiedy pojął znaczenie tego, co - jak ujawniły dokumenty z teczki ojca - zdarzyło się między 1940 a 1945 rokiem, zrozumiał, że posiadanie tej wiedzy może położyć kres jego finansowym problemom. Zamieszani - Amerykanie, Francuzi, Anglicy, Włosi, Hiszpanie i Szwedzi, domyślał się, że wszyscy z bogatych, wpływowych rodzin - musieli być w pełni świadomi, jakie interesy prowadzili i z kim. Dowody były niepodważalne. Ale czy ktoś z nich jeszcze żyje? Nawet jeżeli nie, pomyślał, niewątpliwie mieli rodziny, dzieci, które teraz już są dorosłe, i tak samo obawiają się skandalu jak ich rodzice.

Strasser zamknął drzwi kabiny telefonicznej i wybrał paryski numer, znów pomyślał o ojcu, przechowującym przez te wszystkie lata teczkę z dokumentami. Jakie były jego pierwotne zamiary? Przez chwilę żałował, że nie uczynił niczego, by poznać tego człowieka - człowieka, którego zlekceważył, uznał za mało znaczącego i niedoinformowanego. Skąd wziął teczkę z dokumentami? Czy znał jeszcze inne tajemnice? Nieważne, i tak umarły one razem z nim.

O pierwszej dwadzieścia w nocy w paryskim mieszkaniu zadzwonił telefon. Po czwartym sygnale Strasser usłyszał przepity głos, który wymamrotał typowe francuskie powitanie.

- Żadnych nazwisk - natychmiast rzucił Strasser.

- Mam dobre wieści - zaczął mężczyzna, mówiący teraz po niemiecku, w swoim ojczystym języku.

- Nie teraz! - warknął Strasser. - Idź do publicznego telefonu i zadzwoń do mnie za piętnaście minut na ten numer. - Odczytał numer z aparatu i odwiesił słuchawkę.

4

Człowiekiem, który odebrał telefon w paryskim mieszkaniu, był Günther Jost, jeden z pierwszych i bardziej niebezpiecznych członków Frakcji Armii Czerwonej, którzy nie zostali zdekonspirowani przez akta Stasi. W Paryżu przebywał od tygodnia, negocjując z handlarzem, od którego w przeszłości nabywał broń i materiały wybuchowe. Zakończył transakcję, dotyczącą pozycji wyszczególnionych przez Strassera, i teraz musiał jedynie w ciągu trzydziestu dni pojawić się z pieniędzmi, które, jak zapewniał Strasser, powinien dostać.

Mieszkanie znajdowało się na Montmartre na lewym brzegu Sekwany na szczycie stromego wzgórza pod numerem 84 przy rue Lepic. Było ono jednym z dwóch założonych przez Strassera „czyściców”. Tu zawsze zatrzymywał się, gdy przyjeżdżał do Paryża. Budynek stał skulony wśród płataniny wąskich średniowiecznych uliczek, nacechowanych urokiem i spokojem francuskiej prowincji, o krok od rozciągającego się u stóp wzgórza centrum turystycznego. Łatwo było wtopić się tu w tłum, który dniami i nocami włóczył się ulicami pełnymi sklepów, nocnych klubów, winiarni i kawiarni. Był to wspaniały teren na spotkania; z gazetą lub książką opartą o filiżankę czy szklankę można było siedzieć na tarasie kawiarni i obserwować dramaty życia paryskiej dzielnicy, a w razie konieczności stać się częścią tłumu i zniknąć w niewiarygodnie

wąskich zaułkach i uliczkach.

Güntherowi Jostowi również odpowiadała taka lokalizacja czyśćca. Był niski i dobrze zbudowany, miał oczy osadzone blisko siebie i dziobatą, wąską twarz. Już w wieku siedmiu lat zyskał przydomek „Szczur”. Nigdy nie cieszył się powodzeniem u kobiet, miewał je tylko wtedy, gdy im płacił lub brał je siłą, a jego seksualne upodobania skłaniały się ku dewiacjom - preferował podglądanie. Podobało mu się, że czyściec znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie słynnej dzielnicy Pigalle, z jej sex - shopami, prostytutkami i transwestytami. Bardzo wiele czasu spędzał w gęsto na jej obszarze rozrzuconych klubach, które miały w swoim repertuarze przedstawienia typu live - show.

Ostrożność Strassera, kiedy korzystał z telefonu, opierała się na sprawdzonych zasadach procedury operacyjnej, Jost natomiast niedbały i nadmiernie pewny siebie, działał w daleko mniej rozważny sposób. Nie wiedział, że krótka rozmowa między nim a Strasserem została podsłuchana i nagrana przez dwóch agentów Mossadu, działających pod przykrywką ambasady Izraela w Paryżu. Po otrzymaniu wiadomości od informatora wzięli oni podejrzanе mieszkanie pod obserwację. Ich posterunek nasłuchowy znajdował się po drugiej stronie ulicy, na skos od czyśćca, za łukowym wejściem w kształcie dziurki od klucza, za którą roztaczał się dziedziniec pełen roślin otaczających rzeźbę, a za nim kolejny łuk i kolejne podwórko, odbijające się w połyskujących drzwiach piętrowego budynku.

Obecnie całe piętro bogato zdobionej i wzorowo utrzymanej kamienicy zaśmiecone było kubkami od kawy, przepełnionymi popielniczkami i pustymi pojemnikami jednorazowego użytku po jedzeniu na wynos - był to nieład typowy dla stałego punktu obserwacyjnego. Na stole pod ścianą stała konsola komputera, część nowoczesnego bezpiecznego systemu łączności, połączonego przez satelitarną stację przekaźnikową bezpośrednio z kwaterą główną Mossadu w Tel Awiwie. Pod przeciwległą ścianą umieszczono zestaw monitorów audio - wideo z magnetofonami,

nastrojony na odbiór sygnałów z elektronicznych pluskiew, które zawierały miniaturowe nadajniki i minikamery na końcach światłowodów.

Pluskwy założył w każdym pomieszczeniu czteropokojowego czyścica inny wyspecjalizowany zespół Mossadu, który dostał się do środka, gdy Jost wyskoczył na Pigalle. Były one elektronicznym majstersztykiem - przez piętnaście sekund gromadziły informacje w formie cyfrowej, potem transmitowały je w niewykrywalnym, trwającym ułamek sekundy przekazie. Sygnały wysyłane przez pluskwy odbierane były przez wzmacniacz, ukryty pod sztukaterią na zewnątrz okna mieszkania. Poza tym w pomieszczeniu nasłuchowym zainstalowany był potężny, zamontowany na statywie teleskop noktowizyjny, wycelowany w wejście do czyścica, oraz noktowizyjna kamera z równie silnym teleskopem. Wszyscy przybywający do czyścica byli fotografowani, podobnie jak numery rejestracyjne ich samochodów i motocykli.

Mieszkanie, w którym czuwali agenci Mossadu - jedno z wielu, jakimi dysponowali w Paryżu - zostało w pośpiechu załatwione przez *Sayana* - jednego z sympatyków żydowskich rozsianych po całym świecie, których w każdej chwili można było wezwać do pomocy. Mossad zatrudniał mniej niż dwanaście tysięcy pracowników, nie miał żadnego oparcia w budżecie Izraela i posiadał mniej niż pięćdziesięciu oficerów operacyjnych - Amerykanie i Rosjanie mieli ich tysiące - ale były to bardzo zwodnicze liczby.

Unikatowy system *sayanim* pozwalał Mossadowi wykorzystać lojalnych popleczników ze światowej wspólnoty Żydów mieszkających poza Izraelem. Dzięki nim organizacja otrzymywała pomoc nieproporcjonalną do swej wielkości. Pomoc *sayanim* polegała na zapewnianiu samochodów, mieszkań i opieki medycznej dla ranionych agentów, wsparciu politycznym i pomocy finansowej. - Na całym świecie były ich miliony - w samym Londynie Mossad miał dwa tysiące czynnych i pięć tysięcy rezerwowych „pomocników”.

Dwaj agenci Mossadu słuchali wszystkiego, co mówił terrorysta, i obserwowali wszystko, co robił. Mieli nawet taśmę wideo z jego perwersyjnych praktyk seksualnych z wynajętą na noc prostytutką i jeden szczególnie kawałek ze studentką Sorbony nagrany w trzecią noc po jego przybyciu. Jost zwabił dziewczynę do mieszkania i czynił jej niedwuznaczne propozycje, a gdy dała mu odprawę, użył siły. Wkrótce stało się jasne, że młoda kobieta musiała kiedyś zgłębiać wschodnie sztuki walki. Cztery szybkie jak błyskawica kopniaki: trzy w głowę Josta i jeden w pachwinę, były doskonale wymierzone. Dziewczyna w pośpiechu wybiegła z mieszkania, a Niemiec, ogłuszony i jęczący z bólu, został na podłodze.

Jost, ku zdziwieniu agentów, rozmawiając przez telefon z handlarzem broni, był na tyle nieostrożny i niedyskretny, że ujawnił nie tylko jego nazwisko, ale i miejsce spotkania w małym parku niedaleko Ile de la Cite. Nazwisko natychmiast zostało wysłane z paryskiego biura do siedziby Mossadu w Tel Awiwie, gdzie ludzie z wydziału archiwalnego przepuścili je przez swoje obszerne akta - te same, dzięki którym zidentyfikowano Josta jako starego członka Frakcji Armii Czerwonej i prawdopodobne ogniwo prowadzące do osławionego Dietera. W ciągu godziny agenci otrzymali kompletne dane o człowieku, z którym pertraktował Jost. Kolejny zespół Mossadu, wezwany do obsługi spotkania, używając z odległości trzydziestu metrów ultraczułych mikrofonów parabolicznych, nagrał rozmowę, która potwierdziła to, co podejrzewał Tel Awiw: negocjacje Dietera dotyczyły bojowych środków chemicznych i biologicznych, ukradzionych przez pewnego oficera Armii Radzieckiej.

Ten sam zespół, który obstawiał spotkanie, teraz czekał na ulicy w pobliżu czyścica terrorystów, gotowy do śledzenia Josta, gdy tylko ten wyjdzie z mieszkania. Próbowano odgadnąć, z którego telefonu skorzysta, aby założyć podsłuch, jednakże nie można było tego przewidzieć. Grupa operacyjna szybko dowiedziała się, że aparat, którego numer został podany Jostowi przez nocnego rozmówcę, znajduje się w Niemczech, gdzieś między Monachium a

Norymbergą. Jednakże było za mało czasu, by wysłać zespół w celu zlokalizowania telefonującego, wobec tego nie poczyniono prób zawężenia lokalizacji. Człowiek, który telefonował, był przyzwyczajony do wydawania rozkazów, a Jost do ich natychmiastowego wykonywania - jedno i drugie wskazywało, że mógł nim być Dieter.

Agenci znajdujący się w mieszkaniu za pomocą nadajnika postawili w stan pogotowia zespół inwigilacyjny na ulicy. Jego członkowie natychmiast zajęli wyznaczone pozycje, by ruszyć za Jostem. Przez kilka dni prowadzono tak zwaną obserwację stacjonarną - technika ta miała na celu uniknięcie wszelkiej możliwości wykrycia. Polegała ona na obserwowaniu namierzonej osoby bez śledzenia przy pomocy „ogona”. Agenci pozostawali w kontakcie radiowym, zajmowali liczne posterunki wokół czyścica, przekazywali sobie Josta z rąk do rąk. Dzięki temu ustalono jego rozkład zajęć i typowe trasy. Wyznaczono na linii jego tras stałe punkty obserwacyjne, a agenci, którzy je obsadzali, potrafili wtopić się w ruch uliczny. W tych rzadkich przypadkach, gdy Jost zbaczał ze swojej stałej trasy, stacjonarni agenci zawiadamiali przez radio lotny zespół, czekający w samochodach. Dzięki takiej kombinacji, śledzący mieli do dyspozycji środki transportu niezbędne w przypadku, gdy obiekt wsiadał do autobusu czy pociągu albo gdy kontaktował się z kimś, kto miał własny samochód.

Członkowie zespołu obserwacyjnego Mossadu wkrótce odkryli, że nie muszą zawracać sobie głowy stosowaniem wypracowanych i sprawdzonych środków ostrożności. Jost zachowywał się w sposób bez troski nie tylko wtedy, gdy w grę wchodziło użycie telefonu, lecz również w sytuacjach, gdy nawiązywał kontakty. Rzadko też podejmował działania mające na celu wykrycie ewentualnych tropicieli. Pogwałcenie zasad operacyjnego bezpieczeństwa było tak skandaliczne, że w kwaterze głównej Mossadu zdecydowano, by nie zdejmować go z ulicy w celu przesłuchania, tak jak początkowo zamierzano. Trzymano go pod ścisłym nadzorem i pozwalano mu działać bez przeszkód. Takie posunięcie mogło

doprowadzić do zdekonspirowania całej operacji i pozostałych członków ugrupowania.

Zespół Mossadu jednakże musiał być ostrożny, bowiem wkrótce po przybyciu Josta do Paryża pojawiła się niespodziewana komplikacja. Obserwował go jeszcze ktoś inny. Agenci podejrzewali, że była to robota oddziału antyterrorystycznego *Direction Generale de Sécurité Extérieure* - DGSE - francuskiej tajnej służby wywiadowczej. Byli pewni, że człowiek, którego namierzyli, nie zdawał sobie sprawy z poczynań Mossadu. Obserwowali go, by zapobiec ujawnieniu własnej operacji.

Człowiek, którego wykrył zespół Mossadu, siedział w starym czterodrzwiowym Renaultcie zaparkowanym przy krawężniku i obserwował wejście do czyścica terrorystów. Nazywał się Mike Semko i nie posiadał żadnego oficjalnego zezwolenia na to, co robił. Działał na własną rękę, w pojedynkę, i nie przejmował się niczym. Już od lat nie dbał o względy polityczne i dyplomatyczne subtelności. Takie podejście od czasu do czasu ustawiało go w kategorii wolnego strzelca, co irytowało jego zwierzchników w kwaterze głównej CIA. Ale tym też się nie przejmował. Był dobry w tym, co robił, bardzo dobry, i jak długo osiągał rezultaty, wiedział, że nie zdejmuje go z terenu - mają zbyt mało ludzi posiadających jego kwalifikacje i doświadczenie.

W tej operacji Semko występował jako cywilny konsultant Regionalnego Biura Bezpieczeństwa Departamentu Stanu przy ambasadzie amerykańskiej w Paryżu. Miał czterdzieści dwa lata; całe jego dorosłe życie koncentrowało się wokół tajnych operacji specjalnych. Jako młody sierżant Zielonych Beretów, przydzielony do Specjalnej Grupy Operacyjnej, przez trzy lata brał udział w ściśle tajnej misji zwiadowczej w Laosie i Wietnamie Północnym. W ciągu dwóch lat po zakończeniu wojny wietnamskiej stał się jednym z pierwszych członków oddziału Delta, elitarnej jednostki Armii Stanów Zjednoczonych, przeznaczonej do walki z terrorystami.

Spędził w niej resztę swojej wojskowej kariery. Bezpośrednio po przejściu w stan spoczynku w stopniu sierżanta sztabowego, po dwudziestu latach służby, został zwerbowany przez CIA jako pracownik kontraktowy. Przez ostatnie dwa lata należał do ściśle tajnej jednostki, działającej w obrębie Wydziału Operacyjnego.

Jednostka Semki, nie umieszczona w żadnej strukturze organizacyjnej CIA, była grupą starannie wybranych dwunastu ludzi - kontraktowych pracowników z doświadczeniem w oddziale Delta i SEAL - których operacje znane były jedynie nielicznym członkom CIA. W początkowych fazach gromadzenia informacji zazwyczaj pracowali oni w pojedynkę, później, gdy sytuacja tego wymagała, tworzyli cztero - czy sześciuosobowe zespoły. Ludzie ci byli ostatecznym argumentem Ameryki w walce z terroryzmem.

Cieszyli się nieograniczonymi przywilejami. W sytuacji, gdy terrorysta znajdował się poza zasięgiem Departamentu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych, a kraj udzielający mu azylu odmawiał aresztowania i ekstradycji, to właśnie jednostka Semki dopadała go i uprowadzała. Specjalnie wysłany samolot CIA przenosił pojmanego terrorystę do Stanów Zjednoczonych, gdzie internowano go w ściśle tajnym ośrodku znanym jako Farma, położonym przy Camp Peary w Wirginii na terenie bazy szkoleniowej CIA. Tam, pod kontrolą etatowych psychiatrów i profesjonalnych śledczych, trzymany był w odosobnieniu i przez długi czas poddawany deptywacji sensorycznej i działaniu środków psychotropowych, szczególnie takich, które niszczyły jego wolę oporu. Działania te prowadzono dopóty dopóki nie zostały ujawnione wszystkie szczegóły dotyczące jego organizacji terrorystycznej i jej członków. Semko nie wiedział, co działo się potem, ale w ciągu minionych dwóch lat ani razu nie usłyszał więcej o żadnym z ośmiu terrorystów, których wraz z innymi uprowadził i dostarczył do czekającego samolotu.

Obecna misja Semki polegała na zbieraniu informacji niezbędnych do zlokalizowania czterech członków francuskiego ugrupowania terrorystycznego o nazwie Action Directe. Zniknęli

oni z pola widzenia po przyznaniu się do wysadzenia w powietrze autokaru pełnego obywateli amerykańskich - turystów zwiedzających malownicze zakątki Prowansji. Wybuch zmasakrował dwadzieścia trzy osoby. Semko miał określić, czy ugrupowanie Akcja Bezpośrednia rzeczywiście było za to odpowiedzialne i, jeżeli tak, wysledzić jego członków oraz zaplanować i przeprowadzić operację ich uprowadzenia. Nie zdołał osiągnąć pozytywnych rezultatów nawet przy pomocy oficerów operacyjnych paryskiej placówki CIA, którzy zostali poinstruowani, by udzielić mu wszelkiej pomocy, mimo że nie znali prawdziwego celu jego misji. Wszyscy znani członkowie małego, ale siejącego śmierć ugrupowania terrorystycznego rozplynęli się w powietrzu, a informacje i tropy, jakie uzyskał od miejscowych agentów, prowadziły donikąd.

Zaniechano dalszych działań, a Semko przed pięcioma dniami został wezwany do Waszyngtonu w celu złożenia sprawozdania. Po otrzymaniu cynku od jednego z agentów terenowych paryskiej komórki CIA Semko zignorował rozkaz dowództwa. Agent, działający pod dyplomatycznym płaszczykiem attaché kulturalnego ambasady amerykańskiej, miał w całym mieście swoich ludzi. Jeden z nich, profesor Sorbony, którego spotkał na koktajlu, opowiedział mu o swojej studentce, młodej dziewczynie, która padła ofiarą próby gwałtu. Niedoszły gwałciciel chełpił się, że jest terrorystą, a nawet zabrał ją do swego zakonspirowanego lokalu. Jej biegłość we wschodnich sztukach walki sprawiła, że zamiary napastnika nie wyszły poza granice wstępnych macanek. Agent przekazał Semce te informacje razem z rysopisem rzekomego terrorysty. Rysopis i przedstawione w raporcie zachowanie mężczyzny zasugerowały Semce, że na powierzchnię wypłynął Günther Jost. Jost mało go interesował, ale ważne były jego powiązania z Frakcją Armii Czerwonej i Dieterem.

Po rozmowie z oficerem operacyjnym Semko znalazł budynek, którego adres młoda kobieta podała profesorowi. Nie musiał długo czekać;

Günther Jost wkrótce wyszedł z domu. Semko zwrócił uwagę na jego swobodne zachowanie i kompletny brak podejrzliwości. Agenci z paryskiej placówki wiedzieli, że jego misja jest skończona, więc z ich strony nie mógł spodziewać się żadnego wsparcia, ale beztrudne zachowanie Josta sugerowało, że poradzi sobie z pomocą tylko jednego człowieka. Udało mu się zwerbować jednego z żołnierzy piechoty morskiej, który ochraniał ambasadę, by ten zmieniał go w czasie wolnym od służby. Sam w tym czasie nadrabiał brak snu. Ten układ funkcjonował doskonale.

Dwie godziny wcześniej Semko podjechał za Jostem pod jego dom i teraz siedział w samochodzie. Przygotowywał się już na nocne czuwanie, gdy z cienia wejścia wyłoniła się jakaś postać. Jost zbiegł pośpiesznie po schodach i ruszył krokiem szybszym niż zwykle. Terrorysta opuścił mieszkanie po raz pierwszy po powrocie ze swej conocnej włóczęgi po barach i klubach. Semko podejrzewał, że obecne wyjście nie ma nic wspólnego z powtórnią wyprawą na Pigalle, ani też ze spotkaniem z człowiekiem, którego wcześniej zidentyfikował jako znanego mu z czasów Deltę handlarza bronią.

Jost znowu zlekceważył procedurę związaną z zapewnieniem sobie bezpieczeństwa. Semko, podobnie jak czynił to wcześniej w takich sytuacjach, wysiadł z samochodu i zaczął śledzić go na piechotę. O tak późnej porze ulice mieszkalnej części na szczycie wzgórza były całkowicie wyludnione, ale Semko mógł trzymać się dość blisko Josta, kryjąc się w głębokim cieniu domów. Zadanie ułatwiał fakt, że Jost ani razu nie obejrzał się za siebie. U stóp wzgórza, gdzie ciągle tętniło nocne życie, śledzenie było jeszcze łatwiejsze. Terrorysta wstąpił do nocnego baru i pośpieszył prosto do telefonu.

Na stacji benzynowej przy autostradzie Monachium - Norymberga nie było nikogo poza Strasserem i pracującym na nocną zmianę kasjerem. Mgła z powrotem przemieniła się w ciągły deszcz, spływający po szklanych bokach kabiny, w której Strasser niecierpliwie czekał na telefon. Złapał słuchawkę, nim umilkł pierwszy sygnał.

- Chcę, żebyś skontaktował się z kimś w Paryżu i zaaranżował spotkanie na jutrzejszy wieczór - powiedział bez wstępu.

- Oczywiście - odparł Jost zadyszczonym głosem, który był konsekwencją pośpiesznego marszu po wyrwaniu z głębokiego snu.

- Nazywa się Claude Drussard.

- Ma pan jego adres?

- Nie. Jest właścicielem małej galerii sztuki przy rue de Seine. Przyrowadź go do kawiarni, w której ostatnio się spotkaliśmy; do tej przy St - Germain. Jutro o ósmej wieczorem. Nie telefonuj, znajdź jego sklep i porozmawiaj z nim osobiście.

- Co mam mu powiedzieć?

- Że chcę się z nim zobaczyć - warknął Strasser. - Przedstaw mnie jako człowieka, z którym cztery lata temu prowadził interesy w Berlinie. Zrozumie.

- Tak, oczywiście - powiedział Jost i dodał: - Negocjacje zakończyły się w tym tygodniu. Wszystko, czego pan potrzebuje, będzie osiągalne po cenach, jakie uzgodniliśmy. Pozostaje, oczywiście, kwestia zapłaty. Dał nam trzydzieści dni.

- Dobrze - powiedział Strasser, nie myśląc już o handlu bronią, ale o dokumentach z teczki ojca i związanych z nimi możliwościami. - Dopilnuj, żeby Drussard przyszedł. Na czas - dodał i rozłączył się.

Kiedy opuścił stację benzynową i wjechał na autostradę, ostro wdusił pedał gazu, wyciskając z potężnego silnika BMW pełną moc. Skierował się na północny zachód w kierunku Frankfurtu. Deszcz nie ustawał, a on zastanawiał się, w jaki sposób pokierować tym, co może okazać się najbardziej intratną operacją jego życia. Musiał się powstrzymać, by spekulacje nie stały się zbyt szalone i entuzjastyczne. Nie było żadnych gwarancji, że któryś z analizowanych kierunków działania okaże się możliwy. Minęło ponad czterdzieści pięć lat, informacje równie dobrze mogą być teraz bezwartościowe, pomyślał, miał jednak nadzieję, że tak nie jest. Pierwsze wyjaśnienia znajdzie w Paryżu. Drussard powinien coś wiedzieć.

Mały plac przy alei w St - Germain był niegdyś miejscem spotkań pisarzy, filozofów i malarzy, ale umknęli oni przed napływającymi tu tabunami turystów.

Słynna przed wojną kawiarnia z ogródkiem, w której teraz Günther Jost wypijał trzecią szklaneczkę wina, rozbrzmiewała gwarem ożywionych rozmów i brzękiem szkła. Przez zatłoczony placyk niosły się powitania, przeprosiny i śmiech, mieszając się z dźwiękami łagodnej muzyki. Dwóch studentów, którzy przysiedli na obrzeżu centralnej fontanny grało na gitarach. Ludzie bez śladu ponurej nerwowości czy złośliwości - którą Francuzi bronili się przed napierającymi turystami - przechadzali się bez celu. Zakochani, owładnięci magicznym czarem gorącego wiosennego wieczoru, stali spleceni w uściskach po drzewami pełnymi świeżych pąków. Radowali się krótkimi dniami niewinnej miłości i młodości, które już nigdy nie wrócą.

Kawiarnię oświetlały jedynie maleńkie żarówki rozmieszczone wzdłuż skraju markizy i miękkie płomienie migocących świec, kapiących na kraciaste serwety. Przyćmione oświetlenie i hałaśliwe konwersacje były przeszkodą nie do pokonania dla czterech agentów Mossadu, ukrytych w zaparkowanej w pobliżu furgonetce. Nie mogli przewidzieć miejsca spotkania, stali na straconej pozycji. Wcześniej tego dnia również mieli pecha, gdy Jost opuścił czyściec,

by skontaktować się z Claudem Drussardem.

Jost, nie znając dokładnego położenia galerii Drussarda, błędził płataniną wąskich uliczek i stacjonarni agenci stracili go z oczu. Zespół lotny, który miał go przejąć, doświadczył podobnego niepowodzenia, kiedy Jost pomaszerował w górę jednokierunkowej ulicy - gdyby dwaj ludzie w samochodzie chcieli go dalej śledzić, natychmiast zostaliby zauważeni, nawet przez kogoś mało spostrzegawczego. W chwili gdy wysiadali z samochodu, by kontynuować pościg na piechotę, ich cel zniknął. W takich okolicznościach musieli wrócić do czyścica i czekać na jego powrót. Podjęli przerwana obserwację wieczorem, gdy terrorysta udał się do kawiarni.

Furgonetka stała tuż obok placu, kilka metrów w głąb bocznej ulicy. Znajdowała się w zbyt dużej odległości od kawiarni, co ludziom z Mossadu utrudniało zarówno nagrywanie na wideo, jak i na magnetofon. Na placu nie mogliby ukryć swej działalności przed kimś, kto był wyczulony na inwigilację, a musieli założyć, że kimkolwiek jest człowiek, z którym Jost się spotka, to na pewno nie będzie równie niefachowy i nieostrożny jak on. Boczna ulica była dla Mossadu jedynym miejscem, w którym mogli podjąć pracę.

Agent ze słuchawkami na uszach, siedzący z tyłu furgonetki, z rozczarowaniem potrząsnął głową. Z początku próbował podsłuchać rozmowę za pomocą laserowego urządzenia, ale supernowoczesny przyrząd w ich sytuacji okazał się bezużyteczny. Zbyt wiele drgań zakłócało odbiór, a wałęsający się ludzie przecinali bezpośredni tor tak, że sygnał był zbyt poszatkowany. Przełączył się na urządzenie wspomagające, dookólny mikrofon paraboliczny ukryty w otwartym dachu furgonetki, i wykonał serię prób namierzenia stolika Josta, stojącego w odległym rogu kawiarni. Tym razem powiodło się lepiej, ale ciągle nie uzyskiwał pożądaných rezultatów. Na skraju chodnika, niedaleko od miejsca, w którym Jost rozmawiał z nie zidentyfikowanym osobnikiem, stała grupa nastolatków. Byli oni usytuowani między furgonetką a namierzanymi obiektami, a ich ożywiona rozmowa oraz hałas

dobiegający z pobliskich stolików i ulicy ciągle nie pozwalały operatorowi na skoncentrowanie nasłuchu na Joście i jego towarzyszu.

- Złapałem poszczególne słowa - operator zwrócił się do drugiego agenta. - Ale hałas jest zbyt duży.

Człowiek obsługujący kamerę wideo przy lustrzanej szybie w tylnych drzwiach furgonetki skinął głową. On również miał trudności. Patrzył pod takim kątem, że tłum kręcący się przez cały czas wokół fontanny na środku placu zasłaniał mu widok na stolik, a kiedy w końcu zdołał skupić się na obserwowanych obiektach, przeszkodziło mu słabe oświetlenie. W dalszym ciągu próbował dostosować obiektyw kamery i mruzczał z niezadowolenia, gdyż jego wysiłki spełzły na niczym.

- Poziom światła jest zbyt niski - powiedział do dźwiękowca. - Nie uzyskamy niczego poza ziarnistą plamą. Wzmacniacz komputerowy może zrobić z niej rozpoznawalny obraz, ale nie liczyłbym na to. - Przesunął się do przodu wozu i zwrócił do kierowcy oraz człowieka zajmującego miejsce pasażera. - Wsiądźcie i mieszaście się z ludźmi na placu. Podejdźcie tak blisko, jak tylko można. Gdy się rozejdą, my zajmiemy się Jostem. Wy idźcie za człowiekiem, który właśnie przybył. Zrobię wszystko, by go nagrać. I miejcie oko na tego faceta, który śledzi Josta - dodał.

Dwaj agenci wyslizgnęli się cicho z furgonetki i zniknęli na placu.

Mike Semko czekał na Josta przed czyścem i podążył za nim wiarni. Jego problemy były innego rodzaju niż te, które stanowiły zmożenie agentów Mossadu. Żydzi, poza pragnieniem niedopuszczenia do sprzedaży broni chemicznej i biologicznej, byli zobowiązani stałym rozkazem Mossadu do odnalezienia Dietera. Mieli go uprowadzić i dostarczyć do Izraela w celu postawienia przed sądem za podłożenie bomby w amsterdamskiej synagodze; wybuch spowodował śmierć osiemnastu wiernych, w tym czterech obywateli Izraela. Semko zaś chciał jedynie zabić terrorystę - i to od

razu, w chwili, gdy tylko go zobaczy.

Dieter stanowił najważniejszy powód, dla którego Semko, zamiast przyjąć jedną z bardziej lukratywnych ofert międzynarodowych prywatnych agencji ochroniarskich, zaczął pracować w antyterrorystycznej sekcji CIA. Robił wszystko, by dostać Dietera - za zgodą agencji czy też bez - nie zważając na konsekwencje. Trzy lata temu informator działający wewnątrz OWP zdradził agentowi CIA w Paryżu, gdzie zaszył się terrorysta wraz z grupą pięciu Palestyńczyków, których szkolił w Massow. Przygotowywał ich do „dyplomowego” zadania: ataku na nocny klub odwiedzany przez amerykański personel techniczny stacjonujący w bazie sił powietrznych w Bitburgu w Niemczech. Wezwano oddział Delta i zespół Semki wziął szturmem czyściec w Düsseldorfie, zabijając wszystkich Palestyńczyków, jednakże Dieter umknął, nurkując za okno i raniąc przy tym śmiertelnie dwóch komandosów Delty.

W czasie bezsennych nocy Semkę nawiedzały wizje dwóch martwych kolegów, leżących na podłodze mieszkania. Jeden z nich był wieloletnim przyjacielem, z którym służył jeszcze w Wietnamie. Osierocił żonę i dwójkę małych dzieci. Semko również nie wyszedł bez szwanku - jego ramię zostało poszarpane przez kule. Dieter strzelał wyskakując przez okno, więc nie mógł dokładnie celować. Czasami Semko czuł przez chwilę ból w starych ranach i przypominał sobie twarz człowieka, który do niego strzelał. Był jedynym Amerykaninem, który kiedykolwiek widział Dietera z bliska, a mimo to żył. Terrorysta był mistrzem w maskowaniu swej powierzchowności, jednakże miał także cechy, których Semko nie mógłby nigdy zapomnieć.

Jego żądza zemsty stała się obsesyjna. Semko obiecał sobie, że gdy tylko złapie Dietera, przejdzie na emeryturę. Znajdzie jakieś miejsce w Montanie czy Wyoming oddalone od cywilizacji tak bardzo, że - jak pół żartem powiedział swym przełożonym w CIA - gdy tylko przyjdzie mu na to ochota, będzie mógł się odlewać stojąc na werandzie. Emerytura z Armii i zaoszczędzone pieniądze

wystarczyłyby mu do końca życia; miał niewielkie potrzeby. Widział tyle, że chciał już usunąć się w cień.

Semko dotarł za Jostem do St - Germain, wybrał na punkt obserwacyjny stolik w innym ogródku, naprzeciwko miejsca, w którym siedział terrorysta z przybyłym przed chwilą mężczyzną. Takie usytuowanie pozwalało mu obserwować obiekty i wszystkich wchodzących czy opuszczających plac. Utkwił oczy w nowo przybyłym - o ile dobrze pamiętał, nie widział jego twarzy w aktach terrorystów, które studiował w czasie służby w oddziale Delta czy pracy w CIA. Człowiek ten był dużo starszy od Josta; Semko oszacował, że ma co najmniej sześćdziesiąt lat. Typowy Francuz - obwisłe policzki i ciężkie powieki. Wyglądało na to, że w towarzystwie Josta nie czuje się pewnie. Mimika i gesty dwóch mężczyzn sugerowały, że czekają na kogoś. Krótka wymiana zdań, w czasie której nie pochyłali się ku sobie, świadczyła o zdawkowości, czego dowodziły również długie chwile milczenia i rozglądanie się po placu.

Nagle Semko zwrócił uwagę na postać, która pojawiła się na skraju jego pola widzenia. Wysoki, szczupły mężczyzna przesunął się powoli ku fontannie, przystając, obserwując, potem znów ruszając i omiatając wzrokiem teren. Semko poczuł, że jego organizm produkuje więcej adrenaliny. W mężczyźnie było coś znajomego. Sposób, w jaki lustrował otoczenie - czujnie, uważnie szukając oznak ewentualnego niebezpieczeństwa - zdradzał profesjonalistę. Semko rozpoznał takie zachowanie - sam też tak postępował, gdy przypuszczał, że ktoś może go obserwować.

Dla niewyszkolonego oka mężczyzna doskonale stapiał się z innymi ludźmi na placu, ale pod pozorną niedbałością kryły się niezwykle uważne, w pełni celowe ruchy. Przysiadł na chwilę na skraju fontanny i zapalił papierosa, udając zainteresowanie gitarzystami. Semko prześledził linię jego wzroku; oczy zwrócone były na stolik, przy którym siedział Jost ze starszym Francuzem, potem wolno przesunęły się łukiem przez kawiarnię do momentu, w którym mężczyzna nie uznał, zawierając instynktowi i praktyce,

że reszta klienteli nie stanowi zagrożenia. Następnie znów skierował uwagę na plac, szukając najdrobniejszych oznak tego, że coś lub ktoś znajduje się na niewłaściwym miejscu lub porusza się niezgodnie z rytmem właściwym dla tłumu.

Semko nie mógł oderwać od niego oczu. Rozpoznawał drobne elementy, które zapamiętał przed trzema laty w czasie tych krótkich chwil w Düsseldorfie, gdy widział Dietera wchodzącego do mieszkania przed atakiem oddziału Delta. Widział go również przez kilka sekund w czasie wymiany ognia, zanim tamten nie wyskoczył przez okno. Skoncentrowany bez reszty, wpatrywał się w znajomą figurę, gdy mężczyzna wstał i obchodził fontannę. Miał ciemne blond włosy, dłuższe za uszami i na karku, gdzie wywijają się do góry. Twarz była przystojna, rysy jak wyrzeźbione, oczy osadzone głęboko, twarde i nieugięte. Utykał lekko, szedł chwiejnie i garbił się, co sprawiło, że Semko przez chwilę zwątpił w swe początkowe podejrzenia.

Potem przypomniał sobie dane osobowe i charakterystykę, jaką czytał - w aktach CIA o tym, jak biegle Dieter potrafił zmieniać swój wygląd. Czasami uciekał się do amatorszczyzny, do rzeczy, o których myśli każdy początkujący: peruka lub fałszywe wąsy czy broda i okulary rogowych oprawkach. Takie oczywiste przebrania bez większych trudności mogły zmylić w zaciemnionej budce telefonicznej czy mrocznym korytarzu, ale w rzeczywistości służyły jedynie przyciągnięciu uwagi kompetentnego obserwatora.

Dieter dobrze znał wszelkie arkana sztuki charakteryzacji. Sztuczne brwi, gęste i krzaczaste, zmieniały twarz tak samo, jak wąsy czy broda. Lekki płaszcz przeciwdeszczowy i czapka, ciasno zwinięte i wetknięte w kieszenie marynarki, zapewniały szybką zmianę wyglądu na zatłoczonej ulicy. Para o numer za małych butów czy kamyk w jednym z nich zmieniały chód, postawę, nadawały człowiekowi wygląd zmęczonego i schorowanego. Lekkie utykanie i niezdarne ruchy, które Semko zauważył u znajdującego się teraz o mniej niż pięćdziesiąt metrów dalej mężczyzny, mogły iść na konto tej ostatniej sztuczki. Przypomniał sobie dyskusję, jaka

odbyła się w czasie odprawy po nieudanym ataku na mieszkanie w Dusseldorfie: jeden z analityków w oddziale Delta podkreślił, że nadwaga i łysina, siwe przerzedzone włosy, które wtedy widział u Dietera, były jeszcze jedną mistyfikacją, do jakiej może posunąć się w swym mistrzostwie terrorysta, by zamaskować swoją prawdziwą powierzchowność.

Jednakże istnieją takie cechy, których nikt nigdy nie może ukryć przed wnikliwym obserwatorem, szczególnie takim, który przechowuje w pamięci każdy szczegół poprzedniego spotkania. Kształt głowy mężczyzny. Nachylenie ramion. Szeroka klatka piersiowa, sugerująca dużą siłę. Sposób, w jaki się poruszał. Jego aroganckie zachowanie. Pewność siebie. To także wpływa na wizerunek człowieka, ale jest zdecydowanie trudniejsze do ukrycia niż rysy twarzy. Semko kontynuował obserwację, nadal niezbyt pewny swych podejrzeń, ale zareagował natychmiast, gdy zobaczył, że mężczyzna odwraca się w jego kierunku i powoli, cierpliwie rozgląda się po tej stronie placu, niczego nie pomija, studiując wszystkie szczegóły.

Semko doszedł do wniosku, że jeśli jest to Dieter, to mało prawdopodobne, by terrorysta pamiętał go z kilkusekundowego rendez - vous w czasie wymiany ognia przed trzema laty. Jednakże nim dostał się pod badawcze spojrzenie, odwrócił lekko głowę. Przy stoliku po jego lewej stronie siedziała młoda kobieta; już wcześniej uznał ją za prostytutkę, która ma nadzieję na znalezienie wśród gości kawiarni lepszego klienta. Uchwycił jej spojrzenie, podniósł ku niej filiżankę i gestem zaprosił, by się do niego przyłączyła. Kobieta zrobiła to bez wahania i usiadła naprzeciwko właśnie w chwili, gdy oczy Strassera omiotły ich stół.

Agenci Mossadu w furgonetce i na ulicy nie zauważyli wysokiego, chudego mężczyzny, dopóki nie skończył on badania terenu i nie przeszedł do kawiarni, w której dosiadł się do Josta i jego towarzysza.

- Czy ktoś go poznaje? - usłyszał głos agenta w słuchawkach. Mówił do małego nadajnika, a ci dwaj, którzy wysiedli z furgonetki,

by zająć pozycje na placu, słyszeli go dzięki małym słuchawkom umieszczonym w uszach. Obaj zaprzeczyli, szepcząc do małych mikrofonów przymocowanych wewnątrz klap marynarek.

Operator kamery, znajdujący się w furgonetce, przerwał dostrajanie ostrości i znowu klął pod nosem.

- Nie mogę złapać go pod tym kątem; widzę za ledwie tył jego głowy. Podniósł leżący obok radiotelefon.

- Jeżeli się rozdziela - powiedział do ludzi na placu - dajcie sobie spokój z Jostem; wiemy, gdzie go znaleźć. My zajmiemy się tym starszym, wy idźcie za nowo przybyłym.

Jürgen Strasser nie uścisnął ręki, którą wyciągnął do niego Claude Drussard. Po prostu skinął głową, usiadł i nalał sobie szklanekę wina z karafki.

- Porozmawiamy później - powiedział do Josta i odprawił go ruchem głowy. Jost posłusznie wstał i wyszedł bez słowa.

Strasser pamiętał Drussarda ze spotkania w domu towarowym na peryferiach Berlina Zachodniego, które odbyło się trzy lata wcześniej. Strasser dostarczył mu wtedy dwa pośledniejsze, ale cenne obrazy i dwa złote kielichy. Drussard dyskretnie sprzedał je, korzystając ze swej podziemnej sieci, poniżej ich wartości, ale powyżej tego, co Strasser spodziewał się dostać.

Obrazy i kielichy były częścią skarbu odzyskanego przed laty przez rząd NRD od swych obywateli, którzy przechowywali złupione i zaginione dzieła sztuki od końca drugiej wojny światowej. Przyjaciół Strassera z okresu pracy w akademii szkoleniowej Stasi, który w tym czasie pracował w sekcji antyterrorystycznej, przyszedł do niego z gotowym planem. Dowiedział, że kraj, któremu tak wiernie służyli, wkrótce przestanie istnieć i że to kapitaliści odziedziczą należące do państwa skarby. Wobec tego, jeżeli zrealizują plan, to tym samym okradną właśnie ich. Strasser przyznał mu rację i razem zlokalizowali skrytkę pomniejszych dzieł sztuki w opuszczonym klasztorze pod

Weimarem. Zabrali cztery prace niemieckich artystów z początku dwudziestego wieku i dwa dwunastowieczne kielichy, złupione z polskiej katedry, będące okazami sztuki średniowiecznych złotników. Usunęli je z inwentarza, zwróconego do siedziby Stasi, a następnie przemyśli do Berlina Zachodniego. Spotkali się tam z Drussardem, którego nazwisko znaleźli w aktach swojej organizacji.

- Pamięta mnie pan? - spytał Strasser. Prawie nie zmienił się od czasu ich pierwszego spotkania.

- Tak, oczywiście - odparł Drussard. - Nie byłem pewien, gdy pański przyjaciel rozmawiał ze mną po południu, ale teraz, gdy pana widzę, wiem, że jest pan jednym z ludzi ze wschodniemieckiego wywiadu, którym... wyświadczyłem przysługę. *Herr König*, o ile dobrze pamiętam.

- Tak. Czy nadal świadczy pan tego rodzaju usługi? - Oczywiście Strassera powoli wędrowały po kawiarni i placu.

- Ależ oczywiście. Odpowiednim ludziom z odpowiednim towarem.

Strasser sięgnął do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki i wyjął dwa arkusze papieru, na których skopiował informacje zawarte w dokumentach z teczki ojca. Jedną kartkę podał Drussardowi.

- Niech mi pan powie, czy uważa pan to za odpowiedni towar.

Drussard rozłożył papier. W miarę czytania jego oczy stawały się coraz większe. W połowie listy wydał ledwie słyszalne westchnienie, ale wziął się w garść, nim zwrócił uwagę sąsiadujących stolików.

- Chyba nie sugeruje pan, że ma te rzeczy?

- Nie, ale mam powody, by wierzyć, iż mogę je mieć w krótkim czasie. Jest pan zainteresowany?

- Zainteresowany to za mało powiedziane - odparł Drussard, tym razem uważniej czytając listę.

Nazwiska go zahipnotyzowały. Najwięksi artyści świata: Monet, van Gogh, Rafael, Rembrandt, Botticelli, Goya, Degas, Dürer,

Matisse, Cézanne, Renoir, Velazquez, Pissarro. Dwa van Goghi, zauważył i czytał dalej. Był tam Boucher z osiemnastowiecznej szkoły francuskiej. Rubens z siedemnastowiecznej szkoły flamandzkiej. Cranach z szesnastowiecznej szkoły niemieckiej, I Ruysdeal z siedemnastowiecznej szkoły duńskiej. Drussard znał nie tylko te nazwiska, ale i większość obrazów, których krótkie charakterystyki znajdowały się przy tytułach.

Drussard, niedoszły artysta i nie odnoszący większych sukcesów właściciel galerii, minione trzydzieści lat spędził w świecie kradzionych oraz fałszowanych dzieł sztuki i antyków. Wzniósł się na wyżyny w biznesie, który osiągnął takie rozmiary, że wśród największych nielegalnych przedsiębiorstw świata ustępował tylko handlowi narkotykami. Jego kontakty ze złodziejami, którzy kradli na zamówienie, handlarzami, którzy prowadzili paserskie operacje, i z klientami, którzy zadawali - o ile w ogóle zadawali - mało pytań, obejmowały cały świat. Międzynarodowa sieć złodziejska przerzucała skradzione dzieła przez oceany i kontynenty w sposób częstokroć zbyt skomplikowany, by policja mogła go wyśledzić. Zwykle brało w tym udział czterech czy pięciu handlarzy - pośredników i dopiero wtedy przesyłka trafiała do prywatnego kolekcjonera w Wenezueli, Japonii, Arabii Saudyjskiej czy w którymś z szejkanatów. Roznamiętnieni kupujący, którzy posiadali ogromne kapitały, nie liczyli się z kosztami.

Drussard natychmiast zdał sobie sprawę, że większość wymienionych obrazów to unikaty. Nie były to niedawno ukradzione dzieła sztuki, które trudno sprzedać ze względu na rozgłos towarzyszący kradzieży. Odstrasza to nawet chciwych i łakomych klientów. Obrazy te były odpowiedzią na jego najbardziej żarliwe modlitwy. Zagięły pięćdziesiąt lat temu i, jak się orientował, nie widniały na zestawionej przez Interpol liście „najbardziej poszukiwanych”, która sięgała roku 1938. Mimo że nie mogły być wystawiane jawnie w domach aukcyjnych czy galeriach, aby nie budzić podejrzeń, z łatwością można je sprzedać bogatym prywatnym kolekcjonerom, szczególnie z krajów Bliskiego

Wschodu i Japonii.

Drussard podejrzewał, że wszystkie płótna wchodziły w skład ponad czterech tysięcy zaginionych arcydzieł, których losy od drugiej wojny światowej były nadal nie znane. Przypuszczano, że niektóre padły ofiarą amerykańskich i brytyjskich nalotów, inne stały się łupem nazistów, a potem zostały odnalezione i „wyzwolone” przez alianckich żołnierzy, zwłaszcza Rosjan, i przez hordy włóczących się po Niemczech wiosną 1945 roku uciekinierów i przesiedleńców.

Historia zaginionych skarbów obrosła legendą. Część nazistowskiego programu podboju stanowiła próba zubożenia ujarzmionych narodów i wzbogacenia Niemiec. Prowadzona z rozmysłem, planowa działalność obejmowała między innymi grabież dzieł sztuki. W krajach słowiańskich dopuszczano się grabieży całej spuścizny narodowej. Nie oszczędzono żadnych zbiorów - państwowych, kościelnych czy prywatnych. We Francji, Belgii i Holandii, podobnie jak w Austrii czy Niemczech, kradzieże ograniczały się głównie do prywatnych kolekcji, znajdujących się w rękach Żydów, które w efekcie były systematycznie łupione. Zawierano też transakcje z pozorami legalności - zmuszano właścicieli do sprzedaży swoich zbiorów po śmiesznie niskich cenach, często wysyłano ich potem do obozów śmierci.

Wojenny szal kolekcjonerski pobudzał zainteresowania Hitlera; uważał on, że zdobycze mają wielkie znaczenie dla kulturalnego prestiżu Niemiec. Jednakże aktywny udział w selekcjonowaniu łupów brali Goring oraz - w mniejszym stopniu - Bormann i Goebbels, którzy wybierali najbardziej wartościowe prace, by umieścić je w swoich prywatnych kolekcjach. Rabunki, kradzieże i wymuszone sprzedaży złożyły się na jedną z największych i najbardziej systematycznych w historii akcji grabieży dzieł sztuki. Na szczęście Niemcy, ze swoim obsesyjnym zamiłowaniem do porządku, prowadzili rejestry z taką sumiennością, że po zakończeniu wojny można było zwrócić większość zagrabionych dzieł prywatnym właścicielom. Wyjątek stanowiły rodziny

żydowskie, których dobra zagarnięto siłą. Większość z nich nie przeżyła obozów śmierci i mimo wysiłków, podejmowanych przez krewnych w wiele lat później, nie udało się im odzyskać żadnego obrazu. Zostały one umieszczone na liście dzieł zaginionych. Kilka z nich w późniejszych latach pojawiło się w domach aukcyjnych - wypłynęły one ze źródeł okrytych tajemnicą, powiązanych ze Związkiem Radzieckim. Zwrócono je prawowitym właścicielom, ale większa część po prostu zniknęła.

Drussard dowiedziałby się więcej ze swych prywatnych notatek, lecz nie miał okazji, aby na nie spojrzeć. Przypuszczał, że większość obrazów z listy Strassera należy do kategorii własności skonfiskowanych Żydom w Europie.

- Niech mi pan powie, jaki ma pan do nich dostęp? - zapytał Francuz. - W jaki sposób można je zdobyć?

Strasser podał mu drugi arkusz papieru.

- Obrazy na liście, którą panu dałem, są ponumerowane. Na drugiej liście znajdują się nazwiska ludzi, którzy nabyli je między 1941 a 1945 rokiem. Numery przy nazwiskach odpowiadają posiadanym przez nich obrazom.

- Nabyli je? - Zdziwienie Drussarda było szczere.

- Od człowieka nazwiskiem Egon Hofer.

Drussard pokiwał głową. Nazwisko nie było mu obce. Cała sprawa zaczynała nabierać sensu. Słyszał historie o obrazach sprzedawanych w Szwajcarii w czasie wojny. Chodziło o to, by zdobyć twardą walutę dla Trzeciej Rzeszy. Z tego procederu korzystali również przywódcy SS, którzy wpłacali pieniądze na tajne konta.

- Hofer reprezentował Hermanna Göringa i w jego imieniu sprzedawał te dzieła sztuki, których marszałek nie chciał mieć w swoich zbiorach - powiedział Drussard. - Popełnił samobójstwo krótko po zakończeniu wojny.

- Wszystkie te transakcje miały miejsce w Zurychu i, jak pan widzi z listy nazwisk, niektórzy z kupujących pochodzili z krajów, które w tym czasie były z Niemcami w stanie wojny.

Drussard szybko spojrział na listę i rozpoznał kilka nazwisk należących do wybitnych rodzin Wielkiej Brytanii i Ameryki. Do rodzin, słynących w świecie sztuki ze swych bogatych kolekcji.

- Jednego nie rozumiem - mówił dalej Strasser - dlaczego oni świadomie kupowali kradzione dzieła sztuki?

- „Świadomie” to praktyczne słowo, *Herr König*. - Drussard uśmiechnął się. - Dzieło sztuki, o którym nabywca wie, że jest kradzione, może zostać skonfiskowane przez władze, i kupujący nie może się do nikogo odwołać. W wielu krajach jednakże obowiązuje następująca zasada: jeśli nabywca posiada kwestionowany przedmiot przez okres przynajmniej dwóch lat i może uzasadnić, że kupując go nie miał pojęcia, iż był on kradziony, jest uznawany za legalnego właściciela.

- Lecz przecież ci ludzie znali pochodzenie obrazów. Jak mogliby udowodnić, że nie podejrzewali, iż były one częścią nazistowskich łupów?

- Wątpię, czy wtedy brali pod uwagę wrzawę, jaka podniesie się w związku z zaginionymi dziełami sztuki po wojnie. I rzeczywiście, o ile się nie mylę, żaden z tych obrazów od końca wojny nie ujrzał światła dziennego. Sugeruje to, że nabywcy zrozumieli, jakie reperkusje łączyły się z próbą wystawienia ich na widok publiczny bądź na sprzedaż.

- A dlaczego ktoś chce mieć obraz, którego nie może otwarcie pokazywać?

- Kolekcjonerzy sztuki to dziwna rasa. Szczególnie ci, którzy mają obsesję na punkcie prac uznanych mistrzów. Na świecie żyje kilkunastu ogromnie bogatych ludzi, którzy kupią pewne obrazy, nie zważając na ich kwestionowane pochodzenie, i zmagazynują je w podziemiach banku czy ukryją we własnych domach. Znam co najmniej sześciu kolekcjonerów, którzy posiadają sekretne pomieszczenia, skonstruowane specjalnie w takim celu. Właściciele legalnie nabytych dzieł sztuki gwałtownie zaprzeczają, że tacy ludzie istnieją. Ale zapewniam pana, że tak jest.

- Czy łatwo będzie sprzedać obrazy z tej listy?

- To unikaty. Na pierwszy rzut oka mogę powiedzieć, że wszystkie niegdyś były własnością bogatych Żydów. Niektóre może nawet mają akty sprzedaży, prawdopodobnie wymuszone od pierwotnych właścicieli, ale trudno dyskutować na ten temat, skoro zginęli oni w obozach śmierci. Przypuszczalnie z tego właśnie powodu płótna te zostały przeznaczone na sprzedaż i tak chętnie nabyte. Okropieństwa, które wyszły na jaw po wojnie, nadały transakcjom inny wymiar: nowi właściciele musieliby przyznać, że prowadzili interesy z nazistami, co niewątpliwie wyjaśnia, dlaczego żaden z obrazów nigdy nie został wystawiony na widok publiczny.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie - wyszeptał lodowatym tonem Strasser. - Czy łatwo będzie je sprzedać?

- Oczywiście. Sporządzenie perfekcyjnie sfałszowanych aktów sprzedaży czy pokwitowań aukcyjnych datowanych na okres drugiej wojny światowej jest sprawą stosunkowo prostą. Mając je w ręku znajdę klientów w Japonii i Hongkongu, którzy zakupią je natychmiast.

- Za jaką cenę?

- Ułamek ich prawdziwej wartości, lecz na dzisiejszym rynku nadal stanowi to poważną sumę. Może trzy czy cztery miliony dolarów za każde znaczniejsze płótno. Minus moja prowizja, oczywiście.

- Która będzie wynosiła...?

- Czy mogę zasugerować pięćdziesiąt procent? - Oczy Francuza rozbłysły chciwością.

- Może pan sugerować, co się panu podoba, ale dostanie pan czterdzieści procent.

Drussard obojętnie wzruszył ramionami.

- Zgoda. Ale mam do pana pytanie. Jak pan zamierza zdobyć te obrazy?

- Zamierzam je ukraść. A pan mi pomoże.

Drussard milczał przez dłuższą chwilę, a potem w kącikach jego ust pojawił się ironiczny uśmiezek.

- Jakiż to doskonały przykład czysto baśniowej sprawiedliwości:

kradzież skradzionych obrazów. Kradzież, która nigdy nie zostanie zgłoszona, bo równałoby się to przyznaniu do winy.

- Czyta pan w moich myślach.

- Ale poza znalezieniem właściwych nabywców, jakiej pomocy oczekuje pan ode mnie?

- Skoro obrazy nie były widziane od końca wojny, możliwe, że nadal znajdują się w rękach ludzi, którzy kupili je od nazistów, prawda?

- To całkiem prawdopodobne. Jestem przekonany, że żaden z nich nie pojawił się na czarnym rynku w ciągu ostatnich trzydziestu lat, w przeciwnym razie wiedziałbym o tym.

- Oczekuję zatem informacji, czy pierwotni nabywcy nadal żyją, a jeżeli nie, to kto odziedziczył ich legalne kolekcje, i będą mi potrzebne ich adresy.

- To nie powinno być trudne. Większość z nich to ludzie dobrze znani w świecie sztuki. - Drussard znów zerknął na listę nazwisk. - Już teraz mogę panu powiedzieć, że trzech jeszcze żyje. Mają około osiemdziesięciu lat i mieszkają w Nowym Jorku. Dwaj są w radzie nadzorczej Metropolitan Museum i Museum of Modern Art.

Drussard zawahał się i postanowił zaproponować coś, co zelektryzowało go, gdy po raz pierwszy zobaczył listę Strassera.

- Chciałbym otrzymać specjalną zapłatę za wytropienie obecnych właścicieli.

Strasser przestał obserwować kawiarnię i wbił wzrok w Drussarda.

- Z wyjątkiem „Lilii wodnych” Moneta - ostrożnie kontynuował Drussard - nie ma w świecie sztuki bardziej upragnionego obrazu od „Irysów” van Gogha czy jednego z jego pejzaży, mrocznych i smutnych, z niebem wiszącym nisko nad torfowiskami i kartofliskami, na których pracują milczący chłopcy o ciężkich stopach... Jaka pierwotna siła... - Wydawało się, że Francuz wpadł w trans, oczarowany widzianym w wyobraźni obrazem.

- Do rzeczy - ponaglił Strasser.

- Chciałbym jednego z tych van Goghów - powiedział Drussard,

wskazując na listę. - Ten. Dla siebie.

Strasser przez chwilę rozważał prośbę, potem skinął głową, wyrażając przyzwolenie, i przedstawił własne warunki.

- Wybierze pan z listy obrazy, które uważa pan za najcenniejsze i zanim je ukradnę, ustalimy ich przypuszczalną wartość rynkową. Za każdy z nich dostanę swoje sześćdziesiąt procent od ceny, na jaką się umówimy. Ile pan za nie weźmie, to już pański interes.

Strasser wyjął notes i pióro z kieszeni kurtki i nabazgrał nazwę banku w Vaduz w Liechtensteinie wraz z numerem tajnego konta.

- Zdeponuje pan moje pieniądze bezpośrednio na tym koncie w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin po otrzymaniu obrazów.

- Zgoda. Mam godnych zaufania ludzi w Nowym Jorku, Wiedniu, Meksyku, w Tokio i w Hongkongu. Gdy będzie pan miał te obrazy, może pan przekazać je moim reprezentantom w najbliższym mieście.

Drussard na podstawie dwóch list sporządził notatki. Następnie, po dokonaniu szybkich kalkulacji, zestawiał oddzielną listę dla Strassera.

- Według pańskich informacji osiem obrazów nabyły trzy osoby z Nowego Jorku - ci, o których wspomniałem wcześniej. Jeżeli nadal znajdują się one w ich posiadaniu i zakładając, że zdoła pan je zdobyć, mogę zagwarantować, iż pański procent wyniesie w przybliżeniu osiemnaście milionów dolarów.

Myśl o takiej ogromnej sumie i o niezależności, jaką jemu i jego organizacji zapewnią te pieniądze, wywołała u Strassera rzadki dreszcz entuzjazmu.

- Kiedy może pan dostarczyć mi aktualne adresy ludzi z Nowego Jorku?

- Powinienem mieć te informacje jutro po południu. Jak mam się z panem skontaktować?

- Ja zadzwonię - powiedział Strasser. - I, przez wzgląd na pana, mam nadzieję, że jest pan dostatecznie inteligentny, by nie próbować mnie oszukać.

Ton głosu Strassera i wyraz jego oczu przestraszyły Drussarda,

ale Francuz nie wycofał się. Siedział w tym biznesie od trzydziestu lat i nigdy nikogo nie oszukał.

- Nie przeżyłbym tych wszystkich lat, gdybym był głupi, *Herr König*.

- Wobec tego pańskie nieustające zdrowie. - Strasser podniósł szklaneczkę gestem, który Drussardowi skojarzył się nie tyle z toastem, ile z pogrózką. - Jutro wieczorem będę w Nowym Jorku. Zadzwoń stamtąd do pana. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, w przyszłym tygodniu będzie miał pan obrazy.

- Doskonale - powiedział Drussard i zaczął się zbierać. Zawahał się i dodał: - Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym zapytać, kogo pan reprezentuje... To znaczy, skoro pański były pracodawca już nie istnieje?

- Reprezentuję zdecydowane zagrożenie dla ludzi, którzy zadają zbyt wiele pytań.

- No to do jutra. - Drussard podniósł się z krzesła.

Strasser zapalił i przyglądał się Francuzowi przemierzającemu plac. Bacznie obserwował, czy nie odnajdzie oznak podejrzanego zainteresowania ich rozstaniem.

Dwaj agenci Mossadu, którzy zajęli pozycje w furgonetce, byli zaskoczeni, że Strasser został i rozglądał się w poszukiwaniu obserwatorów. Nie było czasu, by wezwać z ambasady dodatkowy zespół, więc stanęli przed dylematem, kogo śledzić.

- Ten facet przy stoliku czeka, żeby zobaczyć, czy ktoś nie śledzi starego - stwierdził operator kamery. - Nie będziemy w stanie pójść za nim nie zwracając jego uwagi.

- Daj sobie spokój ze starym - powiedział agent ze słuchawkami na uszach. - Z tego, co złapałem z ich rozmowy, wiem, że to ten w kawiarni kieruje tym, co planują. - Podniósł radiotelefon i zwrócił się do agentów na placu. - Zostańcie z obiektem przy stoliku. My pojedziemy za wami jako wsparcie, tak blisko, jak będziemy mogli.

- Myślisz, że to Dieter? - zapytał agent z kamerą.

- Pasuje do opisu, a raczej do tego, co o nim wiemy. Ale wiemy o nim mało.

Mike Semko miał pewne wątpliwości co do tożsamości tego człowieka. Fragmentaryczne, ale żywe wspomnienie dnia w Düsseldorfie i wewnętrzny instynkt umocniły jego podejrzenie, że znalazł Dietera; umocniły do tego stopnia, że miał zamiar zetknąć się z tym człowiekiem i w taki czy inny sposób je potwierdzić. Kiedy Francuz wstał i odszedł, Semko wsunął skonfundowanej dziwce w

dłoń pięćdziesiąt dolarów i pocałował ją w policzek, by wyglądało to na rozstanie dwojga przyjaciół.

Ruszył przez plac wokół fontanny w stronę narożnej kawiarni, nie spuszczać wzroku ze Strassera. Zatrzymał się za grupą studentów, chichoczących i dzielących się skrętem z trawki, i sięgnął pod wiatrówkę, by odbezpieczyć pistolet *Browning High Power* kalibru 9 mm, ukryty w kaburze pod lewym ramieniem.

Strasser siedział spokojnie, obserwując plac i dopijając wino. Skoncentrował się na Drussardzie, mimo że zauważył szczupłego, wyglądającego na twardziela mężczyznę, który opuścił kawiarnię po drugiej stronie placu. Nie spostrzegł również, że gdy ruszył przez tłum w stronę fontanny, szedł on za nim trop w trop.

Dwaj agenci Mossadu widzieli Semkę i zostali na swych pozycjach, by uniknąć zdekonspirowania. Niższemu z nich, Nathanowi Obertowi - mężczyźnie o potężnej posturze, byłemu spadochroniarzowi - nie umknęło, że prawa dłoń Semki zniknęła we wnętrzu jego kurtki. Rozpoznał dyskretne ruchy i wyszeptał do mikrofonu w kłapie marynarki:

- Facet, który śledził Josta, idzie za obiektem. Jest uzbrojony i sądzę, że chodzi mu o coś więcej niż tylko śledzenie.

- Cofnijcie się i pozwólcie mu działać.

Dowódca zespołu, nie wiedząc, kim jest Semko ani też z czym mają do czynienia, wołał raczej zachować przesadną ostrożność niż ryzykować ujawnienie własnej operacji. Ten człowiek mógł być agentem francuskiego wywiadu i wchodzenie mu w drogę mogłoby stać się przyczyną dyplomatycznego incydentu.

Dwaj agenci na placu zastosowali się do jego polecenia.

Semko wtopił się w tłumek, który otaczał żonglera o wątpliwym talencie, dającego przedstawienie obok fontanny. Na chwilę stracił Strassera z oczu, a gdy wydostał się na otwartą przestrzeń, terrorysty nie było już widać. Szybkie, desperackie spojrzenia ułatwiły odnalezienie go: szedł chodnikiem w kierunku wychodzącej z placu ulicy. Semko, dbając o to, by nie wyróżniać się na tle wolno spacerującego i włóczącego się bez celu tłumy, ruszył

za nim.

Mimo podjętych środków ostrożności Strasser zauważył go. Gdy opuszczał kawiarnię po drugiej stronie placu, zanotował w pamięci - szara wiatrówka, dżinsy, sportowe buty, w przybliżeniu sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, muskularny, o gęstych, ciemnobrązowych włosach i płynnych, zwinnych ruchach - zakwalifikował go jako „prawdopodobnego”. Stracił zainteresowanie, gdy Semko nie podążył za Drussardem, ale kiedy zatrzymał się, by zapalić papierosa, zerknął przez ramię i zobaczył go ponownie. Zaalarmowała go groźna postawa i rytm jego ruchów. Nie pasował do pozostałych ludzi na placu, którzy poruszali się niezwykle spokojnie. Szedł tak, by zachować kontakt wzrokowy, jego głowa i oczy zwrócone były w jednym kierunku.

Strasser rozpiął skórzaną kurtkę, dyskretnie wyciągnął zatknięty z tyłu za paskiem pistolet i przesunął go do przodu, na lewo od sprzączki. Zatrzymał się na chwilę przy wejściu do sklepu ze słodyczami i korzystając z odbicia w szybie upewnił się, że Semko nadal za nim idzie. Semko stanął na chodniku obok latarni niecałe dwadzieścia metrów dalej. Strasser odszedł od drzwi cukierni i ruszył w kierunku bocznej ulicy, zachowując spokój i w żaden sposób nie okazując, że jest świadom obecności Semki.

Semko przejrzał tę grę. Wiedział, że został wykryty - używanie odbicia w szybach do wysledzenia ogona i ostrożne zerknięcie przez ramię w czasie zapalania papierosa, by sprawdzić, co dzieje się z tyłu, były podstawowymi lekcjami udzielanymi adeptom jego profesji. Odprężył się nieco; już dłużej nie musiał się skradać. Wiedział, że wkrótce gra przemieni się w polowanie. Przyśpieszył i szedł tuż przy krawężniku, gotów przemknąć obok wyprzedzających go ludzi w przypadku, gdyby Strasser zaczął uciekać.

Strasser znów obejrzał się przez ramię, oceniając odległość i czas, w jakim musi zareagować, oraz czynniki, jakie działały na jego korzyść. Za nim znajdowała się hałaśliwa grupa studentów i para starszych ludzi, co nie pozwalało Semce na oddanie strzału do

momentu, nim nie dojdzie do rogu, znajdującego się zaledwie kilka metrów dalej. Z jakiegoś nie dającego się uświadomić powodu był bardziej niespokojny niż zazwyczaj w podobnych sytuacjach. W człowieku, który za nim podążał, odnalazł coś znajomego, ale w podnieceniu i napięciu nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy widział go wcześniej.

Oglądał się tak długo, póki nie ujrzał jego twarzy. Spojrzał mu w oczy, ostrzegając w ten sposób i sugerując, że powinien zaniechać dalszego śledzenia. Takie podejście zazwyczaj przynosiło rezultaty; wywiadowca, niepewny kogo śledzi i bez upoważnienia do robienia czegokolwiek poza obserwowaniem, z reguły kończył inwigilację po zdekonspirowaniu.

Semko nie zwolnił jednak, szedł dalej, nie odrywając oczu od Stessera. Bezpośredni kontakt wzrokowy usunął jego ostatnie wątpliwości. To był Dieter, ten sam człowiek, którego widział wyskakującego przez okno w Düsseldorfie. Ta sama nadmierna pewność siebie, granicząca z bezczelnością. Semko widywał takie zachowanie kilka razy wcześniej, u ludzi, którzy znajdowali się w stanie ogromnego napięcia - w dżunglach Wietnamu oraz u zaprawionych w boju weteranów, którzy nie potrafili już żyć bez wojny.

Dwaj agenci Mossadu mogli kontynuować inwigilację. Byli trzydzieści metrów za Semką i widzieli, co zaszło między mężczyznami.

- To nie wygląda dobrze - powiedział Obert do swego partnera. - Ci faceci lada chwilę zaczną strzelaninę.

Strasser dotarł do skrzyżowania, na które wychodziła wąska, zakrzywiona uliczka. Skręcił za róg i dokonał błyskawicznego przeglądu leżącego przed nim terenu. Wzdłuż kiepsko oświetlonej ulicy, częściowo na chodniku, stał szereg zaparkowanych jeden przy drugim samochodów. Od uliczki odchodziły liczne zaułki. Strasser zwrócił uwagę na przejście po prawej stronie, oddalone o szesnaście metrów. Jak się okazało, prowadziło ono na przechodnie podwórze.

Semko skręcił za rogiem w samą porę. Zdążył zauważyć, że Strasser znika w bramie. Zaczął biec, by zbliżyć się, zanim tamten odejdzie zbyt daleko i zginie w labiryncie zaułków i przejść, które prowadziły we wszystkich kierunkach. Zatrzymał się przy wejściu na podwórze i wyciągnął broń. Wyjrzał szybko zza kamiennej osłony, skulił się i ostrożnie ruszył naprzód. Odbezpieczony pistolet trzymał w obu rękach, a lufa podążała w trop za oczami, omiatającymi zakamarki podwórza.

Na środku znajdował się mały posąg i fontanna, a wokół wznosiły się dwupiętrowe kamienice. Światła z okien rzucały jasną lunę na dziedziniec i prowadzący na drugą stronę chodnik. Semko zobaczył, że Strasser doszedł do końca chodnika i zniknął za kolejnym rogiem. Pobiegnął za nim, zapominając o zachowaniu ostrożności, i wypadł na jednokierunkową ulicę.

Terrorysta przyklęknął za furgonetką i wyciągnął pistolet. Wystrzelił trzy pociski, jeden po drugim. Nie założył tłumika, więc ściany domów powtórzyły huk wystrzałów. Pociski uwięzły w futrynie drzwi, przy których schronił się Semko. Uderzyły zaledwie kilkanaście centymetrów od jego głowy.

Semko odpowiedział ogniem, roztrzaskując przednią szybę furgonetki. Na Strassera posypał się grad tłuczonego szkła. Semko zobaczył, że terrorysta przesunął się na tył samochodu, i znów strzelił, wybijając fragment tylnego okna.

Ulica była źle oświetlona, więc Semko stracił z oczu cel. Strasser, schylając się nisko za rzędem samochodów, ruszył w kierunku następnego przejścia między dwiema kamienicami. Semko znów go zobaczył, na krótką chwilę. Terrorysta wyskoczył z ukrycia i wpadł w lukę między budynkami.

Semko miał zamiar kontynuować polowanie, lecz od strony podwórza dobiegł odgłos ciężkich kroków. Hałas sprawił, że zatrzymał się i nasłuchiwał. Ktoś szedł za nim, zbliżając się szybko. Semko zerknął za siebie i podjął przerwany na chwilę pościg.

Nathan Obert schylił się i zaczął biec, gdy tylko usłyszał strzały.

Śledził dwóch mężczyzn, a swego partnera wysłał do następnego skrzyżowania, by ten spróbował ich wyprzedzić i określić miejsce, do którego można by ściągnąć agentów z furgonetki. Dała o sobie znać jego nadwaga - dyszał ciężko i z trudnością łapał powietrze. Przeciął jednokierunkową ulicę i wbiegł w przejście między budynkami. Spojrzał w jego drugi koniec, wychodzący na szeroką, dobrze oświetloną aleję i nie zauważył postaci ukrytej w mrocznym wejściu po prawej stronie. Ramię, które wysunęło się z cienia i zacisnęło na jego tchawicy, rozłożyło go z głuchym łomotem na wilgotnym betonie. Semko przypadł obok przerażonego agenta i wbił kolano w jego brzuch, a lufę pistoletu między oczy. Naciskał na spust tak mocno, że najmniejszy ruch mógł spowodować, iż kula przeszłaby głowę Oberta i wyrwała tył jego czaszki.

- Kim ty, do diabła, jesteś? - wrzasnął Semko.

- Konsularnym pracownikiem ambasady Izraela! - wycharczał Obert na wpół zduszonym, chrapliwym głosem. W taki sposób zawsze się przedstawiał - korzystając z dyplomatycznego płaszczyka i nie przyznając się do pracy w izraelskim wywiadzie.

- Mossad - mruknął Semko, ale nie odsunął pistoletu.

- A kim ty jesteś? - zapytał Obert, nieco odzyskując zimną krew. Natychmiast rozpoznał amerykański akcent Semki i założył, że jest on z CIA.

- Nikim, kogo byś chciał dobrze poznać. Po prostu nie wchodź mi w drogę. Zrozumiano?

Obert pośpiesznie skinął głową, po czym znów zamarł z lufą pistoletu między oczami. Wiedział, że znajduje się poza zasięgiem radiowego kontaktu ze swoim partnerem i jest zdany na własne siły.

Semko błyskawicznie przeszukał przerażonego agenta, który gapił się na palec, ściśle przylegający do spustu, i modlił w myślach, by klęczący nad nim człowiek w pełni panował nad swoją bronią.

W kaburze na biodrze znalazł pistolet kalibru 0,38 cala. Wyjął go, schował do kieszeni i podniósł się.

Obert odetchnął z ulgą. Semko, zaślepiony nienawiścią znalazł

pistolet i uznał, że to już wszystko, nie zauważył małego radia, przypiętego do pasa na drugim biodrze.

- Ostrzegam - powiedział. - Potraktuję cię jak wroga, jeżeli jeszcze raz zobaczę twoją twarz.

Puścił agenta i zniknął po drugiej stronie przejścia. Zatrzymał się na dobrze oświetlonej quai de la Tournelle i rozejrzał, szukając wśród wolno spacerujących pieszych szybko poruszającego się obiektu. Strassera nie było w zasięgu wzroku.

Semko zaklął pod nosem. Bał się, że go zgubił, gdy wtem usłyszał dobiegający z przeciwnej strony ulicy kobiecy krzyk. Rzucił się przez szeroką, ruchliwą jezdnię, nie zważając na pojazdy. Niemalże doprowadził do zderzenia dwóch samochodów, których kierowcy, unikając potrącenia go, nacisnęli na hamulce i skręcili.

Semko przystanął na szczycie kamiennych schodów prowadzących na brzeg Sekwany. Na dole spostrzegł kobietę, podnoszącą się z ziemi i wrzeszczącą na kogoś, kto oddalał się nabrzeżem. Spojrzał w tym samym kierunku i zobaczył, co było przyczyną jej wrzasku. Mężczyzna miał na sobie błękitną koszulę w kratę, co na początku zmyliło go, ale zauważył, że tamten niósł pod pachą skórzaną kurtkę i miał ciemnoblonde włosy, przydługie na karku i za uszami. Mężczyzna próbował zachowywać się jak zwykły przechodzień, ale jego ruchy były pełne napięcia. Odwrócił się i zerknął przez ramię w kierunku schodów i Semko wiedział już, że szczęście go nie opuściło.

Zbiegł na dół, nie zwracając na nic uwagi i prawie przewracając tę samą kobietę. Dotarł do końca schodów i skręcił w kierunku, w którym odszedł Strasser. W ciemnych wodach Sekwany migotały światła miasta, a droga wzdłuż górującego nad rzeką nabrzeża pogrążona była w rozproszonym złotawym świetle latarni. Semko zatrzymał się na chwilę i przyjrzał odcinającym się na jego tle sylwetkom pieszych. Zakochani spacerowali przytuleni, prostytutki tkwiły w stereotypowych, prawie komicznych pozach pod latarniami, a kloszardzi leżeli, obojętni na wszystko.

W końcu uwagę Semki przyciągnęło jakieś zamieszanie w

oddali. Starszy człowiek, spacerujący z psem, nagle schylił się i porwał na ręce zwierzaka, by ochronić go przed zdeptaniem przez kogoś przebiegającego obok. Semko rzucił się w tłum, roztrącając wieczornych spacerowiczów i próbując nie stracić z oczu umykającej postaci. Zobaczył, że Strasser poślizgnął się na obluzowanej płycie chodnika i potknął o leżącego kloszarda. Odzyskawszy równowagę skręcił w kierunku następnych schodów, które wiodły z powrotem na de la Tournelle. Miał co najmniej siedemdziesiąt metrów przewagi.

Semko biegł teraz najszybciej, jak potrafił, zmniejszając dzielący ich dystans. Dopadł schodów w chwili, gdy Strasser skręcił na ich szczycie i pobiegł aleją, ginąc mu z oczu. Dźwięk klaksonów i pisk hamulców oznajmiły, że terrorysta przebiegł na drugą stronę. Semko pokonał ostatnie stopnie i wypadł na chodnik. Strasser właśnie niknął w uliczce. Semko wbiegł między samochody, ku konsternacji kierowcy dostawczej furgonetki, który skręcił ostro i uderzył w krawężnik. Strasser znowu zniknął. Uliczka była ciemna i pusta. Semko mógł dostrzec jej wylot, wychodzący na kolejną szeroką aleję, ale przed nim nie było nikogo. Zauważył, że w prawo odbija wąski, brukowany kocimi łbami zaułek, skierował się więc w jego stronę.

W przejmująco wilgotnym, cuchnącym zaułku panowała cisza, dopóki nie przerwał jej odgłos zapuszczanego silnika. Semko zobaczył duży, ciemny samochód, ruszający w przeciwnym kierunku i nabierający prędkości. Mała neonowa reklama migotała i brzęczała nad wejściem do baru, przy którym Strasser wcześniej zaparkował swój wóz. W jej świetle Semko rozpoznał czarne BMW i zobaczył, jak kierowca szybko obejrzał się przez ramię. Był to Dieter. Semko wycelował, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że nie zmienił magazynka i opuścił broń.

Strasser uśmiechnął się do siebie na widok Semki, stojącego przy końcu zaułka z pistoletem w ręce, i zatrąbił wyzywająco dwa razy na pożegnanie.

Semko miał już pogodzić się z porażką, gdy zobaczył

wychodzącego z baru człowieka. Mężczyzna zataczając się zmierzał do poobijanego, pamiętającego lepsze czasy Peugeota. Gmerał kluczykiem w zamku, kiedy Semko podbiegł do niego, okręcił go wokół osi i uderzył pięścią w twarz. Pijany zatoczył się i zwałił na krawężnik po drugiej stronie. Pograżył się w nieświadomości, nie wiedząc, co mu się przytrafiło.

- *Sorry* - rzucił Semko i wskoczył do samochodu.

Odjechał, zgrzytając biegami i na zakręcie przy wylocie uliczki wyciskając ze starego silnika jęk protestu. Zobaczył czarne BMW dwie przecznice dalej. Strasser skręcił na rue d'Arcole i kierował się w stronę mostu łączącego brzegi Sekwany i Ile de la Cité w centrum Paryża. Semko przejechał skrzyżowanie na czerwonym świetle i nadrobił nieco stracony czas.

Strasser, przekonany, że niebezpieczeństwo minęło i nie chcąc zwracać na siebie uwagi, zwolnił, dostosowując się do prędkości, z jaką poruszały się inne pojazdy. We wstecznym lusterku zobaczył Peugeota przejeżdżającego przez światła i miotającego się dziko na jednokierunkowej drodze przez most. Zaklął i walnął pięścią w kierownicę, potem wcisnął gaz do deski i zaczął przedzierać się między wyprzedzającymi go samochodami.

Semko, ogarnięty żądzą polowania, nie słyszał zawodzącego sygnału ani nie widział świateł migających na dachu policyjnego wozu, który wypadł na skrzyżowanie dwie przecznice z tyłu i dołączył do pościgu. Jechał z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę i ruch na jezdni zaprzętała całą jego uwagę.

Po drugiej stronie mostu Semko do połowy zmniejszył początkową odległość, dzielącą go od czarnego BMW. Na dwóch kołach pokonał ostry zakręt w lewo w aleję Victorii. Gdy opony po stronie kierowcy opadły na jezdnię, wóz wpadł w poślizg. Próbował go z niego wyprowadzić, ale nie odzyskał panowania nad kierownicą - samochód obrócił się o 360 stopni, podskoczył na krawężniku i trzasnął w słup latarni, odrywając go od podstawy. Zatrzymał się gwałtownie na chodniku pod niskim murem, uszkadzając go częściowo. Semko na próżno próbował

kontynuować pościg - Peugeot był zniszczony do tego stopnia, że silnik tylko wyrzucał z siebie kłęby dymu, wył na wysokich obrotach, ale nie przekazywał napędu na koła.

Semko wysiadł i zobaczył, jak czarne BMW znika w oddali. Jednocześnie przy krawężniku z wizgiem opon zahamował wóz policyjny. Semko, teraz w pełni świadom migających świateł, odwrócił się, by stawić czoło zbliżającym się paryskim glinom. Jego jedyną nadzieją była wiarygodna historyjka, którą mógłby opowiedzieć, gdyby chcieli zatrzymać go za lekkomyślną jazdę zakończoną wypadkiem. Jego przydział do sekcji ochrony ambasady był przydziałem nieoficjalnym, nie posiadał więc immunitetu dyplomatycznego, który chronił stały personel placówki CIA.

Dwaj młodzi gliniarze, przyzwyczajeni do zwariowanych kierowców, traktowali incydent rutynowo - dopóki nie zbliżyli się do samochodu. Ich ciała sprężyły się, a wyraz twarzy zmienił się tak, jakby założyli maski. Obaj przypomnieli sobie komunikat o strzelaninie w sąsiedztwie. Ich spojrzenia padły na Semkę, skojarzyli oba zdarzenia i wyciągnęli broń.

Semko z początku był zaskoczony ich zachowaniem, lecz w chwilę później zobaczył, że jego wiatrówka nie jest zapięta i odsłania *Browninga High Power*. Zatknał go za pasek dżinsów, wysiadając z rozwalonego wozu, i kompletnie o nim zapomniał.

- O cholera! - To było wszystko, co mógł powiedzieć.

Jego znajomość języka francuskiego była praktycznie zerowa, lecz nie potrzebował słownika, by zrozumieć, co wrzeszczał do niego gliniarze. Podniósł ręce nad głowę i stanął przy rozwalonym wraku.

Agenci w furgonetce widzieli z daleka, jak Peugeot zderzył się z latarnią i murkiem. Jechali powoli ku miejscu wypadku, gdy przybył następny samochód policyjny. Patrzyli, jak aresztowano Semkę i z rękami skutymi na plecach wepchnięto na tył wozu patrolowego.

- Masz numery tamtego samochodu? - zapytał radiooperator, który teraz prowadził.

- Nie miałem okazji - odparł drugi agent. - Wyglądał na Mercedesa lub BMW, ale nie jestem pewien. Co teraz?

- Wrócimy do czyścica, w którym ukrywa się Jost. Może ten wysoki facet o blond włosach pokaże się tam.

Kierowca zatrzymał furgonetkę na światłach na kolejnym skrzyżowaniu w chwili, gdy policyjny wóz wiozący Semkę zahamował tuż obok na lewym pasie. Skrzyżowanie było dobrze oświetlone, więc agent manewrował tak, by twarz Semki znalazła się w ich polu widzenia. Obert wreszcie skontaktował się z nimi i stwierdził, że człowiek, który na niego napadł, prawdopodobnie jest agentem CIA, co znaczyło, że posiada fałszywe dokumenty, a to z kolei czyniło bezwartościowymi informacje, jakie mogliby otrzymać w areszcie dzięki kontaktom w paryskim departamencie policji.

Kierowca sięgnął do stojącej między przednimi siedzeniami czarnej nylonowej torby i wyjął aparat z automatycznym przesuwem taśmy i elektronicznie ustawianą przesłoną oraz migawką. Musiał jedynie zamocować teleobiektyw. Wykonał serię zdjęć.

- Może ktoś w kwaterze głównej go zidentyfikuje - powiedział. Obserwowany wóz policyjny skręcił w lewo i skierował się z powrotem ku rzece, do dzielnicowego komisariatu w St - Germain.

W berlińskiej dzielnicy Zehlendorf, na skraju idyllicznego Grünewaldu, przechodnie niewiele uwagi poświęcają kilku białym budynkom, podobnym do wiejskich domków, przy drodze Wasserkafersteig. Głęboko pod żyzną, brunatną glebą rozciąga się podziemny kompleks, który kiedyś był obsadzonym przez ludzi z SS centrum łączności, a w labiryncie ponurych, milczących korytarzy kryją się straszliwe tajemnice, do dziś prześladowające naród niemiecki.

Berlińskie Centrum Dokumentów, administrowane do 1953 roku przez Armię Stanów Zjednoczonych, a potem przejęte przez Departament Stanu, stanowi centralną składnicę i archiwum trzydziestu milionów oficjalnych akt, pochodzących z Niemiec nazistowskich, łącznie z pełnymi aktami osobowymi SS. Na teren ogrodzonego kompleksu można dostać się tylko przez bramę, a pilnujący jej strażnicy dokładnie sprawdzają wszystkich wchodzących i wychodzących, jednak pomimo tego w ciągu minionych lat zniknęło ponad dwadzieścia tysięcy dokumentów.

Paul Adamson, pracownik amerykańskiego Departamentu Stanu pełniący obowiązki administratora ośrodka, wiedział - choć nie był w stanie tego udowodnić - że większość zaginionych dokumentów nie została pomyłkowo umieszczona w niewłaściwym miejscu czy zagubiona, jak powszechnie twierdzono, lecz przemycona na

zewnątrz przez jednego z pięćdziesięciu Niemców, którzy stanowili stały personel. Wiele z nich, jak się w końcu dowiedziało, trafiało w ręce handlarzy nazistowskimi pamiątkami. Sprzedawano je potem kolekcjonerom na całym świecie. Inne pojawiały się w domach aukcyjnych w Hamburgu, Monachium i Londynie, a te w końcu wracały do archiwum. Jeszcze innych używano do szantażowania byłych nazistów, którzy odmienili swoje życie, uważając, że ich niechlubna przeszłość została dawno zapomniana.

Werner Lindner był jednym z Niemców pracujących w Berlińskim Centrum Dokumentów. Dostał tę pracę przed trzema laty, po ukończeniu uniwersytetu w Monachium i sfałszowaniu danych na formularzu zgłoszeniowym. Działo się to w czasie, gdy jeszcze raz zmartwychwstał upiór zbrodni wojennych - w formie szeroko komentowanego w środkach masowego przekazu procesu dziesięciu byłych żołnierzy SS. Ludzie ci pracowali w charakterze strażników w Majdanku - obozie koncentracyjnym w Polsce, w którym zginęło więcej niż ćwierć miliona Żydów. Lindner miał swój cel, gdy dążył do otrzymania tej monotonnej, niskopłatnej pracy. Cztery miesiące później, kiedy został przydzielony jako archiwista do sekcji osobistych akt SS, mógł zrealizować to, co sobie założył: zniszczyć akta swego ojca i dwóch jego przyjaciół, którzy w czasie wojny byli esesmanami służącymi w obozach koncentracyjnych.

W ciągu lat pracy przerażeni i zdesperowani ludzie kilkakrotnie prosili go o usunięcie akt, i w każdym przypadku sprzedawał swoje wyjątkowe usługi. Kiedy nie niszczył lub nie fałszował dokumentów, jego wywiązywanie się z obowiązków archiwisty było skądinąd wzorowe. Tego ranka jak zwykle zaczął pracę od metodycznego sortowania i katalogowania ogromnej ilości dokumentów, przygotowując je do przeniesienia na mikrofilmy. Krótco przed południem do jego małego, zagraconego biura wepchnięto kartkę z zamówieniem akt. Prośbę wystosował szef policji Berchtesgaden. Obiekt, niedawno zmarły Heinz Bauer, był, jak przypuszczano, członkiem SS. Adnotacja, że nazwisko „Bauer” jest fałszywe, sprawiła, że Lindner z rozbawieniem pokręcił głową,

ale później zobaczył służbowy numer SS. Bez numeru nie zdołałby określić, kim był ten człowiek. Dołączone odciski palców były dla niego bezwartościowe. Nie mógłby ich porównać, nawet gdyby w jakiś sposób natknął się na właściwe akta. Na szczęście od dawna miał do dyspozycji posortowane i oznaczone krzyżykami akta osobowe SS, więc znalezienie numeru 158 - 669 nie trwało długo.

Pół godziny później Lindner pojechał windą na pierwszy poziom i wszedł do poczekalni biura administratora. Sekretarka zawiadomiła szefa o jego przybyciu i otworzyła drzwi gabinetu. Paul Adamson podniósł się zza biurka i podszedł, by uściskiem dłoni powitać gościa.

- Werner, co cię sprowadza z wnętrzości ziemi?

- Znalazłem coś, co jak sądzę, może pana zainteresować, sir - odparł Lindner, podając Adamsonowi akta i zamówienie.

Adamson popatrzył na prośbę o informacje od policji z Berchtesgaden, potem otworzył teczkę i zaczął wertować poźółkłe ze starości dokumenty.

- Heinz Dieter Strasser. Nic mi to nie mówi. A powinno?

- Może to. - Lindner wyciągnął rękę, by wskazać kilka ostatnich stron akt. - Wydaje się, że SS - *Sturmbannführer* był w 1945 roku przedmiotem dochodzenia amerykańskiego OSS, poprzednika CIA, o ile się nie mylę.

- To prawda. - Zainteresowanie Adamsona nieco wzrosło.

- Zaznaczono, że dochodzenie było ściśle tajne, więc nie podano szczegółów. A ta uwaga dowodzi, że akta były ponownie udostępnione w 1954 roku. Interesowała się nimi CIA, ale nie ma żadnej wzmianki, w jakim celu.

Adamson zgarnął załączniki, marszcząc brwi w trakcie czytania.

- Czy był zbrodniarzem wojennym, biorącym udział w programie eksterminacji?

- Nie, sir. Istnieje pełne sprawozdanie z lat jego służby w SS. Został odznaczony Krzyżem Rycerskim z Liśćmi Dębu; trzy lata spędził na froncie rosyjskim, a potem, do końca wojny, był w oddziale ochrony w Obersalzbergu.

- Zabierz ode mnie to cholerstwo. - Adamson wzruszył ramionami.

- Biorąc pod uwagę, że prośba nadeszła z policji, normalnie bym się do niej zastosował, ale pomyślałem, że w świetle tej niezwykłej historii może będzie pan chciał pokierować tym inaczej.

- Wyślij im to, o co proszą - powiedział Adamson. - Ale nie dołączaj informacji z dokumentów uzupełniających, tych na temat śledztwa. - Coś jeszcze wpadło mu do głowy i dodał: - Chcę zrobić kopię. Oryginał odeślę ci później.

Lindner wiedział więcej o poczynaniach agencji wywiadowczych, niż mogłoby się wydawać. Mimo swych antysemitycznych uprzedzeń i spalonego spojrzenia na historię - które odziedziczył po ojcu upierającym się, że Holocaust to jeden wielki żydowski wymysł - nie wzdragał się przed handlowaniem z tymi, którymi pogardzał. Cztery razy w ciągu minionych pięciu lat dostarczał kopie wyselekcjonowanych akt człowiekowi, co do którego był pewien, że jest on izraelskim agentem. Płacił dobrze za informacje i Lindnerowi, gdy wchodził do windy, przemknęło przez myśl, że mogą go zainteresować akta Heinza Strassera. Mógłby zrobić kopię dla siebie i skontaktować się z człowiekiem w Bonn, którego numer podano mu właśnie w tym celu.

Paul Adamson krótko po wyjściu Lindnera odbył rozmowę telefoniczną. Skorzystał z bezpiecznej linii, przeznaczonej do załatwiania urzędowych interesów Departamentu Stanu. Linia łączyła się za pomocą bezpiecznej sieci komunikacji satelitarnej z innymi amerykańskimi agencjami rządowymi w całej Europie.

Telefon zadzwonił w piętrowym biurze europejskiej siedziby CIA, zlokalizowanej w starym budynku I. G. Farben, sąsiadującym z bazą Sił Powietrznych Ren - Men we Frankfurcie. Człowiek, który podniósł słuchawkę i wymruczał mało radosne powitanie, nazywał się Alex Tarkanin i był starym przyjacielem Adamsona. Obaj służyli w wojskowej jednostce wywiadowczej w Wietnamie. Tarkanin od trzech lat był szefem frankfurckiej placówki CIA. W tym okresie,

wraz z runięciem Żelaznej Kurtyny, z Europy Wschodniej zaczęli tam napływać agenci - renegaci, będący kopalnią wywiadowczych informacji.

- Jak tam w twoim labiryncie? - zapytał Adamson.

- Cześć, Paul. Jak leci? Jesteś we Frankfurcie?

- Nie, ale będę jutro.

- Będę czekał. Przepuścimy kilka dolców i pogadamy o dawnych czasach - powiedział Tarkanin. - A tym razem o co chodzi?

- Dziś na moje biurko trafiło coś, na co, jak sądzę, chciałbyś rzucić okiem.

- Co to jest?

- Akta niedawno zmarłego byłego oficera SS. Wygląda na to, że twoi ludzie interesowali się nim do pięćdziesiątego czwartego. Z policji w Berchtesgaden dostaliśmy prośbę o informacje; facet przed śmiercią posługiwał się fałszywym nazwiskiem. Prawdopodobnie to nic ważnego, ale skoro i tak przyjeżdżam, to pomyślałem, że wezmę ze sobą kopie.

- Tak, pewnie. Nie zaszkodzi. Prześlę to tym dupkom z Langley, oni lubią takie gówno. To powstrzyma ich na jakiś czas od wymyślania roboty facetom takim jak ja.

- No to do piątku - powiedział Adamson i odłożył słuchawkę. Wsunął do aktówki podanie policji i kopie, które jego sekretarka zrobiła z akt Strassera, i więcej o nich nie myślał.

O 13.15 w mieszkaniu naprzeciwko czyścica terrorystów w dzielnicy Montmartre terminal konsoli łączności zasygnalizował nadejście wiadomości. Była to odpowiedź z kwatery głównej Mossadu w Tel Awiwie, na którą czekali agenci obsadzający posterunek obserwacyjny. Komputer zdekodował i wydrukował rozszyfrowaną wiadomość, a Nathan Obert przekazał ją trzem mężczyznom, siedzącym w pokoju od frontu.

- Chcą, żebyśmy zdjęli Günthera Josta.

- To nie ma sensu - powiedział Mosze Harel, dowódca zespołu, wstając z krzesła przed konsolą. - Przecież jest dla nas cenny; dzięki

swojej głupocie wystawił nam wszystkie operacje, w jakie był zamieszany.

- To nie jest prośba. To rozkaz szefa operacyjnego. Harel z niezadowoleniem potrząsnął głową.

- Co mamy z nim zrobić?

- Zabrać go do bezpiecznego lokalu i przesłuchać. Chcą wiedzieć, czy człowiek, którego widzieliśmy z nim w kawiarni, to rzeczywiście Dieter, i co planują.

- Żadnej wzmianki o wynikach badań laboratoryjnych materiałów, które wysłaliśmy im w nocy? - zapytał Harel. Pracował do rana; przygotował fotografie do przefaksowania i za pomocą satelitarnego systemu łączności przesłał fragmenty rozmowy, jakie zdołali wyłapać w kawiarni.

- Nie mogli nic zrobić z nagraniami ze spotkania. Dopasowali głos tego wysokiego blondyna z kawiarni, mówiącego z niemieckim akcentem, do głosu człowieka, który telefonował z Niemiec, ale nie mają żadnych nagrań Dietera do porównania.

- A co z taśmami wideo i zdjęciami, które powiększyłem i wysłałem faksem?

- W aktach nie ma nic ani o facecie, którego zgarnęły gliny, ani o Francuzie z kawiarni, a zdjęcia tego, który, jak podejrzewamy, jest Dieterem, były zbyt ziarniste i robione pod złym kątem. No i znów nie było z czym ich porównać.

Harel miał właśnie przekazać nowe rozkazy zespołowi na ulicy, gdy zobaczył, że na jednym z łączki konsoli zapaliło się czerwone światło. Wskazywało ono, że Günther Jost odbiera telefon. Harel z powrotem usiadł, założył słuchawki i z wyrazem zainteresowania na twarzy wysłuchiwał całej rozmowy.

- Kto to był? - zapytał Obert.

Harel podniósł rękę, nakazując milczenie. Przeszukał stos kaset i znalazł tę, której potrzebował. Wysłuchiwał wcześniej nagranej rozmowy, potem tej, którą właśnie podsłuchiwał, przewinął kasety i odtworzył nagrania jeszcze raz. Zdjął słuchawki i natychmiast wezwał przez radio zespół agentów znajdujących się na ulicy.

- Jost lada chwila wyjdzie z domu. Wezwij samochód i zgarnij go. Uśpijcie go i zabierzcie prosto do lokalu w Etampes. Zwrócił się do ludzi w pokoju:

- Telefonujący właśnie zaaranżował spotkanie. Pomyślałem, że rozpoznaję głos, i miałem rację. To ten sam człowiek, który dzwonił z Niemiec i kazał Jostowi skorzystać z publicznego telefonu. I zgodnie z wiadomością, którą masz w ręku - powiedział do Oberta - to również ten sam, który mówił po francusku z niemieckim akcentem w kawiarni. Tylko że tym razem nie zwracał sobie głowy zachowaniem ostrożności. Powiedział, żeby Jost spotkał się z nim w sklepie z tytoniem na końcu rue Lepic.

- To nie wygląda dobrze - rzucił Obert. - Dlaczego mówił otwarcie przez telefon, którego dwa dni wcześniej nie uważał za bezpieczny?

Harel przez chwilę wpatrywał się z namysłem w Oberta, potem podszedł szybko do teleskopu umieszczonego na statywie przy oknie.

Samochód jednostki inwigilacyjnej znajdował się sześć przecznic dalej, w pobliżu stacjonarnego agenta, zajmującego pozycję tuż przy granicy pokrywanego przez nich terenu. Wóz przedzierał się przez powolny ruch i labirynt jednokierunkowych ulic w kierunku czyścica, gdy agenci znów ' usłyszeli głos Harela.

- Wóz Jeden, gdzie jesteście?

- W przybliżeniu cztery przecznice od ciebie.

- Szybko na stanowiska. Właśnie wychodzi.

Jürgen Strasser nie potrzebował dużo czasu, by domyślić się, kto spalił spotkanie w kawiarni - a nie tolerował u ludzi braku ostrożności i głupoty, szczególnie gdy narażali jego życie. Zaparkował dwie przecznice od posterunku obserwacyjnego ludzi z Mossadu, przodem w kierunku wzgórza znajdującego się po tej samej stronie ulicy, co czyścic. Patrzył, jak Jost wyszedł z budynku i szedł w jego stronę. W zasięgu wzroku nie było pieszych. Strasser przygarbił się na siedzeniu i zerkał znad deski rozdzielczej. Jost

minął go. Strasser otworzył drzwi i zawołał:

- Günther.

Jost odwrócił się i zobaczył patrzącego na niego zza kierownicy BMW Strassera. Uśmiechnął się i ruszył w jego stronę.

- Ty idioto! - To było wszystko, co powiedział Strasser. Ustawił skraj drzwi w jednej linii z Jostem i nacisnął mechanizm spustowy strzelby ukrytej w tapicerce.

Grad stalowych śrucin wdarł się w klatkę piersiową i brzuch Josta. Siła uderzenia rzuciła nim na ścianę budynku. Przez chwilę, gdy osuwał się na chodnik, w szeroko otwartych oczach malowało się przerażenie i niedowierzanie. Jost upadł w szybko powiększającą się kałużę krwi.

Strasser wyskoczył z samochodu i podbiegł do nieruchomego ciała. Wyciągnął pistolet i dwa razy strzelił w głowę. Była to zbędna ostrożność; Jost nie żył, zanim osunął się na ziemię.

Stłumiony huk śrutówki i ostry szczęk pistoletu dotarły do posterunku operacyjnego Mossadu. Natychmiast zrozumiano, co oznaczają te strzały.

- Cholera! - zaklął Harel i podniósł radiotelefon. - Zabił go! Usłyszał daleki pisk opon i ryk silnika. Wyjrzał przez okno i zobaczył czarne BMW przemykające obok czyścica.

- Wóz Jeden, gdzie jesteście?

- Właśnie skręciliśmy z rue Torlaque na rue Lepic.

- Strzelec jest dwie przecznice za tobą, jedzie w twoją stronę. Czarne BMW. Zatrzymaj go! Chcę go mieć żywego. Zrań go, jak będziesz musiał, ale nie zabijaj!

Agent dowodzący jednostką numer jeden z wprawą wykonał zwrot o 180 stopni i zatrzymał się pod prąd na jednokierunkowej ulicy. Ustawił samochód tak, by zablokować prawie całą szerokość jezdni, potem wysiadł razem z partnerem i czekał na konfrontację.

Na posterunku obserwacyjnym Harel popatrzył na przytwierdzony do ściany plan Paryża w dużej skali.

- Dwójka, jaka jest twoja pozycja?

- Jesteśmy na rue Caulaincourt, tuż za cementarzem na Montmartre.

- Jedź dalej na północ do ulicy Junot, potem do skrzyżowania z rue Lepic i zablokuj koniec ulicy.

Harel jeszcze raz spojrzął na plan. Jeżeli strzelec zdoła przejechać obok Jedyunki, druga jednostka będzie blokowała następne skrzyżowanie, co zwiększy szansę zatrzymania.

Strasser uśmiechnął się ze złośliwym zadowoleniem na widok tarasującego drogę białego Opla. Nierozważna, mściwa strona jego natury popchnęła go do zuchwałej konfrontacji z przeciwnikami - do stawienia im czoła na ich własnym podwórku. Obok skłonności do wpadania w gniew i nadmiernej dumy, skłonność do irracjonalnych reakcji była skazą jego skądinąd zimnej, wyrachowanej natury. Wada ta niejedną raz sprowadziła na niego kłopoty, jednak nie potrafił jej zwalczyć. Wiedział, że Jost był obserwowany i założył, słusznie zresztą, iż to Mossad próbuje dopaść go za podłożenie bomby w amsterdamskiej synagodze. Jeżeli są na tyle głupi, by wierzyć, że człowiek, którego znają jako Dietera, może być żywym celem, to wyprowadzi ich z błędu.

Dwaj agenci z jednostki numer jeden otworzyli przednie drzwi i ukryli się za nimi. Ich pistolety były odbezpieczone i wsunięte między drzwi a maskę.

Strasser sięgnął pod deskę BMW, zdjął z uchwytów pistolet maszynowy *H&K MP - 5 - SD* i położył go na kolanach. Śmiercionośna broń wyposażona była w tłumik i magazynek z trzydziestoma sztukami nabojów z pociskami w teflonowych koszulkach. Zbliżył się do samochodu Mossadu na mniej niż piętnaście metrów, zatrzymał BMW, zostawiając włączony silnik i czekał, utkwivszy oczy w dwóch celujących w niego mężczyzn.

- Wsiadaj i trzymaj ręce tak, bym mógł je widzieć! - zawołał po francusku agent schowany za drzwiami po stronie kierowcy.

Strasser odbezpieczył pistolet maszynowy, przestawił przełącznik na trzypociskowe serie i położył broń na klamce po

wewnętrznej stronie drzwi. Otworzył je i powoli wysiadł z samochodu. Broń znajdowała się poza zasięgiem wzroku agentów, a Strasser z łatwością mógł po nią sięgnąć.

- Nie strzelać! - odkrzyknął po francusku, trzymając ręce odsunięte od ciała na wysokości ud.

- Załóż ręce na kark i chodź do nas.

Agent, trzymając broń wycelowaną w Strassera, wyszedł na otwartą przestrzeń i powoli ruszył w jego stronę.

Strasser zerknął w lewo, nadal jednak stał za drzwiami. Na skraju chodnika gromadziła się mała grupka ciekawskich. Jeden zawołał do niego, pytając, czy kręca film.

Przystanęło jeszcze kilka osób. Starszy człowiek oznajmił głośno, drżącym głosem, że nie ma tu żadnych kamer. Zamieszanie na chodniku przyciągnęło uwagę agentów Mossadu. Był to tylko chwilowy, ale fatalny w skutkach moment braku koncentracji i Strasser nie omieszkał skorzystać z okazji.

Szybkim perfekcyjnym ruchem, którego nauczył setki młodych terrorystów, chwycił pistolet maszynowy i gładkim ruchem podrzucił go do ramienia. Strzelał instynktownie i z takim stopniem dokładności, do jakiego są zdolni nieliczni strzelcy. Pierwsza trzypociskowa seria uderzyła idącego ku niemu agenta prosto w środek piersi, zabijając go na miejscu. Tłumik sprawił, że strzały rozbrzmiały jako niski, grzmiący odgłos.

Ukryty za drzwiami drugi agent, zszokowany tym, że widzi swego przyjaciela i partnera walącego się na ziemię, wyglądał zza osłony jedynie przez ułamek sekundy. Ale nim zrozumiał sytuację i nacisnął spust, było już za późno.

Ludzie zgromadzeni na chodniku podnieśli krzyk i rozbiegli się w poszukiwaniu schronienia. Strasser wystrzelił drugą serię, po której natychmiast nastąpiła trzecia. Pociski w teflonowych koszulkach rozpruły cienką blachę drzwi i sześć kul trafiło w cel.

Agent trzy razy wystrzelił w powietrze, zatoczył się do tyłu, z ciałem podziurawionym kulami, i padł śmiertelnie raniony na ulicę.

Strasser nie tracił czasu. Przestrzeń między pojazdem blokującym drogę a samochodami zaparkowanymi przy krawężniku po prawej stronie była wolna, lecz nie dość szeroka, by zdołał się przez nią przecisnąć. Podjechał bliżej, dotknął zderzakiem przodu wozu agentów, pchnął go do tyłu i poszerzył przejazd.

Pomknął na północ i trzy przecznice dalej zauważył drugi wóz blokujący jezdnię tuż przed skrzyżowaniem z szeroką aleją. Zaparkowano go w taki sam sposób jak pierwszy, ale ulica była szersza, z boku nie stały inne pojazdy i można było przedrzeć się chodnikiem.

Ukryci za osłoną drzwi agenci po usłyszeniu strzałów obawiali się najgorszego, zwłaszcza że nikt nie odpowiadał na wywoływanie przez radio. Ich obawy potwierdziły się, gdy zobaczyli wyłaniające się z zakrętu i jadące prosto na nich czarne BMW.

Strasser na zimno ocenił sytuację i drugi raz postanowił postawić na swoje szczęście. Przetawiał pistolet maszynowy na ogień ciągły i wysunął go za okno, opierając lufę między bocznym lusterkiem a drzwiami. Zbliżając się do skrzyżowania zwolnił, by sprawić wrażenie, że ma zamiar się zatrzymać, a piętnaście metrów od agentów Mossadu wcisnął gaz do dechy i otworzył ogień.

Bezustanny grad pocisków, które uderzały w samochód i rykoszetowały na nawierzchni, sprawił, że agenci schylili głowy, a spanikowani przechodnie rzucili się do ucieczki.

Strasser opróżnił magazynek w chwili, gdy skręcał na chodnik. Uliczny sprzedawca zdążył uskoczyć, ale jego wózek, staranowany przez BMW, z trzaskiem wtoczył się na aleję, gdzie uderzył go i wywrócił nadjeżdżający samochód.

Agenci Mossadu odwrócili się w nadziei przestrzelenia opon uciekającego pojazdu, ale przerażeni ludzie na chodniku i ruch na jezdni uniemożliwiły ich zamiary. Agenci bezradnie przyglądali się, jak czarne BMW zjechało z chodnika, skręciło za rogiem i zniknęło z zasięgu wzroku.

Tego samego dnia o 17.35 z lotniska Charles'a de Gaulle'a wystartował samolot Air France, rejs numer 75 z Paryża do Nowego Jorku. Strasser siedział w sekcji dla palących w pierwszej klasie. Pił szampana i uśmiechał się do stewardesy, która, gdy samolot przestał się wznosić, ponownie napełniła jego kieliszek. W niewielkim stopniu przypominał człowieka, który dwie godziny wcześniej wszedł do pokoju w „Sofitel Paris Hotel” przy lotnisku. Przystrzygł włosy i ufarbował je na brązowo oraz założył soczewki kontaktowe, które zmieniły kolor jego oczu z niebieskiego na ciemnozielony. Ubrany w nieskazitelny, szyty na miarę ciemnoszary garnitur i wykrochmaloną białą koszulę z wytwornym drukowanym krawatem od Hermesa wyglądał na zamożnego biznesmena.

Posługiwał się jednym z czterech perfekcyjnie podrobionych przez Stasi paszportów. Tym razem uchodził za Kanadyjczyka, Briana McConella z Toronto. Udoskonalony przez lata angielski pozbawiony był obcego akcentu. Jedynie lingwiści mogli wyczuć, że nie jest to jego ojczysty język.

Strasser był prawdziwym ekspertem w dziedzinie zapewniania operacyjnego bezpieczeństwa. Był skrupulatnym planistą i genialnym nowatorem w projektowaniu bomb detonowanych drogą radiową, elektronicznych zapalników czasowych o długim okresie działania, detonatorów ciśnieniowych i innych wyrafinowanych technik dotyczących materiałów wybuchowych. W ciągu siedmiu lat w Massow szkolił członków wszystkich najważniejszych ugrupowań terrorystycznych, często towarzysząc im w akcjach jako doradca.

W ostatnim roku przed załamaniem NRD i rozpadem Stasi zaplanował i przeprowadził pięć znakomitych operacji. Pięć przerażających aktów w czasie siedmiu miesięcy. Dzięki tym akcjom stał się znany w świecie międzynarodowego terroryzmu. Wszystkie były operacjami kontraktowymi, zatwierdzonymi przez Stasi, a opłaconymi przez Irakijczyków i Syryjczyków. Wszystkie

były skierowane przeciw celom amerykańskim i izraelskim na kontynencie europejskim. Wszystkie zaowocowały masakrami, a agencje antyterrorystyczne na całym świecie, nie mogąc dowiedzieć się o nim niczego, zaczęły nazywać go „Dieterem” - imieniem, jakiego użył w pierwszej z pięciu operacji. Strasser lubił rozgłos, więc używał tego imienia w pozostałych zamachach, które zaplanował i zrealizował w tamtym roku.

Od upadku Niemiec Wschodnich tylko raz wypróbował swoją niedawno zreorganizowaną Frakcję Armii Czerwonej - podkładając bombę w synagodze w Amsterdamie. Przekonał się, że jego zespół działa z zegarmistrzowską precyzją i profesjonalizmem. Od tej pory, co wynikało przede wszystkim z braku funduszy, jego ugrupowanie było bierne, członkowie zajmowali się planowaniem i trenowaniem na farmie położonej na południe od Baden - Baden, ale - dzięki spadkowi po ojcu - miało się to wkrótce zmienić.

Samolot wszedł na pułap przelotowy. Strasser przesunął oparcie fotela i otworzył zatrzaski aktówki ze strusiej skóry. Wyjął skoroszyt, który zostawił mu ojciec i położył go na stoliku. Wytłoczony na okładce nazistowski emblemat - swastyka ujęta w wieniec, który trzyma w szponach orzeł - przyciągnęły uwagę siedzącego obok pasażera. Strasser uznał, oceniając ubranie i kolorowy magazyn, że to Amerykanin. Obrzucił go ostrym spojrzeniem, które miało wykluczyć możliwość ewentualnej konwersacji i zapobiec pogwałceniu jego prywatności, potem otworzył skoroszyt, zaczął czytać i robić notatki.

Kopia akt z Berlińskiego Centrum Dokumentacji, którą Paul Adamson doręczył Alanowi Tarkaninowi w piątek, wieczorem tego samego dnia opuściła frankfurcką bazę w torbie kuriera, udającego się do kwatery głównej CIA w Langley.

W poniedziałek rano akta zostały doręczone najpierw szefowi sekcji niemieckiej Wydziału Operacyjnego. Zajęty był bieżącymi projektami, uznał więc, że dostarczono mu je przez pomyłkę i przesłał przestarzałe dokumenty do sekcji wywiadu przy Biurze Analiz Europejskich. Tam po pobieżnym zbadaniu zdecydowano, że niezależnie od ich znaczenia, nie mają one nic wspólnego z ich dziedziną i przekazano je do Urzędu Informacji o Zasobach. Stamtąd, z jakiegoś niewiadomego powodu, akta powędrowały do Biura Bogactw Naturalnych, Handlu i Technologii, gdzie ktoś wykazał się bardziej logicznym myśleniem i skierował je do biblioteki Historycznych Zbiorów Wywiadu.

Gdyby nie obecność Petera Baretta Danninga, akta Heinza Strassera kontynuowałyby swą wędrówkę, w czasie której byłyby konsekwentnie ignorowane i odrzucane. Ostatecznie skończyłyby, jak wszystkie zapomniane papiery, na bibliotecznych półkach. Danning był pozostałością z dni, gdy skrót OSS interpretowano jako „Och, Sama Śmietanka”, a szeregi wywiadu amerykańskiego w większości zapełniali młodzi zapaleńcy z elitarnych uczelni,

wywodzący się z najbogatszych i towarzysko znaczących rodzin. Danning w 1988 roku przeszedł na emeryturę, po czterdziestu pięciu latach nieprzerwanej służby, i przed dwoma laty postanowił napisać historię Office of Strategic Services - Biura Służb Strategicznych - i pierwszych lat CIA. Odmienne niż w latach służby teraz przydzielono mu pokój przy kwaterze głównej, gdzie prowadził swoje badania w agencyjnej bibliotece. W czasie pracy nad książką miał dostęp do historycznych dokumentów.

Właśnie był w trakcie przepisywania osobistych notatek z jednego z tomów pamiętnika, który skrupulatnie prowadził w ciągu swojej kariery, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Młoda asystentka weszła z filiżanką parującej kawy. Od dwóch lat szczerze służyła mu swoim czasem i pomagała lokalizować trudne do znalezienia dokumenty i akta.

- Dzień dobry, panie Danning. Świeżo parzona. Pomyślałam, że może pan też się napije.

- Jesteś taka troskliwa, moja droga - powiedział Danning z jednym ze swoich najbardziej czarujących uśmiechów. W ten sposób chciał wyrazić zadowolenie. Nim postawił filiżankę na stole, upił łyk kawy.

- Jak idzie praca?

- Doskonale.

- Gdyby pan czegoś potrzebował, niech mi pan da znać. - Odwróciła się do wyjścia, a wtedy przypomniała sobie o kopercie zatkniętej pod pachą. - Och, prawie zapomniałam. - Podała mu kopertę i dodała: - Właśnie wylądowała na moim biurku. Nie wiem, czy te dokumenty mają związek z pańską pracą, ale to ten sam okres, więc pomyślałam, że może zechce pan je przejrzeć, nim złożę je w archiwum.

Canning podziękował i wziął kopertę. Wyjął z niej akta i popatrzył na stronę tytułową. Nazwisko Heinz Strasser wydawało mu się znajome, choć nie mógł sobie przypomnieć dlaczego. Dopiero po wyjściu młodej asystentki, gdy przekartkował dokumenty i dotarł do ostatniej strony załączników, zawierających

krótką adnotację o dochodzeniu prowadzonym przez OSS w 1946 roku, wszystko mu się przypomniało.

Po wyzwoleniu Francji, kiedy Danning zakończył współpracę z *Resistance*, francuskim ruchem oporu, został przydzielony na krótki okres do jednostki OSS zajmującej się poszukiwaniem zaginionych dzieł sztuki. W czasie ostatnich dni wojny jednostkę wysłano do Niemiec, gdzie skoordynowała swoje działania z Wojskową Jednostką do spraw Pomników, Sztuk Pięknych i Materiałów Archiwalnych. Ich misja, określana kryptonimem WENUS, miała na celu zlokalizowanie, odzyskanie i przekazanie prawowitym właścicielom dzieł sztuki o wartości setek milionów dolarów, ukradzionych przez nazistów, a szczególnie ogromnej kolekcji, która, jak sądzono, znajdowała się w posiadaniu Marszałka Rzeszy Hermanna Göringa.

Zadaniem Danninga, na bezpośredni rozkaz Allena Dullesa - wówczas szefa biura OSS w Szwajcarii - było zlokalizowanie i konfiskata wszystkich dokumentów dotyczących transakcji przeprowadzanych w imieniu Göringa. Jego działania były ściśle tajne. Wokół rozpadało się niemieckie imperium, więc Danning pomyślał, że przykładanie tak wielkiej wagi do dokumentów dotyczących transakcji handlowych jest trochę dziwne, ale jako młody kapitan OSS nie mógł sobie pozwolić na kwestionowanie rozkazów.

Polowanie na Hermanna Göringa nie trwało długo. Po ucieczce z Obersalzbergu marszałek ukrył się w zamku Mauterndorf w Austrii. Zwolniony przez esesmanów po śmierci Hitlera, poddał się 8 maja 1945 roku razem z rodziną i personelem pomocniczym Luftwaffe oddziałowi trzydziestu ludzi z kompanii zwiadowczej 636. batalionu czołgów pod osobistym dowództwem generała brygady Roberta J. Stacka, zastępcy 36. Dywizji Piechoty. Generał Stack powitał słynnego nazistę przyjacielskim uściskiem dłoni, czym zasłużył sobie na surową naganę ze strony generała Eisenhowera. Od tej pory Goring traktowany był jak pospolity

jeniec. Odstawiono go do sztabu 36. Dywizji w Kitzbuhel, gdzie następnego dnia rano został odseparowany od swojej rodziny i przekazany żandarmerii Siódmej Armii w Augsburgu w południowych Niemczech.

Tam znalazł go Danning. Pozbawiony medali i marszałkowskiej buławy wysadzanej szlachetnymi kamieniami, zmuszony do oddania swoich eleganckich mundurów, miał na sobie prostą, niczym nie zdobioną bluzę i spodnie szeregowego Luftwaffe. Był człowiekiem kompletnie przegrany, narażonym na dodatkowe upokorzenie, ponieważ siłą odstawiono mu narkotyki, które nałogowo zażywał. Jednakże w jego egocentrycznej osobowości nie było śladu skruchy; nic też nie wskazywało, że zdaje sobie sprawę, co szykowało mu przeznaczenie. (Kilka dni później Goring został uznany za zbrodniarza wojennego, następnie postawiony przed trybunałem w Norymberdze wraz z resztą notabli Trzeciej Rzeszy i skazany na śmierć. Ubiegł kata, zażywając w swojej celi na kilka minut przed wykonaniem wyroku kapsułkę z trucizną.)

Danning przez kilka godzin rozmawiał z byłym marszałkiem, człowiekiem o dużym uroku osobistym, który miał wielki wpływ na innych. Stale musiał sobie przypominać, że to on był jednym z członków - założycieli Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotniczej. Jednym z *Alter Kampferów*, starych bojówkarzy NSDAP. Człowiekiem, który nawiązał bliską znajomość z Hitlerem w listopadzie 1922 roku. Maszerował z nim i został zraniony u jego boku podczas puczu w listopadzie 1923 roku. W 1939 został mianowany jego zastępcą i stał się drugą po Führerze postacią Trzeciej Rzeszy. Utworzył *Geheime Staatspolizei*, lepiej znaną jako Gestapo. Wniósł duży wkład w budowanie systemu obozów koncentracyjnych, i był konsekwentnym zwolennikiem planu eksterminacji Żydów.

Danning z zafascynowaniem wysłuchał historii ostatnich dni Göringa w Berlinie i jego pośpiesznej ucieczki do górskiego domu w Obersalzbergu w celu uratowania własnej skóry. Marszałek, w pełni świadom bliskiego upadku Trzeciej Rzeszy, opuścił bunkier

Führera 20 kwietnia po makabrycznej uroczystości z okazji rocznicy urodzin Hitlera. Młodemu kapitanowi OSS powiedział: „Nie dla mnie taki Zmierzch Bogów pod gruzami Berlina”.

Danning ustalił ostatecznie, że skarb Marszałka Rzeszy szybciej niż on dotarł do górskiego ustronia. Dziewięć wagonów załadowanych łupami zgromadzonymi w ciągu dwunastu lat władzy: obrazami, gobelinami, perskimi dywanami, meblami, biżuterią, porcelaną. Były tam bezcenne kielichy, kufle, kandelabry i zastawa stołowa, wszystko ze szczerego złota, oszacowane na co najmniej dwieście milionów dolarów. Goring mówił o nich z miłością, z wielką dumą posiadacza, ani razu nie zdradzając, że zdobył je w sposób bardziej niż nielegalny.

Ogromna kolekcja, według słów Göringa, została zabrana z Karinhall, jego wiejskiej posiadłości położonej na północ od Berlina. Przetransportowano ją specjalnym pociągiem do Berchtesgaden. Części nie udało się ewakuować na czas i wpadła ona w ręce nadciągających Rosjan, ale większość, jak stwierdził Goring, kiedy po raz ostatni widział zbiory, była zamknięta w wagonach stojących w tunelu pod Berchtesgaden. Danning wywnioskował z rozmowy, że wszystkie dokumenty marszałka, łącznie z tymi, które dotyczyły handlu dziełami sztuki, zostały zebrane przez jego administratora, Egona Hofera, i umieszczone w pociągu. Według Göringa nadal tam były. Duplikaty akt mogły zostać przechwycone przez Rosjan, ale nie był tego pewny, ponieważ pakowali się i uciekali w wielkim pośpiechu.

Danning nie tracił czasu - opuścił Augsburg i udał się do Berchtesgaden. Nocą przejechał dżipem ponad dwieście kilometrów przez Alpy Bawarskie. Obszar ten nie był bezpieczny - grasowały tam bandy esesmanów, którzy przysięgli, że będą walczyć aż do śmierci. W Berchtesgaden odkrył, że kolekcja Göringa znajduje się w rękach amerykańskiego batalionu 101. Dywizji Powietrznodesantowej. Dowódca jednostki, po odkryciu pociągu i zapoznaniu się z jego ładunkiem, rozkazał, aby wszystko przewieziono do Unterstein, położonego 7 kilometrów od

Berchtesgaden na drodze do Konigsee. W niskim, znacznych rozmiarów budynku, który był pozostałością kompleksu mieszkalnego pilotów Luftwaffe, Danning zobaczył rzecz niewiarygodną. W pałacyku, w bawarskim wiejskim stylu, znajdowały się najświetniejsze dzieła sztuki ze wszystkich muzeów europejskich, stłoczone na każdym centymetrze dostępnej przestrzeni.

Same obrazy - wiele z nich było uznanymi arcydziełami - zapełniały dziesięć pomieszczeń i stały pod ścianami po dziesięć czy piętnaście w rzędzie. Korytarze były wręcz zapchane bezcennymi rzeźbami. Cała jadalnia o wymiarach dwadzieścia na dziesięć metrów zapełniona była znakomitymi włoskimi meblami renesansowymi, spiętrzonymi niedbale aż pod sufit. Inne pokoje zawałono gobelinami i dywanami. Jeden z pokoi (ze strażnikiem przed drzwiami) dosłownie oszołomił Danninga. Zobaczył tam przedmioty ze złota i cenną biżuterię wartości milionów dolarów. Połyskiwały w promieniach porannego słońca wpadających przez oprawione w ołów szyby.

Kartoteki zawierające dokumenty „zakupów i sprzedaży dzieł sztuki”, których szukał Danning, zmagazynowano w małym pomieszczeniu na parterze. Uważne przejście ujawniło, że akta dotyczące transakcji zawieranych w Szwajcarii zaginęły.

Zgodnie z sugestią amerykańskiego majora, którego obowiązkiem było zabezpieczenie kolekcji Göringa, Danning zainteresował się miejscowym pomniejszym aktywistą partii nazistowskiej, właścicielem sklepu spożywczego w Berchtesgaden. Złapano go z dwoma obrazami i wieloma przedmiotami ze złota, które zabrał z pociągu przed przybyciem amerykańskich żołnierzy. Danning zagroził mu sądem doraźnym. Człowiek ten wyznał, że wie, kto ukradł z pociągu niektóre z marszałkowskich dokumentów. Pewien major SS nazwiskiem Heinz Strasser, znany mu z obersalzbergskiego batalionu wartowniczego, po nalocie ukrywał się w pobliskiej chacie w górach. Przychodził do niego po jedzenie, za które płacił złotymi monetami. To on opowiedział mu o

pociągu i skarbie. Sprzedawca widział, że Strasser przechowuje w skórzanej teczce oficjalne dokumenty opatrzone marszałkowską pieczęcią. Pomyślał, że to dość dziwne, biorąc pod uwagę fakt, że w pociągu znajdowała się niewiarygodna ilość cennych przedmiotów. Dlaczego SS - *Sturmbannführer* zawraca sobie głowę dokumentami? Nie, już go nie ma w tej chacie, powiedział sprzedawca i dodał, że nie wie, gdzie może być teraz.

Danning podążył kolejnym tropem i z pomocą biura OSS w Monachium wysłedził Egona Hofera, administratora Göringa, w domu jego siostry na przedmieściach Salzburga w Austrii. Hofer ukrywał się tam od czasu opuszczenia przez marszałka Obersalzbergu. Danning zdążył jedynie przedstawić się jako oficer OSS z jednostki do poszukiwań zagrabionych dzieł sztuki, gdy Hofer powiedział: „Najpierw Rosjanie, teraz wy”. Podszedł spokojnie do stojącego w rogu ogromnej bawialni biurka, wyjął z górnej szuflady *Lugera* i bez słowa strzelił sobie w głowę.

Danning przez dwa tygodnie kontynuował poszukiwania, ale nie mając dalszego tropu nie zbliżył się ani do Strassera, ani do dokumentów, na których tak zależało jego zwierzchnikom. Przedłożył pisemny raport w biurze OSS w Bernie i został przydzielony do innej pracy w swojej jednostce. Kilka kolejnych miesięcy spędził na rozpatrywaniu próśb o odszkodowanie, wystosowanych przez państwa podbite i spustoszone przez armie Hitlera, oraz na pomaganiu w tropieniu i zwrocie zagrabionych skarbów.

Dziesięć miesięcy później, w marcu 1946 roku, kiedy zdobyte służbowe akta całego personelu SS zgromadzono w miejscu, które stało się Berlińskim Centrum Dokumentacji, Danning ponownie został odkomenderowany do poszukiwań dokumentów Göringa. Dowiedział się, że w SS służyło co najmniej dwudziestu trzech Heinzów Strasserów, ale tylko jeden - Heinz Dieter Strasser - pod koniec wojny przebywał w batalionie ochrony w Obersalzbergu. Akta ujawniły, że jego dom znajduje się w Elmshorn, w północnych Niemczech. Ślad urwał się gwałtownie, gdy Danning odwiedził

małe, spokojne miasteczko, leżące pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód od Hamburga.

Miejsce, w którym Heinz Strasser spędził młodość, było teraz zawałoną gruzem parcelą - zbłąkany *Lancaster* brytyjskich Królewskich Sił Powietrznych zrzucił bomby poza celem. Według sąsiadów rodziny Strasserów ojciec, stacjonujący na wybrzeżu Normandii, został zabity w czasie inwazji, a matka zginęła we śnie, gdy bomba uderzyła w dom. Młodszy syn, służący w Kriegsmarine, zatonął razem ze swym okrętem podwodnym na Północnym Atlantyku. Starszy, Heinz, nigdy nie wrócił z wojny i przypuszczalnie też nie żył. Był to wariant smutnej, ale nie tak znów rzadkiej wśród Niemców opowieści. Danning raz jeszcze musiał przerwać poszukiwania.

* * *

I znowu Heinz Strasser, po czterdziestu siedmiu latach. Po śmierci równie nieuchwytny i tajemniczy jak za życia, pomyślał Canning, czytając kopię prośby o informacje z policji w Berchtesgaden.

Kierując się przeczuciem, włączył komputer i wywołał bank danych historycznych zbiorów CIA. Wystukał polecenie odnalezienia nazwiska Heinz Dieter Strasser i ku wielkiemu zdziwieniu zobaczył na ekranie napis informujący, że akta CIA dotyczące Strassera są częścią ściśle tajnej operacji pod kryptonimem WĘDKA. Identyfikatory poprzedzające kryptonim wskazywały, że operacją kieruje sekcja kontrwywiadu.

Danning pomyślał, że to dość niezwykle - ściśle tajne akta były zaklasyfikowane jako część danych bibliotecznych. Próbował je wywołać - może operacja ta była już nieaktualna - jednakże na ekranie pojawiło się ostrzeżenie. Aby zdobyć do nich dostęp, trzeba mieć specjalny kod. Nie miał pojęcia, jaki on może być. Zyskawszy potwierdzenie, że WĘDKA jest ściśle tajna, zanotował sobie, by zapytać asystentkę, czy nie wie czegoś, co mogłoby mu się przydać w tej sprawie. Wyłączył terminal i wrócił do przepisywania notatek z pamiętnika.

Pięć pięter nad biurem Pelera Danninga, w specjalnie zabezpieczonym pomieszczeniu z komputerami, zainteresowanie Strasserem wywołało cichy alarm. Podniósł się on po raz pierwszy od czasu, kiedy kryptonim WĘDKA został wpisany do bazy danych. Pełniący służbę oficer bezpieczeństwa, nie rozpoznawszy kodu alarmu, skopiował numery, które pokazały się na ekranie i sięgnął do książki kodów po instrukcje. Procedura wymagała natychmiastowego, bezpośredniego skontaktowania się z szefem sekcji kontrwywiadu, z pominięciem normalnej drogi służbowej.

Odnalezienie pomieszczenia z terminalem, z którego pochodziła prośba o dane dotyczące operacji WĘDKA, zajęło oficerom bezpieczeństwa czterdzieści pięć minut.

Peter Danning był z początku oburzony, a potem zezłoszczony zachowaniem trzech wyniosłych młodych ludzi, którzy weszli bez pukania. Ich zachowanie wydało mu się, delikatnie mówiąc, niegrzeczne. Dowodzący rozkazał - nie poprosił - żeby Danning natychmiast z nim poszedł. Prawdopodobnie mniej zdolny absolwent jakiegoś kiepskiego publicznego koledżu, typowy reprezentant obecnych rekrutów Firmy, pomyślał Danning.

- Czy mogę wiedzieć, jaki jest cel tego wtargnięcia? - zapytał przez nos. Podniósł się i stał górując nad intruzami. Mężczyźni ubrani byli w granatowe garnitury, świetnie maskujące ukrytą pod marynarkami broń. Ton głosu Danninga i jego wyniosłe spojrzenie dały im do zrozumienia, że nie jest on przyzwyczajony do takiego traktowania ani też nie zamierza go tolerować.

- Nie wolno mi powiedzieć - oficjalnie odszczeknął dowodzący. W rzeczywistości wiedział tylko to, że ma niezwłocznie przyprowadzić Danninga do biura szefa sekcji kontrwywiadu. - Pójdzie pan ze mną natychmiast - powtórzył.

Canning, teraz już porządnie rozgniewany, po prostu nie ruszył się z miejsca i wbił lodowate spojrzenie w oficera, żądając w ten sposób wyjaśnień.

Minione doświadczenia z agencyjnymi zawodnikami wagi ciężkiej i umiejętność rozpoznawania kłopotów, gdy stanie się z nimi twarzą w twarz, powiedziały oficerowi bezpieczeństwa, że stojący przed nim człowiek prawdopodobnie jest kimś więcej niż tylko zwyczajnym pracownikiem biblioteki. Kierując się dobrze rozwiniętym instynktem samozachowawczym i osobistą maksymą „kiedy są wątpliwości, zostaw człowiekowi jego jaja”, dyplomatycznie powtórzył swoje żądanie w formie naglącej prośby.

Danning, udobruchany do pewnego stopnia, parsknął pogardliwie i podążył z trzema mężczyznami korytarzem do windy.

II

Alfred Palmer nie był szpiegiem; był łapaczem szpiegów. Jego podstawowym obowiązkiem, jako szefa kontrwywiadu CIA, było zapobieganie penetracji oraz udaremnianie i demaskowanie działań, mających na celu dezinformowanie Firmy.

Było to zajęcie, które zobowiązywało Palmera do podejrzliwości nawet w stosunku do najbliższych kolegów i, ze względu na swą naturę, prowadziło do pogłębiającej się izolacji oraz przebywania w świecie pełnym podejrzeń, zdrady i konspiracji. Taką robotę mógł wykonywać człowiek o wyrafinowanej inteligencji, zdolny do drobiazgowej analizy wszystkich aspektów operacji agencyjnych bez popadania w otchłań paranoi.

Kontrwywiad rzeczywiście był „pustynią luster” - określenie to wymyślił genialny mroczny książę i legendarny były szef kontrwywiadu, James Angleton. Jego trwająca trzy dekady kariera legła w gruzach zaraz po tym, jak nieopatrznie przekroczył krawędź i został poproszony o złożenie rezygnacji przez ówczesnego dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej - Williama E. Colb'ego.

Palmer tańczył na krawędzi od ośmiu lat i wiedział, że kiedyś też musi stracić równowagę. Jego dotychczasowe sukcesy w głównej mierze zależały od umiejętności znajdowania właściwej nici prowadzącej do rozwiązania tajemnic i skomplikowanych

operacji prowadzonych przeciwko CIA. Intuicyjna inteligencja pozwalała mu rozpoznać, gdzie nici mają swój koniec i powstrzymywała go od zatracenia się w narastającej spirali podejrzeń. Palmer żył i rozwijał się dzięki rozwiązywaniu łamigłówek i zagadek. Był prawdziwym profesjonalistą i kochał swoją pracę. Z natury chłodny i wyrachowany, cechował się jednak wrodzoną nieśmiałością i pewnym rodzajem towarzyskiej niezdarności. Jego zachowanie zwodziło tych, którzy go nie znali - nie przypuszczali oni, że tuż za fasadą kryje się ostra, przenikliwa inteligencja. Ci, którzy go oceniali zbyt nisko, szybko tego żałowali.

Palmer przywitał oburzonego Danninga uściskiem dłoni, o którym Danning zawsze myślał, że bardziej przynależy biskupowi: gdy ich prawe ręce łączyły się, Palmer kładł lewą na wierzchu, unieruchamiając zaciśnięte dłonie. Taki wariant tradycyjnego przywitania według Danninga był zbyt obłudny i poufały. Towarzyszył mu zazwyczaj stały kontakt wzrokowy i szczery monolog, wygłaszany w odległości nie większej niż pięć centymetrów od twarzy słuchacza, czyli mniejszej, niż było to konieczne.

Zwalniając uścisk i odrywając oczy od twarzy Danninga, Palmer błysnął kordialnym uśmiechem. Ledwo uchwytnym skinieniem nakazał trzem oficerom bezpieczeństwa, aby poczekali w przedpokoju, a sam wprowadził Danninga do gabinetu.

- Więc to ty jesteś tym oskarżonym - zaczął, grając w otwarte karty i dając do zrozumienia, że - od kiedy zobaczył starego wojownika eskortowanego do swego biura - traktuje sprawę całkiem poważnie. Przypomniawszy sobie, jak ktoś mu opowiadał, że Danning pracuje nad książką o OSS i natychmiast połączył oderwane fragmenty w wiarygodny i możliwy do przyjęcia scenariusz.

- Co u ciebie, Peter?

- Przed kilkoma minutami wszystko było całkiem dobrze. O co ci chodzi, Alfredzie?

Danning znał szefa kontrwywiadu z czasów, gdy ten był

młodym oficerem operacyjnym na placówce w Pradze, a on - jego szefem. Palmer dał się poznać z dobrej strony w napiętej atmosferze, towarzyszącej interwencji wojsk Układu Warszawskiego w sierpniu 1968 roku. Danning uważał go za kompetentnego i przenikliwego oficera wywiadu. Palmer posiadał cechy, jakich można się spodziewać po absolwencie Pricetown, pochodzącym ze starej nowoangielskiej rodziny, który jest związany z Firmą od dwudziestu siedmiu lat.

- Zaciekało mnie twoje zainteresowanie operacją WĘDKA - powiedział Palmer.

- Zaciekało? Myślę, że przysłanie trzech neandertalczyków, którzy mnie porywają, nieco wykracza poza zwykłą ciekawość.

- Pewnie przedobrzyli, za co przepraszam. Siadaj, Peter. - Szef kontrwywiadu wskazał dwa fotele i kanapę, zgrupowane po jednej stronie biurka. Palmer wybrał kanapę, Danning zajął miejsce w stojącym naprzeciwko fotelu.

- Powiedz mi, jak ci idzie książka? I jak pasuje do niej WĘDKA?

- Książka idzie mi dobrze, a WĘDKA, cokolwiek to jest, wcale do niej nie pasuje. Natknąłem się na tę nazwę po raz pierwszy, gdy próbowałem uzyskać dostęp do archiwalnych danych o człowieku nazwiskiem Heinz Strasser.

- Strasser? - Palmer udał, że nazwisko to nic mu nie mówi. Jednocześnie uważnie obserwował Danninga i jego reakcje, które mogłyby zasygnalizować, że nie mówi prawdy.

Danning powiedział szefowi kontrwywiadu o dokumentach, które dostarczono mu wcześniej i o ich związku z jego pracą w przeszłości.

Palmer słuchał cierpliwie, gdy Danning opowiadał szczegółowo o dochodzeniu, prowadzonym przed czterdziestoma siedmioma laty. W połowie klarownej, precyzyjnej relacji wiedział, że jego początkowe przypuszczenie było właściwe. Danning mówił prawdę; to, że natknął się na pułapkę zastawioną na zainteresowanych operacją WĘDKA, którą on odziedziczył po swoich poprzednikach, było czystym zbiegiem okoliczności.

- Bardzo przepraszam za kłopot - powiedział, gdy Canning skończył. - To najwyraźniej pomyłka w bazie danych. Operacja WĘDKA od lat nie jest już utajniona.

- I dlatego komputer nadal jest zaprogramowany tak, by powodować alarm, gdy ktoś próbuje uzyskać do niej dostęp? - Danning nie uwierzył w ani jedno słowo szefa kontrwywiadu.

- To po prostu przeoczenie. Jeszcze raz przepraszam za kłopot, Peter.

- Pomyślałeś, że złapałeś „śpiocha”, prawda, Alfredzie? - Danning, podnosząc się, mrugnął figlarnie. - No cóż, spróbuję nie wkroczać na twój teren.

- To bardzo miło z twojej strony. - Palmer odprowadził Danninga do drzwi. - I powodzenia w pracy nad książką. Chciałbym ją przeczytać. A tak przy okazji - dodał z nonszalancją - czy miałbyś coś przeciwko, gdyby jeden z moich ludzi towarzyszył ci na dół i przyniósł akta Strassera? Chciałbym rzucić na nie okiem.

- Oczywiście, nie mam nic przeciwko temu. I przypuszczam, że rozsądnie byłoby nieco zmienić szczegóły starego dochodzenia w sprawie tego człowieka.

- To byłoby najlepsze. Nawet lepiej w ogóle o nim nie wspominać.

- Zapamiętam to i postaram się to zrobić niezależnie od tego, że cała sprawa nie jest już ściśle tajna.

Szef kontrwywiadu nie dostrzegł w protekcyjnej, złośliwej uwadze ani śladu humoru i nie odbił piłeczki.

- Dziękuję, Peter - powiedział, otwierając drzwi. - Bardzo mi pomogłeś. Palmer skinął na oficera czekającego w przedpokoju.

- Pan Danning da ci akta. Przynieś mi je.

Mężczyzna zerwał się natychmiast i stanął obok Danninga, który obrzucił go pełnym dezaprobaty spojrzeniem sugerującym, że wszyscy bandyci i nieokrzeszańcy powinni maszerować trzy kroki za nim po jego lewej stronie.

Palmer wrócił do gabinetu i podszedł do biurka. Otworzył środkową szufladę i wyjął teczkę z napisem WĘDKA, którą zabrał

ze swego prywatnego archiwum. Przejrzał jej zawartość przed przybyciem Danninga. Nie istniało najmniejsze niebezpieczeństwo, że ściśle tajna sprawa zostanie zdekonspirowana; wejście do indeksu bazy danych komputera bibliotecznego stanowiło pułapkę, zastawioną na każdego, kto okazał najmniejsze zainteresowanie tym plikiem. Jeśliby Danning, dzięki jakiejś wadzie w działaniu systemu czy jakiemuś fałszywemu sygnałowi elektronicznemu, powodującemu nagły wzrost napięcia, zdołał ominąć hasło broniące dostępu do danych, zobaczyłby pusty ekran. Nigdzie nie istniały żadne dane komputerowe dotyczące tej operacji. Wynikało to z przekonania Pai - mera, że bez względu na stopień zabezpieczenia systemu, zawsze należy liczyć się z możliwością elektronicznej penetracji. WĘDKA był zbyt ważną operacją, by powierzać ją komputerowi.

W normalnych okolicznościach akta CIA przechowywane były w archiwum na parterze. Te zaklasyfikowane jako ściśle tajne, zapieczętowano czarną taśmą, a urzędników poinstruowano, że mogą udostępniać je jedynie funkcjonariuszom znajdującym się na liście zatwierdzonej przez sekcję, z której pochodzi dana operacja. Jednakże WĘDKA nie podlegała nawet takiej procedurze. Od 1947 roku, kiedy powstała CIA, do chwili obecnej, istniały tylko dwie kopie akt tej operacji; jedną z nich miał Palmer, drugą dyrektor CIA - obie były zamknięte w odpowiednio zabezpieczonych biurowych sejfach.

Jedynymi ludźmi z zewnątrz, poza Palmerem i dyrektorem, którzy wiedzieli, że istnieje coś takiego jak operacja WĘDKA, byli: prezydent i jego doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. System ten sprawdzał się od czterdziestu pięciu lat i przetrwał dziewięć kolejnych rządów - każdy prezydent wraz ze swoim doradcą do spraw bezpieczeństwa był zaznajamiany jedynie z najbardziej ogólnymi aspektami sprawy. Taka sama sztywna i surowa procedura odnosiła się do każdego nowo wyznaczonego dyrektora CIA i każdego kolejnego szefa sekcji kontrwywiadu. Operacja WĘDKA leżała w gestii kontrwywiadu, więc w

przeciwieństwie do innych tajnych operacji prowadzonych przez CIA o jej istnieniu nie trzeba było zawiadamiać Senatu czy komisji do spraw wywiadu. W rezultacie operacja nie była narażona na kłopotliwy nadzór czy polityczną ingerencję.

Taki nadzwyczajny charakter kierowania sprawą powodował więc wykluczenie z niej wysoko postawionych oficjeli CIA, nawet tych przewyższających rangą Alfreda Palmera. Byliby oni głęboko oburzeni, gdyby dowiedzieli się, że za ich plecami od dziesiątków lat rozwija się tajna operacja. Wśród nich znajdowali się: zastępca dyrektora CIA, nowo mianowany zastępca dyrektora do spraw planowania i koordynacji oraz DCI - zastępca dyrektora do spraw operacyjnych - który, chociaż był bezpośrednim zwierzchnikiem szefa kontrwywiadu, nie został dopuszczony do tajemnicy. Ścisłe przestrzeganie reguły „nie wiesz - nie zdradzisz” sprawiło, że WĘDKA była najdłużej prowadzoną operacją w historii kontrwywiadu CIA.

Kiedy Palmer zaczął pełnić obowiązki szefa kontrwywiadu, na początku odczuwał osobistą satysfakcję z wyjątkowej pozycji, jaką zapewniała mu znajomość szczegółów operacji WĘDKA. Czuł się jak świeżo upieczony członek ekskluzywnego klubu czy tajnego stowarzyszenia, który czerpie przyjemność z zamykania innym drzwi przed nosem. Jednakże ogromna odpowiedzialność, jaka towarzyszyła sprawie, wkrótce zaczęła zbierać swoje żniwo. Bywały okresy, gdy żałował, że nie może odwołać się do doświadczenia swoich przełożonych, szczególnie zastępcy dyrektora do spraw operacyjnych.

Funkcjonariusz, który towarzyszył Danningowi do jego biura, wrócił z aktami Berlińskiego Centrum Dokumentacji. Palmer stwierdził, że są one dokładnie takie same jak duplikat zawarty w dokumentacji WĘDKA. Skoncentrował się na szczegółach dotyczących prośby policji z Berchtesgaden.

Na wzmiankę, że były major SS używał fałszywego nazwiska, zmarszczył czoło. Może to nic nie oznaczało, ale doświadczenie i intuicja podpowiadały mu coś innego.

Zamknął dokumentację operacji i akta Strassera w swoim sejfie i kazał sekretarce odwołać wszystkie umówione na popołudnie spotkania. Jedyną ważną rzeczą w rozkładzie dnia było spotkanie z szefami grup kontrwywiadowczych wydziałów terenowych. Każdy wydział terenowy posiadał własną grupę kontrwywiadowczą. Jej zainteresowania koncentrowały się na bieżącym rozwoju wypadków w krajach, za które była odpowiedzialna. Sztab kontrwywiadu, na którego czele stał Palmer, koordynował wszystkie akcje kontrwywiadowcze, prowadzone przez poszczególne placówki. Palmer miał na głowie ważniejszy problem, więc cotygodniowa odprawa musiała odbyć się bez niego. Zadzwoił do swego szefa operacyjnego i oznajmił, aby przygotował się do zebrania o godzinie jedenastej i złożył mu raport jeszcze tego samego dnia. Potem wybrał numer wewnętrzny biura dyrektora i zwrócił się do jego sekretarki:

- Tu Alfred Palmer. Powiedz mu, że natychmiast muszę się z nim zobaczyć. Już idę.

Palmer wysiadł z windy na siódmym piętrze i szybko minął strażników stojących przed drzwiami gabinetu dyrektora. Skinął głową sekretarce, która z uśmiechem i lekkim ukłonem poinformowała go, że dyrektor czeka, więc może od razu wejść.

Palmer zapukał dwa razy i otworzył drzwi. George Sinclair zerknął znad raportu, który właśnie przeglądał. Wskazał mu obity skórą fotel o wysokim oparciu po drugiej stronie ogromnego mahoniowego biurka, stojącego przed oknem wychodzącym na otaczające siedzibę CIA drzewa.

Sinclair został DCI, czyli dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej w ubiegłym roku. Był najmłodszym wśród co najmniej dwudziestu ubiegających się o to stanowisko, którzy - z punktu widzenia starej gwardii - mieli większe kwalifikacje i doświadczenie. Pracował w wywiadzie od dawna, ale jego trzydziestoletnia praktyka związana była z analitycznym aspektem Firmy i ludzie z personelu operacyjnego obawiali się, że pod jego

rządami mogą zostać sprowadzeni do roli kopciuszków.

- Co tak ci podniosło poziom adrenaliny, Al?

- WĘDKA.

Sinclair próbował przypomnieć sobie, co oznacza właśnie ten kryptonim i odszukać go w zasobach pamięci wśród wielu innych. Jego oczy były jakby nieobecne, ale w pewnym momencie na twarzy znów pojawiło się skupienie.

- Coś nowego?

- Może. Ale jest to raczej głos z przeszłości. Palmer opowiedział o incydencie z Peterem Danningiem, Sinclair zaś przypomniał sobie szczegóły pierwotnego dochodzenia OSS. Po objęciu stanowiska dyrektora musiał zaznajomić się z aktami i był zafascynowany tą sprawą. Z uwagą słuchał, jak Palmer składa sprawozdanie z ponownego pojawienia się dawno zaginionego Strassera.

- Możliwe, że kopia listy Göringa, która znajdowała się w posiadaniu Strassera, już nie istnieje - powiedział Palmer. - To było czterdzieści siedem lat temu i sprawa nigdy nie wypłynęła na powierzchnię. Ale niepokoi mnie, dlaczego umierający człowiek, który odwiedza miejsca ze swej przeszłości, posługuje się fałszywym nazwiskiem.

- Czy w prośbie do Berlińskiego Centrum Dokumentacji policja podała jakieś szczegóły?

- Tylko to, że zmarł na atak serca. Może przez te wszystkie lata żył pod przybranym nazwiskiem. - Palmer kontynuował pierwotny ciąg myślowy. - To by tłumaczyło, dlaczego nie byliśmy w stanie go znaleźć.

- A co jeszcze wie Danning?

- Nic. Wykonywał rozkazy; nigdy nie poznał znaczenia dokumentów Göringa. A uczestniczył w tej grze dłużej niż każdy z nas; wystarczająco długo, by wiedzieć, że nie należy wtykać nosa w nie swoje sprawy.

- Jak znam tego starego dziwaka, to do teraz prawdopodobnie poskładał sobie wszystkie kawałki.

Sinclair uśmiechnął się, wyobrażając sobie Danninga, jak trudzi

się w poszukiwaniu wytłumaczenia sobie reakcji szefa kontrwywiadu, dotyczącej przypadkowego odkrycia operacji WĘDKA. Sinclair poznał go na kilka lat przed jego przejściem na emeryturę i, jak większości jego rówieśników, sprawiało mu przyjemność słuchanie historii Danninga o zimnej wojnie i pierwszych latach Firmy. Specjalnie zapraszał go na obiady do swej prywatnej jadalni, by posłuchać jego opowieści.

- Nalegam, żebyśmy się tym zajęli - powiedział Palmer.

- Zgadzam się. Co masz na myśli?

- Chciałbym wysłać jednego z moich ludzi z placówki w Monachium do Berchtesgaden. Może dowie się jakichś szczegółów o wizycie Strassera i okolicznościach jego śmierci.

Dyrektor potakująco pokiwał głową.

- Informuj mnie na bieżąco.

Niedaleko od gabinetu DCI, w tym samym korytarzu na siódmym piętrze, znajduje się biuro DDO - szefa Wydziału Operacyjnego. Jego sekcja, . znana również jako tajne służby, zajmuje się szpiegostwem, kontrwywiadem, operacjami specjalnymi, akcjami paramilitarnymi i tajną działalnością, w której zakres wchodzi obalanie rządów, korupcja, porwania, fałszerstwa i mnóstwo innych „czarnych” operacji, z rzadka, o ile w ogóle, wychodzących na światło dzienne.

Jako zastępca dyrektora do spraw operacyjnych, Jack Brannigan był jednym z najmniej znanych, a jednocześnie jednym z najpotężniejszych ludzi w świecie. Miał szerokie ramiona, wąskie biodra i chłopcęcą twarz, dzięki czemu wyglądał o piętnaście lat młodziej, ale w rzeczywistości miał pięćdziesiąt dziewięć lat. Jego kondycja była rezultatem surowego programu ćwiczeń fizycznych, który obejmował codzienne przebiegnięcie siedmiu kilometrów i podnoszenie ciężarów. Był urodzonym przywódcą o typowym dla Irlandczyka wdzięku i przenikliwej inteligencji, jednakże młodość, spędzona w małym hutniczym miasteczku w zachodniej Pensylwanii, jeszcze dziś dawała o sobie znać. Często wplatał w

zdania przekleństwa, a żywy temperament objawiał się w brutalnych wybuchach i wulgarnej arogancji, szczególnie wtedy, gdy zmuszony był znosić w swoim otoczeniu głupców. Każdy rozsądny człowiek, który kiedykolwiek z nim współpracował, mówił o nim jednak w samych superlatywach.

Trzydziestosiemioletnia kariera Brannigana związana była z Wydziałem Operacyjnym i od czasu, gdy został najmłodszym w historii Firmy szefem placówki, uznano go za wschodzącą gwiazdę. W czasie wojny wietnamskiej wysłano go do Sajgonu, gdzie kierował największą i najbardziej aktywną placówką CIA. Miał wtedy trzydzieści sześć lat. Przed dziewięcioma laty awansował na stanowisko zastępcy dyrektora do spraw operacyjnych i według powszechnego przekonania był następnym w kolejce do fotela szefa CIA.

Jeden z lepszych amerykańskich futbolistów i wyróżniający się absolwent uniwersytetu stanowego w Pensylwanii, miał mało szacunku dla tych, którzy nigdy nie pracowali w terenie. Nazywał ich twardogłowymi gryzipiórkami. Jeszcze mniej poważał agencyjną elitę; „cholerni uprzywilejowani pantoflarze, od czubka nosa do pięt zadufani w swoje wykształcenie wyniesione z Ligi Bluszczowej i obdarzeni błędnym mniemaniem o swojej wysokiej inteligencji”. Gdyby był człowiekiem religijnym - jakim zdecydowanie nie był - dziękowałby Bogu, że większość z nich pracowała w analitycznym dziale Firmy, a nie w podlegającym mu dziale operacyjnym.

Brannigan czytał nocne depesze, gdy sekretarka zawiadomiła go, że w poczekalni czeka Steve Toland, szef sekcji antyterrorystycznej Wydziału Operacyjnego.

- Przyślij go - powiedział.

Toland, żylasty, nerwowy mężczyzna, który mówił w sposób kojarzący się z krótkimi seriami karabinu maszynowego, czasami przypominał papugę naszpikowaną amfetaminą, ale jego informacje zawsze wolne były od domysłów, treściwe i do rzeczy. Zaczął mówić bezpośrednio po wejściu do biura.

- Chciałeś wiedzieć, jaka jest sytuacja Mike'a Semki. Właśnie dostałem wiadomość z placówki w Paryżu.

Toland odczytał listę zarzutów, które policja postawiła Semce. Jako członek ściśle tajnej dwunastoosobowej jednostki działającej w obrębie sekcji antyterrorystycznej, Semko podlegał bezpośrednio Tolandowi, który składał raporty tylko Branniganowi. Poza dyrektorem i jego zastępcą byli oni jedynymi, którzy znali prawdziwe zadania, takie jak zagraniczne misje kidnaperskie i inne równie delikatne zajęcia.

- Cholerny odszczepieniec - warknął Brannigan po wysłuchaniu obszernej listy oskarżeń stawianych Semce. W jego głosie można było wyczuć nutę rozbawienia, ale zniknęła ona tak szybko, jak się pojawiła.

- Na kogo polował? Nie. Daj mi zgadnąć. Ma fioła na punkcie tego morderczego sukinsyna.

- Wszystko na to wskazuje - powiedział Toland. - Jeden z agentów z placówki w Paryżu nakierował Semkę na trop terrorysty nazwiskiem Günther Jost, prawdopodobnie powiązanego z Frakcją Armii Czerwonej. Semko śledził go od tej pory. Dwa incydenty, które miały miejsce następnego dnia po jego wpadce, sugerują, że prawdopodobnie ścigał Dietera. Jost został zamordowany w biały dzień krótko po wyjściu z czyścica, a dwaj Żydzi, posiadający dyplomatyczne paszporty - bez wątpienia agencji Mossadu - zginęli kilka minut później. Blokowali tę samą ulicę, cztery przecznice dalej, próbując zatrzymać mordercę. Prawdopodobnie Dieter znowu umknął ze sceny.

- Gdzie jest teraz Semko?

- W więzieniu. Od pięciu dni czeka na postawienie w stan oskarżenia. W czasie aresztowania nie miał żadnych dowodów tożsamości i odmówił nawet podania nazwiska.

- Załatwię to.

Kiedy Toland zamknął za sobą drzwi, Brannigan oparł nogi na biurku i zapatrzył się w mosiężną plakietkę, wiszącą na ścianie po jego lewej stronie. Poza stojącą na biurku fotografią żony i córki,

plakietka była jedynym osobistym elementem w biurze. Wygrawerowany napis głosił: NAJŁATWIEJSZYM SPOSOBEM OSIĄGNIĘCIA CAŁKOWITEGO ZASKOCZENIA STRATEGICZNEGO JEST POPEŁNIENIE AKTU, KTÓRY NIE MA ŻADNEGO SENSU ALBO NAWET JEST AUTODESTRUKCYJNY. Był to aforyzm, który w niczym umyśle nie pozostawiał wątpliwości, że Brannigan jest ofensywnym i niekonwencjonalnym pracownikiem Firmy. Kiedy pytano go o pochodzenie cytatu, zawsze odpowiadał, że nie może sobie przypomnieć, choć w rzeczywistości doskonale pamiętał, od kogo usłyszał go po raz pierwszy: od Mike'a Semki.

Brannigan znał Semkę od dwudziestu trzech lat. Poznali się w 1969 roku. Semko - młody, odznaczony sierżant Zielonych Beretów - właśnie odbywał drugą turę w Wietnamie. Brannigan, wtedy szef placówki w Sajgonie, usłyszał o jego wyczynach i odnalazł go w Specjalnej Grupie Operacyjnej. Wciągnął Semkę do kierowanej przez siebie ściśle tajnej grupy zwiadowczej i czasowo przydzielił do CIA. W ciągu następnych sześciu miesięcy Semko brał udział w serii jeżdżących włosy na głowie samobójczych misji w Północnym Wietnamie, które na zawsze miały pozostać tajne. Brannigan był zdumiony sposobem, w jaki Semko je wykonywał. Po wojnie postawił sobie za cel utrzymanie z nim kontaktu i, gdy pojawiła się taka potrzeba, wykorzystał ściśle współpracę Firmy z wojskiem, by wypożyczyć go do oddziału Delta do delikatnych, misji. Po przejściu Semki w stan spoczynku osobiście zwerbował go do prowadzenia elitarnego, antyterrorystycznego „zespołu wychwytyjącego” - swego ulubionego dziecka.

Istniało wprawdzie kilka osób, którym Brannigan okazywał większe względy, lecz na Semkę patrzył jak na młodszego brata, w pracy zaś traktował go jak osobistego samuraja. Oczywiście wyobraźni zobaczył Semkę siedzącego we francuskim więzieniu. Gwałtownie ściągnął nogi z blatu biurka, podniósł słuchawkę i zadzwonił do placówki w Paryżu. Otrzymanie kodowanego połączenia satelitarne było kwestią kilku sekund.

- Chcę, żeby wyszedł - warknął do szefa placówki, Parkera

Britina Stevenson II.

- Francuzi myślą, że to terrorysta - zaprotestował Stevenson. - Mogą nie chcieć iść nam na rękę, dopóki nie złożymy wyjaśnień, a ja nie zostałem wtajemniczony w prawdziwy cel obecności Semki w Paryżu - nie jestem zatem w stanie ich udzielić.

Szef placówki był głęboko oburzony tym, że nie wie nic o operacji, która, ostatecznie, miała miejsce na jego podwórku. Jednakże w chwili, gdy wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, że była to niewłaściwa odpowiedź udzielona niewłaściwym tonem człowiekowi, który z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu żywił do niego osobistą animozję.

- Niech cię szlag, Parker! - ryknął Brannigan. - Masz go wyciągnąć! Natychmiast! Zadzwoń do jakichś ważniaków, kokietuj ich, napieprz im głupot, groź im, rób, co chcesz, ale wyciągnij go. Masz ruszyć dupę zza biurka i osobiście wsadzić go do samolotu. I powiedz mu, żeby po przylocie do Waszyngtonu natychmiast przyjechał do czyścica w Georgetown. Niech tam czeka na wiadomość ode mnie.

Była czwarta po południu, gdy zakończyło się zebranie rady nadzorczej nowojorskiego Metropolitan Museum of Art i Edward Wintrop Stewart, członek zarządu i jeden z najbardziej hojnych mecenasów muzeum, wyłonił się z masywnej budowli przy Piątej Alei. Poszedł na południe, wzdłuż muru z piaskowca otaczającego Central Park, rytmicznie postukując końcem laski po kamiennych płytach chodnika. Zatrzymał się, by odetchnąć chłodnym wiosennym powietrzem, potem wszedł do parku i usiadł na ławce przed małym placem zabaw. Był to jeden z jego najlepszych dni; złe samopoczucie i ból zeszywniałych stawów - plagi osiemdziesięciodwulatka, które nauczył się tolerować jak irytujących gości, bez końca przeciągających wizytę - były mniej uporczywe i dokuczliwe.

Ekskluzywna enklawa Upper East Side była domem Stewarta od dnia jego narodzin i z łatwością poruszał się w jej luksusowych kręgach. Był człowiekiem, którego otaczała aura godności. Jego postawa sugerowała, że posiada olbrzymi majątek; zorientowani oceniali go na ponad siedemdziesiąt milionów dolarów.

Stewart do niedawna każdą wiosnę spędzał u przyjaciół w Anglii i Szwajcarii, lecz teraz oni nie żyli; przeżył ich wszystkich, łącznie z pięćdziesięciojednoletnią żoną i synem, ich jedynym dzieckiem. Straszliwą rzeczą jest utrata tych, których się kocha,

pomyślał. Jednakże teraz jego uprzywilejowane życie było spokojne i mimo że mieszkał sam, pomijając gospodynię, nie czuł się samotny. Przez czterdzieści lat władał swym finansowym imperium, a jego życie było jedną wielką pogonią za wolnym czasem. Ogólnie biorąc, można by je ocenić jako udane i przykładowe. Był wdzięczny za dobre zdrowie; miał nadzieję, że zbliżająca się śmierć będzie szybka i nagła. Liczył na to, że nie czeka go powolne, półświadome umieranie, przedłużane środkami farmakologicznymi.

Jedną z nielicznych pasji, które mu pozostały, była jego kolekcja dzieł sztuki. Lwią część rodzinnej fortuny odziedziczył po swoim ojcu i dziadku - zamożnych przemysłowcach z czasów bezwzględności kapitalizmu. Wkrótce po ukończeniu Harvardu w 1931 roku, kiedy otrzymał dość okazały majątek, zaczął wzbogacać kolekcję. W ciągu następnych sześćdziesięciu lat, dzięki trafnym i w porę dokonanym zakupom oraz nieomylnemu oku, bezbłędnie rozpoznającemu to, co piękne i wartościowe, jego prywatne zbiory - szczególnie te obejmujące dzieła impresjonistów i postimpresjonistów - stały się jednymi z najświetniejszych w świecie.

Kiedy umrze, a było to coś, o czym Stewart w tych dniach myślał często, jego ogromna fortuna i zarządzanie rodzinną fundacją filantropijną przejdzie na jego wnuki, ale dzieła sztuki dostanie Metropolitan Museum. Przynajmniej większą ich część - niepokoiło go jedynie to, co ma zrobić z sekretną kolekcją, z najbardziej ulubionymi obrazami. Nie mógł ich przekazać muzeum, ponieważ natychmiast spowodowałoby to niebывały skandal. Splamiłby on dobre imię pozostałej kolekcji. Nie mógł też zapisać tych obrazów w testamencie swoim wnukom bez wyjaśnienia, skąd pochodzą. Wiedział, że musi szybko podjąć decyzję i rozwiązać ten problem, jeżeli reputacja rodziny ma pozostać nieskazitelna. Ale na razie mógł dalej cieszyć się swoimi skarbami tak, jak czynił to od pięćdziesięciu lat.

Stewart siedział na parkowej ławce, odpoczywając w złotym

blasku wspaniałego wiosennego popołudnia. Nie zwrócił uwagi na wysokiego, szczupłego mężczyznę o blond włosach i głęboko osadzonych ciemnoniebieskich oczach, który przeszedł obok niego, zmierzając do miejsca, w którym ścieżka rozgałęziała się w kierunku przystani wioślarskiej.

Jürgen Strasser usiadł tak, by widzieć nienagannie ubranego starszego pana. Zapalił papierosa. W przeciwieństwie do Stewarta nie dostrzegał wokół żadnego piękna, nie odczuwał też radości. Dla niego Nowy Jork był cuchnącym miejscem, przeludnionym, brudnym, zaśmieconym budzącymi odrazę odpadkami zdegenerowanego społeczeństwa, którego życie zredukowało się do zabiegania o rzeczy pierwszej potrzeby.

Strasser twierdził, że powodem tego, że stał się terrorystą, był upadek kapitalizmu i spowodowana przez to korupcja. Prawdziwe przyczyny nie były jednak aż tak wzniosłe, ani też uzasadnione politycznie. Zagorzały antysemita, nienawidził też Amerykanów i wszystkiego, co amerykańskie. Inna strona jego osobowości łączyła umiejętność skomplikowanego planowania i precyzyjnego wykonawstwa, koniecznych dla skutecznego przeprowadzenia ataku terrorystycznego, ale prawdziwa motywacja znajdowała się po bardziej mrocznej i złowieszczej stronie jego natury: był anarchistą i lubił podniecenie towarzyszące akcjom; odpowiadało mu to, że był człowiekiem bez twarzy, morderczym widmem posiadającym władzę nad życiem i śmiercią.

Śledził Stewarta od wczesnego rana - najpierw wizyta u lekarza przy Park Avenue, potem lunch w „Harvard Club”, w końcu muzeum. Wybrał go na pierwszy cel, ponieważ to on miał cztery z ośmiu obrazów, które według Drussarda były własnością trzech ludzi z Nowego Jorku.

Strasser po przyjeździe z Paryża postanowił nie mieszkać w czyścicu, założonym przed osiemnastoma miesiącami w pobliżu kampusu Uniwersytetu Columbia. Miał do wykonania robotę, a nie chciał, by młody nieetatowy profesor nauk politycznych,

opiekujący się mieszkaniem, powiązał jego obecność z wypadkami, które nastąpią. Posługując się ważną kartą kredytową, wystawioną na fałszywe nazwisko (rachunki płacił sympatyk Frakcji Armii Czerwonej, mieszkający w Toronto w Kanadzie), wynajął pokój w „Plaža Hotel”. Spłukał tam farbę z włosów i wyjął zielone soczewki kontaktowe. Potem zadzwonił do Drussarda do Paryża, a następnego dnia rano spotkał się z nowojorskim kolegą Francuza, właścicielem małej galerii na Madison Avenue w pobliżu skrzyżowania z Sześćdziesiątą Trzecią Ulicą.

Czekały tam na niego zdjęcia poszczególnych obrazów - zapobiegliwy Drussard nadał je faksem z Paryża wraz z aktualnymi adresami i krótkimi informacjami o trzech właścicielach. Strasser wynajął małą furgonetkę, korzystając z tej samej karty kredytowej i kanadyjskiego prawa jazdy (była to część zapasowych dokumentów, wystawionych razem z paszportem przez Stasi) i następnie trzy dni spędził na zapoznawaniu się z położeniem rezydencji i badaniu jej najbliższego otoczenia. Przez dwa wieczory tkwił przed czteropiętrowym gregoriańskim domem Stewarta na Wschodniej Siedemdziesiątej Czwartej tuż przy Madison Avenue.

Ulica była spokojna. W nocy gęste listowie rosnących wzdłuż niej drzew rzucało głębokie cienie na frontowe wejścia wielu podobnych budynków, stłoczonych jeden przy drugim na całej długości kwartału. Strasser przybrał pospolity w mieście wygląd bezdomnego, co zapewniało mu anonimowość i pozwalało na spokojne sterczenie przed domem. Rozczochrał włosy i potargał ubranie, potem usiadł na chodniku i oparł plecami o ścianę budynku stojącego na rogu Siedemdziesiątej Trzeciej i Madison Avenue. Pozostał tam do późnej nocy, od czasu do czasu pociągając łyk wody mineralnej z butelki, którą trzymał w papierowej torbie, stanowiącej dodatkowy rekwizyt. W ciągu dwóch wieczorów, kiedy to poznawał zwyczaje swej ofiary, nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

Jego początkowe obawy, że będzie musiał stawić czoło systemowi bezpieczeństwa, okazały się bezpodstawne. Okna na

parterze i pierwszym piętrem zabezpieczone były dekoracyjnymi kratami z kutego żelaza, ale jedynymi prawdziwymi elementami zabezpieczenia był cyfrowy zamek w drzwiach wejściowych i standardowy system alarmowy z tablicą kontrolną na ścianie za frontowymi drzwiami, którą zobaczył w przelocie, gdy starszy pan wchodził i wychodził. System stanowił mniejszy problem; większym była mała kamera zamontowana nad wejściem, dzięki której mieszkańcy mogli zobaczyć, kto stoi u drzwi, i domofon.

Jedyną osobą, którą widywał wchodzącą i wychodzącą z domu poza Stewartem była Latynoska w średnim wieku, ubrana w czarno - biały uniform służącej. Strasser doszedł do wniosku, że jest ona domownikiem, ponieważ w ciągu dwóch wieczorów (w dzień koncentrował się na obserwowaniu tras Stewarta) nie widział, by wychodziła na noc. Do jej obowiązków należało otwieranie drzwi dostawcom i gościom. Uwadze Strasser'a nie uszło jej niedbalstwo. Widział, jak postępowwała w przypadku posłańca z poczty i gońca z banku - otwierała drzwi bez pytania.

Strasser siedział i obserwował starszego pana w parku. Jeszcze nie zdecydował, w jaki sposób dostanie się do wnętrza rezydencji, ale w godzinę później decyzja została podjęta za niego.

Po wyjściu z parku Stewart wstąpił na chwilę do apteki, by zrealizować receptę wystawioną rano przez doktora. Przed powrotem do domu zatrzymał się raz jeszcze, w małym sklepie delikatesowym przy Lexington Avenue. Zakupy zostawił w papierowych torbach i poprosił, by dostawca odniósł je do znajdującego się tylko kilka przecznic dalej domu.

Strasser rozpoznał szare torby wyróżniające się sklepowym znakiem; poprzedniego dnia w pobliżu domu Stewarta widział kogoś, kto realizował dostawę z tego samego sklepu. Obserwował, jak pracownik włożył do toreb kwit z adresem Stewarta, a potem położył je na ladzie niedaleko wejścia do sklepu obok innych toreb czekających na dostawę.

Strasser natychmiast przystąpił do działania. Wyprowadził z pobliskiego parkingu wynajętą furgonetkę i wcisnął ją w wolne

miejsce znajdujące się kilka domów od kamienicy Stewarta po tej samej stronie ulicy. Wrócił pod sklep i czekał, póki nie wyjdzie jeden z dostawców, następnie szedł za nim do drzwi mieszkania na Wschodniej Siedemdziesiątej Drugiej, gdzie chłopak oddał torby odźwiernemu. W drodze powrotnej Strasser czekał na swoją ofiarę w upatrzonym miejscu, które leżało na trasie dostaw. Pod skórzaną kurtką miał pistolet. Końcówkę tłumika wbił w żebra młodego człowieka, równocześnie obejmując jego plecy ramieniem.

Bez wahania pociągnął przerażonego nastolatka kilka metrów w zaułek, z dala od zatłoczonej w godzinie szczytu ulicy. Reakcją na ostry krzyk protestu było zaledwie obojętne spojrzenie kilku przechodniów, śpieszących chodnikiem. Pojedynczy strzał z dziewięćmilimetrowego pistoletu spowodował nie więcej hałasu niż strzelanie palcami. Strasser szybko ściągnął z pozbawionego życia ciała szary kitel ze znaczkiem sklepowym na kieszeni na piersiach i nałożył go na własną kurtkę. Był tak przyzwyczajony do odbierania życia, że zabijał bez emocji czy wyrzutów sumienia. Wrócił na chodnik i gdyby ktoś sprawdził jego ciśnienie krwi i tętno, znalazłby je w takim samym stanie, jak przed brutalnym zamordowaniem młodego człowieka.

W małym sklepie spożywczym tłoczyli się popołudniowi klienci, kupujący ostatnie wiktuały potrzebne do wieczornego posiłku. Zamieszanie i bieganina przy ladzie działu z delikatesami w pobliżu frontowych drzwi działały na korzyść Strassera. Wszedł do sklepu, odwracając twarz od kasjera i podszedł prosto do lady z torbami przygotowanymi do dostawy. Opuścił sklep nie zauważony przez nikogo. Mimo że minęła szósta, było jeszcze widno. Strasser podniósł wysoko torby, by zasłonić twarz. Doszedł do wniosku, że nie może zwrócić uwagi sąsiadów Stewarta, którzy mogli być przyzwyczajeni do znajomych dostawców.

* * *

Maria Alonzo pracowała do późna. Po przygotowaniu lekkiej przekąski dla Stewarta, składającej się z serów i surówki owocowej, zjadła kolację u siebie na czwartym piętrze, oglądając lokalne

wiadomości. Potem przebrała się do wyjścia. Chciała pójść do kina z przyjaciółką, ale zamiłowanie do porządku kazało jej poczekać, aż Stewart skończy jedzenie. Szybko zebrała naczynie - uporządkowanie kuchni zabrało jej niecałe dziesięć minut, lecz były to minuty, które miały kosztować ją życie.

Zeszła na parter i nakładała właśnie lekki bawełniany sweter, gdy zadzwieczał frontowy dzwonek. Zerknęła na ekran monitora, umieszczony na ścianie nad drzwiami i rozpoznała znajomy szary kitel, noszony przez ludzi przynoszących zakupione artykuły spożywcze. Mrucząc po hiszpańsku przekleństwa pod nosem, wystukała kod zwalniający zamek, potem odsunęła dwie ciężkie zasuwki i zwolniła ciężki łańcuch.

- Dostawa dla pana Stewarta - powiedział wysoki, chudy mężczyzna, zasłaniając twarz torbami.

- Połóż je tam. - Maria wskazała na czerwony lakierowany stolik, stojący przy ścianie pod ozdobnym lustrem.

Strasser wszedł do środka i położył torby na antycznym meblu. Szybko rozejrzał się po przedpokoju i przylegającym do niego holu. Poczul zapach świeżych kwiatów, dochodzący z pobliskiego stojaka. Za holem dostrzegł małą bawialnię i jeszcze więcej półek z kwiatami, ale w zasięgu wzroku nie było nikogo.

- Dziękuję - powiedziała Maria i wysunęła szufladkę kredensu stojącego pod drugą ścianą, gdzie trzymała pieniądze przeznaczone przez Stewarta na napiwki za usługi. Nagle poczuła dotyk silnych rąk, które szybkim, gwałtownym ruchem skręciły jej szyję.

Jej ciało zawisło w potężnych ramionach, głowa opadła na piersi, kiwając się z boku na bok. Strasser posadził ją w rogu za kredensem. Działając bez pośpiechu, zamknął drzwi na zamek, potem wyciągnął pistolet i przykręcił tłumik. Ostrożnie ruszył do holu. Zatrzymał się, uważnie nasłuchując dźwięków, które mogłyby powiedzieć mu, gdzie jest Stewart. W czasie poprzednich dwóch wieczorów zaobserwował, że parę minut po szóstej zapala się światło w pokoju od ulicy na drugim piętrze, więc postanowił iść właśnie tam. Przeciął wypolerowaną marmurową posadzkę,

stąpając delikatnie, póki nie dotarł do okrytych dywanem schodów.

Na lewo od okrągłej klatki schodowej znajdowała się winda i Strasser zauważył, że obsługuje ona wszystkie piętra kamienicy. Miał zamiar wejść na schody, gdy zatrzymał go i unieruchomił hałas mechanizmu. Patrzył na iluminowaną tablicę, umieszczoną nad drzwiami windy, a pomruk motoru napełniał pomieszczenie. Tablica wskazywała, że ktoś zjeżdża z czwartego piętra. Strasser obserwował, jak małe świecące kółeczko przesuwają się i zatrzymuje na numerze 2. Niewolnik przyzwyczajęń, pomyślał i Powoli ruszył na górę.

Strasser nigdy nie widział tak dopracowanego w każdym szczególe i tak eleganckiego domu. Każdy centymetr kwadratowy był przepełniony dziełami sztuki i antykami. Mimo że posiadał niewielką wiedzę w tym zakresie, zdawał sobie jednak sprawę z tego, że są niezwykle cenne. W rogach podestów stały ogromne porcelanowe wazy i starożytne statuetki z terakoty, datowane na około 200 rok p.n.e. Nawet sufity, zdobione stiukowymi rzeźbami, były dziełami sztuki. Ściany klatki schodowej i podestów okrywały ręcznie malowane, oryginalne chińskie tapety. Na nich wisiały gobeliny i obrazy, które sprawiły, że Strasser zatrzymał się dwa razy, by porównać je z fotografiami nadesłanymi z Paryża przez Drussarda. Gdyby nie przezorność Francuza, brak fachowej wiedzy mógłby bardzo utrudnić zidentyfikowanie właściwych płócien. Oba malowidła nie były tymi, których szukał. Poszedł dalej, strofując się w myślach za naiwność. Jak mógł przypuszczać, że obrazy z jego listy są eksponowane tak jawnie.

Gdy dotarł do podestu drugiego piętra, usłyszał subtelne dźwięki symfonii Mozarta. Na końcu wyłożonego parkietem korytarza, okrytego jedwabnymi perskimi kobiercami, zobaczył fragment wyłożonej boazerią biblioteki. Na środku pomieszczenia, na obitym skórą fotelu przy intarsjowanym biurku, plecami do wejścia siedział Stewart.

Strasser ruszył ostrożnie korytarzem, zerkając przez otwarte drzwi do mijanych pokoi. Zatrzymał się przy wejściu do biblioteki i

szybko rozejrzał po rozległym, wysokim pomieszczeniu. Starszy człowiek był sam, siedział przy biurku i wertował ogromny album z malarstwem renesansowym.

Stewart był kompletnie nieświadom obecności Stressera, dopóki ten, z uśmiechem na ustach, nie stanął przed fotelem.

- Dobry wieczór, panie Stewart.

Stewart oderwał oczy od książki i spojrzał w nieznajomą twarz. Łagodny głos stojącego przed nim mężczyzny sprawił, że nie poczuł się zaniepokojony. Pomyślał, że może zapomniał o jakimś umówionym spotkaniu. Dopiero wtedy zwrócił uwagę na kitel, jaki miał na sobie nieznajomy.

- Kim pan jest? - zapytał stanowczym tonem. - I jak pan się tu znalazł?

- Może pan mówić do mnie Dieter - uprzejmie odparł Strasser. - Wpuściła mnie pańska gospodyni.

Stewart nacisnął guzik stojącego na biurku interkomu.

- Maria! - zawołał i zaczął powoli wstawać. Zastygł, gdy zobaczył wycelowany w siebie pistolet z tłumikiem.

Strasser zdecydowanym ruchem położył rękę na ramieniu starszego pana i zmusił go, by usiadł.

- Obawiam się, że Maria jest... niedysponowana.

- Co to wszystko znaczy? - Wysoki ton głosu Stewarta był pierwszą manifestacją strachu. - Chce pan mnie okraść?

- To kwestia punktu widzenia. - Strasser przysiadł na poręczy sofy w stylu Chesterfield naprzeciwko biurka. - Wolę uważać to za reklamację.

- W domu trzymam niewiele pieniędzy, ale dam panu, co mam. Przemoc nie będzie konieczna. Będę współpracował. - Na twarzy Stewarta widać było napięcie - zrozumiał, że jest w niebezpieczeństwie.

- Nie przyszedłem po pieniądze.

- Zatem po co? Po moje obrazy? Moje antyki?

- Po kilka bardzo szczególnych obrazów. - Strasser popatrzył na wiszące na ścianach biblioteki płótna. Żadne nie przypominało tych

ze zdjęć od Drussarda.

Stewart powoli zaczął odzyskiwać równowagę. Spokój mężczyzny i jego pozbawione grózb zachowanie kazały mu myśleć, że może da sobie radę i rozładuje sytuację.

- Niech pan weźmie Braque'a. - Wskazał na jeden z sześciu obrazów. - To najcenniejsze płótno w tym pomieszczeniu.

Obraz faktycznie był cenny, ale głupia i niebezpieczna zagrywka miała na celu nie tylko sprawdzenie specjalistycznej wiedzy Strassera.

Strasser znów się uśmiechnął i nie spuszczać oka ze starego człowieka podszedł do kominka, nad którego okapem wisiał Braque. Przyłożył głowę do boazerii i zerknął za obraz. Zainstalowany z tyłu ramy detektor ruchu za pomocą linii telefonicznej wysyłał cichy alarm do centrali firmy ochroniarskiej, gdzie zapalona lampka mogła wskazać, który z obrazów został zdjęty. Pośpieszne sprawdzenie ujawniło, że pozostałe obrazy w bibliotece są podobnie zabezpieczone - Strasser podejrzewał, że tak jest ze wszystkimi w tym domu.

- To wstyd, panie Stewart - powiedział terrorysta z powrotem podchodząc do biurka. - Pan mnie nie docenia. Może powinniśmy przejść prosto do rzeczy.

Stewart był już mniej pewny siebie. Zaczęły mu drżeć ręce, gdy Strasser wyjął z wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki cztery fotografie i rozłożył je na biurku.

- To są obrazy, które mnie interesują. I proszę, niech pan znów nie obraża mojej inteligencji, w przeciwnym razie podniosę to spotkanie do poziomu, w którym nie znajdzie pan nic zabawnego.

Stewart popatrzył najpierw na zdjęcia, potem na Strassera.

- Przykro mi, lecz nie znam tych obrazów. To znaczy, są mi one znajome, oczywiście wiem również, kto je namalował, ale nie znajdują się w mojej kolekcji. Może pan sam zobaczyć, w tym domu ich nie ma.

- I nigdy nie były w pana posiadaniu?

- Nie, oczywiście, że nie, ja...

Siarczysty policzek sprawił, że okulary Stewarta przeleciały przez pokój, a na jego twarzy pojawiła się czerwona plama. Łzy stanęły mu w oczach, z kącika usta wypłynęła strużka krwi.

- Niech mnie pan nie okłamuje.

- Tak, w porządku! Kiedyś były moją własnością, ale sprzedałem je, dawno temu.

- Kolejne kłamstwo, panie Stewart. Rozczarował mnie pan. Jakie jest wasze amerykańskie baseballowe wyrażenie? Do trzech razy sztuka? - Głos Strassera znów był opanowany i bezbarwny.

Stewart patrzył na jego ręce. Strasser wsunął pistolet za pasek i z kieszeni kurtki wyciągnął skórzaną saszetkę. Jego oczy rozszerzyły się, gdy Strasser rozsunął błyskawiczny zamek i wyjął coś, co wyglądało jak olbrzymia szpilka do kapelusza, długa w przybliżeniu na osiem centymetrów, z okrągłą, stalową główką.

- Co to jest? co pan chce zrobić?

- Zamierzam wydobyć z pana prawdę, panie Stewart - odparł Strasser, umieszczając groźnie wyglądający instrument na blacie biurka. - Albo też narazić pana na bardzo wolną i bolesną śmierć. Albo może zrobię jedno i drugie. Zależy, czy będzie mi pan utrudniał.

Stary człowiek zeszywniał na widok cienkich skórzanych rzemieni, które Strasser wyciągnął z kieszeni. Nie opierał się, gdy najpierw jeden, potem drugi nadgarstek został przywiązany do poręczy fotela.

- Proszę. Może pan dostać wszystko, czego pan chce. Rozbroję system alarmowy. Niech pan weźmie wszystkich obrazy, nie dbam o nie.

- Oczywiście, że nie. Są ubezpieczone. Ale jestem przekonany, że te, których ja chcę, nie są ubezpieczone. Jeszcze raz, panie Stewart, gdzie one są?

- Nie mogę panu dać tego, czego nie mam - upierał się Stewart. Choć teraz nieledwie tracił zmysły ze strachu, nie chciał oddać swych najcenniejszych płócien. Nadal mógł istnieć jakiś sposób dobicia targu z tym człowiekiem czy przekonania go, że mówi

prawdę. Ruchomy fragment wbudowanych w ściany półek z książkami, który maskował wyposażone w cyfrowy zamek stalowe drzwi, broniące wejścia do ukrytego pokoju, był niemożliwy do znalezienia bez wiedzy o jego istnieniu.

Strasser po prostu uśmiechnął się i podszedł do wysokiego okna wychodzącego na ulicę. Zasuwał story i odciął kawałek rzemienia, którym owiązał klatkę piersiową Stewarta. Zawiązał rzemień z tyłu fotela, unieruchamiając ramiona teraz już naprawdę przerażonego człowieka.

- A teraz chwila prawdy. Bo w końcu powie mi pan prawdę. - Strasser siłą otworzył usta Stewarta i wepchnął w nie chusteczkę, dławiąc krótki okrzyk. Knebel miał zapewnić, że stłumione wrzaski bólu i niskie gardłowe jęki, które wkrótce dadzą się słyszeć, nie wydobędą się na zewnątrz.

Na jego twarzy pojawił się wyraz zimnego okrucieństwa, gdy podniósł szpilkę i trzymał ją między kciukiem a palcem wskazującym.

- Może pan nie wierzyć, ale naprawdę nie bawi mnie ta część mojej profesji. Chociaż specjaliści twierdzą, że mam do tego talent.

Strasser pchnął w tył skórzany fotel, a sam przysiadł na skraju biurka naprzeciw swej ofiary. Pochylił się i ujął w rękę kciuk Stewarta. Drugą ręką ustawił odpowiednio smukłą, stalową szpilkę.

Stary człowiek daremnie szarpał rzemień, które łączyły jego nadgarstki z poręczami fotela. W szeroko otwartych oczach pojawiło się zrozumienie. Stewart wiedział, co go czeka.

- Zaczniemy powoli - powiedział Strasser. - Niech mi pan da znać, gdy pańska pamięć się polepszy.

Mike Semko znalazł się w szóstym dzielnicowym komisariacie w St - Germain, gdzie zdjęto mu odciski palców i wciągnięto do kartoteki jako zatrzymanego numer 472338. Krótko po tym został przetransportowany do prowincjonalnego więzienia we Fresnes dwadzieścia cztery kilometry od Paryża. Zadzwoił stamtąd pod nigdzie nie ujęty i niemożliwy do wyśledzenia numer pokoju szyfrów CIA - odseparowanego wewnętrznego sanktuarium ściśle zabezpieczonej sekcji łączności w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Paryżu. Poprosił o rozmowę z nie istniejącym Timem Johnsonem - to wystarczyło, by zidentyfikował go agent odbierający telefon.

Dwaj francuscy oficerowie wywiadu, którzy wcześniej zabrali go do pokoju przesłuchań i próbowali siłą wycisnąć z niego informacje, przebywali w szpitalu, Semko zaś spędził minione trzy dni w ścisłym odosobnieniu. Rankiem szóstego dnia dyrektor więzienia otrzymał telefon od swego bezpośredniego zwierzchnika. Wszystkie oskarżenia wysuwane przeciwko tajemniczemu więźniowi zostały wycofane. Dyrektor z ulgą wydał rozkaz jego zwolnienia. Czterdzieści pięć minut później Mike Semko wyszedł przez bramę więzienia Fresnes i zobaczył szefa placówki CIA w Paryżu, Parkera Stevensona, opierającego się o błotnik wozu ambasady.

- Wsiadaj do samochodu, Semko.
- I dzień dobry, Parker.
- Wsiadaj do tego cholernego samochodu.

Semko zajął miejsce pasażera i wyszczerzył zęby do Stevensona, gdy ten wsunął się za kierownicę.

- Nie widzę w tym nic zabawnego.
- Podrzucić mnie do hotelu. Mam coś do zrobienia.
- Dostałeś rozkazy od zastępcy dyrektora do spraw operacyjnych i to masz do zrobienia, ty arogancki sukinsynu. - Stevenson sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął bilet lotniczy i rzucił go na kolana Semki. - Natychmiast wracasz do Waszyngtonu, jedziesz prosto do czyścica i czekasz na wiadomość. Twój samolot odlatuje za dwie godziny, a ja zostanę z tobą, by zobaczyć, czy na pewno odlatuje z tobą na pokładzie.

- Muszę zabrać swoje rzeczy.
- Zabrałem paszport, portfel i osobiste drobiazgi z tego wszawego pokoju, w którym się zatrzymałeś. Wszystko jest w twojej torbie w bagażniku. - Gniew Stevensona znów wzrósł. - Jak myślisz, kim ty, do diabła, jesteś, że przeprowadzasz bez upoważnienia operacje na moim podwórku?

- Nie traktuj tego tak osobiście, Parker.
- Do diabła, nie traktuję! Musiałem całować po dupie tego zabojadę, żeby wyciszyć to cholerne zamieszanie, jakiego narobiłeś. Regularna strzelanina na ulicach Paryża, na miłość boską! Czynne znieważenie obywatela francuskiego i kradzież jego samochodu, potem zdemolowanie wozu i zniszczenie fragmentu sześćsetletniego muru. Nie poprawiłeś się nawet w więzieniu; dwóch ludzi DGSE w szpitalu, jeden z złamaną szczęką i nosem, drugi z prawdopodobnie pękniętą śledzioną i wybitym okiem.

- To oni zaczęli.
- Jesteś jak ćpun, Semko, tylko zamiast prochów potrzebne ci są kłopoty. Żyłś na krawędzi tak długo, że nie potrafisz funkcjonować w normalny sposób.
- Tak, no cóż, przypuszczam, że nieco wykraczam poza schemat

agencyjnego myślenia o właściwym zachowaniu.

- Ty wykraczasz nieco poza schemat wszelkich możliwych typów zachowania - powiedział Stevenson, potrząsając głową z odrazą. - Nie mam szacunku dla ludzi takich jak ty, Semko. Podobnie jak wszyscy prawo - rzędnie myślący obywatele.

- O tak, ty nie masz szacunku! To ludzie tacy jak ja odwalają za ciebie brudną robotę, żebyś przypadkiem się nie przepracował.

- Tacy jak ty nigdy nie zrobią wielkich rzeczy.

- Pierdolę twoje wielkie rzeczy. I pierdolę ciebie, Parker.

Resztę drogi do lotniska Charlesa de Gaulle'a przebyli w milczeniu. Stevenson ponuro przypomniawszy sobie, że po raz drugi w ciągu kilku dni ktoś skłął go, używając tych samych słów. Najpierw DDO, a teraz ten zatwardziały grzesznik. Zastanowił się, co w nim było, że wyzwał w ludziach takie reakcje. Typy o silnych rękach zawsze uciekają się do taktyki wygrażania i terroryzowania, gdy wyczerpuje im się intelektualne paliwo, pomyślał. Od lat spotykał takich jak siedzący obok niego mężczyzna: twardych, mocnych ludzi, skorych do pociągania za spust, paramilitarnych kowbojów, którym wszystko, gdy mieli młotek w rękach, kojarzyło się z gwoździem.

Gdy Semko zarzucił torbę z rzeczami na ramię i kierował się ku sali odpraw, Stevenson zatrzymał go i powiedział:

- Jak jeszcze raz wleziesz na moje podwórko, skopię cię obiema nogami.

Semko niemal wyłamał palce szefowi placówki, gdy strząsnął jego rękę z ramienia. Odpowiedział spokojnie, ale takim tonem, że Stevenson na wszelki wypadek cofnął się o krok.

- Wszyscy znają mnie jako niebezpiecznego faceta... Nie przeciągaj struny, Parker. - Semko odwrócił się i odszedł, obdarzając Stevensona figlarnym mrugnięciem i przyjacielskim klepieniem w plecy.

Kiedy potężny *Jumbo Jet* opuścił pas startowy i wznosił się nad Francją, Semko myślał o Dieterze i o tym, w jaki sposób mógłby znów wpaść n trop międzynarodowego terrorysty. Przez pewien

czas będzie musiał czekać w Waszyngtonie, ale tak długo, jak Dieter żył, stanowił jego nadrzędny cel - nieważne, ile czasu zajmie złapanie go i to bez względu na koszty własne. Samolot wyrównał na wysokości dziesięciu tysięcy metrów przed długim transatlantyckim lotem. Semko opuścił oparcie fotela i poprosił stewardesę, by nie niepokoiła go przez resztę podróży. Zamknął oczy i skoncentrował się na wypadkach poprzedzających jego aresztowanie, na nocnym pościgu po zaułkach i ulicach Paryża, rejestrując w pamięci wszystkie szczegóły spotkań i każdą cechę twarzy znieawidzonego człowieka.

Gdy Mike Semko leciał na zachód nad północnym Atlantykiem, Jonathan Westcott znajdował się w swojej galerii sztuki na Madison Avenue i wpatrywał z tęsknotą w cztery płótna oparte o ścianę naprzeciwko biurka. Nigdy nie miał u siebie nic tak znakomitego, a obecnie również miał je posiadać tylko przez chwilę. Wszystkie były uznanymi arcydziełami. Renoir, Monet, Cezanne - jeden z jego najlepszych obrazów przedstawiających Górę św. Wiktorii, prowansalski szczyt, który artysta malował więcej niż pięćdziesiąt razy.

Jednakże to czwarte płótno najbardziej przykuło uwagę właściciela galerii. Van Gogh, który, jak uprzedził Drussard, był przeznaczony do jego prywatnej kolekcji. Musiał dla niego zorganizować specjalne środki transportu. Westcott zamknął drzwi prowadzące do galerii, zdjął ze ściany biura obraz i zastąpił go van Goghiem. Cofnął się i podziwiał go z odpowiedniej odległości i pod właściwym kątem. Znał jego historię: stracony dla świata na prawie pięćdziesiąt lat, jak wiele innych; jego ostatnim znanym właścicielem był zamożny żydowski bankier z Berlina, który razem z całą rodziną zginął w nazistowskim obozie śmierci.

Malowany farbą olejną na płótnie portret o wymiarach pięćdziesiąt pięć centymetrów na czterdzieści, zatytułowany „Kelner z kafejki”, powstał w 1888 roku w Arles i był podpisany i datowany w prawym dolnym rogu. Był reminiscencją pierwszych

lat pracy artysty, kiedy to nikt nie chciał mu pozować i van Gogh musiał zdać się na mieszkańców Arles. Został namalowany w tym samym miejscu, co inne arcydzieło, „Kafejka nocą”, które obecnie wisi w Rijksmuseum w Amsterdamzie. Westcott stał jak porażony, urzekła go technika wielkiego mistrza, przenikające się żółcie i zielenie oraz faktura grubo kładzonej olejnej farby. Kolory piętrząc się w drobnych prążkach wydobywały barwę tapety za kelnerem; na jego białym fartuchu połyskiwały refleksy żółtego światła z tarasowych latarni, a kolekcja drobnych punkcików farby szkicowała mały ciemny wąsik, brwi i rumianą twarz. Na dzisiejszym rynku cena obrazu z certyfikatem autentyczności mogłaby osiągnąć dwadzieścia milionów dolarów. Westcott sprzedałby własną duszę, by go posiadać.

Strasser wniósł cztery obrazy tylnymi drzwiami galerii - ku przerażeniu Westcotta były one owinięte w brudne koce i przewiązane sznurkiem - i bezceremonialnie rzucił je na blat biurka. Perły przed wieprze, pomyślał Westcott, ale nie ośmielił się niczego powiedzieć. Onieśmiałła go obecność Strassera. Strasser zastrzelił dostawcę i gołymi rękami skręcił kark kobiecie, jak mówiły gazety, a to, w jaki sposób umarł stary człowiek, nadal było niejasne.

Terrorysta siedział z nogami na biurku i czytał artykuł o kradzieży i morderstwach, które popełnił ubiegłej nocy. Zaskoczył go fakt, że ciała zostały odkryte tak szybko. Stary przyjaciel Stewarta, który przyjechał do miasta z Oyster Bay na Long Island, zatrzymał się przy kamienicy w niecałą godzinę po wyjściu Strassera. Dzwonił wcześniej tego samego dnia i został zapewniony przez gospodynię, że Stewart będzie wieczorem w domu. Zaniepokoił się, gdy nikt nie odezwał się w domofonie ani też nie odpowiedział na telefon szofera dzwoniącego z samochodu. Był przekonany, że wydarzyło się coś złego.

- Kiedy te obrazy opuszczą kraj? - zapytał Strasser po skończeniu artykułu w „Timesie” i przejrzeniu nagłówek w jednym z brukowców.

- Z wyjątkiem van Gogha wszystkie wieczorem będą w drodze do Meksyku. - Westcott postanowił zapytać o coś, co go zaniekaowało w artykule. - „Times” donosi, że w tym pokoju było sześć innych cennych obrazów, które zaginęły w czasie drugiej wojny światowej. Czy nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeżeli zapytam, dlaczego pan je zostawił?

- Będę miał. Teraz niech pan zadzwoni do Paryża i powie Drussardowi, że dostarczyłem cztery pierwsze obrazy. - Gdy Westcott podniósł słuchawkę i zaczął wybierać numer, Strasser dodał: - I niech pan mu powie, że jutro o tej samej porze będzie pan miał dwa następne.

Strasser wyszedł tylnymi drzwiami w zaułek za galerią, gdzie stała wynajęta furgonetka. Postanowił, że zatrzyma mieszkanie w luksusowym bloku, górującym nad East River, które wynajmował inny człowiek z listy Drussarda. Pojechał na południe przez zatłoczoną Piątą Aleję w kierunku Gramercy Park i rezydencji następnej ofiary.

W tej samej porze, osiem tysięcy kilometrów i siedem godzin od Nowego Jorku, Rachel Sidrane wróciła z wieczornego biegania, wykąpała się, założyła puszysty szlafrok i wyszła na taras ze szklanką wina i gazetą. Z jej mieszkania na szczycie wzgórza leżący po drugiej stronie zatoki Tel Awiw wyglądał jak miasto z bajki. Wysokie, zwrócone frontonami do plaży hotele i nowoczesne biurowce, sprawiały wrażenie, że zostały postawione w ciągu jednej nocy, jak gdyby ich budowniczości śpieszyli się, by unieruchomić wędrujące wydmy, które ciągle przesypywały się na chodniki i łączyły z kurzem, wywiewanym z nowych nie wykończonych budowli.

Jaffa, liczący cztery tysiące lat port, wyraźnie kontrastowała z nowoczesnym i gęsto zaludnionym centrum. Starożytne przedmieście bogate w historię biblijną leżało tylko o trzydzieści minut spaceru nadmorską promenadą od wielkomiejskiego gwaru Tel Awiwu. Jednakże ten spacer sprawiał, że człowiek miał wrażenie, iż wchodzi do całkiem innego świata, świata przysadzistych, zdobionych stiukami budynków o łukowatych wejściach i oknach, świata pełnych wdzięku minaretów górujących nad meczetami. Według żydowskiej tradycji po potopie najmłodszy syn Noego, Jafet, założył miasto na wzgórzu wznoszącym się nad zatoką. I tutaj też Święty Piotr podniósł z martwych Tabitę, a

Andromeda - zgodnie z greckim mitem - czekała w porcie przykuta łańcuchem do skały, aż Perseusz przybędzie na Pegazie i ją uratuje.

Nadgryzione zębem czasu budynki i kamienne mury obronne Jaffy, opuszczonej i zignorowanej przez założycieli Tel Awiwu, na przestrzeni wieków rozsypywały się w morskim powietrzu. Ostatnio zostały odrestaurowane - zaniedbane slumsy przekształciły się w dzielnicę luksusowych restauracji, butików i nocnych klubów, mieszczących się wzdłuż cienistych zaułków i brukowanych ulic, niegdyś zaludnionych przez fenickich kupców, a obecnie przez mieszkańców Tel Awiwu, którzy szukają tu śladów przeszłości i malowniczych widoków.

Mieszkanie Racheli było położone wysoko na skalistym przylądku przy końcu na wpół wykończonej drogi. Mały kamienny taras z imponującym widokiem na Jaffę był jej ulubionym miejscem odpoczynku. Świeża morska bryza, niosąca zapach morza, delikatnie muskała jej wilgotne jeszcze włosy. Promienie zachodzącego słońca odbijały się w szerokiej przestrzeni ciemnoniebieskiej wody, która rozciągała się po kraniec zachodniego horyzontu. Rachela podziwiała portową scenerię. Prawie nic już nie przypominało czasu - sprzed więcej niż stu lat - gdy Jaffa była najbardziej ruchliwym portem na wschodzie Morza Śródziemnego. Obecnie tylko jachty i łodzie kołysały się na lekkich falach przetaczających się przez zatokę, a wzdłuż brzegu pikowały i szybowały mewy, wypatrujące rybaków, którzy opierali się o murek obok swoich wędek albo siedzieli w małych łódkach, pilnując sieci.

Rachela rozłożyła „New York Timesa”. Przyjaciel z linii El Al zostawiał jej codziennie gazetę pod drzwiami. Był to jedyny sposób utrzymania kontaktu z miastem, które przez dwadzieścia sześć lat nazywała swoim domem, i życiem, a które zostawiła za sobą przed ośmioma laty. Po zrobieniu doktoratu z historii sztuki nadal była trochę naiwną idealistką. Nadal nie wiedziała, co chce zrobić ze swoim życiem. Skorzystała z rady babki i przyjechała do Izraela, by spędzić rok jako ochotniczka w kibucu położonym na północ od

Hajfy. Zrywała cytryny i awokado, zajmowała się kurczakami, uczyła dzieci. Odkryła, że ciężka praca, poczucie wspólnoty i więzy rodzinne są niezwykle ważne. Było to szczególnie odkrywcze po uprzywilejowanym życiu, jakie wiodła dotychczas - była jedynym dzieckiem bankiera z Wall Street. Dzieciństwo spędziła w pewnej prywatnej szkole z internatem i na letnich obozach. Dzielenie się z innymi i troska o nich było dla niej czymś nowym. Czas spędzony w kibucu uznała za najbardziej konstruktywny w swym młodym życiu.

Po opuszczeniu kibucu udała się na dodatkowe studia do Tel Awiwu i tam zakochała się szaleńczo w Aaronie Sontagu, przystojnym byłym izraelskim komandosie. Robili obiecujące plany na przyszłość: Aaron miał kontynuować walkę z wrogami Izraela, ale tym razem w bardziej subtelny sposób - jako oficer wywiadu; ona miała wykładać na uniwersytecie; później miały być dzieci - zdecydowali, że dwoje.

Miesiąc przed ślubem, w gorące sierpniowe popołudnie, na innym kontynencie niż uniwersytecka biblioteka, w której siedziała Rachela, jej nadzieje na przyszłość zniweczył bezsensowny akt przemocy. Aaron, wtedy absolwent akademii szkoleniowej Mossadu, działał pod dyplomatyczną przykrywką w Anglii. Wracał ze spotkania z tajnym agentem, którego właśnie zwerbował, w kieszeni miał bilet na lot do Tel Awiwu na następny dzień i myślał o Racheli. Był tylko przecnicę od izraelskiej ambasady w Londynie, gdy zastrzelił go palestyński zabójca. Życie Racheli zmieniło się zasadniczo.

Pocieszył ją i uspokoił David Ben - David, wuj Aarona i jego prawny opiekun po śmierci jego rodziców, którzy zginęli w terrorystycznym zamachu bombowym w Jerozolimie, gdy miał siedem lat. To Ben - David, bardziej niż ktokolwiek inny, przekonał ją, by została w Izraelu i uczyniła Ziemię Obiecaną swoim domem. Powiedział jej, że jest tu wiele do zrobienia i ona może w tym pomóc. Ben - David często zapraszał ją do domu. Z czasem Rachela stała się członkiem jego rodziny. Gdy była najbardziej załamana,

cytował jej Yeatsa: „Teraz gdy moja drabina przepadła, muszę położyć się tam, skąd wznoszą się wszystkie drabiny, w cuchnącym starzyzną sklepie serca”.

Ben - David zajmował wówczas wysokie stanowisko w Izraelskiej Zagranicznej Służbie Wywiadowczej, oficjalnie zwanej *Ha Mossad le Modiyin ve le Tafkidim Mayuhadim* (Instytut Wywiadu i Operacji Specjalnych), ale powszechnie - Mossadem, a - przez tych, którzy w nim służyli - Instytutem. W tym samym roku został mianowany szefem Mossadu. Był zawodowym oficerem wywiadu, szybko rozpoznał w pewnej sobie, mądrej młodej kobiecie, którą przyjął pod swoje skrzydła i do swego serca, predyspozycje do tego rodzaju pracy. Poprowadził ją ścieżką, o której nigdy nie myślała, że będzie jej przeznaczona. Pięć miesięcy po śmierci Aarona Rachela zaakceptowała propozycję przyłączenia się do Instytutu, najpierw jako asystentka wykonująca analizy operacyjne. Później - gdy Ben - David uznał, że jest gotowa - zaczęło się jej poważne szkolenie w akademii jako operacyjnego oficera wywiadu.

Były chwile, gdy Racheli brakowało miasta, w którym dorastała. Dla niej Nowy Jork, ze wszystkimi jego problemami, był jedynym miastem w świecie. I gdy siedziała na tarasie czytając „Timesa” poczuła kolejny nawrót nostalgii, któremu towarzyszyło poczucie winy. Zakonotowała sobie w pamięci, by wieczorem zatelefonować do rodziców. Nie widziała ich od dwóch lat, a ostatnia wizyta była bardzo nieprzyjemna. Rodzice nie wiedzieli niczego o jej współpracy z Mossadem, ale nie pochwalali tego, że została obywatelką Izraela. Uważali, że wyrzekła się własnego kraju, by zamieszkać w tak niebezpiecznym i niespokojnym państwie. Temat ten zawsze, prędzej czy później, pojawiał się w ich rozmowach, a po nim następowały nieuniknione sprzeczki. Rachela zrobiła to, co zawsze - zepchnęła myśl o rodzicach na dalszy plan, wiedząc, że myśl ta wróci wraz z poczuciem winy. Kontynuowała czytanie gazety i doszła do działu lokalnego. Zwróciła uwagę na nagłówek na początku pierwszej strony: **DZIEŁA SZTUKI ZAGINIONE W CZASIE DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ ZNALEZIONE W DOMU**

ZAMORDOWANEGO FILANTROPA.

Rozprawa doktorska Racheli nosiła tytuł „Stracone europejskie dzieła sztuki” i dotyczyła cennych przedmiotów zniszczonych lub zaginionych w czasie drugiej wojny światowej. Dzięki studiom była dobrze zorientowana w tej dziedzinie, więc zaskoczyło ją, że złodziej nie zabrał ogromnie cennych płócien - puste haki na ścianie świadczyły, że zabrał tylko cztery tajemnicze obrazy.

Przeczytała artykuł, spojrzała na załączone zdjęcie i gwałtownie wciągnęła powietrze. Wpatrywała się długo i intensywnie w mały obraz wiszący we wnętrzu, które reporter określił mianem „sekretnego pokoju”, jej zainteresowanie było nie tylko czysto akademickie.

Obraz wisiał na ścianie za nowojorskim detektywem do spraw zabójstw, który stał na pierwszym planie, rozmawiając z policjantem z wydziału do spraw skradzionych dzieł sztuki. Rachelę zerwała się i wbiegła do mieszkania, by z biurka w bawialni zabrać szkło powiększające. Wróciła na taras. Przyjrzała się uważnie ziarnistej fotografii.

- Mój Boże! - zawołała.

Obraz, olej na płótnie sygnowany nazwiskiem Rembrandt i datowany na 1651 rok, był bardziej romantyczną niż realistyczną interpretacją ruin stojącej na brzegu rzeki wieży. U jej stóp znajdowała się chłopska chata, a opodal pasło się kilka owiec. Mimo że było wiele rysunków i akwafort Rembrandta, ten był jednym z zaledwie osiemnastu obrazów, jakie artysta wykonał w oleju. Rachelę dobrze znała jego historię. Nie został ujęty w żadnym katalogu aż do 1938 roku, kiedy to okazało się, że znajduje się w posiadaniu prywatnego kolekcjonera z Wiednia i nosi tytuł „Pejzaż z kwadratową wieżą”. Krótco po tym obraz zniknął, razem z prawowitym właścicielem, i ówcześni eksperci spekulowali, że był on kolejnym zręcznym fałszerstwem, pośpiesznie ukrytym, by nie dopuścić do ośmieszenia tych, którzy się go dopuścili. Pod koniec wojny niektórzy historycy sztuki twierdzili, że tak naprawdę, to obraz ten nigdy nie istniał.

Jednakże Rachela знаła prawdę. Choć nigdy nie widziała oryginału ani nawet jego fotografii, mogła dokładnie opisać wszystkie szczegóły: białe niebo ze smugami żółci, umber i ciemna zieleń listowia, żółta ochra wieży, odbicie nieba w rzece - nastrój, ogólny klimat, gra cieni i półcieni, dodająca scenerii głębi i tajemnicy.

Obraz, a dokładnie jego historia, były impulsem, który sprawił, że Rachela została historykiem sztuki. I w tej chwili, gdy siedziała na tarasie zahipnotyzowana, ogarnęła ją fala niekontrolowanych emocji, a w oczach wezbrały łzy. Odkrycie obrazu tak zdominowało jej myśli, że z początku nie uświadomiła sobie znaczenia tego, co przeczytała. Dopiero po odzyskaniu zimnej krwi i powtórnym przeczytaniu tekstu upewniła się, że nie pominęła żadnych istotnych faktów. Reporter cytował słowa detektywa z wydziału kradzieży dzieł sztuki: „Zazwyczaj złodzieje dzieł sztuki nie uciekają się do przemocy”.

Ale terroryści tak, stwierdziła Rachela i wróciła myślami do ściśle tajnego spotkania w kwaterze głównej Mossadu, które odbyło się na początku ubiegłego tygodnia. Ben - David zebrał członków jej jednostki na specjalną odprawę. W Paryżu zabito dwóch oficerów operacyjnych Mossadu. Człowiekiem odpowiedzialnym za ich śmierć był prawdopodobnie międzynarodowy terrorysta znany jako Dieter. Jednostka Racheli otrzymała polecenie zgromadzenia wszystkich znanych faktów o nim i jego współpracownikach.

Jednakże to nie strzelanina, a raport z inwigilacji w Paryżu i wypadki poprzedzające śmierć oficerów wywiadu zainteresowały Rachelę. Przypomniała sobie, że podsłuchana rozmowa między Dieterem a jego nadal nie zidentyfikowanym towarzyszem z kawiarni nie przyniosła znaczących rezultatów. Wyłapano i nagrano jedynie fragmenty przypadkowych zdań, lecz pamiętała, że chodziło o dzieła sztuki, a przynajmniej raz dało się słyszeć aluzję do kradzieży.

Rachela zabrała „Timesa” i wróciła do biurka w bawialni. Wycięła artykuł ze zdjęciem i włożyła go do koperty z szarego

papieru. Pięć minut później, ubrana w dżinsy, koszulkę i sportowe buty, z wilgotnymi ciągle jeszcze włosami, wyjechała z podjazdu swego mieszkania i popędziła na północ nadmorską drogą.

W czasie gdy Rachela Sidrane jechała do kwatery głównej Mossadu w Tel Awiwie, pułkownik Nikołaj Leonow przygotowywał się do wyjścia z biura, które mieściło się w ściśle strzeżonym kompleksie Służby Wniesznej Razwiedki (SWR), niedawno powstałej rosyjskiej Służby Wywiadu Zagranicznego.

SWR, której rolę wcześniej sprawował Pierwszy Naczelny Zarząd KGB, jest organizacją niezależną od zreorganizowanego systemu bezpieczeństwa i policji, analogiczną do CIA w części odpowiadającej za całość zewnętrznego wywiadu. Główny budynek kompleksu w Jasieniewie, zajmującego lesisty teren na południowy zachód od obwodnicy moskiewskiej, jest bardzo podobny do kwatery głównej CIA w Langley. Funkcjonariusze CIA określają swoją agencję różnymi nazwami, z których najbardziej znana jest Firma, kwatera główna SWR jest natomiast powszechnie znana jako *Lies* (las).

Leonow zamykał właśnie ściśle tajne dokumenty w sejfie, gdy do biura wszedł kapitan Jurij Sobczak, jeden z czterech jego asystentów. Na jego twarzy gościł wyraz zaniepokojenia.

- Pułkowniku Leonow, wydaje mi się, że może to być coś ważnego - powiedział i podał mu raport, który przybył z ostatnimi depezbami z rosyjskiej misji przy Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku.

Raport był streszczeniem jawnych informacji wywiadowczych, codziennie przysyłanych do wszystkich sekcji Pierwszego Departamentu SWR - wydziału odpowiedzialnego za operacje wywiadowcze skierowane przeciwko Stanom Zjednoczonym i obywatelom amerykańskim przebywającym poza krajem. Informacje zawarte w tym raporcie - i w innych podobnych zbieranych przez ambasadę rosyjską w Waszyngtonie oraz misje i konsulaty rozsiane po całym kraju - dotyczyły kwestii politycznych, handlowych i technologicznych, a także wiadomości prasowych z większych miast. Biuro Leonowa otrzymywało kopie raportów z każdego państwa, w którym znajdowały się sekcje SWR, czyli praktycznie ze wszystkich krajów świata.

Leonow pobieżnie przeczytał jednoszpaltowy tekst, wzruszył ramionami i obrzucił Sobczaka pytającym spojrzeniem.

- Dlaczego to do mnie przyniosłeś?

- Proszę zwrócić uwagę na piąty akapit na trzeciej stronie. Leonow zainteresował się wskazaną notatką. Oczywiście zwięzły mu się, gdy zaczął czytać streszczenie artykułu z „New York Timesa” dotyczącego śmierci Edwarda Winthrop’a Stewarta, zamożnego filantropa i znanego kolekcjonera dzieł sztuki.

- Rozpoznałem to nazwisko i wprowadziłem do komputera - powiedział Sobczak. - Stewart nigdy nie został zwerbowany, ale zgodnie z waszymi rozkazami, znajduje się na liście osób podlegających okresowej kontroli.

Leonow doskonale znał status Stewarta; główną część jego pracy stanowiło uaktualnianie wiedzy o wszelkich aspektach życia tego człowieka, tak samo jak życiorysów innych ludzi, których nazwiska znajdowały się w jego archiwach ściśle tajnej operacji. Pierwotne akta zawierały jedenaście nazwisk znaczących i bogatych mieszkańców pięciu krajów Zachodu. Wielu z nich obecnie wycofało się z aktywnego życia, ale zmuszono ich do zwerbowania następców i obecnie lista zawierała dwadzieścia dziewięć nazwisk.

Leonow przeczytał raport po raz drugi i podniósł głowę, z niepokojem ścigając brwi.

- Wyjdz - rozkazał szorstkim tonem młodemu kapitanowi.

Sobczak zareagował natychmiast, a Leonow podszedł za nim do drzwi i zamknął je na klucz. Następnie wprowadził kod do cyfrowego zamka w drzwiach sejfu o stalowych ścianach, grubych na dwadzieścia pięć centymetrów. Sejf zajmował całe wnętrze specjalnie w tym celu wybudowanego pomieszczenia.

Znalazłszy się w chłodnym, przypominającym kryptę wnętrzu, otworzył kluczem szufladę i wyjął teczkę z aktami. U góry teczki wydrukowano dużymi czarnymi literami: EDWARD WINTHROP STEWART - USA - NIEAKTYWNY, a bezpośrednio pod nim w nawiasie (GENEZA: HERMANN GORING - MARSZAŁEK RZESZY).

Operacje, które wywodziły się z informacji ujętych w serii akt, znanych jako COKING, były wyłącznym powodem istnienia departamentu Leonowa. Leonow, od czasu wstąpienia przed dwudziestoma pięcioma laty do KGB, zajmował się tylko tym. Jego czteroosobowy personel podlegał tym samym ograniczeniom. Pracownicy, raz przydzieleni do jego biura, musieli w nim przebywać do emerytury.

Departament Leonowa w statucie organizacyjnym SWR egzystował jako Biuro Projektów Specjalnych i pozornie był małą grupą badawczo - poszukiwawczą nieokreślonej podsekcji Służby R, która zajmowała się planowaniem i analizami. Jego operacje, tak samo jak wiedza o ich istnieniu, były ściśle tajne. Zrodziły się one w 1945 roku w NKWD, następnie zostały przekazane spadkobiercom: NKGB, MGB, KGB i w końcu SWR. Od czasu sierpniowego puczu tylko jeden ze zwierzchników Leonowa, szef SWR, posiadał jedyną kopię akt zamkniętą w równie bezpiecznym sejfie. On również znał prawdziwy cel istnienia departamentu oraz ogromną ilość istotnych informacji, zgromadzonych w ciągu minionych czterdziestu sześciu lat.

W konsekwencji, ku zdumieniu ludzi, którzy byli bezpośrednimi przełożonymi Leonowa, omijał on normalną drogę służbową i wszystkie sprawy odnoszące się do operacji GORING załatwiał bezpośrednio z szefem SWR. Tłumaczono to tym, że Leonow od

czasu do czasu prowadzi ściśle tajne badania. Żaden z jego zwierzchników nie wiedział ani nawet nie podejrzewał, iż ten wykształcony pułkownik o miłym głosie dyryguje operacją, która infiltruje głęboko amerykański system obrony, dyplomacji, wywiadu i nauki, podobnie jak we Francji, Wielkiej Brytanii i Niemczech oraz - ze zrozumiałych względów na mniejszą skalę - w Hiszpanii.

Po niedawnym puczu w Związku Radzieckim praca Leonowa nabrała jeszcze większego znaczenia. Powodzenie operacji wywiadu zależy od lokalnych udogodnień i sieci agentów. Kiedy Rosja przestała być światową potęgą, rekrutacja nowych szpiegów przez SWR, a nawet bazowanie na tych już istniejących, stało się poważnie utrudnione. Ludzie, godzący się na współpracę z obcym wywiadem potrzebują gwarancji, że nie zostaną skompromitowani i narażeni na wynikające z tego niebezpieczeństwa. Po przewrocie, gdy zachwiała się potęga i znaczenie radzieckiego mocarstwa, jedynie kilka osób zdecydowało się zawierzyć obietnicom Rosjan.

Wkrótce stało się jasne, że po puczu SWR została poważnie osłabiona i chwilowo wyeliminowana z gry. Aby to naprawić, niezbędne stało się zastosowanie drastycznych środków. Należało zreorganizować istniejącą sieć szpiegowską i z powrotem zapewnić jej bezpieczeństwo, lecz cięcia budżetowe o połowę zredukowały finanse przeznaczone dla działających za granicą oficerów wywiadu. Konieczne stało się pokładanie większego zaufania w agentach „nielegalnych”, którzy działali poza środowiskiem dyplomatycznym. Miało to zapobiec ujawnieniu niektórych z najbardziej cennych, działających od dawna tajnych agentów SWR. Utworzono też nowy departament, składający się ze „studentów”, którzy biorąc udział w szybko rozpowszechniających się programach wymiany, mogli działać za granicą, z dala od lokalnych rezydentur, nie narażając się na ciągłe obserwacje służb kontrwywiadowczych krajów udzielających im gościny. Jednakże taki system nie powstawał w ciągu jednej nocy i musiał minąć co najmniej rok, by przeprowadzane operacje zaczęły przynosić

rezultaty.

Nowy rząd rosyjski zawarł porozumienie z Zachodem, dotyczące współpracy w dziedzinie walki z handlem narkotykami i terroryzmem. Z tego powodu „akcje bezpośrednie” - agresywne akty szpiegowskie skierowane przeciwko Stanom Zjednoczonym i Wspólnocie Europejskiej - zostały ograniczone, nie można było dopuścić do incydentów, które mogłyby zaszkodzić udzielanej przez te kraje pomocy finansowej i humanitarnej. Jednak trwająca dziesiątki lat paranoja zapuściła głębokie korzenie w ksenofobicznej naturze Rosjan. Politycy, którzy w pełni rozumieli wewnętrzne dążenie do zredukowania wydatków militarnych i podniesienia poziomu życia obywateli, pozostawiali służbie wywiadowczej niewielki wybór.

Wywiad, mając do dyspozycji zmniejszone fundusze, nadal musiał kontynuować grę najlepiej, jak to było możliwe.

Operacje Leonowa przyczyniały się do zdobywania informacji technologicznych i pozwalały infiltrować politykę Zachodu. Dzięki temu uważane były za jedną z kilku pozostałych SWR „złotych żył”. Obsługiwanie i kontrolowanie dawno zwerbowanych agentów nie wymagało żadnych nowych działań. Operacje były tak precyzyjnie zaplanowane, że praktycznie nie istniało ryzyko ich ujawnienia. Incydent dotyczący Edwarda Winthropa Stewarta był pierwszym pęknięciem w ciasno splecionej tkaninie operacji, która bez skazy ciągnęła się od czterdziestu sześciu lat.

Po przejrzeniu informacji zawartych w teczce Stewarta i odłożeniu jej do sejf, Leonow wezwał Sobczaka przez interkom.

- Wyślij depezę o najwyższym priorytecie do rezydenta misji przy ONZ w Nowym Jorku. Chcę mieć wszystkie szczegóły kradzieży obrazów i śmierci Stewarta, łącznie z raportami policyjnymi, dostępnymi naszym wtyczkom.

Po namyśle, gdy zdał sobie sprawę że „rezydent”, najstarszy rangą oficer w misji, może nie zareagować na polecenie jakiegoś nieznanego pułkownika, dodał:

- Upewnij się, czy zrozumiał, że sprawa ta podlega szefowi

Zagranicznej Służby Wywiadowczej, I chcę być zawiadomiony natychmiast, bezpośrednio po nadejściu raportu, bez względu na porę. To byłoby wszystko.

Młody kapitan odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia, by ułożyć i zaszyfrować depezę.

Leonow siedział za biurkiem, paląc papierosa za papierosem i patrząc na ukraiński pejzaż, który zajął miejsce wiszącego niegdyś na ścianie portretu Lenina. Stewart nigdy nie był ważnym trybikiem w machinie. W 1946 roku psychiatrzy NKWD sporządzili portrety psychologiczne jedenastu ludzi umieszczonych na pierwotnej liście. Stewarta - aroganckiego człowieka o wielkim poczuciu pewności siebie - uznano za mało podatnego do przeprowadzenia rozmów wstępnych. Stwierdzono, że gdyby nacisnąć go zbyt bezwzględnie, to trudno byłoby nim kierować i stanowiłby potencjalne zagrożenie. Sugerowano, że nie dopuściłby do tego, aby pozbawiono go kontroli nad własnym życiem. Doniósłby prędzej o każdej próbie nawiązania kontaktu, choć ujawnienie jego interesów z nazistami groziłoby mu postawieniem przed sądem.

Pomimo tych prognoz doprowadzono do pierwszego, próbnego nawiązania kontaktu - Stewart zdecydowanie nie zgodził się na współpracę, co potwierdziło ocenę psychiatrów. Zdecydowano, że skoro człowiek ten nie jest powiązany ze środowiskiem wywiadu i nie pełni żadnej funkcji w rządzie, a jego interesy nie dotyczą ani przemysłu zbrojeniowego, ani innych gałęzi szybko rozwijających się nowych technologii, może być trzymany w rezerwie. Postanowiono nie nachodzić go ponownie, dopóki nie nadarzy się okazja wykorzystania go do innych celów. W taki sposób Stewart pozostał jednym z dwóch ludzi, których nazwiska znajdowały się na pierwszej liście, a których państwowa agencja nie zapędziła do swojej owczarni. Drugim był francuski hrabia, przyjaciel de Gaulle'a, który wojnę przeżył w Szwajcarii, a w 1946 roku objął wysokie stanowisko we francuskim Ministerstwie Obrony. Popęłił samobójstwo w godzinę po tym, jak zaproponowano mu wybór:

albo zastosuje się do żądań KGB, albo wyjdą na jaw kompromitujące go rzeczy. Poza tymi dwoma przypadkami, operacja przebiegała zgodnie z planem, a jej efekty przechodziły najśmielsze oczekiwania.

Leonow, dwanaście lat temu awansowany na szefa Biura Projektów Specjalnych, doprowadził operację GORING do perfekcji. Kierował swymi stacjonarnymi agentami twardą i pewną ręką, a nawet sporadycznie dokonywał nowych rekrutacji.

Potężny tłuścioch, mierzący prawie dwa metry i ważący prawie sto dwadzieścia kilogramów, sprawiał wrażenie pospolitego urzędnika, ale, jak większość rzeczy w życiu, tak i powierzchowność bywa myląca. Leonowa można było posądzić o wszystko, lecz nie o pospolitość. Był spostrzegawczym i inteligentnym człowiekiem, który na początku swojej kariery nauczył się, że nigdy nie należy akceptować zbiegów okoliczności. Jako znakomity logik, rozwiązując problemy bezbłędnie znajdował przejścia tam, gdzie inni widzieli tylko splątany labirynt.

Wypadek dotyczący Stewarta nie dawał mu spokoju. Możliwe, że powiązanie rabunek - morderstwo było przypadkowe, ale według artykułu w gazecie kradzież była selektywna. Stanowiło to dla niego niepokojącą oznakę i być może zwiastowało dużo większe kłopoty.

Leonow zapalił papierosa, nieświadom, że poprzedni nadal żarzy się w popielniczce. Podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu z bezpośrednim połączeniem z gabinetem szefa SWR. W ten sposób rozpoczął działania, które miały wystawić na próbę umiejętności, jakich nigdy wcześniej od niego nie wymagano.

Siedem stref czasowych na zachód od biura pułkownika Leonowa, Jürgen Strasser kończył rozpoznanie terenu otaczającego rezydencję Arthura Cabota na Gramercy Park West. Cabot, emerytowany zawodowy dyplomata, tylko o rok młodszy od Stewarta, zgodnie z informacjami dostarczonymi przez Drussarda i tym, co zaobserwował Strasser, również nie dbał o swoje bezpieczeństwo.

Jedyną poza nim mieszkanką eleganckiej neoklasycznej kamienicy z czerwonej cegły była dużo młodsza kobieta w wieku czterdziestu lat, prawdopodobnie jego żona. Wcześniejsza obserwacja ujawniła, że w domu nie ma stałej służby; dwie kobiety przychodziły o ósmej rano i wychodziły parę minut po piątej po południu.

Strasser dokonywał ostatniego przeglądu terenu. Szukał dyskretnego miejsca w pobliżu porośniętego drzewami skweru, w którym mógłby zaparkować. Przejeżdżając obok domu zobaczył żonę Cabota wychodzącą frontowymi drzwiami. Obserwował, jak kobieta wsiada do limuzyny, podczas gdy szofer umieszcza w bagażniku jej walizki. Na podstawie tablic rejestracyjnych zorientował się, że samochód pochodzi z wypożyczalni. Zaparkował furgonetkę, zadzwonił do dyspozytora i udając Cabota zapytał, dlaczego nie ma jeszcze samochodu. Zapewniono go, że

kierowca właśnie zabrał panią Cabot na lotnisko, tak jak było uzgodnione. Strasser uśmiechnął się do siebie, gdy usłyszał tak cenną informację. Wszystko układało się pomyślnie; Cabot będzie w domu sam.

W centrum skweru znajdował się prywatny park, będący ekskluzywną enklawą dla kilku najbogatszych mieszkańców miasta. Ta część Nowego Jorku, określona w przewodniku jako godna zwiedzenia, najbardziej przypominała przeszłość. Ozdobne latarnie i historyczne kamienice, upiększone zewnętrznymi schodami, kutymi w żelazie balustradami i balkonami - wszystko to w ostatnim czasie stało się elementem kulturowej i etnicznej mieszanki, w której nawet najbardziej dziwaczne zachowania nie przyciągały niczyjej uwagi.

Późnym popołudniem Strasser zauważył grupkę japońskich turystów, wędrujących za przewodnikiem. Japończycy spacerowali po skwerze i robili zdjęcia na każdym zakręcie. Ich obecność pomogła mu zachować anonimowość. Podszedł do furgonetki i ze schowka na rękawiczki wyjął aparat, potem wrócił na skwer i przyłączył się do wycieczki, póki nie znaleźli się przed domem Cabota. Zatrzymał się i udając zainteresowanie architektonicznymi szczegółami kamienicy z przełomu wieków zaczął robić zdjęcia. Ukradkowo zerkał w wąskie przejście między domem Cabota a sąsiednim budynkiem.

Ostrożnie wślizgnął się w przejście, grając rolę natrętnego turysty. Przystanął w połowie drogi i wycelował aparat w okna domu Cabota, wychodzące na sąsiednią posesję. Story były zaciągnięte, okna na parterze i piętrze zakratowane, tak jak w domu Stewarta. Przejście kończyło się na tyłach kamienicy, gdzie zamknięta na klucz brama z kutego żelaza broniła dostępu do prywatnych ogrodów, rozciągających się za wysokim na dwa metry ceglany murem.

Strasser zerknął przez bramę do ogrodu Cabota i uważnie przestudiował zamknięty obszar. Natychmiast zorientował się, że system bezpieczeństwa nie może opierać się na promieniach

podczerwonych, ponieważ układ krzewów rozrzuconych w zadbanym ogrodzie uniemożliwiłaby pracę czujników. Doszedł również do wniosku, że nie zastosowano promieni mikrofalowych, zdolnych do penetrowania zarośli. Uznał je za niepraktyczne - już tylko czyjaś obecność przy bramie spowodowałaby podniesienie alarmu.

Dopuszczał możliwość istnienia sejsmicznych sensorów wkopanych w grunt, ale nie przejmował się nimi. Wiedział, jak je pokonać na odległości mniejszej niż trzy metry, jaką musiałby przebyć, by dotrzeć do ściany domu. Czujniki tego typu przystosowane są do wykrywania wibracji, wywołanych przez kroki idącego człowieka. Po pokonaniu muru i delikatnym opuszczeniu na ziemię, mógł położyć się i powoli toczyć w kierunku domu, rozkładając swój ciężar na większej powierzchni i unikając wytworzenia charakterystycznych wibracji, towarzyszących chodzeniu czy bieganiu.

Strasser przyjrzał się kuchennym drzwiom i oknom wychodzącym na tyły kamienicy. Po lewej stronie prowadzących do ogrodu schodów zobaczył piwniczne okienko. Częściowo zakrywały je krzewy i róże. Nie było w nim krat, ale framuga różniła się od okien na wyższych piętrach. W ramy wpuszczono ciężką drucianą siatkę. Za nią zauważył cztery równo od siebie oddalone izolowane przewody. Strasser rozpoznał je jako ekran alarmowy, a poza tym powiedziały mu one coś więcej o systemie bezpieczeństwa - został on zainstalowany przez kogoś, kto albo nie był zbyt dobrze zorientowany w tych sprawach, albo był niezbyt sumienny i daleki od doskonałości w swojej pracy.

Okna na parterze i pierwszym piętrze na tyłach trzypiętrowego budynku zakratowano tak, jak te na bokach i froncie. Oglądał je po kolei, gdy jego uwagę przyciągnął wielki, szarobłękitny perski kot, rozciągnięty na wewnętrznym parapecie najbliższego mu okna. Po chwili kot zeskoczył i zniknął z pola widzenia, ale dostarczył mu kolejnej istotnej informacji: jeżeli w pokojach i korytarzach znajdowały się emitery podczerwieni, to promienie przez nie

wysyłane musiały przebiegać na tyle wysoko, by kot mógł poruszać się swobodnie, a zatem on miałby dość miejsca, by w razie potrzeby przeczołgać się pod nimi.

Znów popatrzył na pojedyncze okienko i zdecydował, że przez nie dostanie się do środka. Wsunął obiektyw aparatu między pręty bramy i wycelował na drucianą siatkę. Szybko zrobił kilka zdjęć, a potem, dla zachowania pozorów - na wypadek, gdyby ktoś go obserwował - zwrócił obiektyw na ogród.

Strasser zjadł wczesną kolację w pobliskiej restauracji, przestudiował zdjęcie okienka, wywołane w ekspresowym punkcie usługowym, i przed siódmą był z powrotem na skwerze. Resztki wieczornego światła gasły, gdy szedł drugą stroną ulicy i wypatrywał oświetlonego okna, sygnalizującego, w którym pomieszczeniu jest Cabot. Miał właśnie zamiar skręcić w zaułek między domami, gdy z kamienicy wyszedł starszy pan, doszedł do rogu i skręcił na północ.

Strasser zadziałał natychmiast - rozejrzał się po prawie wyludnionej ulicy, skręcił w stronę zaułka i niezauważalnie wślizgnął między dwa budynki. Byłoby najlepiej, gdyby znalazł obrazy i zdołał uciec bez konfrontacji z właścicielem. Zwinnie wspiał się na mur obok bramy i opuścił na ziemię po drugiej stronie. Położył się płasko na trawie, wyciągnął ręce i potoczył do oddalonego o trzy metry ściany domu. Tam szybko podniósł się na kolana tuż przy okienku sutereny, za ogromnym krzakiem, zasłaniającym go przed widokiem każdego, kto by zajrzał do ogrodu.

Mała torba, jaką umieścił przy pasie, zawierała cały niezbędny ekwipunek. Cążkami przeciął drucianą siatkę, potem ostrożnie wyciągnął ją z ram, odsłaniając znajdujące się za nią przewody alarmowe. Z pewnością wyszkolonego eksperta, mającego za sobą lata doświadczeń, wykonał najdelikatniejszą część zadania. Zamiast kombinerek, którymi mógłby dokonać zbyt głębokiego cięcia, użył stalowego składanego noża z ostrym jak brzytwa ostrzem. Stopniowo ścinał plastikową izolację tak, by nie dotknąć rdzenia. W

ciągu piętnastu minut zestrugał i odsłonił oba końce wszystkich przewodów, biegnących od framugi do framugi. Z torby przy pasie wyjął cztery izolowane przewody, długie na półtora metra i zaopatrzone na końcach w krokodylki. Ostrożnie przymocował wszystkie jednocześnie do odsłoniętych końców drutów alarmowych tak, by utworzyć dodatkowy obwód, który pozwoli mu przeciąć oryginalne przewody i usunąć ekran bez włączania alarmu. Okno nie było otwierane od lat, ale Strasser podważył je nożem i silnie uderzył w ramę. Zdołał otworzyć je na tyle szeroko, by wpełznąć do środka. Opuścił się na podłogę pomieszczenia, które wydawało mu się niezwykle chłodne. Zapalił kieszonkową latarkę i stwierdził, że znajduje się w olbrzymiej piwnicy na wino, dobrze zaopatrzonej, wyposażonej w termostat, który utrzymywał w niej stałą temperaturę czternastu stopni.

Wiedział, że w domu nikogo nie ma, ale czekał skulony na podłodze pod oknem, nasłuchując odgłosów wskazujących, że odkryto włamanie. Po pięciu minutach ciszy podszedł do drzwi, które prowadziły do wyłożonego dębową boazerią pokoju rekreacyjnego, ze stojącym na środku stołem bilardowym. Światło latarki wyłoniło z ciemności schody prowadzące na górę. Strasser zatrzymał się na podeście, by znów nasłuchiwać, potem otworzył ciężkie dębowe drzwi i wszedł do kuchni. Zamknął je za sobą, oparł się o nie i jeszcze raz zastygł w bezruchu, omiatając wzrokiem ściany w poszukiwaniu emiterów promieni podczerwonych. Nie znalazł ani jednego, ruszył więc korytarzem w stronę frontu domu. Dotarł do małej bawialni i powiódł światłem latarki po obrazach wiszących w bogato zdobionym pomieszczeniu. Szczęk odsuwanych rygli zmusił go do błyskawicznego skoku w kąt i ukrycia się za krzesłem z wysokim oparciem.

Ręce Artura Cabota drżały, gdy zatykał pod pachą gazety i pudełko importowanego tytoniu do fajki. Niezdarnie gmerał kluczami w zamkach. Wszedł, zamknął drzwi i spróbował się uspokoić, powoli i głęboko wciągając powietrze. Trzy razy próbował wystukać kod na tablicy kontrolnej, nim w końcu udało

mu się trafić na właściwe cyfry i wyłączyć system alarmowy. Tak się złożyło, że rano pracował w ogrodzie, a przez resztę dnia pomagał żonie w przygotowaniach do wyjazdu do Bostonu, nie oglądał więc wiadomości ani też nie wyszedł na poranny spacer i nie kupił „Timesa”, którego zazwyczaj czytał przy śniadaniu. Był wstrząśnięty nagłówkami w gazetach, które zobaczył w sklepie z tytoniem - osobiście znał Edwarda Winthropa Stewarta. Jednakże zaniepokoiła go nie tyle jego śmierć, ile ujawnienie tajnej kolekcji zaginionych dzieł sztuki. Cabot śpiesząc do domu myślał, że znali się tyle lat, a nigdy nie przypuszczał, iż obaj pół wieku temu padli ofiarą tej samej słabości.

Chciał przeczytać artykuły w trzech zakupionych gazetach, zwłaszcza z „Timesa”, który w przeciwieństwie do brukowców przynajmniej nie rozgłaszał wieści w przerażających, szerokich na całą stronę nagłówkach. Pośpieszył do holu i położył gazetę na skraju stołu, sięgając do wyłącznika lampy. Zatrzymał się z wyciągniętą ręką, sparaliżowany strachem, gdy kątem oka zobaczył, jak z ciemnego kąta wyłania się niewyraźna postać.

Jedenastego grudnia 1941 roku, osiem dni przed wypowiedzeniem przez Stany Zjednoczone wojny nazistowskiemu Niemcom, rozsądek Cabota i jego poczucie ludzkiej przyzwoitości zostały chwilowo stłumione przez zachłanność i skąpstwo. Od pośrednika z Zurychu nabył dwa obrazy wątpliwego pochodzenia. Był to fakt, który zatruł mu resztę życia i za który zapłacił osobistym cierpieniem. Ale jak miał się wkrótce przekonać, ostateczna zapłata nie została jeszcze wyegzekwowana.

Arthur Cabot zmarł z powodu rozległego wylewu. Spowodowało go pęknięcie czaszki, którego doznał, gdy próbował wyrwać się torturującemu go człowiekowi. Ten czas wydał mu się wiecznością, choć w rzeczywistości minęło mniej niż piętnaście minut. Nie mógł już znieść rozdzierającego bólu i podał Strasserowi wszystkie informacje. Służące znalazły ciało o ósmej rano. Było ono sztywne i leżało w groteskowej pozycji, w jakiej Cabot wylądował u stóp schodów: ręce i nogi były rozrzucone, a głowa i szyja wykręcone pod nieprawdopodobnym kątem.

W godzinę po przybyciu na miejsce wypadku szefa wydziału śledczego i reporterów, depczących mu po piętach, rozpętało się istne piekło. Najpierw w gabinecie burmistrza, a kilka minut później w biurze komisarza policji na czternastym piętrze One Police Plaza, potem w biurze szefa wydziału śledczego piętro niżej.

Poczuł zapach tego miejsca: nikły, mdląco słodki zapach śmierci, który wisiał w powietrzu i przenikał cały budynek. Porucznik Mike Kelly od czternastu lat był detektywem wydziału zabójstw w nowojorskim departamencie policji i odwiedzał kostnicę niezliczoną ilość razy, lecz nigdy nie zdołał się do tego przyzwyczać.

Jego dzień pracy rozpoczął się od rozmowy telefonicznej, którą

odebrał w biurze detektywów siedemdziesiątego okręgu w Brooklynie - dzwonił do niego sierżant z biura szefa wydziału śledczego policyjnej kwatery głównej. Kelly otrzymał rozkaz natychmiastowego przyścia.

Zwrócił na siebie uwagę szefa cztery lata temu, kiedy jeszcze jako sierżant perfekcyjnie i błyskotliwie wykonał kolejne zadanie. Reputacja skrupulatnego i upartego oficera dochodzeniowego, tak samo jak rekordowa ilość spraw rozwiązanych w ciągu pięciu lat służby w siedemdziesiątym okręgu, zaowocowały tym, że został wyznaczony na szefa grupy utworzonej w celu wyjaśnienia zabójstw dwóch znaczących i zamożnych mieszkańców miasta.

Kelly, upoważniony do wybrania własnych ludzi, w godzinę ściągnął dwóch detektywów ze swego macierzystego oddziału i trzech z innych okręgów. Pracował z nimi wcześniej i darzył ich dużym zaufaniem. Podejrzewał, że obaj zamordowani padli ofiarą swoich kolekcji, i że oba przypadki są ze sobą powiązane, poprosił więc dodatkowo o sześciu ludzi z wydziału do spraw kradzieży dzieł sztuki. Szef wydziału śledczego zapewnił go, że w razie potrzeby otrzyma dalsze posiłki z komendy miejskiej - tak wielki był polityczny nacisk, jaki spowodowały te dwa zabójstwa.

Tuż przed dwunastą Kelly wszedł do prostokątnego, szarzielonego budynku u zbiegu Trzynastej Ulicy i Pierwszej Alei, w którym mieściło się prosektorium. Znajoma, ciężka woń śmierci powitała go przy drzwiach i narastała, gdy szedł do kostnicy. Czekał tam na niego kierownik patologów i lekarz sądowy o trzydziestoletnim stażu, Richard Roth.

Z boku, opierając się o bladezielone ceramiczne kafelki, pokrywające ściany pomieszczenia, stał jeden z pomocników laboratoryjnych. Roth stał między stołem z nierdzewnej stali a noszami na kółkach. Okulary zsunęły się mu na czubek nosa, gdy naciągał chirurgiczne rękawice na rękawy laboratoryjnego kitla. Autopsja zakończyła się poprzedniego dnia, a zwłoki Stewarta przywieziono tutaj z lodówki w celu dokonania porównawczych oględzin. Na stalowym stole po prawej stronie leżało przygotowane

do sekcji ciało Arthura Cabota.

- Co jest w tym mieście, poruczniku? - zaczął Roth z radosnym uśmiechem. - Ciało nigdy nie brakuje, prawda?

- Musi być coś w wodzie - odparł Kelly. Miał nadzieję, że dobry humor posepnego zazwyczaj patologa jest związany z jego sprawą.

Kelly wcześniej telefonował do Rotha i wiedział już, że przyczyną śmierci Stewarta był atak serca, ale to, co go spowodowało, pozostawało sprawą otwartą. Roth uważał, że był to ciężki szok albo seria szoków, które wstrząsnęły centralnym układem nerwowym ofiary. Przyczyna śmierci Cabota z powodu wylewu mózgowego, powstałego w wyniku pęknięcia czaszki, była jasna od samego początku: upadek czy zepchnięcie z wysokich schodów na marmurową posadzkę holu.

- Niech pan podejdzie bliżej - powiedział Roth. - Chcę panu coś pokazać.

Kelly zbliżył się i stanął tuż za lewym ramieniem Rotha w smudze jasnego światła, rzucanego na ubrane ciało Cabota przez podwójny rząd lamp fluorescencyjnych. Stół sekcyjny zrobiony był z perforowanej stalowej płyty. Na jednym końcu znajdował się zlew i krany, służące - jak Kelly wiedział z poprzednich wizyt - do spłukiwania krwi i płynów ustrojowych. Nad stołem wisiał mikrofon do nagrywania uwag patologa, czynionych w czasie sekcji, bardzo silna lampa na ruchomym ramieniu, zapewniająca bezpośrednio oświetlenie przy precyzyjnej pracy, i waga do określania ciężaru narządów. Kelly zauważył, że stężenie pośmiertne, któremu w normalnych warunkach ciało Cabota podlegałoby przez kolejne dwadzieścia cztery godziny, zostało „przełamane” - skurczone mięśnie powykęcanych kończyn rozciągnęły się do swych naturalnych rozmiarów.

- To Tony Morino. - Roth przedstawił pomocnika, który się do nich przyłączył. - Jeżeli ma pan jakieś wątpliwości co do związku między tymi dwoma morderstwami, to bystre oczy Tony'ego i wnikliwość wynikająca z jego dość ciekawej przeszłości, uwolnią pana od nich.

Roth podniósł lewą rękę Cabota i obniżył lampę tak, by świeciła prosto na nią.

- Jeżeli spojrzysz pan z bliska, zobaczy pan małą rankę od ukłucia pod paznokciem kciuka.

Kelly pochylił się i przyjrzał uważnie ledwo widocznemu znakowi.

- Nie zauważyłem go - mówił Roth. - Moje oczy nie są takie jak dawniej. Ale znalazł ją Tony, będący tutaj całkiem przypadkowo. Jak się okazało, pierwsza ofiara, Stewart, ma identyczny znak w tym samym miejscu.

Roth odwrócił się, ściągnął prześcieradło i podniósł lewą rękę Stewarta. Przesunął lampę tak, by nakłucie pod paznokciem było widoczne w jasnym świetle.

- Jaka jest tego przyczyna? - Kelly pochylił się, żeby z bliska obejrzeć kciuk Stewarta.

- Powiedz porucznikowi to, co mi opowiedziałeś - zwrócił się do pomocnika Roth.

Morino, wysoki, muskularny i energiczny mężczyzna z nerwowym tikiem, który sprawiał, że jego lewa powieka drgała raz za razem, mówił miękkim, nieco rwącym się głosem.

- Jakies dwadzieścia trzy lata temu byłem w Wietnamie, w ramach programu Phoenix. Między innymi przesłuchiwalismy więźniów... głównie ludzi podejrzanych o to, że należą do Wietkongu. Czasami torturowalismy ich w celu wydobycia informacji. Jedną z metod było coś, czego nigdy nie zapomnę. Nigdy nie zawodziła. Północnowietnamski kapitan, renegat przysłany nam z CIA do prowadzenia przesłuchań, używał jej przez cały czas; tego sukinsyna psychopatę naprawdę to bawiło. - Tik Morino nasilił się, gdy mówił dalej. - Brał on szpilkę od kapelusza, długą na siedem centymetrów, i wbijał ją pod paznokieć przesłuchiwanego. Z początku, gdy wgłębiała się na centymetr czy dwa, można było to wytrzymać - facet wzdragał się i jęczał przez zaciśnięte zęby. Delikwent był związany na krześle, z nadgarstkami przymocowanymi do poręczy tak, aby nie mógł się poruszyć. Za

każdym razem, gdy odmawiał udzielenia odpowiedzi na pytanie, kapitan kolbą pistoletu wbijał szpilkę nieco głębiej, aż do pierwszego stawu. Niektórzy znosili nawet jeszcze i to, ale nikt, dosłownie żaden, nie wytrzymał tego, co następowało potem.

Kelly miał żywą wyobraźnię i bez kłopotu wyobraził sobie, jaki rodzaj bólu wiąże się z opisywanymi torturami. Na samą myśl drgnął mimowolnie i ścisnął kciuki.

Tik Morino zamienił się w ciągłe trzepotanie powieki. Kelly podejrzewał, że pomocnik na nowo przeżywa doświadczenia, które przed laty widział na własne oczy.

- Ten zboczony skurwysyn brał główkę szpilki i potrząsał nią, naprawdę mocno, a czubek tkwił przecież w stawie, jak powiedziałem. I mówię panu, po dwóch czy trzech szarpnięciach faceci mówili wszystko, co widzieli, a nawet rzeczy, o jakich nie mieli pojęcia; po prostu wymyślali wszystko, co chciał usłyszeć kapitan. Człowiek musi się złamać, gdy ból narasta do tego stopnia. Chryste, oni nawet wskazywali na niewinnych ludzi, robili wszystko, by przerwać cierpienie.

- To aż nadto, by spowodować atak serca u starszego człowieka - powiedział do Kelly'ego Roth. - Zgodzi się pan ze mną? I ślady po rzemieniach na nadgarstkach obu ofiar pasują do tego, co opisał nam Tony.

- Czy ta szczególna metoda przesłuchiwania wywodzi się z Wietnamu? - Kelly pomyślał, że być może znalazł jakiś trop. Może zabójcą był weteran wojny wietnamskiej, niegdyś przydzielony do jednostki wywiadu specjalizującej się w przesłuchaniach.

- Nie - odrzekł Morino. - Pewnego dnia zapytałem go, gdzie nauczył się tej piekielnej sztuczki. Odparł, że zdradził mu ją wschodnioniemiecki doradca z Hanoi. Powiedział, że wymyślili ją naziści w czasie drugiej wojny światowej. Chyba mówił, że stosowało ją Gestapo.

Obie ofiary były więc torturowane tak długo, póki nie wydały obrazów, pomyślał Kelly. Stewart do momentu zdradzenia lokalizacji swego tajemniczego pokoju, a Cabot do chwili, w której

wyznał, że płótna znajdują się w małym prywatnym gabinecie za jego sypialnią. Wyglądało na to, że ze ścian gabinetu Cabota zniknęły co najmniej dwa obrazy, ale pomieszczenie to zawsze było zamknięte na klucz, więc służące tam nie sprzątały i nie mogły tego potwierdzić. Pani Cabot, z którą Kelly chciał przeprowadzić wywiad, miała wrócić nie wcześniej niż za dwa dni. Zatrzymała się u przyjaciół w Bostonie i nie można było się z nią skontaktować.

Kelly'ego zaniepokoiła szczególnie jedna rzecz, ewidentna w obu przypadkach. Detektyw z wydziału kradzieży dzieł sztuki powiedział, że obrazy pozostawione w domu Cabota warte były miliony; tak samo było w przypadku Stewarta. To, że skradzione płótna przechowywane były z innymi w tajnym pomieszczeniu, o istnieniu którego nie wiedział nikt z zewnątrz, mogło oznaczać, że zabójca posiadał dokładne informacje, znane tylko kilku osobom. Gdyby to samo odnosiło się do Cabota, znaczyłoby to, iż sprawa jest czymś więcej niż tylko kradzieżą dzieł sztuki połączoną z morderstwem.

- Dobrze, idziemy dalej - przerwał rozmyślenia Kelly'ego Roth. - Nie chciałby pan posłuchać muzyki, poruczniku?

Kelly potrząsnął głową; muzyka trochę pomagała, ale niewiele. Asystowanie przy sekcji w celu skompletowania łańcucha dowodowego było tym, czego nienawidził.

„Cztery pory roku” Vivaldiego cicho rozbrzmiewały w tle, a Roth włączył mikrofon i zaczął swoją litanię.

- Mówi Richard Roth, patolog sądowy miasta Nowy Jork, z inspektoratu medycznego. Przeprowadzam pośmiertne badanie ciała...

Kelly przygotował się wewnętrznie na to, co miało nastąpić, a Morino pomagał w ostrożnym zdejmowaniu ubrania z ciała Cabota.

* * *

Pięćdziesiąt przecznic na północ od miejsca, w którym przeprowadzano autopsję, Jürgen Strasser siedział na ławce w Central Parku. Z ławki roztaczał się widok na ogromną trawiastą polanę, znaną jako Sheep Meadow. Terrorysta kończył lunch: hot -

doga i kubek kawy z ulicznego wózka, i studiował plan Upper East Side, zwracając szczególną uwagę na Sutton Place.

Rankiem podrzucił obrazy do galerii Westcotta, następnie zatelefonował do banku w Lichtensteinie, który potwierdził, że na jego konto wpłynęła zapłata za cztery pierwsze płótna. Myśl o dziewięciu milionach dolarów sprawiła, że na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, co nie zdarzało się zbyt często. Dzwoniąc do Drussarda po wyjściu z galerii upewnił się, że dodatkowe pięć milionów dolarów zostanie przelane na jego konto w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin.

Nieźle, pomyślał, czternaście milionów za kilka godzin pracy, jeśli nie uwzględnić czasu na planowanie i przygotowania. Miał już dość pieniędzy, by zapłacić za rosyjską broń chemiczną i biologiczną, przetrzymywaną dla niego przez handlarza w Paryżu. Starczyłoby mu nawet na prowadzenie niezależnej działalności przez kilka lat. Poza tym w Nowym Jorku były jeszcze dwa obrazy, za które miał dostać cztery miliony dolarów. Dziewięć pozostałych płócien znajdowało się w Londynie, Madrycie i Rzymie - Drussard powiedział, że są one mniej cenne od tych, które właśnie ukradł, ale i tak miały przynieść jeszcze jedenaście milionów. Gdyby wszystko poszło dobrze, po zakończeniu roboty miałyby prawie trzydzieści milionów dolarów.

Przerwał myślowe kalkulacje i sny na jawie. Skoncentrował się na trzeciej ofercie, Philipie Bancroftcie, właścicielu dwóch pozostałych obrazów z nowojorskiej listy. Bancroft mieszkał w luksusowej kamienicy wznoszącej się nad East River. Pod względem systemów alarmowych stwarzało to specjalne problemy, których Strasser jeszcze nie rozwiązał. Poza tym niepokoił go rozgłos, jaki wywołało zamordowanie Stewarta i Cabota. Zdał sobie z tego sprawę oglądając poranne wiadomości w biurze Westcotta.

Zatelefonował do domu Bancrofta i udając dyspozytora z poczty federalnej zapytał, czy ma właściwy adres i kiedy Philip Bancroft będzie mógł odebrać przesyłkę, która wymagała jego osobistego podpisu. Kobieta, która, jak przypuszczał, była służącą, powiedziała

mu, że Bancroft jest za granicą i że nie spodziewa się jego powrotu do dnia jutrzejszego. Taka zwłoka zaniepokoiła Strassera. Gdyby Bancroft dowiedział się o morderstwach i kradzieżach i wyciągnął logiczne wnioski - a nie było powodu, by przypuszczać, że tego nie zrobi - mógłby ukryć się albo otoczyć ludźmi z ochrony i utrudnić mu realizację zamierzeń. Ale takie wyzwanie nie przeszkadzało Strasserowi - nawet gdyby dotarcie do ofiary wymagało zwiększonego wysiłku i ryzyka, wierzył, że jakoś zdoła to osiągnąć. Ze względu na rozgłos musiał być gotów do działania, gdy tylko Bancroft wróci, tej samej nocy, a może w ciągu dnia, kiedy tylko nadarzy się sposobność.

Strasser skończył lunch, wrzucił serwetkę i kubek do kosza, potem zapalił papierosa i pozwolił mu zwisać z kącika ust. Założył ręce za głowę i popatrzył w niebo, ciesząc się wiosennym słońcem. Po pewnym czasie opuścił park, by przypatrzeć się budynkowi, w którym mieszkał Bancroft.

Philip Bancroft również wygrzewał się w słońcu. W karaibskim słońcu. Leżał rozciągnięty na pokładzie swego dwudziestopięciometrowego jachtu o nazwie „Niezwyciężony”, zakotwiczonego w odosobnionej zatoczce wyspy Anguilla. Był na urlopie, na który pozwalał sobie co roku - cały miesiąc żeglowania wśród wysp; bez telefonu, gazet czy telewizji i wszystkich obowiązków, złożonych na barki zastępcy, który dostał wyraźne polecenie nie przeszkadzania mu bez względu na to, co się stanie.

Jutro wczesnym rankiem jego kapitan przeprowadzi jacht do Marigot Harbor na wyspie Saint - Martin. Tarn Bancroft wsiądzie na pokład odrzutowca *Gulfstream III*, będącego własnością korporacji Bancroft Industrie, którą założył i w której ciągle pracował jako prezes rady nadzorczej. Była ona głównym kontrahentem obrony powietrznej kraju. Samolot wylądaje w Nowym Jorku nie później niż w południe.

Przepisywanie nagranych na taśmie sprawozdania i wykonanie raportu z sekcji zwłok Arthura Cabota skończyło się o 13.15. Godzinę później kopia streszczenia, razem z podobnym protokołem dotyczącym Stewarta, została przefaksowana bezpośrednio do Alfreda Palmera, szefa kontrwywiadu CIA, do Langley.

Informacje te CIA otrzymała w departamencie policji miasta Nowy Jork. Palmer, po obejrzeniu wiadomości CNN, donoszących o morderstwie i odkryciu dzieł sztuki ukradzionych w czasach drugiej wojny światowej, wystosował prośbę do nowojorskiego biura Firmy o wszystkie informacje dotyczące śmierci Stewarta. Szef kontrwywiadu nie musiał wysilać wyobraźni, by powiązać to, co się wydarzyło w Nowym Jorku z incydem sprzed dwóch dni, w który zamieszane były akta operacji WĘDKA. Piętnaście minut później rozwiały się ostatnie wątpliwości. Otrzymał drobiazgowy raport, przetelegrafowany z bazy monachijskiej przez oficera operacyjnego, który wysłał lokalnego agenta do Berchtesgaden, by ten zbadał okoliczności śmierci Heinza Strassera. Znalezienie ciała Arthura Cabota potwierdziło jedynie to, co Palmer już wiedział: z operacją WĘDKA wiązała się czyjaś śmiercionośna aktywność.

Palmer odbył szybką naradę z George'em Sinclairem, dyrektorem CIA. Postanowili zawiadomić Jacka Brannigana,

zastępcę dyrektora do spraw operacji. Dyrektor dowodził, że rozwiązanie obecnego problemu wymaga jego doświadczenia. Palmer sprzeciwiał się wciąganiu do sprawy Brannigana, ale przeważała logika dyrektora: - Nie musimy wprowadzać go we wszystko, powinien jednak coś wiedzieć, aby mógł nam pomóc.

Ścisłe tajne spotkanie trzech najpotężniejszych ludzi Firmy miało miejsce w będącej własnością CIA posiadłości, leżącej w północnej Wirginii niedaleko Langley, w okolicach miasteczka Middleburg. Suterena gregoriańskiej rezydencji z czerwonej cegły została przebudowana kosztem ponad miliona dolarów i zawierała akustycznie odizolowany pokój konferencyjny, podobny do tych, jakie znajdują się w kwaterze głównej i wszystkich ambasadach USA na całym świecie. Na terenie posiadłości o powierzchni ponad czterdziestu hektarów znajdowały się korty tenisowe, basen i stajnie oraz mnóstwo anten, stanowiących część satelitarnego systemu łączności o światowym zasięgu. Posiadłość wykorzystywano głównie do przesłuchiwania szpiegów, ale czasem służyła jako spokojne, ciche miejsce nieoficjalnych spotkań, na którym częstokroć ważyły się losy państw.

Celem spotkania było wprowadzenie w sprawę Jacka Brannigana, ale DCI podkreślał, że tylko w najbardziej niezbędnych szczegółach, pozwalających mu na efektywne wykonanie tego, o co im chodziło. Kilka minut przed trzecią po południu trzech mężczyzn weszli do pokoju konferencyjnego i usiedli u szczytu długiego dębowego stołu. DCI zajął miejsce pośrodku.

Brannigan nie był zaskoczony tym, co usłyszał we wstępnych uwagach dyrektora. Pracował w Firmie na tyle długo, by wiedzieć, że istnieje wiele operacji, w które nie został wtajemniczony. Taka była natura tej profesji i nie traktował tego osobiście. Przeglądał raporty morderstw popełnionych w Nowym Jorku, które podał mu Alfred Palmer, gdy zaintrygowała go informacja zawarta w uwagach końcowych sprawozdania z autopsji.

- Początek operacji WĘDKA sięga 1944 roku. - Dyrektor Sinclair

przerwał tok rozmyślań Brannigana. - Do czasów, kiedy Allen Dulles kierował biurem OSS w Szwajcarii. Usłyszał plotki o tajnej sprzedaży zagrabionych przez nazistów dzieł sztuki. Dulles był przewidujący, więc wezwał do siebie Jima Angletona, wówczas młodego obiecującego oficera kontrwywiadu OSS. Kazał mu zapoznać się bliżej z tym, co mogłoby po wojnie stać się problemem służby wywiadowczej, jeżeli prawdą okażą się pogłoski, że w handel zrabowanymi dziełami sztuki zamieszane są znane amerykańskie rodziny.

Brannigan słuchając Sinclaira uśmiechnął się w duchu. Nie dziwiło go, że operacją kierował słynny szef kontrwywiadu. Po kilku błyskotliwie przeprowadzonych operacjach stał się postacią owianą legendą. Angleton był człowiekiem błyskotliwym, ale wszyscy wiedzieli, że kroczył po linii najmniejszego oporu - był to klucz zarówno do jego sukcesu, jak i upadku.

- To Angleton odkrył tę cholerną prawdę - mówił DCI. - Od tej pory, aż do swojej rezygnacji, miał kontrolę nad wszystkimi aspektami tej sprawy. Szczegółowe parametry, jakie wówczas ustalił, są aktualne do dnia dzisiejszego.

- Skąd pochodziły kradzione dzieła sztuki? - zapytał Brannigan.

- Większość z nich została zdobyta - celowo używam tego słowa - gdy prześladowanie Żydów rozpoczęło się na dobre i nim Ameryka przystąpiła do wojny. Sprzedażą kierował człowiek nazwiskiem Hofer, a nabywcami byli szwajcarscy prawnicy i bankierzy, działający w imieniu swoich klientów. Obrazy przemycano poza granice kraju i tam trafiały w ręce nowych właścicieli. Próbowaliśmy dowiedzieć się, kim byli owi prawnicy i bankierzy, ale dzięki szwajcarskiemu zamięłowaniu do sekretów nigdy się nam to nie udało.

- Ilu Amerykanów było w to zamieszanych?

- Nie wiemy.

- A czym właściwie jest WĘDKA?

- Cierpliwości, Jack Dojdę do tego - odparł DCI. - Sprzedawane dzieła sztuki były częścią kolekcji Hermanna Göringa, a on, jak

wszyscy porządni Niemcy, prowadził szczegółową dokumentację. Istniały trzy kopie zawierające nazwiska ludzi, którzy nabyli wystawione przez niego na sprzedaż dzieła sztuki. Z tego, co wiemy o tych transakcjach, a nie jest tego dużo, obrazy zostały zakupione w przybliżeniu przez tuzin osób. Pochodziły one z liczących się i bogatych rodzin Anglii, Stanów Zjednoczonych i Zachodniej Europy. O istnieniu akt dowiedzieliśmy się po złapaniu Göringa. Jego człowiek, Hofer, popełnił samobójstwo, zanim coś z niego wydobyliśmy, a Goring dostał wyrok śmierci w Norymberdze i nie był w odpowiednim nastroju, by z nami współpracować. Jeżeli znał jakieś nazwiska z tej listy, to zabrał je ze sobą do grobu. Krótko mówiąc, szukaliśmy tych dokumentów. Nie znaleźliśmy ich. Udało się to Rosjanom.

Brannigan bez kłopotu zrekonstruował dalszy ciąg historii.

- I Rosjanie od tej pory szantażują ludzi wmieszanych w te transakcje, a wy próbujecie dowiedzieć się, kim oni są.

- W 1946 roku Edward Winthrop Stewart, ten sam, o którym mowa w tych raportach, spotkał się ze starym przyjacielem z czasów Harwardu pracującym dla OSS. Przyjaciel ten skontaktował go z Dullesem i Stewart powiedział mu, że Rosjanie próbowali go zwerbować. Chcieli, by pomógł im dotrzeć do pewnych członków Kongresu, szczególnie do pewnego senatora z Nowego Jorku, do kampanii którego Dulles mocno się przyłożył. Wspomnieli mu, że mogą go skompromitować, ujawniając transakcje dotyczące zakupu pewnych dzieł sztuki. Stewart odesłał ich do diabła. W rozmowie z Dullesem przyznał, że zastanawiał się nad nabyciem kilku dzieł z kolekcji Göringa, ale do transakcji nigdy nie doszło. Dullesa nie obchodziło, czy powiedział mu prawdę. Próba nawiązania kontaktu przez NKWD potwierdziła to, co od początku wydawało się nieuchronną konsekwencją faktu, że lista wpadła w ręce Sowietów.

- A w jaki sposób wiąże się z tym wszystkim morderstwa popełnione w Nowym Jorku czterdzieści sześć lat później? - spytał Brannigan.

Palmer opowiedział mu o śmierci Heinza Strassera i o jego

związku z aktami Göringa, o tym, jak w „Zum Turken” posłużył się fałszywym nazwiskiem i jak dzięki archiwum w Berlińskim Centrum Dokumentacji ustalono jego prawdziwą tożsamość.

- Wydaje się nam, że morderca ma kopię, która niegdyś znajdowała się w posiadaniu Heinza Strassera.

- Dlaczego? - Brannigan miał własne powody, dla których pragnął dowiedzieć się czegoś więcej o wizycie tajemniczego byłego majora Waffen SS w Berchtesgaden.

- Wysłaliśmy miejscowego agenta do Berchtesgaden, do gospody „Zum Turken”, gdzie Strasser zatrzymał się przed śmiercią. Właścicielka, *Frau Graber - Palmer* sprawdził nazwisko w notesie - powiedziała, że starszy pan przybył na spotkanie ze swoim synem. Po jego ubraniu i torbie domyśliła się, że pochodzi z Niemiec Wschodnich - co wyjaśnia, dlaczego nie mogliśmy zlokalizować go po wojnie. Syn pojawił się wkrótce po śmierci ojca. I wyjechał równie szybko, zabierając skórzaną teczkę ojca.

- Więc o to chodzi? - wtrącił Brannigan.

- Nie całkiem. Nasz agent skontaktował się z niemiecką policją federalną i ustalił, że Heinz Dieter Strasser, który doskonale pasuje do opisu ojca, mieszkał we Frankfurcie z żoną Emmą i synem Jürgenem, obecnie trzydziestoosmioletnim, miejsce pobytu i inne szczegóły nieznane. Nasi ludzie ciągle go szukają.

- Czy kobieta z gospody podała jego rysopis? - dociekał Brannigan.

- Wysoki, ponad metr osiemdziesiąt - odparł Palmer, znów zerkając do notesu. - Włosy ciemnoblond, oczy niebieskie.

- Jeszcze coś?

- Żadnych rewelacji. Jak mówiłem, odjechał zaraz po swoim przybyciu. Nie został nawet po to, by dopilnować przygotowań do pogrzebu.

- Co za człowiek! Nie miał poczucia przyzwoitości na tyle, aby zobaczyć, czy jego ojciec został pochowany z należnym szacunkiem - wtrącił oburzony DCI.

- Człowiek, który nie chciał, aby zainteresowały się nim władze -

stwierdził Brannigan. - Człowiek żyjący poza prawem. Terrorysta.

- Dlaczego akurat terrorysta? - zapytał poruszony takim wnioskiem szef kontrwywiadu.

- Bo to jest to, czym się zajmujecie - powiedział Brannigan. - I to nie jakiś tam terrorysta. Jeżeli mam rację, występuje on jako Dieter. I przed kilkoma minutami ani ja, ani nikt inny w branży nie wiedział, że naprawdę nazywa się Jürgen Strasser.

- Jak, u licha, doszedłeś do takiego wniosku? - zaciekawiał się Palmer.

- Na podstawie informacji z protokołu sekcji zwłok. Dieter ma pewien charakterystyczny sposób wydobywania informacji, jakiego nie używa nikt inny jego profesji. Taka sama metoda opisana jest w tych raportach. A na podstawie jednego z kilku znanych nam faktów, dotyczących jego przeszłości, wiemy, że był związany z terrorystycznym obozem szkoleniowym Stasi w Niemczech Wschodnich.

- Niech twoi ludzie w sekcji antyterrorystycznej zbiorą wszystkie dane dotyczące jego biografii - nakazał dyrektor. - Niech sporządzą portret psychologiczny: nawyki, uprzedzenia, motywy, silne i słabe punkty, *modus operandi*. Wszystko, co mogłoby nam pomóc przy przewidywaniu jego przyszłych posunięć.

- Próbujemy zrobić to od pięciu lat - powiedział Brannigan - i nadal wiemy o nim tyle, że zmieściłoby się na znaczku pocztowym. Ale mogę powiedzieć jedno, z całkowitym przekonaniem: jeżeli Dieter to Jürgen Strasser - a teraz jestem skłonny w to uwierzyć - i ma te akta, to macie niezły problem.

- Wnioskując ze sposobu, w jaki zamordował Stewarta i Cabota, chodzi mu jedynie o korzyści finansowe - stwierdził Palmer. - Bierze tylko te obrazy, które będzie mógł łatwo sprzedać na czarnym rynku. Słyszałem, jak przy wielu okazjach powtarzałeś, że większość terrorystów w dzisiejszych czasach, kiedy odziera się ich z fałszywych politycznych i ideologicznych deklaracji, jest niczym więcej niż przestępcami, których jedynym motywem działania są pieniądze. Jak na razie nie ma żadnego powodu, by wierzyć, że

Strasser wie czy choćby przypuszcza, iż akta te są cenne jako materiał wywiadowczy.

- Na razie - powtórzył znacząco Brannigan. - Powiedziałeś, że Stewart nigdy nie został zwerbowany przez Rosjan. A Cabot?

- Przypuszczamy, że tak.

- Jaki był tego powód?

- Miał za sobą trzydzieści pięć lat kariery dyplomatycznej. Kiedyś, między innymi, był ambasadorem w Niemczech Zachodnich.

- O Jezu! - zawołał Brannigan.

- Jak widać, nie mówimy o werbunku na niskim poziomie. Każdy z tej listy był bogaty - powiedział szef kontrwywiadu - a pieniądze zapewniają wpływy i dostęp do władzy. Nie muszę tłumaczyć, jak to działa. Szantaż jest najstarszym i najpewniejszym sposobem rekrutacji. Wybiera się tych, którzy mają najwięcej do stracenia. Tych, którzy zajmują wysokie stanowiska w korporacjach czy w rządzie, zależne od zaufania publicznego. Daje się im do zrobienia coś mało ważnego, coś, co nie pociąga za sobą żadnego ryzyka. Nic skomplikowanego, jakiś cholernie niewinny drobiazg. Jednocześnie grozi się im ujawnieniem kompromitujących interesów prowadzonych z nazistami. Kiedy już połkną haczyk, wpadli do końca życia. Skoro współpracują z Rosjanami, nie chodzi już tylko o kwestię zakupu kradzionych dzieł sztuki; to zdrada.

- I nie dotyczy ona tylko tych wplątanych na samym początku - dodał dyrektor. - Gdy nabierają doświadczenia, Rosjanie bez wątpienia wykorzystują ich, jak tylko mogą, a przed przejściem na emeryturę czy tuż przed śmiercią zmuszają do zwerbowania następców. Prawdopodobnie nawet w obrębie ich rodzin. Zwłaszcza wtedy, gdy dzieci piastują te same stanowiska czy przejmują władzę nad rodzinnymi interesami: syn czy córka, nie chcąc sprzeciwić się ojcu i w rezultacie stać się osobami odpowiedzialnymi za zhańbienie rodzinnego nazwiska - gdyby Rosjanie dla przykładu ujawnili działalność danego człowieka -

godzą się na wszystko. Wyobrażacie sobie, jaki zasięg ma ich penetracja? Jest jak kamień uderzający w przednią szybę - od miejsca uderzenia sieć pęknięć rozchodzi się we wszystkich kierunkach.

- Jak dobrze wiemy - powiedział Palmer - szpiegowskie rozgrywki trwają bez względu na to, czy jest zimna wojna czy zimny pokój. I zapewniam was, kiedy Rosjanie dowiedzą się, co robi ten Dieter - czy Strasser - a jestem przekonany, że to się stanie, o ile już nie wiedzą, przedsięwzmac wszelkie kroki, by zdobyć te dokumenty. A szczególnie wtedy, gdy będą uważali, że my też na nie polujemy.

Trzej mężczyźni odczuwali w stosunku do Rosjan całkowity i uzasadniony brak zaufania. Wiedzieli, że nowa Rosja znów zaczyna działać. Ma ogromne problemy wewnętrzne, poważnie ograniczone siły i wpływy na świecie. Jest zbankrutowanym, upokorzonym, niestabilnym krajem trzeciego świata z tysiącami głowic nuklearnych, który nie może nawet odpowiednio wykarmić czy ubrać własnych obywateli.

Obraz świata w niezwykle krótkim czasie uległ drastycznym zmianom. Wnioski wszystkich agencyjnych analityków i prognostyków sprowadzały się do jednego: co najmniej przez następne dziesięciolecie światem będzie rządziła ekonomia, a jej motorem będzie technologia. Stany Zjednoczone nie tylko będą musiały bronić zdobyczy technologicznych przed starymi wrogami, ale także przed starymi przyjaciółmi, takimi jak Francja, która już została przyłapana na gorącym uczynku. Rosjanie nie mieli ani odpowiednich talentów, ani zaplecza naukowego, by konkurować z Zachodem. Ich jedyną nadzieją na zmniejszenie dzielącego ich od Zachodu dystansu było szpiegostwo. Siedzący przy stole ludzie rozumieli aż nazbyt dobrze, że zawsze było ono ich mocną stroną. I wiedzieli, że mimo głębokich zmian, jakie zaistniały na arenie politycznej, pewne rzeczy nie zmieniają się nigdy. Należało do nich dążenie do tego, aby poznać wszystkie tajemnice i dotrzeć do ciekawych informacji. Stanowiło to niezmienną obsesję ludzi i

rządów, które nie skończyły się wraz z zimną wojną.

Pewne oznaki wskazywały, że wysiłki Rosjan, mające na celu pogoń za zachodnią technologią, już się nasiliły. Brannigan wiedział, że Palmer ma rację: Rosjanie nie mogą pozwolić sobie na spalenie prowadzonej od dziesiątków lat operacji i niewątpliwie zmobilizują wszelkie środki, by utrzymać ją w nienaruszonym stanie.

Brannigan nie miał wątpliwości, dlaczego Firma nie mówi głośno o rosyjskiej operacji szpiegowskiej. Rozpowszechnienie wiadomości o potencjalnym zagrożeniu ze strony wysoko postawionych „śpiochów” zniszczyłoby kariery i sparaliżowało środowisko wywiadu plotkami i insynuacjami. Uświadomiło mu to, że Angleton dwadzieścia lat wcześniej - utajniając wszelkie dane dotyczące operacji WĘDKA - postąpił bardzo mądrze.

- Zakładam, że wprowadzacie mnie w ten temat z określonego powodu - powiedział.

- Chcemy, żebyś pokierował operacją - odrzekł dyrektor. - Tak dyskretnie jak tylko możliwe. Ale najważniejsze są akta. Nie musisz ci mówić, jakie mają dla nas znaczenie.

- Możecie mieć jeszcze jeden problem - dodał Brannigan. - Żydów, a dokładniej - Mossad.

- Dlaczego Mossad? - zapytał Sinclair.

- Dieter... czy Strasser, w zeszłym tygodniu w Paryżu zabił ich dwóch ludzi. Jeżeli postępują według zwyczajnego w takich przypadkach scenariusza, to w tej chwili są w trakcie zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań zabójcy. Nie wycofają się, a nie wolno ich nie doceniać.

- Co proponujesz?

- Wciągnąć ich do współpracy.

- Zaznajomić ich z operacją WĘDKA? - zdziwił się Palmer. - Nie zgadzam się. Nie możemy prosić o pomoc nikogo z zewnątrz. To zaalarmowałoby wszystkie agencje wywiadowcze, że dzieje się coś wyjątkowego. A ostatnią rzeczą, jakiej chcemy, jest to, by ktoś inny przejął te akta.

- Mówię tylko o Mossadzie. Pomogą nam jedynie w polowaniu na międzynarodowego terrorystę, co leży w naszym interesie - uzasadnił Brannigan. - To, że wejdą nam w drogę, jest wielce prawdopodobne, więc wolałbym wiedzieć, co robią.

- Musimy osiągnąć cel nie wywołując rozgłosu - upierał się Palmer.

- Z tym, co mam na myśli - kontynuował Brannigan - możemy nie dopuścić do rozgłoszenia tej sprawy.

- Przykro mi, ale nie mogę się pod tym podpisać - powiedział Palmer.

- A co masz na myśli? - zwrócił się do Brannigana dyrektor i podniósł rękę, by uciszyć dalsze sprzeciwy Palmera.

- Pewnego człowieka z mojej sekcji antyterrorystycznej. Kontraktowego pracownika nazwiskiem Mike Semko. Jest szefem naszego „zespołu wychwytyjącego” i wie o Dieterze więcej niż ktokolwiek inny. On mógłby się tym zająć.

Brannigan czekał w milczeniu, dając im czas na zastanowienie. Rozważał, wpatrując się w oczy dyrektora, jakie konsekwencje z tego wynikną. Wykorzystałby bowiem członka ściśle tajnego zespołu, o którego istnieniu poza nim wiedział tylko dyrektor i jego zastępca.

- Co to jest zespół wychwytyjący? - zaciekawiał się Palmer.

- Wprowadzę cię później - powiedział Sinclair. - Podoba mi się ten pomysł - zwrócił się do Brannigana. - Zamaskuje to nadrzędny cel operacji. Im mniej ludzi w to wciągniemy, tym lepiej. Jeżeli będziemy musieli ścigać tego Strassera poza krajem, szefowie placówek mogą pomagać Semce, wiedząc tylko, że chodzi o operację antyterrorystyczną. Semko, jako pracownik kontraktowy, nie jest znany w środowisku wywiadów. Jest przyzwyczajony do pracy w pojedynkę bez żadnych oficjalnych przykrywek i ma ogromne doświadczenie. No i, tak samo jak inni, może wiedzieć tylko to, że jego celem jest złapanie terrorysty. Za co zresztą mu się płaci. Doskonała motywacja. Jak znajdzie Strassera, może wezwać swój zespół, jeżeli zajdzie taka potrzeba, a ty możesz się do nich

przyłączyć i przejąć akta. Wszystko pasuje. Kontraktowy pracownik, do którego nie trzeba się przyznawać - i którego można poświęcić.

- Można się do niego nie przyznawać, fakt - powiedział ostro Brannigan - ale na pewno nie jest owcą przeznaczoną na rzeź. Zgadzam się, aby nie informować Semki o prawdziwym charakterze misji, ale bez względu na okoliczności nie zostawię go na łasce losu.

- Zgoda - powiedział Sinclair.

- A jak pokierujemy Żydami? - zapytał Palmer, w świetle entuzjazmu dyrektora rezygnując ze swych obiekcji.

- Powiemy im, że będzie to wspólna operacja - odrzekł Brannigan. - Zaproponujemy, żeby wyznaczyli swojego człowieka, który będzie współpracował z Semką. Do końca mogą nie wiedzieć, o co tak naprawdę chodzi. Ale co z nowojorskimi glinami? - zapytał, układając w myślach listę szczegółów wymagających natychmiastowego rozpatrzenia.

- Jesteśmy z nimi w kontakcie - oznajmił Palmer. - Będziemy informować cię o wszystkim, co robią.

- A ludzie z kontrwywiadu FBI? Nowy Jork to ich działka.

- Pierdolić tych bubków - wybuchnął szef kontrwywiadu.

Uważał jego członków za amatorów, którzy w przeszłości spaskudzili wiele z jego operacji. - Ich umiejętności sprowadzają się do sprytu dzieciaków, szukających w ogródku wielkanocnych jajek - dodał z pogardliwym prychnięciem.

- Jakie będą pełnomocnictwa operacji? - zapytał Brannigan, chcąc usłyszeć to bezpośrednio od dyrektora.

- Lista uprawnień pochodzi wprost od prezydenta - odpowiedział Sinclair. - Rozmawiałem z nim przed niecałą godziną. Mamy jego pełne i jednoznaczne poparcie. Możemy robić wszystko, czego będzie wymagała sytuacja, pomijając normalne kanały.

- Ostatecznie - dodał Palmer, odzyskawszy panowanie nad sobą - przecież na pozór sprawa nie dotyczy nas i Rosjan. Jeżeli coś wybuchnie - chodzi mi o reakcję komisji nadzoru Kongresu - nie

prorowadzimy w tajemnicy przed nimi nielegalnej operacji, a szukamy terrorysty. Reszcie możemy zaprzeczyć... o ile do czegoś takiego w ogóle dojdzie.

- Jak szybko można powiadomić Semkę? - zapytał DCI.
- W ciągu godziny - stwierdził Brannigan.

Padalo, gdy Palmer skręcił na drogę dojazdową i skierował się na wschód autostradą numer 66, z powrotem do Langley. Sinclair zadzwonił z posiadłości do Davida Ben - Davida, szefa Mossadu, i połączył się z nim o dziesiątej trzydzięci wieczorem czasu Tel Awiwu, gdy ten właśnie przygotowywał się do opuszczenia biura.

Palmer miał nadzieję, że Ben - David odrzuci ofertę przyłączenia się do operacji, ale ku jego niezadowoleniu wyraził zgodę. Wątpliwości Palmera nieco załżały, gdy Sinclair powiedział, że szef Mossadu po usłyszeniu o „morderstwach kolekcjonerów” zaproponował przysłanie jednego ze swych badaczy, historyka sztuki, który miałby współpracować z Semką w tropieniu Strassera. Przynajmniej nie będzie to jeden z ich wojskowych, którym byłoby ciężko kierować w końcowej fazie operacji.

Palmer powoli przedzierał się w strugach deszczu. Niepokoiło go jeszcze coś. Jedną sprawą było wykluczenie DDO - były już takie precedensy i wymagało tego dobro operacji - ale okłamywanie go czy choćby tylko niedomówienie było zupełnie czymś innym. Z drugiej strony przekonały go trochę argumenty dyrektora. Palmer początkowo nie pochwalał wtajemniczania Brannigana, ale gdy to się stało, z tak samo gorącym przekonaniem upierał się, że powinni postępować z nim uczciwie. DDO był potężnym człowiekiem, miał wpływowych przyjaciół poza Firmą i zadzieranie z nim nie leżało w niczyim interesie. W tej chwili szef kontrwywiadu miał niewiele wątpliwości co do tego, że gdy Brannigan dowie się, iż nie powiedziano mu całej prawdy, konsekwencje będą naprawdę poważne.

Mike Semko dotychczas nie postawił nogi w kwaterze głównej w Langley. Odprawy jego zespołu i sesje planowania operacji zawsze odbywały się w bezpiecznych lokalach rozrzuconych po Waszyngtonie i na wsi, w Wirginii i Marylandzie. Czyściec, w którym spędził minione dwa dni, znajdował się w centrum Georgetown. Stał w otoczeniu podobnych eleganckich domów w połowie wąskiej, ocienionej drzewami ulicy o chodnikach z kostki.

Semko, popijając piwo z puszki, siedział na małej kanapie w przytulnej, obstawionej półkami z książkami pracowni na dole, która wychodziła na otoczony murem ogród i taras na tyłach domu. Miał na sobie dżinsy i koszulkę, a jego stopy, w znoszonych tenisówkach opierały się o stolik do kawy. Przestało padać, więc otworzył drzwi, by wpuścić zapach ogrodu i świeży, chłodny powiew późnowiosennego popołudnia.

Oglądał wiadomości CNN wyłączwszy fonię. Był znużony i zniecierpliwiony - chciał wyjść i działać, robić cokolwiek, by przerwać nudę minionych dni. Brak aktywności powodował nieodłączny efekt; jego myśli wracały ku przeszłości, odgrzebywał wspomnienia i stare marzenia, które lepiej było zostawić w spokoju. Parę minut po piątej usłyszał, jak na wyższym poziomie otwierają się frontowe drzwi. Instynktownie sięgnął po broń, leżącą w kaburze na stoliku. Na widok schodzącego po schodach Jacka

Brannigana opuścił lufę dziewięćmilimetrowego pistoletu.

Brannigan zatrzymał się u stóp schodów. Widok Semki, siedzącego z pistoletem w ręku i morderczym spojrzeniem w oczach, przypomniawszy mu wcześniejszy okres, sprzed ponad dwudziestu lat, gdy spotkał się z nim po raz pierwszy. Mike był najtwardszym wojownikiem, jakiego kiedykolwiek poznał. Wkrótce obaj mężczyźni odkryli w sobie bratnie dusze, a podobna przeszłość pomogła w nawiązaniu przyjaźni, która w miarę upływu czasu jedynie się umacniała. Semko dawno temu był strzałowym w kopalni w Pensylwanii i miał za sobą trudną drogę, tak jak Brannigan. Jako najlepszy w całym stanie futbolista w szkolnej drużynie otrzymał stypendium sportowe i wstąpił na uniwersytet w Syracuse. Po pierwszym roku mógł się poszczycić rekordową liczbą przebiegniętych z piłką metrów i nagle, bez żadnych wyjaśnień, na początku drugiego roku zrezygnował ze studiów.

Brannigan był jednym z nielicznych, którym ten skryty człowiek wyznał, dlaczego zrezygnował ze studiów i lukratywnej kariery futbolisty. W pierwszym tygodniu września 1967 roku Semko dowiedział się, że jego dwaj szkolni przyjaciele zginęli w Wietnamie. Wiadomość ta wywołała u niego prawdziwy wstrząs. Nie potrafił pogodzić się z tym i dalej żyć pod kloszem, zajmując się jedynie grą, która ostatecznie była tylko zabawą. Postanowił wziąć na siebie brzemię, które dźwigały już tysiące młodych Amerykanów. Dwa dni później zaciągnął się do Armii. Nigdy nie oglądał się za siebie, nikt też nigdy nie słyszał, by z tęsknotą mówił o straconej szansie.

Ta manifestacja sumienia i charakteru wystarczyła, by Brannigan zaczął szanować i podziwiać tego człowieka. Kierowanie nim wymagało pewnej, twardej ręki - czego dowodem był epizod w Paryżu - ale ilekroć trafiały się ściśle tajne „czarne” operacje, wymagające udziału opanowanego, całkowicie niezależnego agenta, to zawsze najpierw myślał o Semce.

- Jesteś niegrzecznym chłopcem, Mike. - Brannigan powiedział to tonem tolerancyjnego nauczyciela, który strofuje niesforne

uczniaka.

- Tak. A poza tym, co nowego? - Semko z leżącego na stole pojemnika wyciągnął puszkę i rzucił ją Branniganowi.

DDO złapał ją jedną ręką i z trzaskiem otworzył, potem zamknął drzwi i zaciągnął story. Pokój pogrążył się w miękkim świetle, przesączającym się przez zasłony za sofą.

- I co ja mam z tobą zrobić? - Brannigan podszedł do rozwalonego przed telewizorem Semki. Nim usiadł naprzeciwko, położył mu rękę na ramieniu. Długie lata przyjaźni i suma dzielonych doświadczeń były widoczne w każdym geście.

- Parker Stevenson, szef paryskiej placówki, powiedział, że odnosiłeś się do niego bez należytego szacunku, nawet bezczelnie... i chyba dodał, że zachowywałeś się nieprofesjonalnie i niebezpiecznie.

- Stevenson nigdy nie wymyśli nic oryginalnego.

- Michael, mój chłopcze - powiedział Brannigan ze swym najlepszym irlandzkim akcentem - w taki sposób nie mówi się o lepszych od siebie.

- Mam nadzieję, że masz na myśli wyższych rangą.

Brannigan po prostu wyszczerzył zęby i z rozbawieniem pokręcił głową.

- Słuchaj - mówił dalej Semko - zanim powiesz coś o tym, z czym do mnie przyszedłeś, chcę, żebyś wiedział: jest mi przykro, że postawiłem cię w paskudnym położeniu, ale nie żałuję tego, co zrobiłem.

- I skąd ja to znam?

- Gdybym czekał na oficjalne upoważnienie od takiego twarogłowego biurokraty jak Stevenson, to Dieter dawno by zniknął. Chodziło mi tylko o jedno: chciałem dostać tego sukinsyna.

- Mike, ta sprawa stała się dla ciebie zbyt osobista. Tracisz perspektywę, a to może być fatalne w skutkach.

- Tym, co tracę, jest wiara, że robi to jakakolwiek różnicę. Spieprzyłem w Paryżu i możesz mnie wylać - zrozumieć to. Wiem, że wiele razy stawiałem cię przed faktem dokonanym i że miałeś

przeze mnie nieprzyjemności, I wiem, że staję ci się ciężarem. Zatem jeżeli chcesz z tym skończyć, nim kompletnie zniszczę twoją karierę, powiedz tylko słowo. Nie będę miał żalu. Gdyby nie to, że mam do wyrównania rachunki z Dieterem, już by mnie tu nie było. Tego główna wystarczyłoby mi na dwa życia.

- Paryż w niczym nie był gorszy od tego, co wyprawiałeś wcześniej. Twoje metody zawsze, łagodnie mówiąc, były trochę nieortodoksyjne, ale zawsze osiągałeś pożądane rezultaty. A poza tym twoje wady mogą okazać się zaletami.

- Nie przyszedłeś tutaj, by mnie odprawić? - Semko popatrzył uważnie na starego przyjaciela.

- Wygląda na to, że jestem tutaj, by ziścić twoje marzenie - uśmiechnął się Brannigan.

- Więc dlaczego się nie uśmiecham?

- Bo nie wiesz tego, co ja wiem. - Brannigan machnął ręką w stronę telewizora. - Nie słyszałeś nowin o morderstwach w Nowym Jorku?

- To morderstwa w Nowym Jorku są już nowinami?

- Te są. Poddano torturom i zamordowano dwóch zamożnych mieszkańców, a przy okazji skradziono ich dzieła sztuki.

- I co to ma wspólnego z nami?

- Chcę, żebyś się tym zajął i znalazł faceta, który to zrobił.

- To sprawa nowojorskich glin. A poza tym, co, do diabła, ja wiem o sztuce? Nie odróżnię arcydzieła od tandetnej reprodukcji.

- Nie chodzi o sztukę, a o Jürgena Strassera, zbierającego fundusze na swoje akcje terrorystyczne.

- Strasser? Nazwisko nic mi nie mówi.

- Znasz go jako Dietera.

Na twarzy Semki najpierw pojawiło się zdziwienie, potem wściekłość.

- Tak się nazywa? Jürgen Strasser?

- Na to wychodzi.

- Skąd wiesz?

Brannigan opowiedział mu o śmierci starszego pana w

Berchtesgaden i o wszystkim, co wydarzyło się od tamtej pory. Opisał metodę torturowania ofiar w Nowym Jorku i powiązał wszystkie wydarzenia z tym, że Strasser był w Paryżu. Bez najmniejszej wzmianki o operacji WĘDKA i możliwości wmieszania się Rosjan. Powiedział tylko to, co pomogłoby rozpoznać dokumenty, które Semko miał zdobyć: że są to notatki dotyczące sprzedaży dzieł sztuki, przeprowadzanych w Szwajcarii na początku drugiej wojny światowej.

- Dlaczego te dokumenty sprzed pięćdziesięciu lat są takie ważne?

- Trzeba je dokładnie poznać, Mike. Wiesz, jak to działa. - Brannigan spodziewał się takiego pytania. - Ty musisz tylko wiedzieć, że DCI nie chce, by wpadły w niewłaściwe ręce. Więc ty upolujesz Dietera, nieważne, w jaki sposób, a Firma dostanie dokumenty.

- Chcesz mieć go żywego czy martwego?

- Zależy od ciebie, lecz, o ile wprawdzie zdobędziesz akta, to lepiej, żeby był martwy - nie rozgłosi tego, czego się z nich dowiedział.

- I mam wolną rękę?

- Z jednym zastrzeżeniem. Dla wszystkich spoza tego pokoju jest to operacja antyterrorystyczna. Twoim zadaniem jest złapanie Dietera. Nie wolno ci wspominać o tych dokumentach i nie możesz prosić o pomoc nikogo spoza Firmy.

- A gdy go znajdę?

- To twoja sprawa. Jak będziesz uważał, że to potrzebne, ściągnij swój zespół. Ale najważniejszym celem jest odebranie dokumentów. Zrozumiałeś?

- O tak - odrzekł Semko. - Czy on nadal jest w Nowym Jorku?

- Palmer, szef kontrwywiadu, uważa, że to możliwe. Przypuszczalnie ma kontakt z kimś z podziemnego świata handlu dziełami sztuki, kto przerzuca ukradzione obrazy. Jeden z naszych ludzi z nowojorskiego biura powie ci, co robią miejscowe gliny. Da ci też listę galerii podejrzanych o handel kradzionymi i fałszywymi obrazami. Możesz zacząć od nich. Jakies pytania?

- Tak. Kiedy wyruszam?

Brannigan spojrział na zegarek. Była za piętnaście szósta.

- Za godzinę odlatuje rejsowy samolot z lotniska krajowego. Możesz skorzystać z czyścica na Zachodniej Sześćdziesiątej Ósmej. Wyślę kogoś, by czekał na ciebie na lotnisku. - Brannigan przerwał, zachowując na sam koniec to, co - jak wiedział - będzie kością niezgody. Dodał: - Jest pewien problem. Będziesz musiał z kimś pracować.

- Z kim? Z kimś z mojego zespołu?

- Nie. To nikt z Firmy. Semko najeżył się.

- Chyba nie zamierzasz zwalić mi na głowę jednego z tych książkowych „ekspertów” od terroryzmu z FBI?

- Nie zamierzam.

- No to kogo?

- Oficera Mossadu.

- O Jezu, Jack! Z tymi ludźmi nie można pracować, zresztą oni nie współpracują z nikim. W dodatku, cholera, prawie zabiłem jednego z nich w Paryżu.

- Przykro mi, ale to już postanowione. Strasser zabił w Paryżu ich dwóch oficerów operacyjnych, więc oni już go tropią. Jeżeli nie dopuścimy ich do sprawy, skończy się na tym, że będą się płatać w naszej operacji.

- Ile widzą?

- Że to antyterrorystyczna akcja przeciw Strasserowi.

- Czy wiedzą coś o dokumentach?

- Nie. I musisz zadbać, by nie dostali ich przed tobą.

- A dokładnie z kim mam pracować?

- Nie wiem. Jutro w Nowym Jorku nawiążesz kontakt. Dziś wieczorem mój odpowiednik z Mossadu da mi znać, gdzie i o której. Zadzwonię do ciebie do czyścica. I jeszcze jedno. Pracujesz dla mnie i tylko dla mnie. Składasz raporty. Żadnych przerw. Rozumiesz, o co mi chodzi, Mike. Żadnego znikania, jak to masz w zwyczaju. Nie tym razem.

Semko ze zrozumieniem pokiwał głową.

- A gdy będę musiał uzupełnić informacje, broń czy ekwipunek?
- Będziesz miał moje poparcie, a dzięki temu pomoc wszystkich szefów baz i placówek, gdziekolwiek się znajdziesz. Jak będą zadawać pytania czy stwarzać problemy, odsyłaj ich do mnie. Ja pokieruję sprawami z tego końca. Centrum operacyjne otrzyma rozkaz wspierania cię o każdej porze dnia i nocy.

Semko podniósł się z sofy i ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się przy schodach i odwrócił do Brannigana.

- Dzięki, Jack. Nie sprawię ci zawodu.

- Nigdy nie dopuszczam do siebie takiej myśli.

W wieku czterdziestu dwóch lat Semko czasami czuł się stary i zmęczony życiem, ale tego wieczora, gdy wsiadał do samolotu Waszyngton - Nowy Jork, był ożywiony i pełen energii. Miał zadanie, i to nie było jakieś - upoważnienie Firmy do ścigania Dietera w sposób, jaki wyda mu się odpowiedni. To jest to, powiedział do siebie, zajmując miejsce w prawie pustym samolocie. Ostatnia operacja.

Tak jak większość ludzi biorących udział w operacjach specjalnych, Semko był w duszy samotnikiem, żyjącym w odizolowanym świecie swojej pracy. Dużo czasu spędzał za granicą, nie miał więc prawdziwego domu. Ubogo umeblowane mieszkanie w Waszyngtonie tylko od czasu do czasu służyło mu za coś więcej niż miejsce do spania czy skrzynka pocztowa na rachunki. Automatyczna sekretarka podsumowała jego życie osobiste tak dobrze, jak nikt inny: gdy wrócił do domu z trwającej sześć tygodni misji, która miotła nim w tę i z powrotem po całej Europie, nie znalazł ani jednej nagranej wiadomości.

Semko nigdy nie odbierał siebie tak, jak widzieli go inni: jako zdolnego, nieustraszonego, czasami wręcz genialnego tajnego agenta, który ze wszystkiego potrafił wyjść obronną ręką. Dla siebie był po prostu Michael'em Thadeousem Semko, osiłkiem z górniczych zakątków Pensylwanii. Dzieciakiem, który przez pierwszych siedemnaście lat próbował zmienić swoje życie i stać się kimś. Jego ojciec - górnik strzałowy o paskudnym charakterze i

sercu przepelnionym nienawiścią - nie zwracał najmniejszej uwagi na jego starania. Semko, niedługo przed śmiercią ojca zrozumiał, że jego wysiłki i tak nie były warte zachodu.

Semko bał się przez większość swojego życia. Mówił Branniganowi i wszystkim, którzy pytali, że odwaga nie polega na braku strachu, ale na umiejętnym jego pokonywaniu. Nigdy nie gloryfikował wojny; zbyt wielu jego przyjaciół spędzało życie w inwalidzkich wózkach z kikutami w miejscach, gdzie powinny być ręce i nogi. I nienawidził słowa „bohater”. Wszyscy znani mu bohaterowie byli albo martwi, albo siedzieli w więzieniach. Po prostu robił to, do czego został wyszkolony, znosząc przerażenie, ból i wszelkie skutki, jakie pociągała za sobą jego praca. A teraz miał zrobić to po raz ostatni. Opanował go strach, ściskając mu żołądek i przyprawiając o mdłości, ale wiedział, że to minie - tak jak zawsze, gdy tylko ruszy do akcji.

Od lat walczył, by narzucić sobie konieczną dyscyplinę i stać się człowiekiem, który kieruje się ideami i logiką, nie zaś emocjami - jednakże nigdy mu się to nie udało. Kiedy samolot kołował przed startem, myślał o Jacku Shumate, który umarł w jego ramionach w Düsseldorfie przed trzema laty, i o tym, że teraz w końcu będzie mógł sprawić, by ten sukinsyn Dieter zapłacił za to własnym nic nie wartym życiem.

Przy Drodze Herzla w zachodniej Jerozolimie znajduje się miejsce wypełnione przerażającymi dokumentami aktów okrucieństwa i ludobójstwa. Jest ono celem pielgrzymek Żydów z całego świata. Muzeum Yad Vashem - pomnik ofiar Holocaustu, do którego co roku przybywają dziesiątki tysięcy ludzi, by w skupionym milczeniu oglądać straszliwe eksponaty.

Niedaleko od muzeum, za wioską Ein Keren kręta droga obniża się i przecina las jasnozielonych sosen, które normalnie nie rosną w tym starożytnym kraju. Las też jest pomnikiem - hebrajskie i angielskie napisy na granitowych tablicach informują, że w ocienionych grobach spoczywają izraelscy bohaterowie, którzy zginęli w walkach o niepodległość i we wszystkich innych wojnach prowadzonych od czasu powstania państwa. Kilkanaście kilometrów dalej na północ, gdzie wiecznie zielony las zaczyna się przerzedzać, stoi samotna tablica pamiątkowa. Inskrypcja, w języku angielskim i hebrajskim, głosi: JAMES JESUS ANGLETON. 1917 - 1987. PA - MIECI PRZYJACIELA.

Jest to hołd złożony człowiekowi i czasom, kiedy stosunki między agencjami wywiadowczymi Stanów Zjednoczonych i Izraela, mimo różnic politycznych i ideologicznych, były przyjazne. W czasie pierwszych lat zimnej wojny wykluwające się państwo żydowskie rozpaczliwie potrzebowało potężnych przyjaciół i

znalazło jednego w osobie Jamesa Angletona, ówczesnego szefa kontrwywiadu CIA. Izrael miał zbyt mało bogactw naturalnych, które mógłby sprzedawać dla zaspokojenia potrzeb militarnych i finansowych, posiadał jednak siatkę Żydów, lojalnych syjonistów, mieszkających w Europie Wschodniej i Związku Radzieckim. Oddani do dyspozycji CIA zbierali informacje tam, gdzie Firma nie miała bezpośrednich przedstawicieli. W taki oto sposób zaczął się sekretny romans, korzystny dla obu stron - przynajmniej do czasu ustąpienia Angletona w 1974 roku.

Dzisiejszy stan, w jakim znajduje się pomnik Angletona, wystawiony przez jego przyjaciół z Mossadu, jest wyznacznikiem tego, co stało się z wcześniejszą przyjaźnią. W przeciwieństwie do inskrypcji wyrytych w granicie na grobach izraelskich bohaterów, słowa oddające cześć Angletonowi wypisane są na przyśrubowanej do kamienia grubej plastikowej płycie. Obecnie plastik pożółkł i zmętniał; większość krzewów otaczających pomnik jest sucha lub obumierająca, a sam teren zaniedbany i zaśmiecony.

* * *

Wśród innych nowoczesnych, wysokich biurowców z przeszklonymi holami i rozległymi centrami handlowo - usługowymi w Tel Awiwie wznosi się Badar Dafna - szara, bezkształtna betonowa budowla. Na niższych piętrach znajdują się prywatne sklepy, butiki i bar samoobsługowy. Górne piętra i centralna część budynku jest siedzibą wywiadu. Praktycznie stanowi ona państwo w państwie, do którego można dostać się jedynie przez biuro na pierwszym piętrze tuż obok baru. Może tu wchodzić jedynie upoważniony personel, przewożony windą do wewnętrznego sanktuarium Mossadu.

Rachela Sidrane pojawiła się w gabinecie szefa Mossadu na dziesiątym piętrze parę minut po jedenastej w nocy. Wcześniej tego samego wieczora, po spędzeniu większej części dnia na wyciąganiu komputerowych danych dotyczących znanych terrorystycznych współpracowników Dietera, wróciła do swego mieszkania w Jaffie. Właśnie skończyła przyrządzanie kolacji, gdy otrzymała telefon,

wzywający ją do kwatery głównej.

Ben - David zaprosił ją po przeprowadzeniu rozmowy telefonicznej z dyrektorem CIA. Teraz przywitał ją ciepłym, przyjacielskim uśmiechem i wstał, by ją uścisnąć. Przed sześcioma laty wspólnie uśmierzali ból i smutek z powodu śmierci Aarona Sontaga, jego przybranego syna i narzeczonego Racheli, a tragedia ta połączyła ich nierozzerwalnymi więzami.

Ben - David ani razu nie pożałował decyzji o zwerbowaniu Racheli ani o namówieniu jej do przyłączenia się do jednostki specjalnej. Jej uroda była atutem, który okazał się bezcenny w pracy. Twarz o klasycznych rysach obramowana była długimi do ramion, kruczoczarnymi włosami. Spod miękko wygiętych łuków brwi wyzierały smutne oczy, które z daleka wydawały się ciemne i nieprzejrzyste, ale po bliższym przyjrzeniu okazywały się kasztanowobrazowe, ze złotymi cętkami. Za spokojnym, pewnym siebie spojrzeniem kryła się inteligencja.

Jej fizyczne piękno, w połączeniu z inteligencją i niemałą wiedzą były cechami, które od początku utwierdziły Ben - Davida, że należy przydzielić ją do najbardziej tajnej jednostki Mossadu, zwanej Kidon - w języku hebrajskim słowo to oznacza bagnet. Kidon - przez nielicznych, którzy wiedzą o jego istnieniu, zwany po cichu „długim ramieniem sprawiedliwości Izraela” - wchodzi w skład większego wydziału odpowiedzialnego za infiltrowanie krajów arabskich. Członkowie Kidonu, osobiście wybrani przez szefa Mossadu, dzielą się na trzy wysoce wyszkolone dwunastoosobowe zespoły, których domeną są zabójstwa i porwania.

Rachela miała wszystkie zalety, jakie kobieta może wnieść do tego najstraszliwszego z zawodów. Kobieta zawsze może bardziej zbliżyć się do mężczyzny niż inny mężczyzna, a biorąc udział w przyjęciach czy też mieszając się z tłumem na ulicy w mniejszym stopniu zwraca na siebie uwagę ochroniarzy. Może bez wzbudzania podejrzeń upić mężczyznę albo kusząc seksualnymi obietnicami zwabić go tam, gdzie stanie się bezbronny - do pokoju

hotelowego czy jakiegoś ustronnego miejsca. Może spotykać się ze swoją ofiarą w miejscach publicznych czy prywatnych i nikt obserwujący nie będzie widział w tym nic niezwykłego. Z natury kobiety są bardziej zdyscyplinowane i wnikliwe, a z rzadka, o ile w ogóle podejrzewa się je to, bywają bezwzględnyimi morderczyniami. W rzeczywistości statystyki - nie znane poza środowiskiem międzynarodowego wywiadu - mówią, że kobiety stanowią co najmniej sześćdziesiąt pięć procent światowej czołówki likwidatorów. A Rachel Sidrane stała się jedną z najlepszych.

Zanim przybyła do kwatery głównej, Ben - David poznał już szczegóły rozmowy dotyczącej zamordowania Stewarta, jaką poprzedniego dnia odbyła z dowódcą swego zespołu.

- Twoje podejrzania co do Dietera i morderstwa w Nowym Jorku były słuszne - powiedział Ben - David, wskazawszy jej fotel przed biurkiem. - Dostaliśmy dalsze potwierdzenie od Amerykanów.

- Są pewni, że to Dieter?

- Tak, a poza tym doszło do drugiego morderstwa. Został zabity drugi kolekcjoner.

- Wplątany w sprawę dzieł sztuki ukradzionych podczas drugiej wojny?

- Tego jeszcze nie ustalono, ale nasi przyjaciele z CIA odkryli, kim naprawdę jest Dieter. Wydaje się, że to Jürgen Stesser, były obywatel Niemiec Wschodnich.

- Czy mamy jakieś informacje na jego temat?

- Na razie niczego nie znaleźliśmy, ale nasi ludzie nadal szukają.

- Wysyłasz zespół do Nowego Jorku?

- Wysyłam ciebie.

- Samą?

- O ile chodzi o Amerykanów, to tak. Skoordynujesz nasze wysiłki z operacją CIA, mającą na celu ujęcie Stessera. Będziesz pracowała z niejakim Mike'em Semką. Myślę, że mój wybór jest uzasadniony logicznie - Amerykanka z urodzenia, wychowana w Nowym Jorku; cennym atutem może też okazać się znajomość historii sztuki. Ponadto twoje pochodzenie może nieco go uspokoić.

- Co o nim wiemy?

- Mój odpowiednik z CIA powiedział, że to specjalista ich sekcji do zwalczania terrorystów. Ale wydaje mi się, że jest kimś więcej.

Ben - David wyjął z teczki serię zdjęć i rozłożył je przed Rachela na biurku. Były to zdjęcia zrobione w Paryżu, gdy Semko jechał w policyjnym samochodzie zaraz po aresztowaniu.

- Jeśli przecucie mnie nie myli, są to zdjęcia Michaela Semki.

- Człowieka, który śledził Dietera w Paryżu? - Rachela widziała już te zdjęcia na odprawie zwołanej po śmierci dwóch agentów Mossadu. - Wydaje mi się, że nagrano go jeszcze na wideo, gdy tropił Dietera po opuszczeniu kawiarni.

- Nagrano.

- Dlaczego prowadzimy z CIA połączoną operację?

- Bo o to prosili. I ponieważ mam wrażenie, że wiedzą o Strasserze więcej, niż nam powiedzieli.

- A co im powiedziałaś o mnie?

- Że jesteś analitykiem i że masz doktorat z historii sztuki. Nic więcej. Rachela przez chwile siedziała w milczeniu, potem zapytała:

- Davidzie, czy możesz dać mi słowo, że nie jest to operacja wymierzona przeciwko Stanom Zjednoczonym?

- Oczywiście. Nie jest - powiedział z przekonaniem, przypominając sobie jedyną obietnicę, jaką Rachela wymogła na nim przed przyłączeniem się do Mossadu: nigdy nie będzie proszona o wzięcie udziału w operacjach skierowanych przeciwko jej rodzinnemu krajowi.

- Jakie wsparcie otrzymam?

- Sześciu ludzi z twojego zespołu. Przybędą niezależnie od ciebie. Spotkasz ich w jednym z naszych apartamentów operacyjnych w Nowym Jorku i tam omówicie szczegółowo, jak chcesz pokierować naszą stroną operacji. Będą trzymali się z tyłu, ale tak, by w razie konieczności mogli służyć ci pomocą.

- Co mamy zrobić z Dieterem... ze Strasserem, gdy go znajdziemy?

- Po tych paryskich morderstwach Komitet umieścił jego

nazwisko na początku listy egzekucyjnej - odpowiedział Ben - David i nie musiał dodawać niczego więcej.

Komitet, o którym wspomniał szef Mossadu, jest jednym z najbardziej tajnych w rządzie Izraela. Istnienie listy egzekucyjnej - na której czasem znajduje się siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt nazwisk - zależy od liczby ludzi zidentyfikowanych jako aktywni terroryści antyizraelscy. Rozkazy do usankcjonowanych przez rząd likwidacji i porwań nie są wydawane niefrasobliwie. Proces ten jest quasi - legalny - przewodniczy mu specjalny komitet sędziowski, wążący dowody i zaocznie decydujący o losie osoby, którą przedstawia szef Mossadu.

- Informuj zespół o każdym swoim ruchu - powiedział Ben - David tonem raczej przyjaciela niż zwierzchnika. - Jeżeli to Semkę widziano w Paryżu, to jest on gwałtownym, działającym spontanicznie człowiekiem. A nie muszę ci mówić, jak niebezpieczny jest Strasser. Nie podejmuj niepotrzebnego ryzyka.

Rachela skinęła głową na znak, że rozumie.

- Dlaczego CIA tak zależy na Strasserze? - zapytała.

- Nie jestem pewien. Sinclair, ich dyrektor, zadzwonił do mnie omijając szefa lokalnej placówki, a normalnie to on powinien wystąpić z taką prośbą. Możliwe, że interesują się Strasserem wyłącznie dlatego, by nie pozwolić mu zdobyć kradzionej rosyjskiej broni i możliwe, że jest to po prostu połączenie sił antyterrorystycznych. Ale mój instynkt i doświadczenia z naszymi amerykańskimi przyjaciółmi podpowiadają mi, że nie są całkiem szczerzy, jeśli chodzi o przedstawienie przyczyny zaproszenia nas do współpracy.

Rachela przypomniała sobie prywatną rozmowę z Ben - Davidem, jaka miała miejsce krótko po ukończeniu przez nią Akademii Mossadu. Ostrzegł ją wówczas, by nie ufała nikomu poza kolegami z zespołu i powiedział, że może z korzyścią dla siebie akceptować deklaracje przyjaźni w stosunkach z ludźmi z obcych agencji wywiadowczych, szczególnie CIA, ale nigdy nie zapominać kardynalnego prawa: „Kiedy ty siedzisz ze swoim przyjacielem, on

nie musi siedzieć ze swoim przyjacielem".

Ben - David wydarł kartkę z biurkowego notatnika i podał ją Racheli.

- To adres czyścica na Wschodniej Pięćdziesiątej Drugiej, z którego będziesz korzystać ty i twój zespół. Masz wykupiony bilet na samolot El Al o drugiej trzydzieści w nocy. W Nowym Jorku będziesz o wpół do ósmej rano. Masz dość czasu, by wyspać się w samolocie.

- A reszta mojego zespołu? Ben - David zerknął na zegarek.

- Są już w drodze, na pokładzie czarterowego samolotu. Jutro w południe nawiążesz kontakt z Semką przy basenie lwa morskiego w zoo w Central Parku. Poinformuję Amerykanów o miejscu spotkania.

- Czy możemy spodziewać się jakiejś pomocy ze strony policji?

- Powiedziano mi, że mamy „pomocnika” w specjalnym oddziale utworzonym przez nowojorską policję do rozwikłania sprawy morderstw przypisywanych Strasserowi. To inspektor z wydziału do spraw kradzieży dzieł sztuki, a jego nazwisko i numer domowego telefonu masz na kartce z adresem czyścica. - Ben - David wstał, by przytulić Rachelę, szykującą się do wyjścia. - Trzymaj się, Rachelo, i bądź ostrożna.

Po wyjściu dziewczyny Ben - David wezwał do siebie szefa wydziału dokumentacji. Dziesięć minut później wszedł drobny, kruchy mężczyzna po siedemdziesiątce, o ogromnych przejrzystych brązowych oczach, które przez grube szkła okularów wydawały się jeszcze większe. Jego obecność w kwaterze głównej o tej godzinie nie była niczym dziwnym - pracował do późnej nocy i mówiono, na pół żartem, że jego legendarna pamięć zawiera więcej danych niż wszystkie komputerowe bazy jego szacownego wydziału.

Nazywał się Mosze Simon. Ben - David po rozmowie z szefem CIA poprosił go o informacje na temat Jürgena Strassera. Dwa dni wcześniej na biurku Simona wylądowała kopia akt z Berlińskiego Centrum Dokumentacji, zawierająca podanie policji z

Berchtesgaden, przesłana przez agenta Mossadu w Bonn. Archiwista powiązał oba te elementy. Stanowiły one fragment układanki. Dyrektor CIA nie miał pojęcia, że Mossad wie, z jakiej. Ben - David usiłował wpasować ten element we właściwe miejsce.

- Mosze - zaczął Ben - David - powiedz mi, jaki związek może zachodzić między nazistowskim górskim ustroniem w Obersalzbergu a kradzionymi dziełami sztuki z czasów drugiej wojny światowej, które niedawno ujrzały światło dzienne w Nowym Jorku?

Starzec tylko przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Pod koniec wojny w Obersalzbergu Amerykanie znaleźli dzieła sztuki złupione przez Hermanna Göringa. W wagonach ukrytych w tunelu, o ile się nie mylę.

- A co do akt tego majora SS Strassera - czy nie mówiłeś mi, że kiedyś stacjonował tam ze swoim batalionem?

- Tak, zgadza się. Pod koniec wojny.

- Sprawdź, czego można się dowiedzieć o okolicznościach śmierci byłego majora Strassera i dlaczego używał fałszywego nazwiska oraz czy był spokrewniony z Jürgenem Strasserem.

- Tak jest - odpowiedział archiwista i przerwał na chwilę, zbierając się do wyjścia. - Przypominam sobie, że bezpośrednio po wojnie jakiś Rosjanin interesował się handlem dziełami sztuki z kolekcji Göringa. Kowaliow, zdrajca z KGB, którego dzieliliśmy z Brytyjczykami, powiedział coś o ściśle tajnej sekcji ich Pierwszego Naczelnego Zarządu, o której pewnej nocy opowiedział mu pijany kolega. Nie sądzę, by były tam jakieś szczegóły, ale przypuszczam, że to może okazać się ważne. Muszę zajrzeć do kopii raportów; to było dziesięć czy dwanaście lat temu.

- Dziękuję ci, Mosze, zawsze można na tobie polegać. Na surowej, ziemistej twarzy Simona, gdy odwrócił się do wyjścia, pojawił się nikły uśmiech.

Przed opuszczeniem siedziby Mossadu Rachela zatrzymała się i zajrzała do koszyka z korespondencją na swoim biurku. Znalazła

kopertę włożoną przez przyjaciela z laboratorium fotograficznego. Na kopercie był wydrukowany napis: TO NAJLEPSZE, CO UDAŁO MI SIĘ ZROBIĆ.

Powiększone i poddane komputerowej obróbce zdjęcie obrazu, znajdującego się w tle fotografii, którą poprzedniego dnia wycięła z gazety, było ziarniste i lekko rozmazane, ale z łatwością rozpoznała pejzaż Rembrandta. Nie wspomniała o nim ani dowódcy swego zespołu, ani Ben - Davidowi, uważając to za sprawę osobistą. Chciała nią pokierować po swojemu.

Rachela przeprowadziła krótką rozmowę telefoniczną i o pół do dwunastej wyszła z kwatery głównej. Do planowego odlotu zostały jeszcze trzy godziny, miała więc więcej czasu, niż potrzeba, by przed powrotem do mieszkania i przygotowaniem do podróży zatrzymać się jeszcze w pewnym miejscu.

Pojechała na wschodnie krańce miasta do ekskluzywnej dzielnicy Savian, lokalnie uznawanej za Beverly Hills Tel Awiwu. Tam, wśród gajów cytrusowych, znajdowały się malownicze posiadłości z basenami, kortami tenisowymi i najpiękniejszymi w całym Izraelu domami. Babka Racheli w wieku siedemdziesięciu lat przeniosła się do Izraela, by spędzić ostatnie lata życia w żydowskiej ojczyźnie. Jej syn, a ojciec dziewczyny, kupił jej wówczas dom stojący w cichym, spokojnym, otoczonym gajami pomarańczowymi zaułku. Starsza pani, jak miała w zwyczaju, przed pójściem do łóżka czytała na małym oszklonym tarasie, gdy Rachela zatelefonowała i uprzedziła o swojej wizycie.

Estera Sidrane, urodzona w Wiedniu w 1909 roku, przeżyła tyle, że wystarczyłoby na obdarowanie co najmniej dwóch osób. W wieku dwudziestu dwóch lat, przed dojściem nazistów do władzy, poślubiła Eugena Sidrane, starszego od niej o dziesięć lat zamożnego przemysłowca. W następnym roku urodził im się syn David, ojciec Racheli, a pięć lat później - córka, Rachela. Gdy zaczęto wprowadzać w życie nazistowską doktrynę, która niosła ze sobą bojkotowanie żydowskich interesów oraz wykluczanie Żydów z funkcji publicznych i życia kulturalnego, postanowili mimo

wszystko nie opuszczać rodzinnego kraju. Wierzyli, że jest to tylko etap przejściowy i że Niemcy w końcu odzyskają zdrowy rozsądek, jednakże im bardziej naziści rośli w siłę, tym bardziej narastały prześladowania. W 1935 roku ustawy norymberskie odebrały Żydom obywatelstwo i prawo do głosowania, a w 1938, w wyniku aneksji Austrii, Wiedeń w pełni odczuł to, czego doświadczali Żydzi niemieccy.

Mąż Estery został zmuszony do sprzedania swych fabryk tekstylnych dużo poniżej ceny rynkowej, a David - jak wszystkie żydowskie dzieci - nie mógł uczyć się w aryjskiej szkole. Rodzina żyła z resztek pozostałych po sprzedaży fabryk Eugena. Stopniowo wyprzedawali rzeczy osobiste, aby przeżyć, ale nadal wierzyli, że to szaleństwo wkrótce minie. Nie stracili złudzeń nawet po 20 października, kiedy to, w wyniku dotkliwego kryzysu mieszkaniowego w Wiedniu i przyspieszonej deportacji Żydów, ich dom łącznie z wyposażeniem został skonfiskowany przez pułkownika SS, który zmusił ich do podpisania aktu sprzedaży za śmiesznie niską sumę. Wtedy było już za późno, by legalnie wyemigrować. Przez następnych sześć miesięcy mieszkali z innymi rodzinami w kolejnych zatłoczonych mieszkaniach w dzielnicy wydzielonej dla Żydów. Lista restrykcji nie miała końca: Żydzi nie mogli opuszczać swoich domów bez pozwolenia policji, kupować ubrań, korzystać z publicznych telefonów, palić tytoniu, posiadać zwierząt domowych i własnych urządzeń elektrycznych, maszyn do pisania i rowerów.

Jesienią 1942 roku - gdy byli już skoszarowani w barakach za miastem - nadzieje Estery i jej męża, że kiedyś wszystko wróci do normy, rozwiały się bezpowrotnie. Zbyt późno zrozumieli, iż to, co uważali za fazę przejściową, stało się normą. Udało im się przerzucić dziesięcioletniego Davida do Szwajcarii, do rodziny byłych partnerów handlowych Eugena, ale Rachela, o pięć lat młodsza i chorowita, nie zniosłaby trudów podróży. W grudniu 1942 roku Estera i jej rodzina, wraz z ponad dwustu siedemdziesięcioma Żydami stłoczonymi w barakach, zostali

przetransportowani do pobliskiego węzła kolejowego. Powiedziano im, że zostaną przesiedleni do miejsca zwanego Auschwitz, o którym mówiło się tylko szeptem. Długą podróż, którą większość starych i chorych przypłaciła życiem, odbyli w zatłoczonych do granic możliwości bydłęcych wagonach.

Estera Sidrane nigdy nie rozmawiała ani ze swoją wnuczką, ani z nikim innym o okropnościach jej dwuipółrocznego pobytu w obozie koncentracyjnym. Powiedziała Racheli tylko to, że po przybyciu do Auschwitz rozdzielono ją z mężem, którego już nigdy nie zobaczyła, i z pięcioletnią córeczką, imienniczką Racheli, strasznie wyczerpaną podróżą. Później dowiedziała się, że dziecko zginęło w komorze gazowej. Czasami wspominała o marszu śmierci, który rozpoczął się w drugim tygodniu stycznia 1945 roku, kiedy to wraz ze współtowarzyszami niedoli została pognana na zachód w głąb Niemiec. Więźniowie przechodzili z jednego obozu do drugiego, zgodnie z etapami ucieczki Niemców przed nadciągającą armią rosyjską.

Wszystkie ciężarówki i wagony zajęte były przez uciekające wojska, więc więźniowie szli piechotą. Przez zasypy przedzierały się długie na kilometr kolumny mężczyzn i kobiet umierających z głodu i chorób, odzianych w łachmany. Esesmani rozstrzeliwali maruderów i ich szlakznaczony był ciałami zabitych lub zmarłych z głodu czy wyczerpania. Żywili się padliną i tym, co mogli znaleźć w mijanych wioskach. Czasami przez kilka dni musieli obywać się bez jedzenia czy wody. Spali na zamrzniętym leśnym podszyciu lub przytuleni do siebie na otwartych polach, chłostanych przez lodowaty wiatr. Obawiali się każdego nowego dnia.

Ostatecznym miejscem przeznaczenia Estery stał się obóz koncentracyjny w Buchenwaldzie, z którego - bliska śmierci głodowej - została wyzwolona przez amerykańskich żołnierzy Trzeciej Armii Pattona w kwietniu 1945 roku. Zabrano ją do obozu dla repatriantów i wyleczono. Dziesięć miesięcy później, przy pomocy Czerwonego Krzyża, połączyła się w końcu ze swoim synem Davidem, ojcem Racheli. Szwajcarska rodzina, która

opiekowała się chłopcem po jego ucieczce z Austrii w 1942 roku, pomogła im wyemigrować do Stanów Zjednoczonych.

Rachela dojechała do domu babki w Savian, zaparkowała na podjeździe i ruszyła wyłożoną kamieniami ścieżką na tyły. Przez szyby werandy zobaczyła sylwetkę starszej pani, pochylonej w miękkim blasku stołowej lampy. Gdy weszła do środka, Estera Sidrane odłożyła na bok czytaną książkę. Oschła kobieta, zniszczona życiem, które inni ledwo mogli sobie wyobrazić, zawsze promieniała na widok wnuczki - z wyjątkiem syna była ona jej jedyną radością. Nie miała żadnych fotografii córki, pozostał jej tylko portret wyryty w pamięci. Fizyczne podobieństwo Racheli do jej imienniczki sprawiało, że starszą panią po wizycie wnuczki nachodziły bolesne wspomnienia, a w jej oczach pojawiały się łzy.

- Tak dobrze cię widzieć, Rachelo, nawet o tak później porze. - Estera wstała, by ją przytulić, potem odsunęła dziewczynę na długość ramion. - Masz kłopoty? Co cię martwi?

- Nie będę mogła zjeść z tobą jutro kolacji. Muszę wyjechać na jakiś czas.

- Stało się coś złego? - Starsza pani usiadła w fotelu i wskazała Racheli miejsce na małej kanapie, cały czas trzymając ją za rękę.

- Nie, babciu. Muszę jechać do Nowego Jorku. Wiąże się to z moją pracą na uniwersytecie. - Rachela nigdy nie powiedziała babce o tym, że wstąpiła do Mossadu, pozwalając wierzyć jej w oficjalną wersję, iż jest asystentem profesora historii sztuki na uczelni w Tel Awiwie.

- Jednakże coś cię kłopotczy. Ja zawsze to poznaję. Rachela uśmiechnęła się i ścisnęła dłoń babci.

- Tak, ty zawsze poznasz.

- Więc o co chodzi, moja droga?

Rachela otworzyła kopertę i wyjęła fotografię pejzażu Rembrandta.

- Coś z twojej przeszłości. Mam nadzieję, że nie będzie to zbyt niepokojące. Pomyślałam, że chciałbyś o tym wiedzieć.

Rachela podała Esterze zdjęcie i obserwowała, jak starsza pani

przysunęła je do lampy. Na początku nie było żadnej dostrzegalnej reakcji, potem przez jej ręce przebiegło lekkie drżenie, a oczy zasnuły się łzami.

Rachela знаła szczegóły historii tego obrazu. Młodzieńczą pasją jej babki była sztuka. Studiowała na uniwersytecie wiedeńskim i miała nadzieję, że pewnego dnia zostanie kustoszem w miejskim Kunsthistorisches Museum. Wychodząc za Eugena wyrzekła się swoich marzeń, lecz na zawsze zachowała pasję do dzieł wielkich mistrzów i przekazała swoje umiłowanie sztuki wnuczce. Pejzaż Rembrandta był prezentem od męża, który dostała po urodzeniu córki. Opowiedziała Racheli o radości, jaką wtedy odczuwała; mąż miał nadzieję, iż w ten sposób choć częściowo wynagrodzi jej to, że musiała zrezygnować ze swej kariery. Opisała obraz w najdrobniejszych szczegółach i opowiedziała Racheli, jak bardzo dumny był Eugen ze znalezienia nie znanej wcześniej pracy Rembrandta. I o tym, jak wyklócał się z pułkownikiem SS, który zajął ich dom, wyklócał się dopóty, dopóki nie został pobity do nieprzytomności i wyrzucony na chodnik. Nic to jednakże nie dało - musiał oddać obraz, o którym wiedział, jak wiele znaczy dla jego żony.

Tego fatalnego dnia w październiku 1942 roku Estera Sidrane po raz ostatni widziała ukochane płótno, a teraz - pół wieku później, w kraju, który powstał z cierpienia, jakie znosiła ona i jej rodacy - siedziała w milczeniu, wpatrując się w niewyraźne zdjęcie obrazu, z twarzą we łzach, zagubiona w słodko - gorzkich wspomnieniach.

- Pamiętałaś - powiedziała głosem stłumionym ze wzruszenia. Rachela przesunęła się bliżej i objęła ją ramieniem. Po raz pierwszy widziała, jak starsza pani płacze, i jej oczy też napełniły się łzami.

- Tak, babciu. I zrobię wszystko, byś dostała go z powrotem. Obiecuję.

O 4.30 czasu moskiewskiego, w dwie godziny po odlocie Racheli z Tel Awiwu do Nowego Jorku, pułkownik Nikołaj Leonow minął bramę kompleksu służb *Wniesznej Razwiedki*. Jechał na

moskiewskie lotnisko Szeremietiewo i interesował go lot do tego samego miasta.

Leonow siedział z tyłu prowadzonego przez szofera samochodu, dostarczonego mu przez szefa SWR, i analizował informacje uzyskane podczas spotkania. Depesza z misji przy ONZ w Nowym Jorku, dotycząca zamordowania Arthura Cabota, potwierdziła jego najgorsze obawy. Szef SWR, wyrwany w swoim moskiewskim mieszkaniu z głębokiego snu o drugiej trzydzieści nad ranem, w kilka minut po przybyciu depeszy, zgodził się z konkluzją Leonowa: wypłynęła wcześniej nie znana kopia dokumentów Göringa i istniało niebezpieczeństwo, że ich operacja zostanie zdekonspirowana. Nasuwało się kilka ważnych pytań, które wymagały natychmiastowej odpowiedzi. W czyje ręce wpadła kopia? Czy CIA jest zaalarmowana tymi morderstwami i czy powiązano je z kradzieżami dzieł sztuki z czasów drugiej wojny światowej? A jeśli tak, czy mają gdzieś w komputerowych bazach danych przypadkowe fragmenty informacji wywiadowczych, które mogą sprawić, że dokładniej przyjrzą się temu, co się stało?

Na razie straty nie były istotne: Stewart nigdy dla nich nie pracował, a Cabot przeszedł już w stan spoczynku, po zwerbowaniu w Departamencie Stanu mocno osadzonych i operatywnych następców. Leonow do tego momentu wierzył, że bezpośrednie zagrożenie dotyczy pierwotnych nabywców skradzionych przez nazistów dzieł sztuki, a nie rozwiniętej przez nich siatki szpiegowskiej. I na podstawie faktów, jakich dowiedział się z gazet i od rezydenta w Nowym Jorku, wywnioskował, że nadrzędnym motywem morderstw była kradzież obrazów. Nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek potrafi ocenić prawdziwą wartość dokumentów. Jednakże czas był krytyczny. Należy odnaleźć i powstrzymać mordercę, nim wyjdzie na jaw operacja GORING. Nadmierne zainteresowanie mediów z łatwością mogło wyzwolić reakcję łańcuchową. Panika wzniecona przez zwerbowanych przez Cabota następców i potencjalne ofiary sprowokowałaby ich do irracjonalnego działania, które z kolei mogłoby zwrócić na nich

bacniejszą uwagę służb kontrwywiadowczych. Leonow widział kilka programów CNN i zdawał sobie sprawę, że każde nowe morderstwo będzie powodowało coraz większy rozgłos.

Najbardziej logicznym podejściem było ustalenie, kto będzie następną ofiarą. Leonow zakładał, kierując się jedynie bliskością miejsc, w jakich wydarzyły się dwa pierwsze morderstwa, że prawdopodobnie będzie to Philip Bancroft. Jako szef potężnego koncernu, głównego kontrahenta systemów zbrojeniowych najnowszej generacji, był nieocenionym informatorem, a dzięki swoim werbunkom umożliwiał penetrowanie najtajniejszych ośrodków badawczych w Stanach Zjednoczonych. W świetle obecnych potrzeb wywiadu był kimś, na kogo utratę Rosjanie nie mogli sobie pozwolić. Władze zdecydowały, że należy ostrzec Bancrofta przed nadciągającym niebezpieczeństwem - o ile nie wiedział jeszcze o śmierć Stewarta i Cabota, i nie uświadomił sobie wspólnego mianownika. Poza tym trzeba było dać mu do zrozumienia, że oni zdają sobie sprawę z zagrożenia i przedsięwzięją odpowiednie kroki, by go ochronić, i że w żaden sposób nie są odpowiedzialni za taki rozwój wypadków.

Każdy z aktywnych szpiegów z początków akcji GORING, razem ze zwerbowanymi przez siebie w ciągu lat następcami, miał przydzielonego własnego opiekuna, agenta Linii N. „Nielegalni” Linii N działali w ramach Zarządu S (odpowiedzialnego za wspieranie i utrzymywanie tajnej łączności z oficerami legalnymi na całym świecie) poza środowiskiem dyplomatycznym pod różnymi przykrywkami przez długi czas, niekiedy dziesiątki lat. „Nielegalni” Leonowa podlegali bezpośrednio jemu, a on sam - szefowi SWR, i nikt spoza jego biura nie wiedział o ich przydziałach.

Pierwszym posunięciem Leonowa było skontaktowanie się z kierowcą taksówki w Nowym Jorku - „nielegalnym”. Jedyńm jego zadaniem było obsługiwanie Bancrofta - aranżowanie transferu informacji i instrukcji za pomocą skrzynek kontaktowych, czy, w razie potrzeby, tajnych spotkań. Był on kontaktem Bancrofta z

legalnym oficerem rosyjskiego wywiadu. W godzinę po wysłaniu pytania w Jaseniewie otrzymano odpowiedź: Bancroft obecnie przebywa na Karaibach na pokładzie swego jachtu i jest nieosiągalny; jego powrót przewiduje się na popołudnie tego samego dnia. Leonow oddepeszował, by opiekun przygotował się na osobiste spotkanie, którego czas i miejsce zostaną wyznaczone po przybyciu pułkownika do Nowego Jorku.

Następnie Leonow, mając upoważnienie szefa SWR i nie wyjaśniając, kim jest Bancroft, wysłał priorytetową depeszę do rezydenta rosyjskiej misji przy Organizacji Narodów Zjednoczonych. Rozkazał, by wyznaczono najlepszych oficerów operacyjnych i przydzielono ich do dyskretnej obserwacji mieszkania Bancrofta w One Sutton Place South w celu zapewnienia bezpieczeństwa obiektowi. Dalej nadmienił, że bez specjalnego rozkazu nie wolno nawiązywać kontaktu z Bancroftem. Każdy prowadzący równoległą inwigilację obiektu czy jego rezydencji ma zostać porwany i dostarczony, żywy i nietknięty, do czyśćca SWR w rosyjskim środowisku imigracyjnym w dzielnicy Brighton Beach w Brooklynie, i tam zatrzymany do czasu przesłuchania.

Upoważnienie szefa SWR, dzięki któremu Leonow miał robić to, co było konieczne dla ochrony swojej operacji, nie miało precedensów. Wszyscy rezydenci (oficerowie odpowiedzialni za operacje wywiadowcze, stacjonujący w ambasadach i konsulatach na całym świecie, będący w przybliżeniu odpowiednikami szefów placówek CIA) i ich aktywa zostały oddane do jego dyspozycji. Wszyscy niechętnie wykonujący rozkazy mieli być odsyłani bezpośrednio do szefa SWR. Niezwykle pełnomocnictwa nie wyzwoliły u Leonowa takiej pewności siebie, jaką powinny. Po niedawnym wewnętrznym przewrocie zakrojone na szeroką skalę operacje rosyjskiego wywiadu nadal nie były w pełni prężne, a aktywność ich oficerów operacyjnych poważnie ograniczona. Bezpośrednio po sierpniowym puczu w 1991 roku i w czasie formowania się nowej rosyjskiej wspólnoty, dezercerzy z byłego

KGB i GRU (rosyjskiego wywiadu wojskowego), podobnie jak oficerowie wywiadu z byłych tajnych sił policyjnych Europy Wschodniej, spalili niezliczone operacje na całym świecie. W rezultacie setki szpiegów zostało zdekonspirowanych.

SWR, przekształcona w nową agencję wywiadowczą w zachodnim stylu, uwolniona od ingerencji politycznej wyznaczonych przez partię komunistyczną biurokratów, którzy byli plagą jej poprzedników, okazała się silniejsza i bardziej efektywna niż Pierwszy Naczelny Zarząd. W jej szeregach pozostało wielu najlepszych zagranicznych agentów, zwerbowanych jeszcze przez KGB, trzeba było jednak ograniczyć ich aktywność do czasu, póki nie stanie się jasne, którzy z nich nie zostali zdekonspirowani przez zdrajców. Sytuacja ta wymagała od oficerów działających na Zachodzie pod dyplomatyczną przykrywką podejmowania wyjątkowych środków ostrożności, a to zwiększało podejrzliwość kontrwywiadu danego państwa. W świetle wypadków, jakie miały miejsce w Nowym Jorku w ciągu kilku dni, nawet „nielegalni” Leonow, pracujący dla niego od lat, kiedyś uznani za całkowicie pewnych, musieli zostać zweryfikowani.

Leonow ani razu nie był za granicą - pomijając krótki urlop, który spędził z żoną i córką w Pradze, dwadzieścia sześć lat temu, jeszcze przed wstąpieniem do KGB. Gdyby był oficerem operacyjnym wywiadu, pracującym na Zachodzie i posiadającym akta w światowych agencjach wywiadowczych, musiałby podróżować pod przybranym nazwiskiem, jechać określoną trasą, przesiadać się, co najmniej trzy razy zmieniać miejsce przeznaczenia i dokumenty tożsamości. W jego przypadku nie był konieczny żaden ze standardowych środków ostrożności - w żadnych komputerowych danych ani CIA, ani FBI, nie figurował jako oficer rosyjskiego wywiadu. Leonow zarezerwował miejsce na samolot Lufthansy Moskwa - - Frankfurt, odlatujący o 6.10, z odpowiednim połączeniem do Nowego Jorku. Na miejscu miał się znaleźć po południu tego samego dnia. Paszport dyplomatyczny i dokumenty identyfikowały go jako attaché kulturalnego,

przydzielonego do rosyjskiej misji Narodów Zjednoczonych.

Lotnisko o tak wczesnej porze było całkowicie wyludnione. Leonow, przechodząc przez kontrolę paszportową, poczuł smak władzy. Oficer pobieżnie sprawdził jego dokumenty, wyprężył się jak struna i pełnym szacunku skinieniem otworzył bramkę. Jednakże Leonow wszedł na pokład samolotu bez właściwej mu pewności siebie. Miał przeprowadzić wyjątkowo trudną operację i drżał na myśl o niepowodzeniu.

Misza Karpow odniósł bagaże Leonowa do sali odpraw i zaczął na odlot samolotu do Frankfurtu. Wrócił do samochodu zaparkowanego w miejscu zarezerwowanym dla pojazdów oficjeli. Karpow był niegdyś oficerem KGB ze zniesionego obecnie Piątego Zarządu, głośnego swego czasu wydziału zajmującego się dysydentami. Znalazł się wśród zwolenników puczu Janajewa. Rozpad Związku Radzieckiego i rozwiązanie KGB obróciły jego obiecującą karierę w gruzy. Pozbawiono go stopnia oficerskiego i oddelegowano do zespołu szoferów i ochroniarzy, przydzielanych znaczącym oficerom Zagranicznej Służby Wywiadowczej.

Skromna posada otworzyła przed nim nieoczekiwane perspektywy. Drzwi, których w czasach poprzedzających degradację nie miałby szansy przekroczyć, stały przed nim otworem. W parku Gorkiego nawiązała z nim kontakt atrakcyjna Amerykanka, utrzymująca, że jest oficerem konsularnym moskiewskiej ambasady USA. Przed degradacją i przydzieleniem do takiej poniżającej roboty Karpow odmówiłby zdecydowanie i złożył raport o incydencie, ale w istniejącej sytuacji nie zrobił tego.

Amerykanie byli zainteresowani strukturą organizacyjną i wyższymi urzędnikami nowo powstałej Zagranicznej Służby Wywiadowczej, a Karpow, ze względu na swoją posadę, mógł dostarczać odpowiednich informacji. Płacili mu gotówką, w dolarach.

Karpow powoli odjechał od terminalu i skręcił na główną drogę prowadzącą do Moskwy. Zerkał we wsteczne lusterko, by upewnić

się, że nikt jadący za nim nie znajduje się na tyle blisko, by go obserwować. Kiedy upewnił się, że nikt go nie śledzi, z kieszeni marynarki wyjął miniaturowe urządzenie, włączył je i nie przerywając jazdy, zaczął mówić:

- Obudzono mnie o czwartej pięć dziś rano, bym podwiózł Anatola Zublina, szefa SWR, do Jaseniewa. W przybliżeniu dwie godziny później Zublin osobiście polecił mi odwieźć na lotnisko pewnego człowieka. Nie jest mi on znany i nie należy do hierarchii SWR. Zobaczyłem paszport, który przedstawił do kontroli oficerowi na lotnisku, i zdołałem ustalić, że nazywa się Nikołaj Leonow. W biurze rezerwacji Lufthansy dowiedziałem się, że Leonow ma zabukowany lot do Frankfurtu z połączeniem do Nowego Jorku.

Zakończył meldunek i włączył radioodtwarzacz. Kazał go zamontować szef SWR, fan zachodniej muzyki. Karpow skorzystał z okazji i, poszperawszy w kasetach schowanych w przegródce na rękawiczki, włączył Billy'ego Joela. Podkreślił magnetofon i śpiewał fałszując, ze straszliwym angielskim akcentem.

Miniaturowe urządzenie - magnetofon z wbudowanym radionadajnikiem - pochodziło od jego prowadzącego z CIA i było cudem techniki wśród używanych w Firmie tajnych środków łączności. Zawierało integralne urządzenie kodujące i transmiter, który kompresował nagrania i wysyłał je w trwającej ułamek sekundy transmisji przez przekaźnik do ściśle tajnego satelity komunikacyjnego CIA. Dzięki temu wiadomość od Karpo - wa została odebrana w Langley w kilka minut po wyemitowaniu.

Pracochłonna i kosztowna operacja oznaczona kryptonimem PIRAMIDA polegała na objęciu rozsianych po całym świecie agentów CIA błyskawicznym systemem łączności, o jakim Rosjanie mogli tylko pomarzyć. Oficerowie w Langley, nie ruszając się z biur, komunikowali się bezpośrednio ze swymi agentami, znajdującymi się w różnych częściach świata - czy to w zawiłym śniegiem zaułku Moskwy, czy w mrocznym zakątku pekińskiego parku. Agenci, wyposażeni w takie same kieszonkowe urządzenia jak Karpow, mogli odbierać i wysyłać do swoich prowadzących

nagrania o różnej długości. Z setką oddzielnych kanałów, losową zmianą częstotliwości nadawania, kompresyjną transmisją i możliwościami szyfrującymi, kontakt był prawie natychmiastowy i nie niósł ze sobą ryzyka podsłuchania.

W centrum Moskwy Karpow zjechał z trasy wiodącej do garażu i powoli minął ambasadę amerykańską. Wycelował małe tajne urządzenie w kierunku budynku i nacisnął guzik transmitera, w sekundę wysyłając nagraną i przetworzoną przez dekodery wiadomość do systemu odbiorczo - przekaźnikowego w pokoju szyfrów. Tak samo szybko wiadomość została przekazana orbitującemu wysoko nad ziemią satelicie, a z niego - do centrum operacyjnego CIA w Langley.

Jack Brannigan, w godzinę po spotkaniu z Mike'em Semką w czyścicu w Georgetown, nakazał przygotowanie oddzielnego pokoju w czynnym całą dobę Centrum Operacyjnym w Langley, by kontrolować i kierować operacją odnalezienia Jürgena Strassera, której nadał kryptonim PRERIA. Przyniesiono wygodne krzesła i stół konferencyjny, a technicy zainstalowali telefony, komputery i elementy specjalistycznego systemu łączności, podłączając je do sieci ukrytej pod podłogą dźwiękoszczelnego pomieszczenia.

Krótko po 20.30 czasu waszyngtońskiego ludzie z sekcji podsłuchu ABN - Agencji Bezpieczeństwa Narodowego - zaraportowali o niezwyklej wymianie depeasz między Jaseniewem a rosyjską misją w Nowym Jorku. Po depeaszach nastąpiła natychmiastowa seria zakodowanych rozmów telefonicznych między rezydentem a będącą własnością Rosjan posiadłością w Glen Cove na Long Island, zamieszkałą przez większość „legalnych” oficerów wywiadu przydzielonych do misji ONZ.

Ze względu na niedawną zmianę w rosyjskich kodach ABN miała niewielkie szansę na odszyfrowanie wiadomości. Depesze były wysyłane z Moskwy przed świtem, a więc wtedy, gdy komunikacja Wschód - Zachód jest zazwyczaj nikła, o ile w ogóle istnieje. Po niej nastąpiła fala późnowieczornej aktywności w Nowym Jorku. Połączenie tych faktów zaalarmowało Brannigana i

jego szefa kontrwywiadu, Alfreda Palmera. Wiadomość od Miszy Karpowa została odebrana o 23.35 (6.55 czasu moskiewskiego), a trzy godziny później otrzymano depezę od jednego z oficerów kontrwywiadu z frankfurckiej placówki Firmy, zlokalizowanej o kilka minut drogi od lotniska.

Człowiek Palmera we Frankfurcie potwierdził przybycie Nikołaja Leonowa. W punkcie informacyjnym, używając podstępnie, dowiedział się, że ma on zarezerwowane miejsce na lot do Nowego Jorku. Sfotografował niczego nie podejrzewającego Rosjanina i przefaksował zdjęcie razem z wiadomością. Brannigan i Palmer pracowali nad informacjami do późnych godzin nocnych, a o 4.15, gdy samolot Lufthansy z Leonowem na pokładzie przelatywał nad Francją w drodze do Nowego Jorku, byli przekonani, że są na tropie człowieka wysłanego przez Rosjan w celu kierowania ich polowaniem na Strassera.

Fakt, że nigdzie nie istniały akta Leonowa, i że nie był on znany placówce moskiewskiej, tylko umocnił Brannigana w przekonaniu, że znalazł właściwego człowieka. O 4.30 Brannigan wysłał Palmera z kopią zdjęcia zrobionego we Frankfurcie do Alexandrii w Wirginii. Przebywał tam Jurij Lisenko, wysoko postawiony dezenter z KGB, odizolowany po zakończeniu ostatnich etapów trwającego przez rok przesłuchania. Lisenko większą część swojej kariery spędził na stanowisku zastępcy szefa Pierwszego Naczelnego Zarządu, przekształconego z czasem w *Służbę Wniesznej Razwiedki*. Czynnie popierał próbę zamachu stanu w sierpniu 1991 roku, więc po jej udaremnieniu groziło mu, podobnie jak tuzinom innych pracowników KGB, którzy stanęli po niewłaściwej stronie, aresztowanie przez ludzi Jelcyna, Dziesięć dni później Lisenko uciekł do Finlandii i wpadł w oczekujące ramiona CIA.

Brannigan po telefonie Palmera z Alexandrii wiedział, że właśnie otrzymał decydujący dowód, łączący tajemniczego Leonowa z polowaniem na Strassera.

- Lisenko pamięta Leonowa jako pułkownika, który posiadał nadzwyczajne pełnomocnictwa i kontaktował się z szefem

Pierwszego Naczelnego Zarządu pomijając drogę służbową - powiedział Palmer. - Ale nigdy nie wiedział, czym on się zajmuje - wiedział tylko, że jego biuro było podsekcją Służby R, Projektów Specjalnych i że jego funkcja była sklasyfikowana jako ściśle tajna. Słyszał pogłoski, że Leonow w jakiś sposób powiązany był z Zarządem Nielegalnych, ale podkreśla, że to nic pewnego.

- Pasuje - odparł Brannigan. - To musi być nasz człowiek. O której jego samolot przylatuje na lotnisko Kennedygo?

- O dwunastej trzydzieści pięć.

- Weźmiemy go pod stałą obserwację, gdy tylko się pojawi.

Mike Semko znajdował się w sypialni na ostatnim piętrze trzypiętrowego budynku, stojącego na Sześćdziesiątej Ulicy obok Central Parku, gdy natarczywy dźwięk telefonu wyrwał go z niespokojnego snu. Przerzucił nogi przez skraj łóżka i mrużąc z niezadowolenia popatrzył na jasnozielone cyfry radiozegara. Zanim podniósł słuchawkę, otrząsnął się z resztek snu i przekręcił kluczyk w podstawie aparatu, by uruchomić urządzenie kodujące.

- Cześć, Jack - powiedział nie mając wątpliwości, że na drugim końcu linii jest zastępca dyrektora CIA do spraw operacyjnych.

- Wstań i rozpromień się, Michael, mój chłopcze. Polowanie w toku.

- O piątej trzydzieści rano? Co się dzieje?

- Rosjanie weszli do gry.

- Po czyjej stronie?

- Po własnej.

- Co oni tu robią? Do diabła, przecież popierali Strassera i jego kumpli ze Stasi przez czterdzieści pięć lat.

- Najwidoczniej chodzi im o to samo, co nam - stwierdził z rezerwą DDO.

- Pieprzyć Rosjan. Pieprzyć ich wszystkich.

- Nie jesteś rannym ptaszkiem, prawda? - zachichotał Brannigan.

- Wąż, który zrzuca skórę, ciągle jest wężem.

- Przestrzegaj reguł, Mike; żadnych bezpośrednich konfrontacji,

póki nie będzie to absolutnie konieczne. Nie chcemy żadnego międzynarodowego incydentu z naszymi nowymi przyjaciółmi.

- Wiesz, Jack, właśnie dlatego jesteśmy wielkim narodem. Jesteśmy tak cholernie naiwni i optymistyczni. To część naszego uroku - szczególnie dla tych, którzy nie muszą być od nas zależni.

- Po prostu trzymaj się od nich z daleka.

- Tak, pewnie. - Ton Semki nie był zbyt przekonujący.

- Spotkanie z twoim pomocnikiem wyznaczono na dwunastą w południe przy sadzawce lwa morskiego w zoo w Central Parku. Masz mieć w lewej ręce złożony na pół wzdłuż dłuższej krawędzi ostatni numer „Timesa”, stroną tytułową na zewnątrz.

- Jezus, ci ludzie oglądali zbyt wiele filmów.

- To ich sprawa. Prawdopodobnie chcą sprawdzić teren, nim wprowadzą swojego człowieka, a nie ufają naszemu czyścicowi i nie chcą przyznać, że mają w Nowym Jorku własny.

- Kolejna wspólna operacja oparta na obustronnym zaufaniu i szacunku, co?

- Nie popełnij błędu polegającego na niedocenianiu ich, Mike. "A przy okazji, dostałeś listę podejrzanych galerii? - zapytał Brannigan, nawiązując do informacji, jakie CIA uzyskała z nowojorskiego departamentu policji.

- Tak. Dał mi ją człowiek, który zabrał mnie z lotniska.

- Zaczynij od tego. Strasser ma kogoś w tym biznesie, kto zajmuje się sprzedażą kradzionych obrazów.

- Co jeszcze powinienem wiedzieć?

- Możesz natknąć się na ludzi z kontrwywiadu FBI. Jeżeli natrafiają na jakąś podejrzaną aktywność Rosjan poza misją ONZ i Glen Cove, rozpoczną własne śledztwo.

- Kapitalnie. Z nowojorskimi glinami, Mossadem, Rosjanami, FBI i z nami, uganianymi się za tą samo osobą, ta operacja może wkrótce spalić na panewce.

- Jeśli natkniesz się na FBI, daj mi znać. Spróbuję ich powstrzymać.

- Czy mogę zastrzelić kilku, jeśli wejdą mi w drogę?

- To nie jest śmieszne, Mike.
- Nie miało być.
- Bądź ze mną w kontakcie.

Nowy Jork jest jedynym amerykańskim miastem, w którym superbogacze wolą mieszkać w luksusowych apartamentach niż w wolno stojących rezydencjach - jednakże muszą to być mieszkania w tak zwanych Dobrych Budynkach. Wszystkie czterdzieści dwa znane dobre budynki to bloki zlokalizowane na Upper East Side w tak zwanym Trójkącie, którego boki biegną od Sutton Place przez Pięćdziesiątą Siódmą Ulicę do Piątej Alei na południu, potem na północ do Dziewięćdziesiątej Ósmej i po przekątnej z powrotem do Sutton Place.

Nazwa Dobry Budynek ma niewiele wspólnego z cechami konstrukcyjnymi czy okazałością (wszystkie są okazałe i porządnie zbudowane); określenie opiera się na pozycji towarzyskiej i zamożności mieszkańców. Osoby publiczne, cieszące się dużą popularnością, generalnie są pozbawione prawa zamieszkania w tych budynkach. Większość z rad mieszkańców nie akceptuje kogoś, kto płaci gotówką, ma obciążony zastaw hipoteczny i nie może wykazać się co najmniej dwudziestoma pięcioma milionami czystego dochodu. W czterdziestu dwóch takich budynkach mieści się w przybliżeniu pięćset mieszkań o średniej wartości czterech milionów dolarów i miesięcznych opłatach czynszowych często powyżej dziesięciu tysięcy. Wielkość opłat nie zależy od dochodów mieszkańców, a mimo to lista chętnych na zamieszkanie w tych apartamentach - co równa się dołączeniu do elity finansowej i towarzyskiej - jest olbrzymia.

Blok z numerem pierwszym stojący przy Sutton Place South, na rogu, gdzie Pięćdziesiątą Siódmą kończy się na East River, był jednym z pierwszych Dobrych Budynków Manhattanu. Został zbudowany, tak jak wszystkie, przed drugą wojną światową. Większa część siódmego i ósmego piętra czcigodnej struktury z cegły i wapienia stanowiła nowojorską rezydencję Philipa

Bancrofta. Na siódmym piętrze winda otwierała się na prywatny westybul, w którym znajdowało się tylko jedno wejście: grube na siedem centymetrów dębowe drzwi. Mieszkanie, z ponad dwudziestoma pokojami, niektórymi wysokimi na sześć metrów, dla wszystkich, poza najbardziej zblazowanymi, było nieledwie pałacem. Zawierało dwupoziomową galerię z kręconą klatką schodową, salon, bibliotekę, ogromną kuchnię, pomieszczenie dla służby, długą na dwanaście metrów bawialnię oraz o kilka metrów mniejszą jadalnię.

Ochrona budynku, z portierami, windziarzami i personelem recepcyjnym w holu wejściowym była wystarczająca, by odstraszyć pospolitego przestępcę, lecz nie mogła powstrzymać kogoś ze zdolnościami i doświadczeniem Jürgena Strassera. Strasser spacerował po Sutton Place poprzedniego dnia, a teraz, kilka minut po siódmej rano, wrócił, by przeprowadzić ostateczne rozpoznanie przed spodziewanym powrotem Bancrofta.

Wczorajsza obserwacja budynku, rozpoczęta tuż przed południem, okazała się nadspodziewanie owocna: Strasser natknął się na czteroosobową brygadę malarzy pokojowych, którzy wracali z przerwy na lunch. Robotnicy korzystali ze służbowego wejścia, wychodzącego na ulicę po północnej stronie budynku. Zadzwonili i zostali wpuszczeni przez dozorcę, który natychmiast zamknął za nimi szklane drzwi ze stalową kratą.

Po południu tego samego dnia Strasser wrócił na swoją pozycję, by obserwować, jak malarze wychodzą po skończeniu pracy. Zapamiętał wypisaną na furgonetce nazwę firmy - „Unikatowe Wnętrza”, typ kombinezonów, w jakie byli ubrani robotnicy, i ekwipunek, jaki zabrali ze sobą do domu. Następnego dnia rano, nim przybyli do pracy o ósmej trzydzieści, czekał, by przyjrzeć się, jak wchodzi do budynku.

Malarze zaparkowali furgonetkę tuż za rogiem, gdzie Pięćdziesiąta Siódma kończy się placem o powierzchni dwudziestu metrów kwadratowych, zamkniętym z jednej strony przez północną ścianę One Sutton Place South, a z drugiej przez

południowy fronton eleganckiego ceglanego domu - oficjalnej rezydencji sekretarza generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych. Kończąca się ślepo, obsadzona drzewami ulica służy jako doskonale miejsce parkowania dla limuzyn i pojazdów należących do tych, którzy mają interes w One Sutton Place South.

Tuż za parkingiem znajduje się wychodzący na rzekę miniaturowy, trochę większy od podwórka, Sutton Place Park. Siedzący na ławkach mogą podziwiać piękną panoramę East River i Roosevelt Island, częściowo obramowaną mostem, będącym przedłużeniem Pięćdziesiątej Dziewiątej. Park jest miejscem chętnie odwiedzanym przez okolicznych starszych mieszkańców, zwłaszcza na inwalidzkich wózkach, pchanych przez pielęgniarki. Przybywają tu, by czytać, wygrzewać się w słońcu i jeść lunch ze staromodnych słomianych piknikowych koszyków.

Strasser siedział na ławce u szczytu alejki, wiodącej w dół małego parku, co pozwalało mu bez przeszkód obserwować furgonetkę malarzy. Przyglądał się, jak robotnicy wyładowują swój ekwipunek i zauważył, że mają na sobie nowe, czyste kombinezony - bardzo podobne do tego, jaki poprzedniego dnia kupił w sklepie przemysłowym. Wstał i wolnym krokiem doszedł do rogu. Patrzył, jak malarze zadzwonili do drzwi i zostali wpuszczeni przez dozorcę. Strasser tym razem przyjrzał mu się uważniej: był to przysadzisty, potężnie zbudowany Latynos, wyglądający na człowieka, który potrafi dać sobie radę w życiu.

Zauważył też funkcjonariusza nowojorskiej policji z dziewiętnastego okręgu, który siedział w małym, trzykołowym wehikule, zaparkowanym przy krawężniku przed oficjalną rezydencją sekretarza generalnego ONZ. Strasser poprzedniego dnia ustalił, że jest to rutynowe zachowanie: policjant przyjeżdżał przed planowanym powrotem sekretarza generalnego (przybywał on z eskortą ochroniarzy z sił bezpieczeństwa ONZ w cywilnych ubraniach, która odjeżdżała, gdy wszedł do domu) i stał przy krawężniku, dopóki sekretarz generalny znów nie opuścił rezydencji. Dodatkową ochronę zapewniał strażnik ubrany w szary

mundur ochrony ONZ, podobny do liberii portierów; wybrzuszenie pod lewą pachą szamerowanego złotem uniformu mówiło samo za siebie - ochroniarz miał broń w podramiennej kaburze. Przebywał on w rezydencji przez cały czas. Wychodził tylko na moment, aby odprowadzić sekretarza generalnego do samochodu i przekazać pod opiekę jego osobistej ochrony.

Strasser zobaczył, że pod rezydencję podjechali ubrani po cywilnemu strażnicy. Sekretarz generalny, eskortowany przez ochroniarza, wsiadł do czekającego samochodu. Strasser przypuszczał, że, jak zwykle, pojechał do biura w budynku Narodów Zjednoczonych. Po kilku minutach odjechał również glina na skuterze, a umundurowany strażnik zniknął we wnętrzu domu. Gdyby plan przebiegał gładko, sporadyczna obecność gliny nie stanowiłaby problemu, ale terrorysta dawno temu nauczył się nie zostawiać nic przypadkowi i zawsze w swoich planach uwzględniał wszystkie pozornie nieważne elementy.

Zadowolony z tego, co do tej pory zaobserwował, wrócił do parku i usiadł na ławce nad rzeką. Zdecydował, że zrealizuje swój plan po południu, po upewnieniu się, że Bancroft wrócił do domu. Przez pewien czas przyglądał się fotografiom (jedna przedstawiała głowę Bancrofta z przodu, druga z profilu) wyciętym przez Drussarda ze starego magazynu poświęconego malarstwu. Otrzymał je od właściciela galerii przy Madison Avenue. Przypomniawszy sobie noc spędzoną w domu Cabota - jak zdjął mu rzemienie z nadgarstków i zmusił do wyłączenia systemu alarmowego w całym gabinecie, w którym znajdowały się obrazy. Stary człowiek, pokonując ból i udrękę, wyszeptał chrapliwie: - Możesz powiedzieć swoim brudnym ruskim szefom, że to ja będę się śmiał ostatni. - Potem, kiedy on skupił się na płótnach, Cabot odwrócił się i popędził chwiejnym krokiem korytarzem drugiego piętra. Potknął się o perski dywan i runął ze schodów.

Słowa te zaniepokoiły Strassera. Co tam było do śmiechu? I co spowodowało, że Cabot pomyślał o Rosjanach? Czasami, gdy był wściekły, w jego prawie doskonałym angielskim pojawiał się lekki

niemiecki akcent. Może Cabot pomylił go z akcentem rosyjskim? Może. Strasser odegnał od siebie natrętną myśl, raz jeszcze koncentrując się na czekającym go zadaniu, później wstał i opuścił park, by po raz ostatni obejść teren.

Zmierzał w kierunku skrzyżowania ze Wschodnią Pięćdziesiątą Szóstą, do garażu, w którym zostawił wynajętą furgonetkę. Był tak pochłonięty analizą szczegółów planu, że nie zauważył śledzącego go człowieka. Człowiek ów dotrzymywał mu kroku, idąc po drugiej stronie ulicy.

Policjant, który niedawno odjechał od krawężnika przed frontem rezydencji sekretarza generalnego nie był przedmiotem bezpośredniego zainteresowania Strassera. Jego sporadyczna obecność stanowiła jednak problem dla rosyjskiego oficera wywiadu, odpowiedzialnego za inwigilację One Sutton Place South. Trzy samochody - w każdym siedziało po dwóch agentów - zaparkowane w stosunkowo spokojnej, ekskluzywnej dzielnicy mogły zwrócić na siebie uwagę policjanta, mogły też zostać zauważone przez radiowozy, które rutynowo patrolowały okolicę.

Rosjanin rozwiązał problem w ten sposób, że rozkazał dwóm zespołom trzymać się w odległości jednej przecznicy na Pierwszej Alei, która była bardziej ruchliwą arterią, więc ich obecność mniej przyciągała uwagę. Trzeci zespół, przydzielony na Sutton Place South, patrolował teren na piechotę. Dwaj jego członkowie pozostawali w kontakcie radiowym z ludźmi w samochodach i służyli jako jednostka natychmiastowego reagowania w przypadku, gdyby ktoś usiłował zaatakować Bancrofta przed wejściem do budynku.

Co dwie godziny mężczyźni na Sutton Place South zmieniali marynarki i kapelusze, przechowywane dla nich w samochodach. Od czasu do czasu zmieniali także przydzielone sektory, aby nie chodzić tą samą trasą, oraz dbali, by nie zajmować punktu obserwacyjnego przez dłużej niż piętnaście minut. Postępowanie takie miało zapewnić im anonimowość i uniemożliwić

zapamiętanie przez portierów, którzy stali przed wejściami do budynków znajdujących się po obu stronach ulicy. Od północy do świtu na ulicy pracował tylko jeden człowiek; udawał jednego z miejskich bezdomnych. Wklinował się w kąt u podnóża schodów domu stojącego na Pięćdziesiątej Siódmej, skąd miał dobry widok na blok Bancrofta.

Ze względu na niedawną redukcję liczby agentów przydzielonych do rosyjskiej misji ONZ, oficer odpowiedzialny za operację miał do dyspozycji jedynie dwa sześciuosobowe zespoły. Pracowały one na dziesięcio - godzinnych zmianach, a zespół nocny, który rozpoczął obserwację o dziewiątej trzydzieści poprzedniego wieczora, został zwolniony tuż przed porannym przybyciem Strassera.

Jeden z Rosjan, idący po drugiej stronie ulicy od strony One Sutton Place South, zauważył wysokiego, szczupłego mężczyznę wychodzącego z parku. Spojrzał na jego blond włosy, drogą skórzaną kurtkę, sposób, w jaki się poruszał i coś pobudziło jego pamięć. Widział go już wcześniej, kiedy spacerował po parku, a także dwukrotnie na ulicy. Był tego pewien. Zwolnił i szedł za nim aż do skrzyżowania ze Wschodnią Pięćdziesiątą Szóstą, gdzie mężczyzna przeszedł na chodnik po jego stronie jezdni.

Rosjanin poszedł dalej na południe, przeciął skrzyżowanie, a potem zerknąwszy przez ramię zobaczył, że blondyn skręcił. Zawrócił, lecz nim doszedł do rogu i zajrzał w wąską, jednokierunkową ulicę, zgubił go w strumieniu potrącających się na chodnikach przechodniów. Zaniepokojony tym, że znajduje się poza wyznaczonym terenem, przestał sobie zawracać głowy nieznanym - założył, że po prostu mieszka on gdzieś w okolicy - i szybko wrócił do swojego sektora.

Wzajemna działalność szpiegowska nie jest zjawiskiem niezwykłym; kłopoty zaczynają się wtedy, kiedy cała sprawa wychodzi na jaw. Izraelski Mossad wielokrotnie zaprzeczał, że kiedykolwiek prowadził tajne operacje przeciwko Stanom Zjednoczonym i że posiada apartamenty operacyjne (mossadowski odpowiednik zakonspirowanego lokalu) na ziemi amerykańskiej. W rzeczywistości jest jednak inaczej. Co prawda naczelną misją Mossadu jest szpiegowanie wrogów Izraela: państw arabskich i ich sieci antyizraelskich ugrupowań terrorystycznych, lecz prawie równą wagę Izraelczycy przywiązują do operacji, których celem jest zbieranie informacji w Stanach Zjednoczonych. Mossad zawsze potrafił zdobyć potrzebne informacje przy pomocy amerykańskich Żydów i w wielu dziedzinach miał większe osiągnięcia niż Rosjanie. Amerykanie, skądinąd bardzo lojalni, łatwo godzą się na współpracę z Mossadem, ponieważ ciąży na nich wielkie poczucie winy: Holocaust. Pięćdziesiąt lat temu nie pośpieszyli z pomocą Żydom.

Operacje Mossadu skierowane przeciwko Stanom Zjednoczonym nie mają jednakże charakteru antyamerykańskiego, a raczej proizraelski. Działania Izraelczyków w Nowym Jorku nakierowane są głównie na środowisko dyplomatyczne ONZ, posiadające najwięcej informacji o świecie arabskim i OWP. Jedną z

najefektywniejszych akcji prowadzą wysokiej klasy prostytutki na telefon (po podstawowym przeszkoleniu wywiadowczym), obsługujące dyplomatów i pracowników ONZ mających dostęp do interesujących informacji. W Waszyngtonie źródłem informacji są przedstawiciele Senatu i Izby Reprezentantów oraz agenci wywiadu, działający w izraelskim środowisku dyplomatycznym. Izraelczycy śledzą wszelkie zmiany polityczne i uczuleni są na oznaki, które mogłyby świadczyć o malejącym poparciu Stanów Zjednoczonych, co z kolei mogłoby wpłynąć na zmniejszenie pomocy militarnej i finansowej, od której są zależni. Przejmują też wszelkie dane dotyczące rozwoju techniki, tak niechętnie ujawniane przez Waszyngton, a dające się zastosować w systemie obrony Izraela. Działania te podyktowane są typową dla każdego Żyda obsesją, jaką jest przetrwanie narodu i państwa.

Apartament na piątym piętrze budynku pod numerem 421 na Wschodniej Pięćdziesiątej Drugiej był jednym z siedmiu lokali Mossadu w Nowym Jorku, udostępnionym przez *sayanim* - potężną siatkę „pomocników” rozsianych po mieście, które pod względem liczebności wspólnoty żydowskiej ustępuje jedynie Tel Awiwowi. Sześciu mężczyzn siedzących wokół owalnego szklanego stołu było członkami Kidonu, jednostki, do której należała Rachela Sidrane. Przybyli oni wczesnym rankiem na pokładzie wypożyczonego przez Mossad prywatnego odrzutowca. Studiowali właśnie szczegółowe plany Central Parku, wybierając miejsca, z których mogliby obserwować spotkanie przy basenie lwa morskiego, gdy zadzwieczał dzwonek najpierw dwa razy, a po kilkusekundowej przerwie jeszcze trzykrotnie.

Oficer Mossadu, który podszedł do drzwi, aby wpuścić gościa, kończył akademię szkoleniową razem z Rachela. Po zatknięciu pistoletu za pas i zamknięciu drzwi przywitał ją serdecznie. Pozostali powitali ją ciepłymi uśmiechami. Niełatwo było osiągnąć taką akceptację i szacunek - na początku w zdominowanym przez mężczyzn Mossadzie Rachela uważana była jedynie za upragnioną, ale nieosiągalną zdobycz łóżkową.

Wszystko zmieniło się wraz z jej pierwszym zadaniem, które otrzymała dziewięć miesięcy po zakończeniu szkolenia i po przydzieleniu jej do Kidonu. Minęło czternaście miesięcy, odkąd jej narzeczony, Aaron Sontag, został zastrzelony na londyńskiej ulicy, ale w końcu udało się zidentyfikować i zlokalizować mordercę. Ben - David, gorący wyznawca zasady „oko za oko”, dał Racheli okazję do pomszczenia Aarona. Skorzystała z niej bez wahania i sześć dni później, w mroźne jesienne popołudnie na ruchliwej ulicy w Brukseli, dwudziestodwuletnia kobieta, która nigdy nikogo umyślnie nie skrzywdziła i dla której walka na śmierć i życie jeszcze niedawno była jedynie tematem akademickich dyskusji, odkryła mrok w swojej duszy i nauczyła się z nim żyć.

Na przystanku autobusowym na wielkim skwerze w Brukseli Rachelę stanęła obok niskiego, tęgiego Araba po trzydziestce. Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się. Mężczyzna odpowiedział uśmiechem i z aprobatą spojrzał na jej figurę. Jej zachowanie uznał za kokieterię pięknej kobiety. Nawet nie zobaczył *Beretty* kalibru 0,22 cala z tłumikiem, która wyłoniła się z torebki Racheli, ani nie poczuł niczego więcej poza bólem w chwili, gdy dwie kule oderwały kawałek potylicy. Około tuzina stojących na przystanku ludzi patrzyło z przerażeniem, jak dobrze ubrana młoda kobieta stanęła nad martwą już ofiarą i jeszcze trzy razy strzeliła jej w serce.

W gorączce działania Rachelę nie zapomniała niczego z przebytego szkolenia. Zachowała zimną krew i kontrolowała emocje - strzeliła pięć razy, tak jak planowała. Pozostałe naboje - dwa w magazynku i jeden z komorze - przeznaczone były dla każdego, kto próbowałby ją zatrzymać, gdy schodziła z krawężnika i wsiadała to taksówki. Samochód zatrzymał się tylko na ułamek sekundy, później przyśpieszył i zniknął w bocznej ulicy. Dla wtajemniczonych wiadomość była czytelna: Mossad zaatakował jak zwykle: w biały dzień, nie zostawiając niczego poza łuskami, ciałem i sprzecznymi relacjami świadków.

Po brukselskim zadaniu mężczyźni z Kidonu zaczęli nazywać Rachelę "Aniołem Zemsty", czego nie znosiła, rozumiała jednakże,

że nadano jej to przezwisko z szacunku. Stanowiło ono ostateczne potwierdzenie, iż przyjęli ją w swoje szeregi. To było pięć lat temu, a szacunek jej kolegów wzrastał po każdym nowym zadaniu. Rachela była zaskoczona i jednocześnie poczuła ulgę, gdy odkryła, że jest w stanie oddzielić sprawy zawodowe od osobistych oraz że po inicjacji w Brukseli, tylko przez krótki okres odczuwała wyrzuty sumienia. Ben - David zapewnił ją, że to naturalna reakcja istoty cywilizowanej, która została wezwana do robienia tego typu rzeczy. Depresja nie trwała długo - przypomniała sobie autobus wiozący dzieci ze szkoły na Zachodnim Brzegu, w którym podłożono bombę. Bez wysiłku zdołała zdepersonalizować swoje ofiary. Widziała w nich jedynie pozbawionych sumienia, okrutnych i bezwzględnych morderców niewinnych ludzi, bezmyślnych terrorystów, którzy stracili prawo do egzystowania w przyzwoitym społeczeństwie.

Siedzący z nią przy stole koledzy nie zdawali sobie sprawy, że obecnie trapi ją coś, co nie jest związane z bieżącą operacją. Tuż przed przybyciem do czyścica Rachela zadzwoniła do pomocnika Mossadu pracującego w wydziale do spraw kradzieży dzieł sztuki, przydzielonego do grupy specjalnej, powołanej do rozwiązania tajemnicy morderstw Stewarta i Cabota. Zapytała go, co się dzieje z obrazami znalezionymi w mieszkaniu Stewarta. Otrzymane informacje nie były pocieszające. Wszystkie płótna znalezione w sekretnym pokoju przechowywano w komisariacie dziewiętnastego okręgu. Miały one pozostać tam do czasu, póki na drodze sądowej nie zostaną ustaleni ich prawowici właściciele. Cztery z nich, łącznie z pejzażem Rembrandta, których nie zaklasyfikowano do dzieł kradzionych, na mocy testamentu Edwarda Winthrop'a Stewarta miano przekazać Metropolitan Museum of Art jako część jego legalnej kolekcji. Rachela była załamana, gdy zrozumiała, że każda próba odzyskania obrazu wymaga długiej batalii prawnej, z nikłą nadzieją na sukces, ponieważ nie istniały już żadne dokumenty dowodzące, że jej babka jest prawowitą właścicielką.

Rachela odsunęła od siebie przygnębiające myśli i

skoncentrowała się na rozmowie toczącej się przy stole. Dowódca sześćosobowego zespołu wspierającego prowadził odprawę, która dotyczyła nadesłanych z siedziby kwatery głównej w Tel Awiwie nowych informacji związanych z morderstwami w Nowym Jorku. Zarówno ludzie z CIA, jak i z Mossadu zgodzili się, by nie informować nowojorskiej policji o zidentyfikowaniu Jürgena Strassera jako mordercy ani o jego poszukiwaniu. Ben - David nie chciał, żeby Strassera ujęto na terenie stanu, w którym za swoje przestępstwa mógł zostać skazany jedynie na dożywocie - co, biorąc pod uwagę umiejętności terrorysty, oznaczało, że wcześniej czy później i tak znajdzie się na wolności. Brannigan z kolei nie chciał ryzykować, że lista Göringa - Mossad o jej istnieniu nie wiedział - wpadnie w ręce nowojorskich glin.

Brannigan nie poinformował Ben - Davida o poczynaniach Rosjan, dlatego też poranny incydent uznano za nie mający związku z bieżącą operacją.

Agent Mossadu, działający wewnątrz rosyjskiej wspólnoty emigracyjnej w Brighton Beach w Brooklynie, poinformował swego prowadzącego o operacji wywiadowczej skierowanej na nieznaną osobę przy One Sutton Place South. Żeby nie wzbudzić czujności kontrwywiadu FBI operacją kierowano nie z rosyjskiej misji przy ONZ, ani nie z posiadłości Glen Cove, lecz z czyścica w Brighton Beach. Od czwartej rano budynek obserwowały dwa sześćosobowe zespoły zmieniające się co dziesięć godzin.

Rachela zapamiętała tę informację. Godzinę po przybyciu do apartamentu, po ustaleniu procedury łączności i postępowania w przypadku utraty kontaktu z zespołem wspierającym, zaopatrzona w pistolet *Walther PPKS* z tłumikiem, wyszła na spotkanie.

Mike Semko stał w zoo w Central Parku przy ogrodzeniu okalającym basen lwa morskiego. Wokół zgromadziła się hałaśliwa grupa uczniów. Dzieciaki śmiały się i piszczały z zadowolenia, gdy potężny ssak trąbił nosowo i pływał z zawrotną szybkością po obwodzie basenu, wirując i wyskakując nad powierzchnię, by z

ręki opiekuna odebrać rybę.

Rachela Sidrane siedziała na ławce częściowo ukrytej za rabatką z kwiatami i przyglądała się uważnie człowiekowi, który stał w gromadzie dzieci. Metr osiemdziesiąt, atletycznie zbudowany, ze ściętymi krótko brązowymi włosami, ubrany niedbale w spodnie khaki, sportowe buty i szarą wiatrówkę, natychmiast po przybyciu przyciągnął jej uwagę. Nie mogła zobaczyć, czy trzyma gazetę, bo zewsząd otaczały go dzieciaki, nie było to jednak konieczne - pamiętała go z fotografii i taśm wideo. Mężczyzna stał przy poręczy, opierając ciężar ciała na jednej nodze i obserwował otoczenie. Emanował z niego spokój, a jednocześnie widać było, że jest gotów do działania. Jego przenikliwe oczy wyrażały opanowanie i nadzwyczajną pewność siebie. Wszystko w nim mówiło, że jest człowiekiem wyszkolonym w stosowaniu przemocy - jak uprzedzał ją Ben - David. Rachela już wcześniej widywała podobnych ludzi. Zwróciła uwagę, że ten jest szczególnie przystojny i pomyślała, że na pewno niebezpieczny. Gdyby znajdował się po przeciwnej stronie, oznaczałoby to złe wieści.

Kilka minut przed dwunastą Semko kątem oka dostrzegł podnoszącą się z ławki atrakcyjną kobietę, która ruszyła ku niemu, przeciskając się przez gromadę dzieciaków. Nie podejrzewał, że ona może być kontaktem. Jej kruczoczarne, odgarnięte do tyłu włosy, lśniły w słońcu, a oczy kryły się za lustrzanymi okularami w metalowych oprawkach. Nie miała makijażu; paznokcie, co zauważył, gdy położyła ręce na poręczy, były krótko obcięte i nie pomalowane. Miała na sobie spodnie, lniany żakiet i jedwabną bluzkę, wszystkie elementy stroju podkreślały jej zgrabną figurę. Pomyślał, że w innych okolicznościach z przyjemnością nawiązałaby z nią rozmowę.

- Mokry ptak lata nocą - powiedziała Rachela, a na jej twarzy rozbłysnął figlarny uśmiech.

- Słucham?

- Mokry ptak lata nocą - powtórzyła i uniosła brwi tak, że wyłoniły się znad oprawek szkieł.

Semko zazwyczaj szybko odróżniał wariatów od normalnych, choć pojęcie „człowiek normalny” zatracalo swój sens w tym mieście. Popatrzył na wyraźnie zaniepokojoną kobietę, potem bez słowa odwrócił się i odszedł wzdłuż skraju basenu - po to tylko, by dostrzec, że ona idzie za nim. Zatrzymał się i odwrócił.

- Nie mam czasu, moja pani; czego pani chce? Rachela uśmiechnęła się i, upewniwszy się, że nikt ich nie podsłuchuje, wyjęła mu z ręki „Time Magazyn”.

- Odpręż się, Semko. Myślałam, że wy z CIA lubicie taki hasła.

- Kim pani jest, u diabła?

- Osobą, na którą pan czeka.

- Naprawdę? - Zdziwienie Semki było szczere. - Nie spodziewałem się, że będzie to kobieta.

- A ja spodziewałam się faceta w typie Ligi Bluszczowej, ubranego w błękitny blezer lub tweedową marynarkę z rypсовym krawatem i palącego fajkę. Ach, i jeszcze w mokasynach od Gucciego.

- Tacy występują tylko w filmach. Ja jestem tym, kogo chłopcy w garniturach nazywają typem paramilitarnym, facetem od bicia. Oni grają według reguł, my nie; dlatego to my odwalamy brudną robotę.

Ujął Rachelę pod rękę i wyprowadził z tłumu przy basenie. Poszli w górę schodów przejściem pod arkadami, prowadzącym do większego basenu ze skalistym cyplem i wodospadami, przeznaczonego dla kolonii japońskich małych śnieżnych. Doprowadził ją do narożnika, przy którym pojawiali się tylko przypadkowi zwiedzający.

- Została pani przydzielona do pracy ze mną?

- Nazywam się Rachela Sidrane - powiedziała i wyciągnęła rękę. Semko zignorował wyciągniętą dłoń i powoli pokręcił głową.

- Nie wierzę.

Rachela najeżyła się, rozpoznając nastawienie, z jakim spotykała się przez całe dorosłe życie i którym czuła się głęboko dotknięta. Oszacował ją z typowym męskim uprzedzeniem; na szczęście on

nie musiał płacić własnym życiem za pomyłkę - w przeciwieństwie do wrogów, którzy też jej nie docenili.

- Niech zgadnę. Według pana kobieta powinna siedzieć w kuchni, bosa w zimie i ciężarna latem.

- Mniej więcej - zgodził się Semko, mimo że stwierdzenie to było dalekie od wyznawanej przez niego filozofii. - Jakie są pani kwalifikacje?

- Mam doktorat z historii sztuki.

- Kapitalnie! Chce pani, po złapaniu Strassera, zanudzić go na śmierć?

- Jest pan zachwycający, Semko. Tylko dlaczego odnoszę wrażenie, że mogłabym wyrzeźbić wszystkie pańskie godne podziwu cnoty na łebku od szpilki, i nadal byłoby miejsce na pełną wersję „Dzieł wszystkich” Szekspira?

- W moim świecie stopnie naukowe nie mają wielkiego znaczenia, proszę pani. Już od dawna nie myślę akademickich osiągnięć z inteligencją.

Nawet gołębie mogą zapamiętać proste zadania, jeżeli są one zakodowane kolorami.

Rachela powoli wciągnęła powietrze, by opanować złość, ale udało jej się to tylko częściowo.

- Rozumiem, że wykształcenie nie ma dla pana znaczenia, ale niech mi pan wierzy, że w tej sprawie dobrze się ono przysłuży.

- Tak? A jak? - zapytał zaintrygowany Semko.

Rachela zdjęła okulary i śmiało popatrzyła mu w oczy. Pomyślał, że jej oczy są inteligentne, nie ma w nich wyrazu sarny złapanej w potrzask, tak typowego dla płochliwych, skorych do zdziwienia kobiet.

- Pomyśl polega na tym, by przewidzieć następny ruch Strassera. Co pan wie o podziemiu sztuki i o malarstwie?

- Mam niezłą kolekcję Elvisa na aksamicie.

- Jakoś mnie to nie dziwi.

- Niech pani słucha, moja pani...

- Wystarczy, Rachelo.

- Zrozum, Rachelo. Nie sędę, by miejsce kobiety było w terenie, a już na pewno nie jest nim udział w operacji, która nieoczekiwanie może stać się naprawdę niebezpieczna - tak jak ta.

- Zostałam do niej przydzielona, tak samo jak ty. Jeżeli chcesz ją odwołać, to twoja sprawa, ale proponuję, żebyś odłożył na bok małostkowe uprzedzenia. Skoncentrujmy się na tym, co jest naprawdę ważne: na znalezieniu Strassera, nim znów kogoś zabije. O ile się nie mylę, po raz pierwszy tak długo przebywa w jednym miejscu, a to stanowi okazję, jakiej żadne z nas może już nigdy nie mieć.

Semko nie wątpił, że wszelkie skargi do DDO na temat pracy z kobietą będą przemową do głuchego, i w najlepszym wypadku niepotrzebnie opóźnią operację, a możliwe, że zniszczą szansę znalezienia Dietera. Kiwnięciem wyraził zgodę i wyciągnął rękę. Rachela rozluźniła się i uścisnęła jego dłoń.

- Czy to znaczy, że możemy zacząć pracować i przestać się wzajemnie obrażać?

- Dlaczego nie? - powiedział Semko. - Wiesz, mówisz jak Amerykanka.

- Jestem naturalizowaną obywatelką Izraela, urodziłam się i wychowałam w Nowym Jorku.

- To może okazać się pomocne.

- O rany, czy to znaczy, że mogę się do czegoś przydać? Semko roześmiał się, jego śmiech roztopił resztki złości.

- Zrozum, przykro mi, że zaczęliśmy w ten sposób. Nie chodzi mi o to, że jesteś kobietą, lecz o to, że jesteś specjalistką od historii sztuki. Strasser to morderca, który zabija człowieka, gdy tylko go zobaczy. Znalezienie go to jedna sprawa; gorszym problemem będzie pokonanie go.

- Spróbuję nie wchodzić mu w drogę.

- Wobec tego ustalmy reguły gry. Pracujemy jako zespół, my dwoje. Nie chcę potykać się o twoich przyjaciół.

- Zgoda.

- Świetnie. - Semko wskazał kciukiem w kierunku basenu lwa

morskiego w centrum ogrodu. - No to powiedz temu facetowi na ławce, który od dziesiątej udaje, że czyta gazetę, i temu drugiemu, który stoi na lewo od faceta karmiącego zwierzaki, żeby się zmyli, natychmiast. Jeżeli ja ich zauważyłem, tak samo uda się to Strasserowi, a wtedy zwieje.

- Ach, patrz na ciebie, bo jesteś bardzo przystojny - zażartowała Rachel, próbując ukryć zmieszanie wynikające z faktu, że Semko odkrył dwóch ludzi z jej zespołu.

- Teraz wymienimy informacje - rzekł Semko, choć nie miał zamiaru mówić jej o dokumentach, które były przedmiotem zainteresowania Firmy. - Ale powiem ci od razu, że miałem kilka złych doświadczeń z twoją organizacją. Człowiek nie ufa nikomu, a to jest operacja, w której będą ginęli ludzie.

- Historia udzieliła nam kilku twardych lekcji, Semko.

- Wszystkim, nie tylko wam. Pójdiesz do swoich przyjaciół i powiesz im, żeby się wynieśli, czy ja mam to zrobić? Jeżeli ja pójdę, to im się na pewno nie spodoba.

Rachela uchwyciła spojrzenie stojącego przy basenie człowieka z Mossadu i wykonała ledwo zauważalny ruch głową. Mężczyzna odwrócił się i podszedł do kolegi siedzącego na ławce. Obaj oddalili się, respektując wcześniejszą prośbę Racheli, która mówiła, że w przypadku odkrycia ich obecności mają wrócić do czyścica i czekać na dalszy kontakt.

- Od tej chwili, jeżeli chodzi o wspierających nas ludzi, kontaktujemy się z nimi, by uaktualnić informacje - i to wszystko. Zrozumiałaś? Rachela skinęła głową.

- Teraz - ciągnął Semko - porównajmy dane i zabierajmy się do roboty.

Opowiedziała mu wszystko, o czym wiedziała i co podejrzewała na temat Strassera, a Semko zrewanżował się mówiąc o historii, jaka zdarzyła się w Düsseldorfie i o tym, jak od tamtej pory próbował znaleźć Dietera.

- Po jego znalezieniu masz wezwać swoich ludzi, by go zwinęli? - zapytał.

- Mniej więcej.
- Cóż, wątpię, żeby mieli okazję. Zamierzam zabić tego sukinsyna, gdy tylko go zobaczę.
- Zobaczymy.
- Ile są warte ukradzione przez niego obrazy?
- Miliony, jeżeli są one prawdziwe.
- Miliony? Myślisz, że moje obrazy Elvisa na aksamicie też mogą być coś warte?
- Prawdopodobnie mógłbyś dostać za nie dokładnie tyle, ile zapłaciłeś, pod warunkiem, że sprzedasz je we właściwym zajeździe dla kierowców ciężarówek.
- Nie żartuj z Króla.
- Jest coś, co mnie intryguje - zmieniła temat Rachela. - Mamy dwóch zabitych w ciągu dwóch dni. Zgodnie z danymi policyjnego raportu zbyt dobrze się nie znali, przynajmniej nie na tyle, by dyskutować o kradzionych dziełach sztuki, które mieli w swoich zbiorach.
- Do czego zmierzasz?
- Skąd terrorysta Strasser mógł wiedzieć, co mają?
- Może próbowali sprzedać obrazy przez tego samego handlarza, który ma koneksje wśród terrorystów i który postanowił ściągnąć je dla siebie.
- Obaj po prawie pięćdziesięciu latach zdecydowali się w tym samym czasie sprzedać swoje kradzione obrazy? Nie. To zbyt naciągane.
- Może ktoś dowiedział się, że je mają; może Interpol miał coś na ten temat i Strasser albo handlarz sztuki zdobyli te informacje.
- Zanim opuściłam Tel Awiw, skontaktowałam się z Interpolem. Nigdy nie prowadzili śledztwa w sprawie Stewarta czy Cabota, a żaden z obrazów nie znajdował się na ich liście skradzionych dzieł sztuki. To kustosz Metropolitan Museum of Art rozpoznał niektóre z nich i poinformował policję, że zaginęły w czasie drugiej wojny światowej.
- Wiemy, że Strasser korzysta z usług jakiegoś handlarza, więc

być może znajdziemy odpowiedź. - Semko chciał zmienić temat, nim Rachela dojdzie do niepożądanych wniosków. Podejrzewał, że Strasser kieruje się informacjami zawartymi w dokumentach, na których tak bardzo zależy Branniganowi oraz Rosjanom. - Jest jeszcze coś innego - powiedział, zdając sobie sprawę, że zatajanie tego byłoby głupie, a nawet niebezpieczne. - Rosjanie włączyli się do gry.

- Dlaczego Rosjanie?

- Nie wiem - skłamał. - Być może boją się, że Strasser, złapany, puści farbę o ich akcjach i ofiarach z czasów, gdy jeszcze był w Stasi.

- Właśnie dostaliśmy raport, że Rosjanie obserwują One Sutton Place South.

- Co to jest?

- Jeden z najlepszych domów w tym mieście.

- Czy mieszkają tam bogacze, którzy mogą mieć kolekcje dzieł sztuki?

- Tak.

- Sprawdźmy to na początek, a potem zajmiemy się galeriami. Zobaczymy, czy uda nam się znaleźć tego, kto odbiera skradziony przez Strassera towar. Masz jakieś przeszkolenie?

- Niewielkie. Kurs podstawowy - odparła Rachela, przyznając się tylko do tego, czego można się spodziewać po analityku.

- Dobrze. To się przyda.

Kiedy wyszli z parku i skierowali się w stronę Piątej Alei, Semko zrozumiał, co go niepokoiło. Rachela posiadała niektóre cechy jego byłej żony, Janet; tę samą intuicyjną inteligencję i bezpośredniość, i oczy, które zdawały się mówić o jej wrodzonej niewinności. Niepokojące podobieństwo spowodowało chwilowy nawrót wspomnień z czasów, o których starał się zapomnieć. Późnym wieczorem wracał do Fort Bragg po leniwym, słonecznym weekendzie spędzonym w Myrtle Beach. Prowadził swego sponiewieranego Pontiac GTO, pomalowanego sprayem przez przyjaciela z jednostki technicznej w barwy maskujące, a Janet, z

rozrzuconymi wiatrem brązowymi włosami, kulila się na siedzeniu obok tak blisko, by wywołać uśmiech na jego twarzy. Był to ich pierwszy wspólny weekend, kochali się długo i często. Ona była pielęgniarką w Cape Fear Hospital, a on sierżantem tuż po ukończeniu szkoły Sił Specjalnych, równie dumnym ze swego zielonego beretu, jak ze wszystkiego, co osiągnął w swym młodym życiu. Pobrali się w ciągu miesiąca, a tydzień później jego jednostka została wysłana do Wietnamu.

Znosiła długie okresy samotności typowe dla żon żołnierzy zawodowych. Zawsze była jego oparciem, kochanką i przyjacielem. Dzielila z nim sukcesy i tragedie w czasie służby w Wietnamie i lat spędzonych w oddziale Delta. Rozumiała jego zaangażowanie w służbę krajowi, kochała go i wspierała mimo wszystko, a on odwdzięczał się w ten sposób, że zapominał o jej urodzinach i rocznicach; pewnego razu zapomniał nawet dać jej gwiazdkowy prezent.

Ostatecznym aktem nieczułości i egoizmu było to, że nie był przy niej w szpitalu, gdy o mało nie umarła w wyniku poronienia. Była w szóstym miesiącu. Widział, że nie czuje się dobrze, i że mogą wystąpić komplikacje, jednakże zamiast iść z bazy prosto do domu, poszedł z kumplami na popijawę do „Klubu Zielonych Beretów”. I właśnie wtedy sąsiad znalazł nieprzytomną Janet na podłodze w kuchni - na szczęście zdążył odwieźć ją do szpitala.

Zawiódł ją, gdy najbardziej go potrzebowała, i była to jedyna rzecz, jakiej nigdy nie potrafiła mu wybaczyć - i której nigdy nie wybaczył sam sobie. Ich trwające jedenaście lat małżeństwo zakończyło się listem przyczepionym do drzwi lodówki. Była to chwila, w której zrozumiał, jak bardzo kochał swoją żonę. Od tej pory nawiązywał liczne, przelotne i czysto fizyczne kontakty z wieloma kobietami, na których wcale mu nie zależało, ale w jego życiu nie było nikogo ani niczego równie ważnego jak praca.

Semko otrząsnął się z zamyślenia, gdy doszli do Piątej Alei. Rachelę zatrzymała się przy krawężniku, włożyła dwa palce do ust i zagwizdała. Na ten dźwięk jadąca pasem po drugiej stronie jezdni

taksówka skręciła i zatrzymała się obok nich.

- Zgadza się. Rzeczywiście jesteś z Nowego Jorku - powiedział Semko, otwierając drzwi pojazdu.

- Tak naprawdę to nie masz kolekcji Elvisa, prawda?

- Nie, ale nad sofą w moim mieszkaniu wisi reprodukcja przedstawiająca psy grające w pokera. Czy to lepiej?

- Nie bardzo.

Krótkie tajne spotkanie Nikołaja Leonowa przy Lincoln Center Plaza z przydzielonym Bancroftowi „nielegalnym” przeszło bez problemów. Leonow był niezmiernie dumny z siebie, że udało mu się uniknąć inwigilacji, przed którą został ostrzeżony. Minęło dwadzieścia pięć lat od czasu, gdy ukończył podstawowe kursy w szkole KGB i nigdy nie miał okazji wykorzystać zdobytych umiejętności w praktyce, ale okazało się, że poradził sobie doskonale.

Rezydent, najstarszy rangą oficer w rosyjskiej misji, zgodnie z instrukcjami Leonowa przesłanymi z Jaseniewa, opracował trasę i wybrał miejsce spotkania z „nielegalnym” jeszcze przed przybyciem pułkownika do Nowego Jorku. Ta informacja, dostarczona Leonowowi w porcie lotniczym, pozwoliła mu udać się bezpośrednio na miejsce spotkania. Leonow zauważył śledzącego go człowieka i uznał go za agenta CIA. Zgubił go, gdy wysiadł z trzeciej z kolei taksówki o cztery przecznice od miejsca przeznaczenia, i przebył resztę drogi piechotą.

Wcześniejsza rozmowa przeprowadzona przez oficera operacyjnego z pracownikiem biura Butler Aviation w Newark ujawniła, że przylot prywatnego odrzutowca z wyspy Saint - Martin jest przewidziany na 13.10. Oficer operacyjny dodał czterdzieści pięć minut na dojazd z terminalu Butler Aviation i podał

spodziewany czas przybycia Bancrofta do domu w instrukcjach dostarczonych Leonowowi na lotnisko. Pośpiech wykluczał użycie skrzynki kontaktowej - bezpieczniejszej metody kontaktu między „nielegalnym” a prowadzącym. Leonow nakazał, by „nielegalny” nie ryzykował, że minie się z Bancroftem w drodze na lotnisko, a zamiast tego od razu udał się przed One Sutton Place South i tam przekazał wiadomość. Napisał list, dobierając słowa tak, aby zasugerować powagę sytuacji i jednocześnie nie wywołać alarmu: tak szybko jak to możliwe i w podany sposób Bancroft ma skontaktować się ze swoim „nielegalnym”.

W budynku rosyjskiej misji Leonow pojechał prosto na szóste piętro do pokoju szyfrów i łączności. Nie znalazłszy żadnej depechy od szefa *Służby Wniesznej Razwiedki*, udał się na siódmą kondygnację do biura, które przeznaczył dla niego rezydent. Przez kilka minut zbierał myśli, a potem skontaktował się telefonicznie z czyścicem w Brighton Beach i zawiadomił oficera odpowiedzialnego za inwigilację budynku na Sutton Place South o spodziewanym przybyciu Bancrofta. Następnie poinformował starszego rangą oficera, że Bancroftowi zostanie przekazana wiadomość o tajnym spotkaniu wyznaczonym na ten sam dzień i że on wraz ze swymi ludźmi ma zapewnić ochronę w czasie kontaktu oraz trwać na posterunku aż do odwołania.

- Zgubiłeś go? - wrzasnął Brannigan na Alfreda Palmera. - Twoi cholerni ludzie go zgubili?

- Z powodu robót drogowych dwa nasze wozy musiały jechać objazdem - odparł ogłupiały Palmer. - Jeden z ludzi wskoczył do taksówki, ale Leonow go zauważył. Udał więc, że przerwał inwigilację, lecz nim zdążył zawrócić, Leonow zniknął.

- Ten facet nigdy nie pracował w terenie, a wykiwał jednego z twoich ludzi? - DDO kopnął krzesło, które uderzyło w ścianę w centrum operacyjnym. - Ten kutas prawdopodobnie skontaktował się z jednym ze swoich „nielegalnych”; to bezpośredni trop do następnej ofiary Strassera i jego samego.

- Człowiek, który zawinił, dostanie naganę - zaproponował cicho

Palmer, żałując w tej samej chwili wypowiedzianych słów.

- Naganę? Pierdolę! Dużo to pomoże.
- Teraz znów go obserwują; jest w rosyjskiej misji.
- Powiedz swoim ludziom, że jeżeli jeszcze raz go zgubią, ich kariery skończą się na czyszczeniu wychodków na tej choleralnej Farmie.

Jürgen Strasser dowiedział się o spodziewanym czasie przylotu Bancrofta w mniej więcej taki sam sposób, jak rosyjski oficer operacyjny. Najpierw zadzwonił do biura Bancroft Industries i przedstawił się jako inspektor Federalnej Administracji Lotnictwa Cywilnego, a sekretarka powiedziała mu, gdzie są zlokalizowane lotniska korporacji. Później zatelefonował do hangaru na lotnisku w Newark, podał się za asystenta Bancrofta i oznajmił, że ma ważne dokumenty, które musi dostarczyć zaraz po wylądowaniu samolotu, podano mu więc czas jego przybycia.

Strasser wjechał wynajętą furgonetką w ślepą uliczkę przy One Sutton Place South na kilka minut przed tym, nim czarny Mercedes Bancrofta podjechał do krawężnika przy wejściu do budynku. Strasser zaparkował na rogu, przed większą furgonetką należącą do firmy malarskiej, tak że miał w polu widzenia wejście. Obserwował, jak szofer otwiera klapę bagażnika i wysiada, by otworzyć drzwi przed wysokim, podstarzałym mężczyzną, mocno opalonym, elegancko ubranym w gabardynowe spodnie i jedwabną koszulę. Szofer przeszedł na tył limuzyny i przekazał trzy skórzane walizki w ręce portierów, którzy pojawili się przed drzwiami, gdy tylko czarny Mercedes z lustrzanymi szybami podjechał do krawężnika.

Strasser natychmiast rozpoznał Bancrofta. Patrzył, jak mężczyzna stanął na środku chodnika i wyprostował się, spoglądając na szeroką aleję i mijających go przechodniów tak, jakby wszystko było jego własnością. Terrorysta zauważył taksówkę, która zatrzymała się za limuzyną. Kierowca wysiadł na chodnik i, mijając Bancrofta, potrącił go. Nie przepaszając

podszedł do jednego z portierów, porozmawiał z nim przez chwilę, a następnie wrócił do taksówki i odjechał. Incydent ten nosił wszelkie oznaki wykonanej przez dobrze wyszkolonego agenta „mijanki” - kontaktu mającego pozory przypadkowości, nawiązywanego wtedy, gdy nie można się spotkać oficjalnie, a trzeba przekazać wiadomość. Strasser uśmiechnął się i pomyślał, że opanowuje go zawodowa obsesja. Potraktował incydent jako jeszcze jeden wypadek w mieście znanym z niekulturalnego zachowania mieszkańców.

Bancroft wszedł do budynku, a szofer zawrócił na szerokiej alei i wjechał w uliczkę. Zaparkował naprzeciwko Strassera, ale nie wysiadł z samochodu; czekał na swego pracodawcę, którego w ciągu godziny miał odwiedzić do biura. Nie zwrócił uwagi na furgonetkę podobną do samochodu malarzy, od tygodnia będącego stałym elementem tego terenu.

Poprzedniego wieczora Strasser udał się do firmy wykonującej szyldy i napisy reklamowe. Złożył zamówienie i zapłacił dodatkowo, by zrealizowano je przed południem następnego dnia. Dwie nalepki, które odebrał przed godziną, po jednej na każdy bok furgonetki, nie miały wypracowanego, ręcznie malowanego logo z oryginalnej furgonetki, ale napis „Unikatowe Wnętrza” z adresem i numerem telefonu wystarczał, by uwiarygodnić jego obecność w zaułku.

Terrorysta wysunął się zza kierownicy i wyjął z furgonetki płachtę malarską i puszkę farby. W kombinezonie, z kolorową chustką zawiązaną na czole, rzeczywiście przypominał tego, za kogo chciał uchodzić. Nim zamknął drzwi i skręcił za róg w stronę służbowego wejścia, z którego korzystali dostawcy, wsunął jeszcze w kieszeń na piersi dwa pędzle.

Pełniący obowiązki gospodarza budynku Ernesto Martinez siedział z nogami na biurku w służącym mu za biuro maleńkim pomieszczeniu. Kończył ostatnią kanapkę z szynką i serem, którą przygotowała mu żona, kiedy usłyszał dzwonek przy służbowym

wejściu.

- Spóźniłeś się - powiedział, zmylony widokiem kombinezonu i malarskiego ekwipunku. - Reszta twojej brygady już dawno wróciła z lunchu.

Drugie, bardziej uważne spojrzenie sprawiło, że zawahał się przed wpuszczeniem mężczyzny. Dobrze pamiętał, że wszyscy malarze wrócili o tej samej porze.

- Nie pamiętam cię.

- Szef powiedział, że jesteśmy spóźnieni. Zostałem przeniesiony z innej brygady.

Martinez pokiwał głową, potem przesunął swoje sto kilogramów, by wpuścić Strassera, i zamknął za nim drzwi.

- Wchodź, zawiozę cię na górę - powiedział i ruchem głowy wskazał znajdującą się naprzeciwko wejścia służbową windę.

Terrorysta wsiadł za nim do windy i przyglądał się, jak tęgi dozorca wcisnął guzik dziewiątego piętra.

- Mieszkanie Bancrofta jest na dziewiątym? - zapytał. Miał nadzieję, że pytanie sprowokuje Marineza do udzielenia mu potrzebnej informacji.

- Nie, na siódmym. Twoi ludzie pracują u Andersenów.

Strasser postawił puszkę z farbą na podłodze olbrzymiej windy towarowej. Martinez zerknął przez ramię by zapytać, skąd taki człowiek wie o Philipie Bancrofcie, i zobaczył tłumik dziewięćmilimetrowego pistoletu, wystający spod udrapowanego na prawym ramieniu Strassera brezentu.

- Człowieku, zwariowałeś? - warknął Martinez, mieszkaniec latynoskiej części Harlemu. Spędziwszy młodość w ulicznym gangu, nie po raz pierwszy stał twarzą w twarz z uzbrojonym człowiekiem. Był przestraszony, ale nie sparaliżowany strachem. Odskoczył błyskawicznie i złapał nadgarstek Strassera lewą ręką w chwili, gdy pistolet wypalił. Pocisk uderzył w ścianę windy.

Strassera zaskoczyła szybkość i zręczność kłocowatego, potężnego mężczyzny. Stali teraz twarzą w twarz, dozorca przyciskał go do tylnej ściany, trzymając rękę z pistoletem nad

głową. Terrorysta podniósł w górę lewą rękę i wbił palce w oczy Martineza, który krzyknął z bólu, lecz nie puścił nadgarstka. Wymierzył mu solidne uderzenie w nerki, potem następne i jeszcze jedno. Poczul, że dozorca słabnie, jednakże wciąż trzymał jego rękę, a w dodatku wymierzył pięścią silny cios w skroń, który na chwilę oszołomił Niemca.

Martinez, odzyskawszy siły, znów zacisnął uchwyt i pchnął Strassera na tylną ścianę windy. Wyprowadził kolejne uderzenie, ale terrorysta zrobił unik; w efekcie Latynos trafił pięścią w ścianę i złamał sobie kostki. Ignorując rozdzierający ból, zamachnął się i uderzył Strassera w skroń. Pod terrorystą ugięły się kolana, stracił równowagę. Walka była prowadzona z tak bliskiej odległości, że Martinez nie zauważył, jak przeciwnik przez rozcięcie w kombinezonie sięgnął do kieszeni spodni i zbyt późno usłyszał charakterystyczny szczęk otwieranego noża sprężynowego.

Strasser wbił piętnastocentymetrowe ostrze po samą rękojęść w dół brzucha Marineza, przekręcił je i pociągnął nóż w górę. Zażarta walka zakończyła się, gdy Latynos wydał gardłowy okrzyk, zadygotał i zatoczył się na terrorystę. Cofnął się i spojrzał w dół. Zobaczył ciemną plamę, powiększającą się na spodniach i dolnej części marynarki. Padł na kolana, obiema rękami przyciskając wielką ranę w daremnej próbie zatrzymania wypływających wnętrzności. Oczy wywróciły mu się do wewnątrz, gdy podniósł zakrwawioną rękę, by nakreślić znak krzyża. - Święta Mario, Matko Boża, módl się... - zdołał wyszeptać, nim przewrócił się i umarł.

Strasser był wstrząśnięty tym, co rozegrało się w windzie. Nie spodziewał się, że napotka na taki opór. Oddychał ciężko, na skroni puchła mu czerwona pręga, a w uszach dzwoniło od silnych ciosów w głowę. Spojrzał na kontrolki nad drzwiami. Świecił się numer 6, więc szybko sięgnął do tablicy sterującej i wcisnął guzik siódmego piętra. Powolna winda towarowa zatrzymała się bez wstrząsów. Za rozsuniętymi drzwiami ukazał się wyłożony boazerią westybul przed wejściem do mieszkania Philipa Bancrofta. Strasser zablokował drzwi windy, wytarł ostrze o spodnie Martineza, złożył

nóż i schował go do kieszeni. Przesunął ciało pod tylną ścianę windy i ściągnął przesiąkniętą krwią szmerobłękitną marynarkę z nazwą budynku. Zdjął chustkę i kombinezon, założył marynarkę i, zanim wszedł do westybulu, rozłożył płachtę malarską, by ukryć ogromną mokrą plamę.

Mijając drzwi głównej windy usłyszał pomruk maszynierii, odczekał więc, by sprawdzić, czy nie zatrzyma się ona na siódmym piętrze, a później ruszył na koniec westybulu i zadzwonił do drzwi mieszkania Bancrofta.

Glynis Evans miała dwadzieścia trzy lata i pracowała jako pokojówka w londyńskim domu Bancroftów, gdy Betsy, żona Bancrofta, poprosiła ją, by pojechała z nimi do Stanów. Dziewczyna chętnie przyjęła propozycję; miała nadzieję, że pewnego dnia zostanie na stałe mieszkanką miasta, które nieskończenie ją fascynowało. Przebywała w Nowym Jorku zaledwie od tygodnia, a jej zapał zdążył już nieco osłabnąć. Na drugi sygnał brzęczyka spojrzała w monitor wewnętrznej telewizji i zobaczyła stojącego w westybulu nieznanego mężczyznę. Rozpoznała jednakże noszoną przez personel porządkowy budynku marynarkę i pomyślała, że człowiek ten na pewno przyszedł po to, by załatwić jakąś sprawę, o której jej nie powiedziano.

Przekręciła gałkę i w tej chwili drzwi zostały pchnięte od zewnątrz z taką siłą, że przewróciły ją na podłogę. Zobaczyła Strassera, wpadającego do mieszkania i celujący w jej głowę pistolet. Była zbyt przerażona, żeby krzyczeć.

- Gdzie jest Bancroft? - zapytał Strasser, rozglądając się po galerii. Przełożył pistolet z ręki do ręki, by zdjąć zakrwawioną marynarkę. Oczy Glynis Evans rozszerzyły się, a dolna warga drżała z przerażenia.

- Pana Bancrofta nie ma w domu - wyjąkała, wiedząc, że znajduje się on w drugim końcu mieszkania. Równie dobrze zdawała sobie sprawę, że pani Betsy Bancroft przebywa w Palm Beach, a pozostały personel pojawi się dopiero jutro rano. Z

wyjątkiem podstarzałego kucharza, który był prawie głuchy, i o tej porze drzemał w służbowym skrzydle o dziesięć pokojów dalej, była jedyną osobą na służbie.

Strasser stanął nad przerażoną dziewczyną i przycisnął wylot tłumika do jej czoła.

- Okłam mnie jeszcze raz, a zabiję cię. - Poderwał ją na nogi. - Kto jeszcze jest w mieszkaniu?

Glynis powiedziała mu prawdę. Jej odwaga stopniała na widok wyrazu twarzy mężczyzny, który teraz ścisnął ją za rękę nad łokciem.

- Zaprowadź mnie do Bancrofta.

- Zaprowadzę! Zrobię to! Proszę mnie nie krzywdzić!

Rozległe mieszkanie zdawało się ciągnąć w nieskończoność, gdy Strasser szedł za nią przez szereg ogromnych, wysokich, zastawionych kosztownymi meblami pokojów. Grube na metr zewnętrzne ściany zatrzymywały odgłosy miasta, sprawiając, że czuł się tak, jakby znajdował się w wiejskim angielskim dworze, a nie w mieszkaniu położonym sześć kondygnacji nad ulicami Manhattanu.

Przerażona dziewczyna obejrzała się przez ramię. Mężczyzna ścisnął jej rękę tak mocno, że czuła ból w całym ciele. Na końcu długiego, wyłożonego dywanem korytarza zatrzymała się przed podwójnymi drzwiami, wiodącymi do sypialni pana domu.

- Chyba jest tutaj - powiedziała ledwo słyszalnym głosem.

- Do środka. - Strasser otworzył drzwi i wepchnął ją przed sobą.

Philip Bancroft stał na balkonie wychodzącym na East River. Na dźwięk zamieszania wszedł do sypialni i zobaczył wpadającą do środka, płaczącą histerycznie gospozię.

- Tak mi przykro, sir. Naprawdę - wyszlochała. - Powiedział, że mnie zabije.

Spojrzenie Bancrofta padło na pistolet, teraz wycelowany w jego pierś.

- Czego pan chce? - zapytał ostro. W jego tonie nie było śladu strachu, jaki go opanował.

Wyciągając klucz od mieszkania znalazł w kieszeni list. Zapamiętał zawarte w nim instrukcje, a kartkę spalił. Leżący w popielniczce popiół był jeszcze ciepły. Nie miał wątpliwości, że treść listu jest bezpośrednio związana z tym, co się dzieje.

Strasser bez słowa przyłożył lufę pistoletu do głowy gospośi i strzelił jej w potylicę. Życie Glynis Evans zakończyło się, nim upadła na podłogę u stóp Bancrofta.

- Żeby ustalić charakter naszego małego tete ń tete - powiedział. Bancroft z przerażeniem wytrzeszczył oczy na martwą dziewczynę, potem cofnął się i ciężko opadł na krzesło.

Agent rosyjskiego wywiadu, zajmujący punkt obserwacyjny naprzeciwko wejścia do One Sutton Place South, również widział taksówkarza zderzającego się z Bancroftem. Uprzedzony przez dowódcę swego zespołu rozpoznał w zdarzeniu „mijankę”. Zauważył także wysokiego, szczupłego mężczyznę, który wysiadł z furgonetki. Z początku zmylił go biały kombinezon i kolorowa chustka, lecz gdy zobaczył blond włosy, ostre rysy i sposób poruszania się, zrozumiał, że tego samego człowieka śledził wczesnym rankiem.

Strasser zbliżył się do służbowego wejścia, zadzwonił i został wpuszczony przez dozorcę. Rosjanin, szepcząc do miniaturowego mikrofonu w rękawie, połączonego z radiem przy pasku, poinformował dowódcę zespołu o tym, czego był świadkiem. Siedzący w samochodzie na Pierwszej Alei dowódca za pomocą radiotelefonu o większym zasięgu przekazał wiadomość do czysćca w Brighton. Natychmiast otrzymał odpowiednie rozkazy. Miał wraz z trzema ludźmi dostać się służbowym wejściem do budynku i ustalić, gdzie jest podejrzany. Pozostali dwaj agenci mieli czekać na zewnątrz i obserwować główne wejście na wypadek, gdyby Bancroft wychodził.

Dwóch ludzi krążących wokół kwartału potrzebowało piętnastu sekund, by znaleźć miejsce do parkowania, przyłączyć się do pozostałych na Pierwszej Alei i przejść na Sutton Place South. Rosjanin, który widział Strassera, czekał, póki nie przybędą jego

koledzy z zespołu. Z ulgą zauważył, że portier, dotychczas stojący przed drzwiami z widokiem na tylne wejście, wrócił do holu. Zamiast zbliżyć się do budynku jednocześnie, mężczyźni rozdzielili się, a dowódca spróbował wejść do środka. Drzwi były zamknięte i nikt nie odpowiadał na dzwonek, wezwał więc przez radio człowieka doświadczonego w otwieraniu zamków. Prosty zamek zapadkowy ustąpił po kilku sekundach i obaj Rosjanie zniknęli we wnętrzu. Następni dwaj ostrożnie zbliżyli się do budynku i wsunęli przez otwarte drzwi, by dołączyć do pierwszej pary. Ostatnia dwójka została na zewnątrz.

Dowódca zespołu, znając położenie mieszkania Bancrofta, nacisnął guzik windy. Okazało się, że tracił cenne chwile, bo kiedy spojrzął na świetlną tablicę nad drzwiami, zrozumiał, iż winda utknęła na siódmym piętrze. Poczul ucisk w gardle - pojął, dokąd udał się ten człowiek. Popatrzył na długi korytarz po lewej stronie i dostrzegł wejście na klatkę przeciwpożarową obsługującą wszystkie mieszkania po północnej stronie budynku. Pognał wraz ze swymi ludźmi w jej stronę i wysłał pierwszą dwójkę na górę.

Mike Semko i Rachela Sidrane wysiedli z taksówki na rogu Pięćdziesiątej Siódmej i Sutton Place South. Zobaczyli gliniarza na trójkołowym motocyklu zaparkowanym przy krawężniku eleganckiego ceglanego domu po drugiej stronie ulicy. Semko natychmiast zwrócił uwagę na błękitnego Forda z czterema ludźmi w środku, zaparkowanego za motocyklem, a potem na stojącego dalej Mercedesa z umundurowanym kierowcą i człowiekiem z ochrony.

- Wygląda na to, że możemy mieć tu jakąś akcję - powiedział.

- To rezydencja sekretarza generalnego ONZ. Prawdopodobnie jest to związane z nim.

- Czy jego ochrona zawsze stoi na posterunku przed domem?

- Nie wiem. Przy tych kilku okazjach, gdy ich widziałam, sekretarz generalny albo przyjeżdżał, albo odjeżdżał. Myślę, że w domu ma dodatkową ochronę, a ci ludzie w samochodach eskortują go w tę i z powrotem do ONZ.

- Biorąc pod uwagę tego gliniarza na zewnątrz - może czekają na kolejny wyjazd sekretarza. Dowiedzmy się.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

- Ja to zrobię. Byłabyś zdumiona, gdybyś wiedziała, ile informacji można zdobyć udając głupiego. - Semko, nie zwracając uwagi na potok samochodów, ruszył na drugą stronę jezdni.

- To niezbyt dobry początek - powiedziała do siebie Rachela. Odczekała chwilę na zmianę świateł i ruszyła za nim.

Semko podszedł do małego trójkołowego pojazdu i zwrócił się do policjanta. Natychmiast znalazł się w centrum zainteresowania ludzi z Forda.

- Godzinę temu zameldowałem o podejrzanych osobnikach. Widzieliście coś?

- Podejrzani ludzie w Nowym Jorku? - zapytał z udawanym zainteresowaniem policjant.

- Zauważyłem kilku facetów wałęsających się w okolicy i pomyślałem, że może będzie pan chciał ich sprawdzić.

Spojrzenie Semki przesunęło się na prawo, na czwórkę mężczyzn w zaparkowanym za skuterem ciemnobłękitnym Fordzie. Szyby samochodu były opuszczone, a oni przysłuchiwali się jego rozmowie. Siedzieli sztywni, obserwowali każdy ruch Semki, koncentrując się głównie na jego rękach.

- Kim pan jest? - zapytał policjant.

- Zaniepokojonym obywatelem - to wszystko, co musisz wiedzieć.

Była to niewłaściwa odpowiedź udzielona niewłaściwym tonem człowiekowi, który na co dzień miał do czynienia z największą w świecie populacją ulicznych szaleńców - może z wyjątkiem Teheranu. Uwaga ta jednak była zamierzona; miała pomóc Semce oszacować reakcję policjanta i ludzi z Forda.

- Odsuń się od pojazdu - rozkazał gliniarz. - Zobaczymy twoje dokumenty.

- Wiesz, masz problem z pozytywnym nastawieniem do ludzi. Rachela stanęła obok Semki.

- Musi pan wybaczyć mojemu mężowi, panie władzo - powiedziała z przyjaznym uśmiechem. - Oglądał zbyt wiele odcinków „Kojaka”.

Wzięła Semkę pod ramię, wciągnęła na chodnik i zaczęła oddalać się w chwili, gdy czwórka mężczyzn wysiadała z Forda. Ich ręce spoczywały na wiszących w kaburach pod marynarkami

pistoletach maszynowych *Uzi*.

- Niech pani go trzyma na smyczy, paniusiu - zawołał za nimi policjant.

- Mam twoją smycz gdzieś - powiedział Semko na tyle głośno, by gliniarz mógł go usłyszeć.

Rachela szarpnęła go za ramię.

- To wiele skomplikowało.

- Ale wiem to, co chciałem wiedzieć. Odgrywałem takie scenki z fałszywymi gliniarzami i ochroniarzami. Strasser jest w tym mistrzem. Gdyby ci faceci byli jego ludźmi, zachowaliby się inaczej.

- To nie jest złe, Semko. Trochę okrutne, ale niezłe. Rachela poczuła, że Semko spał się, zwolnił i pociągnął ją na wewnętrzną stronę chodnika.

- Widzisz tego faceta po przeciwnej stronie ulicy na godzinie drugiej? Rachela spojrzała nie odwracając głowy.

- Niski, dobrze zbudowany, w zielonej marynarce?

- Tak, to ten - potwierdził Semko. Jego oczy przesuwają się szybko tam i z powrotem w poprzek ulicy, i w końcu zatrzymały na innym mężczyźnie.

- Tam jest drugi. Po naszej stronie, na godzinie jedenastej. Brązowa marynarka, szary sweter, stoi przed tą małą furgonetką na rogu.

- Widzę go - powiedziała Rachela i spojrzała na napis na froncie budynku. - To One Sutton Place South.

- No to jesteśmy na miejscu. - Semko ujął Rachelę pod rękę i wprowadził ją w zaułek, gdzie siedli na ławce w pobliżu chodnika prowadzącego do małego parku. Z tego miejsca mieli widok zarówno na człowieka po drugiej stronie ulicy, jak i na tego, który stał przy narożniku budynku.

* * *

Jürgen Strasser wyszedł z mieszkania Bancrofta i skierował się do służbowej windy. Niósł dwa obrazy, Renoira i Degasa, owinięte w płócienną płachtę. Wszedł do windy i sięgał do przycisku zamykającego drzwi, gdy wstrząsnął nim głośny huk - drzwi

wychodzące na schody awaryjne otworzyły się gwałtownie, uderzając w ścianę.

Terrorysta położył obrazy na podłodze obok ciała Martinez'a i wyjął zza paska ukryty pod swetrem pistolet z tłumikiem. Rozpłaszczył się na ścianie przy krawędzi otwartych drzwi i szybko wyjrzał na zewnątrz. Zdążył dostrzec czterech ludzi oddalonych o około pięć metrów; wszyscy przykucnęli w strzeleckiej postawie i trzymając broń w wyciągniętych rękach omiatali teren.

Jeden z nich zauważył szybki ruch głowy Strassera i skinął na pozostałych, by ruszyli do przodu.

Strasser wiedział, że został zauważony, ale nie poruszył się, trwał przyciśnięty do ściany. Słuchał ich przyciszonych, powolnych oddechów. Oceniał sytuację i swoje szansę, gdy zbliżali się do windy. Czy byli to gliniarze, czy część osobistej ochrony Bancrofta? Przypuszczał, że ci drudzy. Ale co tutaj robili? I skąd się wzięli? Nie mogli wiedzieć, co zaszło w mieszkaniu Bancrofta. Może stary w jakiś sposób przed śmiercią zdołał uruchomić alarm? Cokolwiek jednak ich tu sprowadziło, nie mieli pojęcia, o co chodzi i z kim mają do czynienia. Nie zastosują się więc do reguły „najpierw strzelam, potem zadaję pytania”. Ich wahanie mogło mu dać czas, którego potrzebował.

Strasser odetchnął głęboko, skulił się, wyskoczył w otwarte drzwi i zaczął strzelać. Wypalił po dwa razy do każdego z nich, mierząc szybko i precyzyjnie. Dwaj Rosjanie, trafieni w głowę, padli martwi; trzeci dostał dwie kule w klatkę piersiową i został odrzucony na ścianę westybulu, po której zsunął się na podłogę, by umrzeć z płucami zalanymi krwią. Żaden z nich nie zdążył wystrzelić.

Czwarty, młody i niedoświadczony, przez chwilę nie był zdolny do reakcji, ale na tyle przytomny, by przykłęknąć. Sprawilo to, że pierwszy pocisk Strassera chybił, a drugi tylko zranił go w ramię. Kula przeszła na wylot nie uszkadzając kości. Mimo chwilowego oszołomienia Rosjanin otworzył ogień. Zachwiał się z bólu, lecz jeden z pięciu pocisków przeleciał tak blisko, że rozdarł sweter

Strassera i zadrasnął mu żebra. Następny i ostatni pocisk terrorysty prześlizgnął się po czaszce Rosjanina, który zatoczył się do tyłu i zwałił nieprzytomny twarzą na podłogę.

Jego broń nie była wyposażona w tłumik, więc w wysokim, pozbawionym okien westybulu zadudnił huk wystrzałów. Ostry dźwięk odbijał się echem w szybie windy, ale nim dotarł do parteru, stał się ledwie słyszalnym trzaskiem, niemożliwym do odróżnienia od ulicznego hałasu.

Strasser szybko zamknął drzwi i przycisnął guzik parteru. Nie był pewny tego, co może go czekać na dole, wysunął więc z pistoletu prawie pusty magazynek i zastąpił go nowym.

* * *

Semko i Rachela obserwowali, jak dwaj Rosjanie z każdą minutą stają się coraz bardziej niespokojni. Ten po drugiej stronie ulicy ciągle spoglądał na zegarek, a stojący bliżej rozglądał się po chodniku, jak gdyby w każdej chwili spodziewał się nieszczęścia.

- Co się dzieje w tym budynku? - powiedział Semko. - Popatrz na tych facetów, są nerwowi jak kurczaki na obrzędzie voo doo.

- Zostań tu - dodał i wstał, by przejść do miejsca, z którego miałby widok na chodnik przed frontem budynku i jednocześnie na dwóch mężczyzn. Ruszył powoli brukowanym przejściem po drugiej stronie ślepej uliczki. Po chwili zobaczył mężczyznę, wyłaniającego się zza narożnika od strony wejścia do bloku. Pochylenie ramion, ostre, regularne rysy i sposób, w jaki się poruszał, powiedziały mu, że znalazł Strassera.

Rosjanin stojący na rogu podskoczył, gdy minął go wysoki, szczupły mężczyzna z płachtą malarską pod pachą. Był to ten sam agent, który wcześniej natknął się na Strassera. Rozpoznał go natychmiast, choć tym razem nie miał kombinezonu i chustki na czole. Za pomocą ukrytego w rękawie mikrofonu zawiadomił swego kolegę po drugiej stronie ulicy, który następnie ruszył w jego kierunku.

Semko zamarł, schowany za drzewem w pobliżu zaparkowanego przy krawężniku czarnego Mercedesa. Wcześniej

zwrócił uwagę na siedzącego za kierownicą i czytającego gazetę szofera. Teraz wpatrywał się w terrorystę, który otworzył boczne drzwi furgonetki i włożył do środka owinięty w płachtę pakunek.

Semko spojrział na ławkę stojącą przy wejściu do parku i zobaczył, że Rachelę obserwuje go z natężeniem. Skinął, by się ukryła. Dziewczyna usłuchała natychmiast, stając za pniem ogromnego drzewa przy ławce. Błyskawicznie wsunęła rękę w jeden koniec specjalnie uszytej torebki. Skórzana torebka spełniała swą normalną rolę, ale poza tym zawierała ukrytą przegródkę na broń. Przegródki po obu stronach były takie jak w zwyczajnej torebce, ale do części środkowej można było sięgnąć przez zapinany na rzepy otwór z boku. Pozwalało to na szybkie wyciągnięcie broni, a w sytuacjach skrajnych - strzelanie bezpośrednio przez drugi koniec torebki. Rachelę otworzyła rzepy i stała spokojnie z ręką zaciśniętą na kolbie *Walthera PPKS*.

Semko spojrział na stojącego na rogu mężczyznę. Widział, jak mówi coś do rękawa, ale nie był pewien, po czyjej jest stronie. Czy wraz z partnerem był częścią operacji Strassera, czy też byli to Rosjanie, o których powiedział mu Brannigan? Odpowiedzi udzieliło mu zachowanie obserwowanego; włożył on rękę do kieszeni i ostrożnie ruszył w kierunku furgonetki.

Semko wyciągnął *Browninga* z kabury pod wiatrówką i przesunął bezpiecznik. Trzymał broń wzdłuż szwu spodni. Kątem oka zobaczył, jak drugi Rosjanin przeszedł przez ulicę i przyłączył się do kolegi w chwili, gdy Strasser zamknął boczne drzwi i ruszył do przodu, by zająć miejsce za kierownicą. Semko miał zamiar wkroczyć do akcji, ale Rosjanie byli szybsi.

Strasser również widział mówiącego do mikrofonu człowieka, zauważył także jego kolegę, śpieszącego, aby do niego dołączyć. Zachował spokój i czekał cierpliwie, aż tamci wykonają pierwszy ruch. Gdy znaleźli się w odległości trzech metrów od furgonetki, przechylił się tak, by nie mogli widzieć, co robi, i wyciągnął spod swetra pistolet. Otworzył drzwi po stronie kierowcy. Używając ich jak tarczy podniósł broń i strzelił.

Pierwszy Rosjanin upadł na chodnik z kulą, która rozdarła mu gardło i utkwiała u podstawy czaszki, zabijając go natychmiast. Drugi wyciągnął broń i przykucnął. Zdążył wystrzelić dwukrotnie, ale chybił i pociski trafiły w drzwi furgonetki, nim Strasser posłał mu w środek klatki piersiowej dwie kule.

- Strasser! - zawył Semko. Widział wyraźnie, że na dźwięk nazwiska na twarzy terrorysty pojawił się strach.

Strasser wskoczył do furgonetki i zapuścił silnik, Semko wypadł z kryjówki i rzucił się w jego stronę, strzelając w okno po stronie pasażera. W gorączce chwili, opanowany obsesyjną nienawiścią do przeciwnika, na którego polował od pięciu lat, nie pamiętał o tym, by strzelać tak, by tylko zranić - na wypadek, gdyby Strasser nie miał przy sobie dokumentów. Strzelał, by zabić. Trzy szybko po sobie wystrzelone pociski roztrzaskały szybę i minęły głowę Strassera zaledwie o dwa centymetry.

Huk strzałów Rosjanina i Semki sprawił, że czterech ochroniarzy sekretarza ONZ wyskoczyło z Forda. Byli gotowi do strzału - pistolety maszynowe przy boku, odbezpieczone - biegli z palcami na spustach. Dwaj zajęli pozycje przed wejściem do rezydencji sekretarza generalnego; ich głowy obracały się zgodnym ruchem, gdy próbowali zidentyfikować zagrożenie. Dwaj pozostali z policjantem z trójkołowego motocykla pobiegli w kierunku, z którego dobiegały strzały. Obawiali się, że atak nastąpił na tyłach rezydencji w otoczonym murem i sąsiadującym z zaułkiem ogrodzie.

Trzej ludzie skręcili za rogiem i wypadli na środek ślepej ulicy. Zobaczyli, jak Semko wpakował trzy kolejne pociski w kabinę furgonetki, a potem padł na ziemię, gdy mężczyzna za kierownicą odpowiedział ogniem. Wadliwa, pokarbowana przy podstawie łuska utkwiała między magazynkiem a komorą i uniemożliwiła Semce przeładowanie pistoletu.

Na widok padającego na ziemię Semki Strasser przysunął się do okna po stronie kierowcy i przez wybitą w szybie dziurę złożył się do strzału. Miał właśnie nacisnąć spust, gdy dwa pociski

wystrzelone nie wiadomo skąd i nie wiadomo przez kogo uderzyły w krawędź okna i zmusiły go do powrotu za kierownicę.

Semko w tym czasie próbował wyrzucić łuskę i odblokować pistolet. Nie zdawał sobie sprawy, że dwa bezgłośnie wystrzały uratowały mu życie. Była to robota Racheli, która z odległości dziewięciu metrów i pod kątem nie gwarantującym trafienia strzeliła do Strassera. *Walther* wyposażony był w tłumik najnowszej generacji, nie większy niż rulon ćwierć - dolarówek i ważący mniej niż osiem dekagramów. Nie posiadał materiału wytłumiającego o strukturze komórkowej, lecz komory z płynem, który absorbował rozprężający się gaz i powodował jego gwałtowne schłodzenie dużo szybciej niż w konwencjonalnym tłumiku. W efekcie z wylotu lufy wydobywał się dźwięk zredukowany do syku. Kiedy strzelano z amunicji o prędkości mniejszej od prędkości dźwięku, jedynym hałasem, którego niewyszkolone ucho nie powięzałoby z wystrzałem, był szcęk pokrytego teflonem zamka wracającego, by wyprowadzić z magazynka kolejny nabój.

Dwaj ochroniarze podnieśli pistolety i wycelowali w furgonetkę, podobnie jak Semko nie zauważając działalności Racheli. Niepewni, z czym mają do czynienia, założyli, że człowiek za kierownicą zabił dwóch rozciągniętych na chodniku ludzi i że stanowi zagrożenie dla sekretarza generalnego. Stali na drodze furgonetki, celując w przednią szybę. Jeden z nich obserwował bacznie Semkę, gdy ten próbował usunąć zacięcie, a drugi krzyknął do Strassera. Kazał mu wysiąść z samochodu i trzymać ręce tak, by mogli je widzieć.

Strasser wrzucił bieg, wcisnął gaz do deski i ruszył prosto na nich. Ochroniarze otworzyli ogień i strzelali dopóty, dopóki jeden nie został uderzony zderzakiem i przejechany, a drugi potrącony i odrzucony sześć metrów od miejsca, w którym stał. Grad pocisków z pistoletów maszynowych powyrywał dziury w szybie nad głową terrorysty ułamek sekundy po tym, jak zanurkował pod tablicę rozdzielczą. Stojący z boku gliniarz rozpaczliwie próbował wymierzyć ze swego służbowego rewolweru, ale Strasser skręcił w

jego stronę i zmusił go do padnięcia na ziemię i usunięcia się z drogi.

Semko wreszcie wyjął zaklinowaną łuskę i strzelił trzy razy w tylne okna uciekającej furgonetki, ale bez skutku. - Cholera! - wrzasnął na widok odjeżdżającego Strassera, a chwilę później przypomniał sobie o zaparkowanej z tyłu limuzynie. Zawrócił, podbiegł do długiego, czarnego Mercedesa i szarpnięciem otworzył drzwi po stronie kierowcy. Szofer, leżący płasko na siedzeniu, skulił się na widok pochylającego się nad nim człowieka z pistoletem.

- Nie zabijaj mnie! Nie zabijaj! - krzyczał przerażony.

Semko złapał go za kołnierz uniformu i wyciągnął z samochodu, potem wskoczył do środka i zapuścił potężny silnik. Opony piszczały, a tył ciężkiego wozu zarzucił, gdy wypadł na skrzyżowanie.

Dwóm samochodom, jadącym w przeciwnych kierunkach po Sutton Place South, udało się uniknąć zderzenia z mknącym w stronę Pięćdziesiątej Siódmej Mercedesem, wpadły jednak na siebie i siłą rozpędu uderzyły w trzeci wóz, co skutecznie zatarasowało ulicę i zatrzymało ruch.

Semko miał furgonetkę w zasięgu wzroku. Szamotała się w strumieniu pojazdów, dojeżdżając do skrzyżowania z Pierwszą Aleją. Uspokoił się nieco, gdy światła na skrzyżowaniu zmieniły się na czerwone.

Strasser zaklął głośno na ten widok, zajechał drogę taksówce i zahamował z piskiem opon. Tylko trzy samochody dzieliły go od miejsca, w którym mógłby skręcić w Pierwszą Aleję, ale wśród stojących zderzak przy zderzaku pojazdów nie mógł posunąć się ani o centymetr do przodu. Samochody zaparkowane wzdłuż krawężnika po prawej stronie uniemożliwiały ścięcie zakrętu chodnikiem. Zawrócenie na dwukierunkowej jezdni doprowadziłoby go jedynie z powrotem do skrzyżowania z Sutton Place South, a już słyszał wycie policyjnych syren. W bocznym lusterku dostrzegł Mercedesa, który torował sobie drogę w sznurze stojących za nim samochodów. Rozpoznał limuzynę Bancrofta, a

szybkie zerknięcie na twarz za kierownicą powiedziało mu, że należy ona do człowieka, który strzelał do niego w zaułku. Tego samego człowieka widział w Paryżu.

Semko zastanowił się, czy nie wyskoczyć z samochodu i nie pobiec do furgonetki. Zdał sobie jednak sprawę, że światła prawdopodobnie zmienią się szybciej. Bez przerwy wciskał klakson i kiwnął do człowieka w Volkswagencie, by ustąpił z drogi, ale wszystkim, co otrzymał w odpowiedzi, był środkowy palec podniesiony w niedwuznacznym geście.

Światła zmieniły się i samochody ruszyły niemrawo. Na Pierwszej Alei nadal tłoczyły się te pojazdy, które nie zdążyły przejechać skrzyżowania w chwili zmiany świateł. Strasser stopniowo przesunął się do przodu. Popatrzył w poprzeczną ulicę. Pojazdy sunęły tam jeszcze wolniej niż na Pięćdziesiątej Siódmej. Zdecydował się jechać dalej na zachód w stronę Trzeciej Alei, następnej przecznicy, którą mógłby udać się na północ. Przy pierwszej sposobności wjechał na drugi pas ruchu i wyminął ciężarówkę dostawczą, która częściowo blokowała skrzyżowanie. Jechał dalej Pięćdziesiątą Siódmą, gdzie potrącił dwa samochody i zmusił kierowców do wjechania w rząd pojazdów zaparkowanych przy krawężniku.

Cztery samochody przed Semką skrzyżowały w prawo, dzięki czemu mógł zmniejszyć odległość, jaka dzieliła go od Strassera. Widział, jak tamten wtargnął na wewnętrzny pas i zmusił BMW do wjechania na chodnik, a następnie zignorował czerwone światła i przeciął Drugą Aleję. Semko nie miał innego wyboru, jak tylko kontynuować pościg. Zbliżające się z przeciwnej strony samochody stanęły na światłach, zjechał więc na lewą stronę dwukierunkowej jezdni. Jednocześnie z Drugiej Alei wyjechał skręcający w prawo autobus miejski, który zajechał mu drogę. Otarł się o niego, potrącając kolejny wóz.

Strasser znajdował się niecałe dziesięć metrów od skrzyżowania z Trzecią Aleją, gdy znów ugrzązł na światłach. Błyskawicznie omiół wzrokiem teren i skoncentrował się na szerszym fragmencie

chodnika przed biurowcem na rogu. Wcisnął pedał gazu do maksimum, uderzył w mały samochód i pchnął go na auto stojące przed nim. Przepchnął oba pojazdy, otwierając sobie wolną drogę po chodniku.

Przechodnie rozbiegli się z wrzaskiem, gdy wtargnął na chodnik. Uderzył w kiosk z gazetami i prawie stracił panowanie nad kierownicą, ale udało mu się wjechać na Trzecią Aleję. Policjanci w radiowozie, odpowiadając na wezwanie: „funkcjonariusz potrzebuje wsparcia” oraz „strzelanina na Sutton Place South”, włączyli syrenę i światła, i właśnie gdy przejeżdżali skrzyżowanie, stali się więc świadkami tego karkołomnego wyczynu. Zobaczyli podziurawioną przez kule przednią szybę furgonetki i ruszyli w pościg, który w chwilę później został czasowo udaremniony. Aby ponownie włączyć się do akcji, musieli odczepić zderzak od przyczepy ciężarówki meblarskiej. Wpadli na nią, gdy ciężarówka ostro skręciła w lewo, by uniknąć zderzenia ze Strasserem.

Szeroka pięciopasmowa aleja była jednokierunkową arterią prowadzącą na północ. Ruch na niej był szybszy. Nim Semko dotarł do skrzyżowania, Strasser miał nad nim dwie przecznice przewagi.

Semce towarzyszyła kakofonia trąbiących klaksonów, wyzwicka rzucane przez wściekłych kierowców i pisk opon, gdy limuzyna miotła się chaotycznie wśród szybko posuwających się aut. Już myślał, że zgubił furgonetkę, gdy zauważył, jak skręciła ze środkowego pasa dwie przecznice dalej i uderzyła w jadący na zachód samochód. Zepchnęła go na bok i skręciła w lewo na rogu Sześćdziesiątej Pierwszej.

Semko przeciął wewnętrzny pas i zbliżył się na odległość jednej przecznicy. Skręcił za terrorystą i zobaczył, jak furgonetka przemyka przez skrzyżowanie z Lexington Avenue i gwałtownie hamuje - kierowca Volvo zablokował wąską ulicę, próbując zaparkować równoległe do poprzedników: źle wymierzył kąt i cofnął, by spróbować jeszcze raz, gdy furgonetka po prostu zepchnęła go z drogi.

Semko podjeżdżał do skrzyżowania z Lexington Avenue w chwili, gdy zapaliły się czerwone światła. Zdążył zauważyć, że furgonetka przecięła Park Avenue. Trzy ze znajdujących się między nimi samochodów skręciły w Lexington, więc znów zmniejszył dzielącą go od Strassera odległość. Pędził w kierunku skrzyżowania z Park Avenue w odległości około stu metrów za terrorystą, jadącym dalej na zachód w stronę Madison Avenue. Miał zielone światła, lecz nagle na przejście dla pieszych weszła starsza pani prowadząca wypielegnowanego, białego, miniaturowego pudełka z różową kokardką na głowie.

Wyminięcie jej z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę wymagało wszystkich umiejętności, jakich Semko nabył w ciągu lat spędzonych w oddziale Delta. Wcisnął hamulce i zboczył na chodnik przy rogu. Ściął słup ulicznej latarni, wyrwał znak drogowy, zjechał z krawężnika na Park Avenue i wpadł w niekontrolowany poślizg, który obrócił potężnego Mercedesa wokół osi. W efekcie samochód przeciął prowadzące na północ pasma i wylądował na centralnej wysepce, gdzie przewrócił się na bok w środku grządki tulipanów.

Semko nie odniósł poważniejszych obrażeń poza otartym ramieniem i pręgą na głowie od uderzenia w kierownicę. Uwolnił się z pasów bezpieczeństwa, otworzył drzwi i wy dostał z limuzyny. Z wściekłością kopnął jedno z przednich świateł, potem przypomniał sobie o Racheli i pobiegł do stojącej na światłach na środkowym pasie taksówki.

- Sutton Place South - rzucił kierowcy, który obserwował całe zdarzenie.

- Zostawi go pan tak?

- Mam pozwolenie na parkowanie tam, gdzie chcę. Taksówkach pokiwał głową ze zrozumieniem, włączył taksometr i ruszył spod świateł.

- Od lat to ludziom powtarzam - w tym mieście, jak ma się forszę, można robić wszystko. Ale nie miej mi za złe, że to powiem, człowieku - powinieneś mieć szofera do tych rzeczy. Bo nie jest z

ciebie kandydat na kierowcę roku.

Jonathan Westcott podał Strasserowi apteczkę pierwszej pomocy, którą trzymał w biurku i, przestępując z nogi na nogę, obserwował, jak tamten przemywa zadrapanie od kuli i zakłada na nie opatrunek.

- Chcę, żeby te obrazy zniknęły stąd jak najszybciej - powiedział Strasser, naciągając koszulę.

- Mój asystent właśnie je pakuje - poinformował go Westcott, wskazując na drzwi pracowni. - Za jakąś godzinę zawiezie je do punktu spedycyjnego Austrian Air Lines i nada na lot o szóstej piętnaście do Wiednia.

- Niech pan dopilnuje, by asystent wyszedł z pracowni tylnymi drzwiami. Nie chcę, żeby mnie zobaczył.

- On nie wie nic o panu. - Ani nie chce wiedzieć, dodał w myśli Westcott.

- Niech pan o to zadba.

Uwagę Strassera przyciągnął mały telewizor stojący na stole naprzeciwko biurka. Odbiornik był nastawiony na kanał CNN i gdy Strasser, po tym jak udało mu się umknąć Semce, wszedł tylnym wejściem do biura galerii, nadawano wiadomości o strzelaninie na Sutton Place South. Początkowe sprawozdanie było skrótowe, wydarzenia przedstawiono jako próbę zamachu na życie sekretarza generalnego ONZ. Zapowiedziano relację z miejsca wypadków i

teraz na ekranie pojawiły się zdjęcia ulicy.

Reporter ciągle określał incydent mianem „dobrze skoordynowanego, profesjonalnego zamachu na sekretarza generalnego”. Na ekranie pojawiła się twarz dziennikarza w studiu, który zaczął spekulować na temat możliwości istnienia spisku.

- Durnie - skomentował Strasser i wyłączył telewizor.

- Czy policja wie, kim pan jest?

- Ktoś wie, ale nie sądzę, aby był z policji. - Strassera nadal niepokoił fakt, skąd człowiek, który wykrzyknął jego nazwisko, znał jego prawdziwą tożsamość.

Jeszcze bardziej niepokoiło go to, skąd wiedział, że Bancroft będzie następną ofiarą. Może po prostu miał szczęście i odnalazł jakiś ślad, który doprowadził go z Paryża do Nowego Jorku. Możliwe, że kanadyjski paszport i pozostałe dokumenty, których używał w hotelu oraz wypożyczalni samochodów, były spalone. Przed opuszczeniem miasta powinien je zmienić.

Zamknął oczy, by przywołać wizerunek twarzy człowieka, który ścigał go w limuzynie. Kiedy zobaczył go po raz pierwszy w Paryżu, pomyślał, że go poznaje i założył, że jest on agentem Mossadu. Było to jednakże przypuszczenie nie dające się pogodzić z faktami; do czasu wydarzeń w Paryżu nigdy nie skonfrontował się bezpośrednio z agentami Mossadu, a tego człowieka widział gdzieś wcześniej. Zmienił tor myślenia i zastanowił się, kto mógł poznać jego prawdziwe nazwisko. Jakaś organizacja antyterrorystyczna? Tak. Ale która? CIA? Facet był ubrany jak Amerykanin. Delta? Spotkał się z nimi... w Düsseldorfie, trzy lata temu.

- Düsseldorf - rzekł głośno i wszystko mu się przypomniało. Atak oddziału Delta na czyściec; zabił wtedy dwóch z nich i ranił trzeciego, jeśli dobrze pamiętał. Człowiek, którego zranił, strzelił do niego, gdy wyskakiwał przez okno, ale nie trafił. Przez moment patrzył mu prosto w twarz. Tak. To był ten sam człowiek. Był tego pewien. W Paryżu nie było jednak żadnej jednostki Delta; ten człowiek działał sam. Może ludzie, których zabił w bloku Bancrofta i na ulicy, byli częścią zespołu Delta, ale raczej w to wątpił. Ich broń

i nie mająca nic wspólnego z profesjonalizmem taktyka sugerowały coś innego. Zbyt wielu ludzi zainteresowało się nim wcześniej, niż się tego spodziewał. Skończył jednak robotę w Nowym Jorku i wkrótce miał operować na bardziej znajomym terenie.

Zwrócił się do Westcotta:

- Niech pan zadzwoni do Drussarda i powie mu, że ma pan dwa ostatnie obrazy z nowojorskiej listy, i że skontaktuję się z nim wieczorem.

Semko wysiadł z taksówki i zobaczył co najmniej tuzin patrolowych radiowozów i liczne nie oznakowane policyjne samochody, ściśnięte przy krawężniku One Sutton Place South. Służbowe wejście do budynku i parking otoczone były kordonem naprędce wzniesionych zapór, a trzy ambulanse i dwie furgonetki z kostnicy blokowały północną stronę alei tak, że ruch odbywał się lewym pasmem. Zastępy reporterów i załogi wozów transmisyjnych przeciskały się przez tłum gapiów, zgromadzonych przy płótkach i wzdłuż chodnika, celując kamerami i zasypując pytaniami każdego napotkanego glinę.

Kiedy odnaleziono ciało Philipa Bancrofta, ściągnięto z komendy miejskiej dwudziestu pięciu detektywów. Przyłączyli się oni do sił prowadzących dochodzenie w sprawie, której prasa przyczepiła etykietkę „Morderstwa kolekcjonerów”. Detektywi przeczesywali teren, kilku z nich spisywało numery wszystkich pojazdów zaparkowanych po obu stronach ulicy, inni przesłuchiwali świadków strzelaniny w zaułku, a jeszcze inni wędrowali od drzwi do drzwi i zadawali pytania mieszkańcom bloku Bancrofta oraz tym, którzy mieszkali w budynku po drugiej stronie ulicy w lokalach wychodzących na Sutton Place South.

Semko ruszył na drugą stronę, w kierunku zabarykadowanego zaułka, gdzie ekipa techniczna zabezpieczała ślady i zbierała dowody sądowe. Zobaczył policjanta z trójkołowego motocykla, siedzącego z tyłu ambulansu, z ręką na temblaku. Rozmawiał z ubranym po cywilnemu gliną, który był otoczony tyloma

policjantami, że z powodzeniem mogliby obsadzić Pentagon.

Racheli nigdzie nie było, więc Semko ruszył przez zgromadzony na chodniku tłum, by z bliska zajrzeć w zaułek. Uważał, aby przez cały czas przebywać poza zasięgiem wzroku policjanta. Zobaczył, że ciała dwóch zastrzelonych przez Strassera ludzi zostały zabrane; pozostały jedynie wyrysowane kreda zarysy sylwetek. Jeden z ONZ - owskich ochroniarzy leżał na noszach obok ambulansu, czekając na przewiezienie do szpitala. Jego partner, przejechany przez furgonetkę, spoczywał w foliowym worku.

Semko nadal rozglądał się szukając Racheli, gdy głośne westchnienie stojącej za nim kobiety sprawiło, że spojrzał w kierunku bloku. Z wejścia wyłoniła się nie mająca końca procesja pracowników kostnicy w asyście umundurowanych policjantów. Semko policzył, że nieśli w foliowych workach sześć ciał, a na noszach jednego człowieka z obandażowaną głową.

Z powrotem zwrócił uwagę na zaułek i wtedy zobaczył Rachelę. Siedziała z tyłu zaparkowanego tuż za barierkami nie oznakowanego wozu policyjnego, z rękami skutymi na plecach. Pilnowali jej dwaj policjanci z patrolu, stojący przy otwartych drzwiach. Semko zaczął przesuwać się w jej stronę, mając nadzieję, że nawiąże z nią kontakt wzrokowy, gdy nad jednostajnym gwarem tłumy wzbił się głośny okrzyk.

- To on! To ten, który ukradł limuzynę pana Bancrofta! - Był to szofer. Stał tuż przy policjantach i wskazywał wprost na niego.

Semko wrósł w ziemię. Podeszło do niego czterech umundurowanych policjantów. Ubrany po cywilnemu policjant, który, jak się okazało, kierował śledztwem, przerwał rozmowę z jednym ze swoich detektywów i obydwaj natychmiast zbliżyli się do otoczonego przez funkcjonariuszy Semki.

Policjant z motocykla także zauważył poruszenie i rozpoznał go.

- On był z tą kobietą, poruczniku! - zawołał z ambulansu.

- Mike Semko - przedstawił się zatrzymany, gdy porucznik stanął na wprost niego. Wyciągnął rękę, ale jego gest został zignorowany.

- Porucznik Kelly - dopełnił formalności policjant, potem zwrócił się do jednego z umundurowanych: - Przetrzep go, zakuj i odczytaj mu jego prawa.

- Nim posunie się pan dalej, poruczniku, może zechce pan zadzwonić do zastępcy szefa, Goniona. - Semko podał nazwisko, na które, jak powiedział Brannigan, mógł się powołać w razie konieczności.

Kelly odwołał policjanta, który miał zacząć przeszukiwać Semkę.

- Sprawdź to - rzucił do stojącego obok sierżanta. - Ma pan tu robotę? - zapytał Semkę myśląc, że może ktoś z wydziału został przydzielony do sprawy bez jego wiedzy.

- Nie.

- A zatem?

- Może powinniśmy poczekać, póki pański człowiek nie porozmawia z Conlonem.

- Ta kobieta była z panem? - Kelly wskazał na Rachelę.

- Tak. Ona jest ze mną.

- Brał pan udział w strzelaninie? Semko potwierdził skinieniem.

- Czy mógłby pan podać szczegóły?

- Facet strzelił do mnie. Ja odpowiedziałem ogniem. Próbowałem go złapać. Uciekł.

- Według szofera to pan strzelił pierwszy.

- Mogło i tak być. Kelly zapłonął gniewem.

- Słuchaj, Semko, chcę uczciwych odpowiedzi, i to natychmiast! Mam na głowie dziewięć trupów; to cholerna masakra, nawet jak na to miasto.

Semko od lat żywił dużo szacunku dla gliniarzy, szczególnie tych, którzy służyli w metropolii, i nie chciał utrudniać bardziej, niż było to konieczne. Wskazał na wyrysowane kreda linie w środku ogrodzonego terenu.

- Widziałem, jak facet w furgonetce ich zastrzelił. Potem rozjechał dwóch ochroniarzy z ONZ, więc zabrałem limuzynę i ruszyłem w pościg.

- Kto prowadził furgonetkę?

- Nie jestem pewny - powiedział Semko, pamiętając o uwadze DDO, który nie chciał, by ktoś złapał Strassera wcześniej od niego.

- Nie wiedziałeś, kim był ten facet, ale otworzyłeś do niego ogień?

- Wydaje mi się, że tak się rzeczy miały.

- Olewasz mnie, Semko.

- Opowiedziałem, co się wydarzyło, co widziałem i co zrobiłem.

- Ale nie powiedziałaś mi, dlaczego, cwaniaczku. Jak to się stało, że znalazłeś się w środku tego wszystkiego?

- Po prostu takie mam szczęście.

Kelly doszedł do kresu cierpliwości właśnie wtedy, gdy u jego boku pojawił się detektyw, którego wysłał, by zadzwonił do Goniona.

- On i ta kobieta nie muszą tłumaczyć się nikomu - powiedział.

- Tłumaczyć z czego? - warknął Kelly.

- Zastępca szefa nie powiedział. Powiedział tylko, żeby trzymać ręce z daleka, dopóki nie zaczną wtrącać się do pańskiego dochodzenia.

- Pewne jak cholera, że nie pomogą - skomentował Kelly. - Zwolnij tę kobietę i powiedz, że chcę z nią porozmawiać. - Zwrócił się do Semki: - Kim jesteście? FBI?

- Bez obrazy, poruczniku.

Kelly pozwolił sobie na uśmiezek, który był odzwierciedleniem jego stosunku do agencji zatrudniającej zarówno najlepszych fachowców, jak i najgorszy element. Rzadko widywał innych poza tymi ostatnimi. Zwykle, gdy był zmuszony z nimi współpracować, przejmowali jego dochodzenie i lekceważyli go zupełnie.

- Ma pan szerokie plecy, Semko, nie mogę więc niczego panu zrobić.

- Kelly nieco zmienił nastawienie do Semki. - Ale jeżeli jest jeszcze coś, co mógłbyś mi powiedzieć, potrafię to docenić.

- Nie wiem nic, co byłoby pomocne w dochodzeniu.

- Dlaczego nie chcesz, bym ja to osądził?

- Powiedziałem tyle, ile mogłem.

- A co z panią? - Kelly zwrócił się do Racheli, która od jakiejś chwili przysłuchiwała się ich rozmowie. Od czasu zatrzymania przez policjanta z trójkołowca, który zobaczył ją, gdy usiłowała wymknąć się z zaułka po odjeździe Semki, nie powiedziała ani słowa.

- Przykro mi, poruczniku, nie wiem nic więcej niż on.

- Poruczniku! - zawołał umundurowany policjant, biegnąc w ich stronę.

- Przed chwilą otrzymaliśmy meldunek o pożarze na rogu Sześćdziesiątej Trzeciej i Madison.

- Tak? A co mnie obchodzi jakiś cholerny pożar?

- Paliło się w galerii sztuki - policjant uzupełniał nowinę. - Ze środka wyciągnęli faceta, który umarł od strzału w głowę. I w zaułku za galerią znaleziono czerwono - białą furgonetkę. W przedniej szybie jest pełno dziur po kulach.

- Ty zostań tutaj - powiedział Kelly do stojącego obok sierżanta. Ruszając do samochodu, zawołał drugiego detektywa, by do niego dołączył.

- Będziesz miał coś przeciwko, jak pojedziemy razem? - zapytał Semko.

Kelly popatrzył na niego, potem na Rachelę. Wierzył, że wiedzą dużo więcej, niż mu powiedzieli, i miał nadzieję, że zdoła dowiedzieć się jeszcze czegoś.

- Zakładam, że jesteśmy po tej samej stronie.

- Szukamy tej samej osoby, choć z innych powodów - przyznał Semko.

- No to może nie od rzeczy byłaby mała współpraca.

- Zrobię, co będę mógł.

- Ci dwaj, którzy zostali zastrzeleni na chodniku, i czterej w budynku, to Rosjanie z dyplomatycznymi paszportami - powiedział Kelly, teraz pełen podejrzeń co do roli Semki i Racheli. - Wiesz coś na ten temat?

- Tylko to, co właśnie usłyszałem.

- W porządku. Wsiadajcie do samochodu.

Semko otworzył drzwi przed Rachelą i zobaczył, że nadchodzi człowiek, którego wyciągnął z limuzyny.

- Hej! - wrzasnął szofer. - Gdzie jest samochód pana Bancrofta?

- Zostawiłem go w mieście! - odkrzyknął Semko. - Na skrzyżowaniu Sześćdziesiątej Pierwszej i Park Avenue.

- Gdzie są kluczyki?

- W stacyjce. Ale nie martw się, jest zaparkowany tam, gdzie nikt go nie ruszy.

Kelly wbrew sobie musiał się rozeźmiać. Otrzymał już meldunek o tym, że limuzyna leży na boku na środku wysepki na Park Avenue.

- Niezły z ciebie łobuz, Semko.

- Facet i tak będzie dość rozstrojony, kiedy go znajdzie. - Semko wsunął się na siedzenie obok Racheli. - Wszystko w porządku?

- Po prostu świetnie.

- Mówiłem, że to będzie ciężka sprawa.

- I miałeś rację.

- Cieszę się, że miałeś na tyle rozumu, by trzymać się z daleka.

- Ja też.

Kobieta idąca Madison Avenue przystanąła, by obejrzeć obrazy wystawione w oknie galerii i zauważyła kłęby dymu wydobywające się spod drzwi biura i napełniające salę wystawową. Złapała za klamkę, stwierdziła, że drzwi są zamknięte, pobiegła więc do sąsiadującego z galerią antykwariatu i zadzwoniła po straż pożarną. Strażacy przybyli na tyle szybko, że udało im się opanować ogień i ograniczyć rozmiar największych zniszczeń na tyłach budynku.

Kapitan straży pożarnej powiedział Kelly'emu, że ogień został podłożony, prawdopodobnie w celu ukrycia morderstwa. Podejrzewał także, że do podpalenia biura użyto benzyny - w zaułku poza furgonetką znaleziono cztery puste dwudziestolitrowe pojemniki.

- Wygląda na to, że ktoś próbował pozbyć się jakichś

dokumentów - stwierdził. - Pliki papierów z regałów, książka adresowa i inne papiery, zbyt zwęglone, by je rozpoznać, zostały zwalone na kupę i zalane benzyną.

Po ustaleniu nazwy galerii Semko stwierdził, że znajdowała się ona na liście podejrzanych o handel kradzionymi dziełami sztuki. Podczas gdy Kelly z detektywem sprawdzali furgonetkę, on i Rachela wślizgnęli się tylnymi drzwiami do biura i brnęli powoli przez dymiące zgliszcza.

Rachela przepisała numer telefonu, nadal widoczny na osmalonej i częściowo stopionej podstawie aparatu, który nie miał połączenia ze zbiorczą linią obsługującą galerię.

- Prawdopodobnie linia prywatna - powiedziała Semce, gdy ten spojrział na nią pytająco. - Znajdziemy kogoś, kto sprawdzi zapiski firmy telefonicznej i zobaczy, jakie rozmowy prowadzono w ciągu kilku ostatnich dni.

- Dobrze pomyślane.

- Miewam dobre chwile - skwitowała Rachela i poszła za Semką, torującą drogę przez zwęglone rumowisko do otwartych drzwi przylegającej do biura pracowni.

Ogień poczynił w niej stosunkowo mało zniszczeń i Rachela dostrzegła leżącą pod długim stołem płócienną plandekę.

- Czy to nie ta plandeka, którą Strasser wrzucił do furgonetki?

- Wygląda tak samo.

Rachela przyjrzała się niewielkiemu stosowi grubych listewek i arkuszom pakowego papieru na końcu stołu.

- Co tam jest?

- Materiał używany do pakowania obrazów przeznaczonych do wysyłki.

- Cholera! - skomentował Semko. Nie miał wątpliwości, że właściciel galerii był miejscowym kontaktem Strassera, łączącym go z podziemiem sztuki, a jego śmierć i resztki materiału do pakowania tylko potwierdziły to, czego już się domyślił. Strasser zakończył swoje interesy w tym mieście. - Zniknął.

- Właśnie myślałam o tym samym.

W otwartych drzwiach pracowni pojawił się Kelly.

- Człowiek, którego stąd wyciągnięto, zginął od pojedynczego strzału w czoło. W taki sam sposób został zabity Philip Bancroft, jedna z ofiar z One Sutton Place South. Nie jest to zwyczajny modus operandi złodzieja obrazów, prawda?

- Czy Bancroft był kolekcjonerem? - zapytał Semko.

- Tak. I miał więcej pieniędzy niż sam pan Bóg. A co?

- A jak je zarobił? - wtrąciła Rachel, nim Semko zdążył odpowiedzieć.

- Bancroft Industries - oznajmił Kelly. - Broń sterowana laserami, rzeczy typu Gwiezdne Wojny.

- A Stewart i Cabot?

- Stewart był po prostu nieciekawym, niczym się nie wyróżniającym pospolitym starym człowiekiem z kilkuset milionami dolarów; Cabot to emerytowany dyplomata ze starymi pieniędzmi. Czy teraz dostanę coś w zamian?

Semko wskazał na leżący pod stołem brezent i powiedział, że zauważył go, gdy morderca wychodził z budynku.

- Prawdopodobnie były w niego owinięte obrazy - dodał, a potem wskazał resztki drewna i papieru na stole. - A to wskazuje, że teraz są one w drodze nie wiadomo dokąd.

- No cóż, ten facet popełnił jednak błąd - powiedział Kelly.

- Jaki?

- Zostawił odciski palców w furgonetce zaparkowanej w zaułku.

- To nic ci nie da.

- A dlaczego? Myślisz, że nigdzie nie mają jego kompletu?

- Mówię, że to zawodowiec, który nigdy nie zawracał sobie głowy cholernymi odciskami palców. Co znaczy, że nikt nic na niego nie ma.

- W porządku, Semko. Możecie mnie oświecić? Z kim, czy z czym, u diabła, mam do czynienia?

- On już tu skończył - rzekł Semko w odpowiedzi.

- Kto?

- Człowiek, na którego obaj polujemy.

- Dalej, muszę wiedzieć coś więcej.
- Jeżeli już nie wyjechał z kraju, to zrobi to wkrótce. Twoje problemy się skończyły.
- Tak, ale śledztwo nie. Łącznie z dzisiejszą krwawą łaźnią mam trzynaście otwartych zabójstw, od chłopca na posyłki ze sklepu spożywczego po Rosjan z dyplomatycznymi paszportami, nie wspominając o trzech wysoko postawionych znanych obywatelach. Dorzucając faceta, którego stąd wyciągnięto - czternaście.
- Teraz niczego dla ciebie nie mam. Ale daję słowo, że kiedy będę coś wiedział i jeśli będę mógł to zrobić, dostarczę ci informacje, które pomogą wyjaśnić tę sprawę.
- Kiedy, a jeżeli, co? Dwa moje najmniej ulubione słowa.
- Do diabła z nimi!

Nikołaj Leonow niespokojnie przemierzał swoje biuro na siódmym piętrze rosyjskiej misji i słuchał raportu Borysa Wozleńskiego, człowieka, którego wysłał do Bellevue Hospital, by porozmawiał z jedynym żyjącym agentem z One Sutton Place. Rosjanin doznał wstrząsu mózgu od kuli Strassera, która prześlizgnęła mu się po czaszce, ale był przytomny i mógł w miarę klarownie opisać przebieg wydarzeń. Leonow osłupiał, kiedy Wozleński po powrocie do misji powtórzył mu jego relację.

- Na dwa lata przed upadkiem NRD - mówił Wozleński - nasz człowiek był oddelegowany do kwatery głównej Stasi w Berlinie Wschodnim jako łącznik Sekcji Specjalnej Drugiego Naczelnego Zarządu. Był to jego pierwszy przydział po zakończeniu szkolenia. W trakcie pełnienia obowiązków odwiedził terrorystyczny obóz szkoleniowy w Massow. W ciągu dwóch lat pięć razy spotkał się i rozmawiał z Jürgenem Strasserem..

- I jest pewien, że to właśnie Strasser do niego strzelał?

- Całkowicie.

- Czy wie, czym zajmował się on w Massow?

- Przypomina sobie, że był starszym instruktorem.

- Co jeszcze powiedział? :

- Nic, tylko przeproszał, że zawiódł.

- W ciągu godziny chcę mieć na biurku pełny raport z tej

rozmowy - rozkazał Leonow i wyprowadził Wozleńskiego z biura. Miał zamknąć drzwi, gdy zauważył pędzącego w jego stronę niskiego, grubego człowieka.

- Pułkownik Leonow? - wysapał mężczyzna, próbując złapać oddech. - Jestem Wiktor Kuzin. Powiedziano mi, że mam się u pana natychmiast zameldować.

- Wejdźcie, Kuzin - rzekł Leonow i kazał mu usiąść na jednym z krzeseł.

Podszedł do biurka i wyjął teczkę z dokumentami, potem usiadł na kanapie naprzeciwko Kuzina.

- Powiedziano mi, że jesteście ekspertem w dziedzinie sztuk pięknych, a szczególnie tych dzieł, które zostały skradzione i zniszczone w Europie w czasie wielkiej wojny ojczyźnianej - zaczął, używając rosyjskiego określenia drugiej wojny światowej.

- Ukończyłem wydział sztuk pięknych Akademii Nauk - odrzekł Kuzin, ciągle zadyszany i pocący się po biegu ze swego biura w siedzibie ONZ.

- O ile się nie mylę, wy sami byliście wplątani w jakieś kłopoty związane ze zbiorami dzieł sztuki z tego okresu.

Sądząc z pilności wezwania do stawienia się w biurze, Kuzin nie miał wątpliwości, jaką instytucję reprezentuje Leonow, i nie miał zamiaru zatajać żadnych informacji.

- Byłem odpowiedzialny za administrowanie i utrzymanie różnych magazynów zawierających zbiory, do których nawiązujecie - powiedział, starannie dobierając słowa.

- Czy jest wam znana sprawa ostatnich kradzieży w tym mieście?

- Wiem tylko to, co przeczytałem w gazetach.

- Chcę, żebyście przyjrzel się tej liście. - Leonow wyjął z teczki wypisany na maszynie dokument.

Zawierał on spis obrazów zaginionych od czasów drugiej wojny światowej, które, jak Leonow wiedział, znajdowały się w posiadaniu jedenastu ludzi z Listy Göringa. Lista wykonana na podstawie oryginału nie zawierała ich nazwisk, tylko tytuły

obrazów i nazwiska autorów. Pułkownik, chociaż nie miał potwierdzenia, jakie płótna skradziono Bancroftowi, umieścił na liście te dwa, o których wiedział, że zakupiono je od nazistów.

- Te w kolumnie po lewej należały do ludzi, którzy zostali zamordowani - poinformował Kuzina. - Te po prawej to obrazy, które od 1945 roku uznane są za zaginione.

Kuzin przejrzał obie kolumny; większość obrazów była mu znana.

- I co życzyście sobie wiedzieć, pułkowniku?

- Na podstawie tego, co już zostało ukradzione, macie określić kryteria, jakimi kierował się złodziej. Jeżeli takowe istnieją, spróbujcie wytypować, które obrazy z prawej kolumny będą następne. Ustawcie je w takiej kolejności, w jakiej prawdopodobnie zostaną ukradzione.

- Czy mam się kierować ich wartością materialną?

- O ile jest to najbardziej logiczne rozwiązanie.

- Biorąc pod uwagę okoliczności związane z kradzieżą tych po lewej, wydaje się, że była to jedna z przesłanek, jakimi kierował się złodziej.

Kuzin oparł się wygodniej i milczał przez czas, który Leonowowi wydał się wiecznością. Wreszcie podniósł wzrok znad listy. Zaczął mówić z pewnością siebie i przekonaniem człowieka, który dobrze zna omawiany temat.

- Te osiem, ujętych jako skradzione, generalnie reprezentują impresjonizm i postimpresjonizm. Nie wierzę jednak w to, by zostały wybrane na tej podstawie - raczej opierano się na ich handlowej atrakcyjności i pochodzeniu.

- Na pochodzeniu?

- Na ich indywidualnych historiach - wyjaśnił Kuzin. - Wszystkie, zgodnie z tym, co wiem, nie zginęły z dobrze znanych zbiorów muzealnych - co czyniłoby ich sprzedaż na czarnym rynku bardzo trudną, o ile nie niemożliwą. Pochodzą one, jak mi się wydaje, z prywatnych kolekcji. Jeżeli towarzyszyły im dobrze sfałszowane dokumenty, nabywcy nie stawiali żadnych pytań. Ich pochodzenie

utrudnia, a praktycznie czyni niemożliwym, ustalenie ich prawowitych właścicieli.

- Zatem zastosujecie te reguły do obrazów w prawej kolumnie.

Leonow obserwował cierpliwie, jak Kuzin numerował trzydzieści siedem obrazów, dając tym, które podpadały pod obie kategorie (atrakcyjności rynkowej i pochodzenia) najwyższą ocenę.

- Proszę wziąć pod uwagę, pułkowniku, że ocena ich aktualnej wartości na czarnym rynku jest czysto subiektywna - powiedział Kuzin, podając listę Leonowowi. - Ale mam wrażenie, że jest ona sensownym odzwierciedleniem chęci posiadania ich przez kolekcjonerów.

- Dziękuję wam. - Leonow pochylił się, jego głos stał się niski i złowieszczy. - Nie wspominajcie nikomu o naszej rozmowie. Zrozumiano? Nikomu!

- Oczywiście, pułkowniku. Nic nikomu nie powiem.

Kuzin, przerażony postawą Leonowa, zbierając się do wyjścia przetarł chusteczką zroszone potem czoło. Znał życie i był inteligentny na tyle, by pamiętać nie tak znowu odległe czasy, kiedy KGB terroryzowało jego rodaków, nie lekceważył więc jego sukcesorów - nieważne, jak się teraz nazywali.

Po wyjściu Kuzina Leonow natychmiast pochylił się nad sporządzoną przez niego listą. Dwa obrazy, którym dał najwyższe oceny, należały do Liviera Cummingsa z Bostonu, ostatniego Amerykanina z grupy. Cummings, właściciel odziedziczonego majątku i pracownik Departamentu Stanu, zmarł dziewięć lat temu. Przed przejściem na emeryturę zwerbował trzech obiecujących następców: dyplomatę, obecnie będącego zastępcą szefa misji przy ambasadzie amerykańskiej w Syrii, wysoko postawionego pracownika Komisji Senackiej do spraw wywiadu i błyskotliwego analityka, który niedawno wszedł w skład personelu Narodowej Rady Bezpieczeństwa.

Kolekcja Cummingsa mocą testamentu dostała się bostońskiemu muzeum. Córki, jedyne żyjące spadkobierczynie, obie mało znaczące akcjonariuszki funduszu powierniczego, zamężne, a

potem rozwiedzione, nigdy nie interesowały Leonowa i nie podejmowano prób nawiązania z nimi kontaktu. Wyglądało na to, iż Strasser jest zainteresowany kradzieżą obrazów wyłącznie w celu sprzedania ich na czarnym rynku. Bez ryzyka można więc było założyć, że jeżeli posiada informacje o swoich ofiarach - dostarczone, jak Leonow podejrzewał, przez kogoś z zewnątrz - to prawdopodobnie żadna z kobiet nie będzie jego celem.

Jego uwagę przyciągnęły obrazy z kolejnymi numerami. Znajdowały się one w posiadaniu Gianfranco Falcone z Florencji i Herberta Darcy - Williamsa z Londynu. Obaj mieli obrazy, które według Kuzina przedstawiały dla kolekcjonerów dużą wartość i pochodziły z prywatnych zbiorów.

Falcone był mniej ważny w operacjach Leonowa. Starszy człowiek, po dziewięćdziesiątce, już dawno ustąpił ze stanowiska dyrektora koncernu, będącego własnością rodziny, i spełnił swoje zadanie, werbując następców w rządzie włoskim i bankowości. Śmierć Stewarta i Cabota, ze względu na odkrycie skradzionych w czasie wojny dzieł sztuki, zyskała światowy rozgłos. Podobny los mógł spotkać Falcone, co z kolei doprowadziłoby do paniki zwerbowanych przez niego ludzi - w tej chwili jednakże nie był to głównym powód niepokoju Leonowa. Teraz najważniejszy był Anglik.

Herbert Darcy - Williams: agent w drugim pokoleniu, jeden z najbardziej cennych, o ile nie najcenniejszy szpieg operacji GORING, jedyny, który miał dostęp do wyższych poziomów zachodniej agencji wywiadowczej. Jego ojciec, zamożny arystokrata i były członek Izby Lordów, zmarł przed dwunastoma laty, ale zwerbował swego jedynego syna, grożąc mu zhańbieniem rodzinnego nazwiska. Syn, nieco napuszony i arogancki, czerpał wielką dumę z tytułu baroneta. Został zwerbowany dwa lata przed śmiercią ojca, kiedy to otrzymał dyplom filozofii, polityki i ekonomii Ballil College w (Mordzie. Zdopingowany przez kierującego nim „nielegalnego" wstąpił do SIS (Specjalnej Służby Wywiadowczej, brytyjskiego odpowiednika CIA, często mylnie

nazywanego MI - 6). Leonow nawet nie ośmielał się marzyć, że kiedyś będzie miał agenta zajmującego tak wysokie stanowisko w zachodniej agencji wywiadowczej.

Darcy - Williams pracował w Century House (dwudziestopiętrowym biurowcu przy Westminster Bridge Road w Londynie, w którym mieści się kwatera główna SIS). Większość kariery spędził w biurze NATO, które kierowało wszelkimi kontaktami z sojusznikami Wielkiej Brytanii (z wyjątkiem CIA, posiadającej odrębne biuro). Przed trzema laty został przydzielony jako specjalista terenowy do personelu kompleksu szkoleniowego SIS w Fort Mancton niedaleko Gosport na wschodnim wybrzeżu Anglii. Dla Leonowa najwyższą wagę miało to, że praktycznie wszyscy agenci brytyjskiego wywiadu, przygotowujący się do ściśle tajnych misji czy przed wysłaniem ich do zagranicznych placówek, przechodzili kursy szkoleniowe w Fort Mancton - lub też w centrum szkoleniowym SIS w Lambeth w południowym Londynie, gdzie Darcy - Williams również prowadził wykłady. Dzięki temu posiadał dokładne dane personalne i informacje o przydziałach ogromnej większości nowo wyszkolonych agentów SIS.

Jednakże stanowisko Darcy - Williamsa o wysokim stopniu utajnienia w połączeniu ze słabostkami jego charakteru przedstawiało dla Leonowa pewien problem, który, wraz ze zbliżającym się niebezpieczeństwem ze strony Strassera, wróżył poważne kłopoty. Nerwowy, z pewnym rysem paranoidalnym, Darcy - Williams był w pełni świadom swego znaczenia dla rosyjskiego wywiadu. Często nie reagował na instrukcje, zawsze był trudny do prowadzenia - trzy lub więcej razy nie zastosował się do zmiany procedury korzystania ze skrzynek kontaktowych i miesiącami pozostawał poza kontrolą. Po upadku Związku Radzieckiego zaczął stwarzać coraz większe problemy. Bał się - choć Leonow zapewniał, iż są to obawy nieuzasadnione - że zostanie zdekonspirowany przez oficerów KGB, którzy ratując się po nieudanym puczu w 1991 roku przeszli na stronę Wielkiej Brytanii. Leonow mógł sobie wyobrazić, w jakim stanie

psychicznym znajduje się ten człowiek, jeżeli jest mu znany los nowojorskich ofiar Strassera i łącząca go z nimi przyczyna morderstw.

Oficer wywiadu obecnie prowadzący Darcy - Williamsa w rzeczywistości nigdy go nie spotkał. „Nielegalny”, który pierwotnie kierował zarówno ojcem, jak i synem, został odwołany wkrótce po śmierci ojca. Leonow na żądanie Anglika ograniczył wszelkie kontakty z nowym prowadzącym do spraw skrzynek kontaktowych. Uznał, że ze względu na jego kapryśne usposobienie i charakter pracy w SIS było to roztropne posunięcie.

Każda próba poddania go obserwacji, nawet bardziej dyskretnej niż w przypadku Bancrofta, niosła ze sobą możliwość zdekspirowania Anglika. Trudno było również przewidzieć, jak się zachowa, kiedy zauważy, że jest obserwowany. Mimo tego ryzyka Leonow zdawał sobie sprawę, że musi uprzedzić go, by zniknął do czasu wyeliminowania Strassera i przygotował wiarygodną historyjkę, która usprawiedliwiałaby jego nieobecność.

Dotychczas nigdy nie było powodu, aby zarządzać procedurę kontaktu wyjątkowego, polegającego na tym, że nielegalny telefonuje do domu i zostawia nieszkodliwą wiadomość, nakazującą natychmiastowe sprawdzenie skrzynki kontaktowej. Wiadomość w skrzynce zawierała instrukcje, że agent ma zadzwonić z publicznego telefonu do swego prowadzącego, aby szczegółowo omówić pilną sprawę zasygnalizowaną przez kontakt wyjątkowy.

Leonow miał na głowie jeszcze inny problem wielkiej wagi. Wydawało się, że istnieje tylko oryginał i jedna kopia listy Göringa. Oryginał znaleziono w ciężarówce z urzędowymi dokumentami i papierami osobistymi, zdobytej przez oddział armii radzieckiej na drodze niedaleko Karinhall - posiadłości Marszałka Rzeszy leżącej na północ od Berlina. Kopię odebrano Egonowi Hoferowi, administratorowi Göringa, w domu jego siostry w Salzburgu krótko po zakończeniu wojny.

Jednakże pojawiła się nieznana uprzednio kopia i problem

komplikowało to, że znalazcą okazał się były oficer wschodnioniemieckiego wywiadu. W każdej chwili mógł on zrozumieć, że jeśli sprzeda zachodniej agencji wywiadowczej to, co mu wpadło w ręce, to dostanie więcej, niż mógłby otrzymać za wszelkie obrazy razem wzięte. Była to najgorsza sytuacja, jaką Leonow mógł sobie wyobrazić, ale na razie nie było powodu przypuszczać, że Strasser zdaje sobie sprawę z rzeczywistej wartości dokumentów. Pomyślał, że gdyby dopisało mu szczęście, dopadnie Strassera, zanim jego działalność spowoduje jakieś nieodwracalne szkody w operacji GÖRING.

Kazał przydzielonej sobie sekretarce zarezerwować miejsce na najbliższy lot do Londynu na jedno z czterech nazwisk z posiadanych przez niego kompletów dokumentów dyplomatycznych, a następnie wysłał pilną depezę do Jaseniewa. Wiadomość była przeznaczona do rąk własnych Jewgienija Primakowa, szefa Zagranicznej Służby Wywiadowczej, i zawierała prośbę o wszelkie informacje na temat Jürgena Stresser'a, byłego pracownika wschodnioniemieckiego urzędu bezpieczeństwa. Miał nadzieję, że Primakow, posiadający rozległą wiedzę o międzynarodowym środowisku terrorystycznym, może znać Strassera albo kogoś, kto go znał, i dostarczyć mu do Londynu jego fotografię oraz dane osobowe.

Następnie, używając szyfru znanego tylko nielegalnemu obsługującemu Darcy - Williamsa, napisał list, który nadał specjalnym kanałem do rezydenta w rosyjskiej ambasadzie w Londynie razem z instrukcją, w jaki sposób ma się skontaktować z nielegalnym.

Ponieważ Darcy - Williams miał dwa mieszkania - dom w Londynie i rodową siedzibę na wsi we wschodnim Sussex - Leonow dołączył dodatkowe rozkazy. Wiejski dom Anglika leżał niedaleko rosyjskiej posiadłości we Flimwell, z której korzystał ich ambasador w Wielkiej Brytanii. Rezydent miał trzymać w pogotowiu dwie odrębne jednostki ochronno - inwigilacyjne; jedną w londyńskim czyścicu, a drugą w posiadłości we Flimwell. Miały one czekać na

dalsze instrukcje do czasu jego przybycia. Leonow, zdając sobie sprawę, że Strasser przybędzie do Londynu zaledwie kilka godzin przed nim, i że musi mieć czas potrzebny na zaplanowanie akcji, nie uważał za konieczne, aby otoczyć Anglika ochroną wcześniej, niż będzie to absolutnie niezbędne. Pamiętał poza tym, że jeśli nielegalny Darcy - Williamsa nawiąże z nim kontakt, to ochrona może w ogóle okazać się niepotrzebna.

Wracając z pokoju szyfrów na szóstym piętrze wstąpił do przydzielonego mu w misji małego apartamentu i spakował swoje rzeczy. Telewizor w bawialni był włączony i ustawiony na kanał sieci CNN - stację, z której usłyszał pierwsze raporty o masakrze na Sutton Place. Komentator podsumował wszystkie informacje i zaprezentował film z miejsca wypadku, nakręcony tuż po przybyciu policji. Środki masowego przekazu wiedziały teraz, że to nie sekretarz generalny ONZ, a Philip Bancroft był celem zabójcy i jednocześnie kolejną ofiarą w sprawie „Morderstw kolekcjonerów”.

Leonow patrzył na wynoszone z budynku worki - wiedział, że niektóre zawierają ciała Rosjan z zespołu inwigilacyjnego - i czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Miał zamiar wyłączyć odbiornik, gdy komentator stwierdził, że policja albo nie może, albo nie chce zidentyfikować mężczyzn i kobiety, którzy prawdopodobnie uczestniczyli w wymianie ognia. Krótkiemu ujęciu leżącej na boku limuzyny towarzyszył komentarz, że jest to rezultat pościgu po ulicach miasta, w którym brał udział nie zidentyfikowany mężczyzna ścigający przypuszczalnego zabójcę.

Leonow zastanowił się nad wynikającymi z reportażu implikacjami. Jeżeli ten nie zidentyfikowany mężczyzna i towarzysząca mu kobieta byli z CIA, to istniały wszelkie powody, by podejrzewać, że Amerykanie wiedzą o wiele więcej, niż sobie wyobraża. Założył, że tym, czego szukają, jest kopia akt Göringa obecnie znajdująca się w posiadaniu Strassera.

Leonow przerwał te paranoiczne rozważania. Pomyślał, że napięcie, w jakim się znajduje, zmusza go do grzebania w incydencie, który wcale nie musi być związany ze sprawą. Możliwe,

że agenci z CIA polowali na Strassera z zupełnie innych powodów i w ten sposób trafili na Sutton Place South.

CIA mogła powiązać jego przybycie do Nowego Jorku z równoległym polowaniem na Strassera. A może śledzili go tylko dlatego, że nie znali jego roli - potraktowali go jako nowego, nieznanego dyplomatę? Leonow, nie mając czasu na wypracowanie środków zapobiegawczych, pominął tę kwestię. Nie miał zamiaru kontaktować się bezpośrednio z nielegalnym Darcy - Williamsa, a gdy Strasser zostanie znaleziony, on pokieruje jego złapaniem czy wyeliminowaniem. Będzie bardzo ostrożny, więc nie musi niepokoić się o to, że doprowadzi do niego CIA. W CIA nie mieli dostępu do informacji, które pozwoliłyby przewidzieć, gdzie i kiedy terrorysta uderzy po raz kolejny - bez listy Göringa było to niemożliwe - Leonow czuł więc, że nadal ma przewagę.

Opuścił misję tylnym wyjściem i wsiadł do samochodu, by pojechać na lotnisko. Był już mniej pewny siebie i mniej zadowolony ze swego terenowego zadania. Euforia uderzającego do głowy doświadczenia przeminęła, a pojawiła się tęsknota za niespiesznym tempem życia w biurze.

Mike Semko i Rachela Sidrane po wyjściu ze spalonej galerii pojechali do czyścica na Zachodniej Sześćdziesiątej Ósmej. Parę minut po pół do siódmej wieczorem Semko miał telefon od Jacka Brannigana, zastępcy dyrektora CIA do spraw operacyjnych.

- Daj ode mnie swojej partnerce przyjacielskiego buziaka - powiedział Brannigan. - Opłaciło się sprawdzić ten numer telefonu z galerii. W ciągu ostatnich sześciu dni przeprowadzono dziewięć rozmów z galerią w Paryżu, należąca do człowieka o nazwisku Claude Drussard. Interpol mówi, że to podejrzany typ, od trzydziestu lat powiązany z nielegalnym rynkiem sztuki.

- Myślisz, że Strasser udał się do niego?

- Nie. Bardziej prawdopodobne, że jest w drodze do Londynu.

- Dlaczego do Londynu?

- Rosjanin, którego śledzili ludzie z kontrwywiadu, właśnie

wsiada na lotnisku Heathrow na pokład samolotu British Airways. Odlot o siódmej, przylot na miejsce o szóstej czterdzieści pięć jutro rano.

- Ten Rosjanin, który poluje na Strassera?

- A jak myślisz? Dwie godziny po jego przybyciu do Nowego Jorku zaczęło się piekło.

- Skąd wie, że Strasser jedzie do Londynu?

- Powiedzmy, że mamy powody, by wierzyć, iż posiada informacje, których my nie mamy, i na tym poprzestańmy. - Było to jedyne wyjaśnienie Brannigana.

- Jack, nie będziesz mnie stopował, dobrze?

- Masz moje słowo: dostaniesz wszystko, czego będziesz potrzebował, żeby zakończyć misję. Nie zostanie pominięte nic, absolutnie nic, co mogłoby ci pomóc w dopadnięciu Strassera.

- A co z tym Drussardem?

- Poinstruowałem placówkę paryską, by siedzieli mu na karku aż do odwołania.

- Stevenson i jego załoga? Żartujesz! Jeśli Strasser tam się pokaże, to zje ich na śniadanie.

- Walczymy z czasem, Mike. Musimy działać z tym, co mamy. Stevenson wie, że w przypadku pojawienia się Strassera ma go obserwować, dopóki nie pojawi się ze swoimi ludźmi.

- Kiedy mogę być w Londynie?

- Jeden z naszych *Gulfstreamów IV* właśnie przyleciał na La Guardia - powiedział Brannigan, sprawdzivszy czas na ściennym zegarze w całodobowym centrum operacyjnym w Langley. - Będzie czekał na ciebie przy terminalu Marine Air. Powinieneś być w Londynie w godzinę po tym Ruskim. I sprawdziliśmy rozkład lotów; Strasser też nie może przybyć dużo wcześniej, nieważne, czy wylatuje z Nowego Jorku, z Bostonu czy z Toronto, a prawdopodobnie wybierze jedno z tych miast.

- Będziesz miał kogoś na lotnisku w Londynie?

- Na Gatwick i Heathrow. Ale rysopis, który podałeś, nie jest zbyt dobry, a poza tym Strasser na pewno zmieni wygląd. No i nie

wiadomo, czy wybierze bezpośredni lot.

- Wolałbym, żebyś ich ściągnął. Najprawdopodobniej on zauważy ich pierwszy.

- Zastanowię się.

- Może przyślesz mi kilku facetów z mojego zespołu wychwytyjącego - zaproponował Semko. - Będą na miejscu, gdybym ich potrzebował.

- Mój zastępca powiedział, że twoi starzy przyjaciele są już na miejscu. Komandosi z oddziału Delta w brytyjskiej bazie SAS w Hereford. Od dwóch tygodni mają wspólne ćwiczenia. Pomyślałem, że zmontuję z nich zespół, jeżeli nie będziesz miał nic przeciwko.

- Doskonale.

- Będą w pogotowiu. Skontaktuj się ze mną, gdy będziesz w Londynie.

- Roger - powiedział Semko i odłożył słuchawkę. - Lecimy do Londynu - zwrócił się do Racheli, która przysłuchując się jego wypowiedziom sama doszła do takiego wniosku.

- Jeżeli Strasser będzie postępował według takiego samego schematu, to skorzysta z miejscowej galerii, powiązanej z podziemiem. Skontaktuję się ze swoim zespołem. Niech zawiadomią naszych ludzi w Londynie, że potrzebujemy listę tych najbardziej podejrzanych.

- Nie chcę, żeby plątali się w miejscach, w których może pojawić się Strasser.

- Wyłożyłeś to doskonale.

Semko zgarnął kilka rzeczy, które wypakował w czyścucu, i wepchnął je z powrotem do skórzanej torby, a Rachela zadzwoniła do swego zespołu wspierającego. Nastrój Semki zmienił się: gniew i frustracja spowodowane tym, że zgubił Strassera przekształciły się w nastrój oczekiwania na kolejne spotkanie.

Jürgen Strasser bezpośrednio z galerii przy Madison Avenue udał się do hotelu. Szybko spakował rzeczy i raz jeszcze odmienił swoją powierzchowność. Miał zarezerwowany lot do Toronto na

czwartą po południu, a na lotnisku La Guardia pojawił się kilka minut przed odlotem.

Zajął miejsce w pierwszej klasie na pokładzie maszyny rejs numer 856 z Toronto do Londynu. Włosy znów miał ufarbowane na brązowo, a szkła kontaktowe zmieniły kolor jego oczu na zielony. Na liście pasażerów figurował jako Ernst Innauer, zgodnie z używanym obecnie austriackim paszportem. Przebrania dopełniała supercienka lateksowa realistyczna replika ogromnego wiśniowego znamienia, którą przykleił do policzka. Korzystał z tego fortelu po raz pierwszy - nie liczący przypadku, gdy musiał założyć „znamie” przed trzema laty w kwaterze Stasi, kiedy robiono mu zdjęcie paszportowe - i był zdumiony odkryciem, jak bardzo jest efektowne. Znamie nie tylko było pierwszą rzeczą, na jaką ludzie zwracali uwagę, ale też czynili grzeczne wysiłki, by na nie nie patrzeć, a tym samym unikali bezpośredniego spojrzenia w twarz.

Samolot oderwał się od pasa krótko przed ósmą. Strasser otworzył aktówkę, wyjął fotografię i jednostronicową biografię, nadesłaną poprzedniego dnia przez Drussarda. Początkowo był zaskoczony stosunkowo młodym wiekiem mężczyzny, który miał stać się kolejną ofiarą, lecz w trakcie czytania zorientował się, że Herbert Darcy - Williams jest synem człowieka, który nabywał dzieła sztuki od nazistów.

Wrzucił zdjęcie i notatki do aktówki. Wyjął mapę Anglii i plan Londynu, zakupione w księgarni na lotnisku. Zaczął zaznajamiać się z położeniem dwóch domów Darcy - Williamsa, ale był zbyt zmęczony, by się skoncentrować. Opuścił oparcie i zamknął oczy, lecz sen nie przychodził. Złapał się na tym, że myśli o człowieku, który ścigał go w limuzynie i zastanawiał się, czy znów go zobaczy. Jego pojawienie się nie mogło być przypadkowe, choć nie pasowało do żadnej logicznej sekwencji wypadków. Amerykanie z oddziału Delta nie działali w sposób, w jaki działał człowiek, którego pamiętał z Düsseldorfu; oni byli daleko lepiej zorganizowani i przygotowani. Nie uszedłby z życiem po spotkaniu z nimi w ślepej uliczce na One Sutton Place. W dodatku wewnętrzny głos

podpowiadał mu, że zdumiewająca reakcja tych, których uważał za osobistą ochronę Bancrofta, była zbyt błyskawiczna.

Strasser odgonił niepokojące myśli i przypomniał sobie o tym, czego już dokonał i co ma jeszcze do zrobienia. Anglik miał mu dostarczyć kolejne cztery miliony, plus dodatkowe siedem za obrazy należące do kolekcji ludzi z Rzymu i Madrytu. Łącznie dwadzieścia siedem milionów dolarów, jeśli dodać to, co już zarobił na czysto na ofiarach z Nowego Jorku - wystarczy, by zapewnić fundusze operacyjne na długie lata. Z takimi oto pocieszającymi myślami zasnął w końcu po długim, pełnym napięcia dniu.

Mike Semko siedział na przednim siedzeniu szarego Forda i opierał się o drzwi, co pozwalało mu obserwować drogę z tyłu. Rachel odnalazła jego wzrok i powoli pokręciła głową. Chciała w ten sposób przekazać informacje dotyczące oficera CIA, działającego poza londyńską ambasadą jako pracownik konsularny, który zabrał ich z lotniska. Gestem tym sugerowała, że jest on głupi i nieostrożny.

W chwili, gdy wychodzili z urzędu celno - imigracyjnego na lotnisku Heathrow, po drugiej stronie parkingu zobaczyła człowieka, który za pomocą teleobiektywu robił im zdjęcia.

- Przypuszczam, że to Rosjanin - powiedziała.

- A ja przypuszczam, że masz rację - zgodził się Semko. Znow zauważył dwóch mężczyzn w ciemnozielonym Audi, jadącym cztery samochody za nimi.

- Co ty, u diabła, sobie myślisz? - naskoczył na młodego agenta siedzącego za kierownicą. - Czy ty w ogóle myślisz? Naprowadziłeś tych sukinsynów prosto na nas.

- Szef placówki został poinstruowany, by przyśpieszyć wasze przybycie. Ja nie miałem nic do gadania.

- Kto wydał te instrukcje? DDO?

- Chyba nadeszły od szefa kontrwywiadu.

- Więc przytoczyłeś się tu prosto z ambasady i zabrałeś nas do

tego cholernego samochodu z dyplomatycznymi tablicami. Dlaczego nie przysłali kogoś działającego bez oficjalnej przykrywki?

- Nie wiem - odparł oficer z twarzą czerwoną z zakłopotania. - Kazano mi zabrać was z Heathrow i pomóc tak, jak tylko będzie trzeba.

- Jeżeli naprawdę chcesz pomóc, to trzymaj się piekielnie daleko ode mnie; sam skontaktuję się z placówką, jak będę ich potrzebował.

Semko wiedział, że Rosjanie świetnie orientują się w metodach działania swoich rywali i wewnętrznej strukturze placówki wywiadowczej działającej w obrębie ambasady. Znali wszystkich agentów wywiadu i dyplomatów, dzięki temu nie tracili czasu i ludzi na obserwowanie osób nie związanych z pracą wywiadowczą. Gdyby było inaczej, nie mogliby podejmować środków chroniących ich operacje, ponieważ przez cały czas byliby wprowadzani w błąd przez personel nie mający nic wspólnego z wywiadem, służącym za przynętę, mającą odwrócić ich uwagę od rzeczywistych agentów.

Wcześniejsze sukcesy Rosjan w zidentyfikowaniu oficerów operacyjnych CIA stały się głównym powodem, dla którego Firma zmieniła dawno ustaloną metodę działania i przeniosła większość swego personelu z dala od ambasad, instalując ich pod nieoficjalnymi przykrywkami w legalnych przedsiębiorstwach czy licznych amerykańskich korporacjach, mających swoje przedstawicielstwa na całym świecie.

To myśl o „nieoficjalnych” agentach i widok komórkowego telefonu wyposażonego w urządzenie kodujące zamontowanego na środku konsoli w samochodzie ambasady pchnęły Semkę do przejęcia sprawy we własne ręce.

- Za ile będziemy w mieście? - zapytał kierowcę.

- Za piętnaście minut. Chce pan, żebym spróbował ich zgubić?

- Jeszcze nie. Zadzwoń do swego szefa. Powiedz mu, że chcę, by na miasto wyjechał „nieoficjalny” w samochodzie z telefonem i żeby do ciebie zadzwonił.

- Co ma pan na myśli?

- Niech jeździ w kółko, póki nie dojedziemy do Londynu. Wtedy ty znajdziesz miejsce, gdzie będzie mógł zatarasować im drogę, a my znikniemy.

Dwadzieścia minut później oficer operacyjny CIA skręcił w spokojną willową ulicę w londyńskiej dzielnicy South Kensington. Ciemnozielone Audi czekało na skrzyżowaniu, póki nie znaleźli się przecznicę dalej, potem powoli wpełzło na tę samą ulicę. Rosjanie musieli czekać, aż młoda atrakcyjna kobieta w brązowym Oplu ustąpi im z drogi - jednakże ona, zamiast jechać dalej, zatrzymała się i wyłączyła silnik, skutecznie blokując wąską jednokierunkową jezdnię. Kobieta bezradnie rozłożyła ręce, udając, że ma problemy z uruchomieniem silnika. Rosjanie próbowali precyzyjnie się obok jej wozu, ale zatrzymała go pod takim kątem, że po obu stronach z ledwością mógłby przejechać rower.

Nim zjechała na bok, oficer operacyjny był już daleko za rogiem. Zatrzymał się przy trzeciej przecznicy. Semko i Rachela wysiedli i zniknęli między dwoma blokami. Rosjanie zdążyli zobaczyć światła stopu, którymi błysnął Ford zwalniający przed kolejnym zakrętem. Przyśpieszyli, by zmniejszyć dzielącą samochody odległość, nie zdając sobie sprawy, że pasażerów już w nim nie ma.

Dwanaście przecznic od miejsca, w którym Semko i Rachela wysiedli z samochodu, Jürgen Strasser wyszedł z galerii będącej własnością Matthew Gibbisa - londyńskiego kontaktu Drussarda. Galeria leżała na południe od Hyde Parku. Był to cichy zakątek, gdzie toczyło się niespieszne życie, a rzędy niskich domów i rzadko rozsiane sklepy graniczyły ze skwerami pełnymi drzew, z których we wszystkich kierunkach rozchodziły się liczne brukowane zaułki. Strasser, nadal nieco wyczerpany długim transatlantyckim lotem, postanowił skrócić sobie drogę do Belgrave Square i, zerkając na plan, zapuścił się w labirynt krętych uliczek.

Belgravia, najbardziej elegancka część londyńskiego West Endu, ze swymi wspaniałymi ogrodami i domami z początków

dziewiętnastego wieku, była niegdyś ekskluzywną siedzibą najbardziej znaczących i najbogatszych obywateli. Niektórzy nadal tu mieszkali, lecz większość okazałych domostw zajęły ambasady i różnego rodzaju instytucje. Niedaleko Belgrave Square, od którego dzielnica wzięła swoją nazwę, Strasser znalazł krótką, ślepej uliczkę o nazwie Belgrave Mews South. Osiemnastowieczny dom Darcy - Williamsa stał w połowie кварталу, który Strasser szybko uznał za nie nadający się do obserwacji. Zwróciłby uwagę sąsiadów i policjantów, którzy ze względu na dużą koncentrację strzeżonych rezydencji patrolowali ten obszar częściej niż inne.

Strasser przespacerował się po obu stronach ulicy. Utwierdził się w początkowej ocenie i myślał już o skierowaniu się do Weldon Hall, rodowej wiejskiej siedziby swej przyszłej ofiary w East Sussex. Miał właśnie skręcić w stronę Belgrave Square, gdy usłyszał dźwięk zamykanych drzwi. Odwrócił się i zobaczył, że ze stojącego w połowie ulicy domu wyszedł wysoki, elegancko ubrany mężczyzna, w którym po chwili rozpoznał człowieka z fotografii nadesłanej mu przez Drussarda: Darcy - Williams.

Strasser, częściowo ukryty za ogromnym jaworem, obserwował, jak Anglik podchodzi do zaparkowanego przy krawężniku błyszczącego czarnego Bentleya Mulsanne - Turbo. Niecierpliwie pobrzękując kluczykami otworzył drzwi i wsunął się za kierownicę. Terrorysta cofnął się za róg, gdy Darcy - Williams dojechał do końca ślepej uliczki i zawrócił w jego kierunku, ale mężczyzna za kierownicą był zbyt pochłonięty własnymi myślami, by zauważyć przyglądającego mu się człowieka.

Strasser poszedł w stronę Belgrave Square, potem skręcił na zachód, do domu towarowego Harrodsa, gdzie znalazł kabinę telefoniczną. Wiedząc, że bezpośredni kontakt dobrze działa, szczególnie na służbę, wybrał podany przez Drussarda domowy numer Anglika. Słuchawkę podniosła starsza kobieta o pogodnym głosie, która powiedziała mu to, co już wiedział: Darcy - Williamsa nie ma w domu.

- A to pech - rzekł Strasser, używając swego najlepszego akcentu,

który mógł okpić każdego poza Anglikiem. - Mam dla niego pewne ważne dokumenty. Czy może mi pani powiedzieć, kiedy wróci?

- Wyjechał na wieś. Może pan skontaktować się z nim za jakąś godzinę w Weldon Hall, skoro to konieczne.

- Bardzo pani dziękuję. Wobec tego zadzwonię do niego.

- Kogo mam...

Nim kobieta zdążyła skończyć pytanie, Strasser odwiesił słuchawkę.

Popatrzył na zegarek. Było już po dziesiątej, zatem minęło dwadzieścia pięć minut od czasu, kiedy widział wyjeżdżającego Darcy - Williamsa. Odzyskanie samochodu, który wynajął i zostawił na parkingu obok dworca Victoria, mogło mu zabrać około pół godziny, zjawi się więc w Weldon Hall w godzinę po przybyciu Anglika.

* * *

W dwóch pierwszych galeriach z listy, którą Rachelą otrzymała w czasie „mijanki” przed sklepem Armaniego na Sloane Street, nie natrafili na żaden ślad. W trzeciej, będącej własnością Matthew Gibbsa, na początku spotkali się z takimi samymi głupimi minami i cnotliwym oburzeniem, jakie okazywali inni pytani o to, czy widzieli człowieka odpowiadającego rysopisowi Strassera i czy znali Claude'a Drussarda, handlującego kradzionymi obrazami.

Gibbs, hardy mężczyzna z włosami związanymi w kitkę, ubrany w białe jedwabne spodnie i czarną jedwabną koszulę był niezmiernie zdenerwowany zadanymi pytaniami. Semko, kierując się instynktem, zasugerował, że być może nie mówi on prawdy. Gibbs zareagował ze złością, nalegając, by natychmiast wyszli. Semko postanowił, że nie będzie uparty. Miał jeszcze do sprawdzenia cztery galerie, chociaż wewnętrzny głos szeptał mu, że dobrze trafił. Zdecydował, że gdy w innych galeriach niczego nie znajdzie, poświęci Gibbsowi więcej uwagi.

Mieli już wyjść, ale Rachelą zatrzymała się raptownie: w wydzielonej części galerii w koszu obok biurka leżała zmięta, pusta paczka po papierosach Davidoff. Przypomniała sobie, że widziała,

jak jeden z detektywów czubkiem pióra podniósł identyczne opakowanie z podłogi furgonetki, zaparkowanej za galerią Westcotta.

- Może przypadkiem ma pan papierosa? - spytała.

- Nigdy nie dotykam tego plugastwa - odparł Gibbs. - I nie pozwalam palić w galerii.

Rachela podniosła zgniecioną paczkę i uśmiechnęła się do Gibbsa. Jego zdenerwowanie potwierdziło jej podejrzenia.

Semko również pamiętał, jak detektyw podniósł puste pudełko po niemieckich papierosach i włożył do torebki z dowodami.

- Nie zależy nam na panu - powiedziała Rachela, nim Gibbs odzyskał zimną krew. - Prawdę mówiąc, jeżeli powie nam pan to, co chcemy wiedzieć, udamy, że nigdy nie było tej rozmowy.

- O czym pani mówi?

W galerii nie było klientów. Semko podszedł do drzwi i zamknął je, a wracając wziął paczkę od Racheli i przysunął ją do twarzy Gibbsa.

- Ostatni właściciel galerii, który odbierał skradzione obrazy od psychopaty - który niedawno stąd wyszedł - zginął mniej niż dwadzieścia cztery godziny temu. Strzał w oko. - Gibbs wzdrygnął się na słowa Semki. - Jak skończy robotę tutaj, ręczę, że to samo zrobi z tobą.

Gibbs cofnął się o krok, ale nie rzekł ani słowa.

- Wiemy, że on tu był - powiedziała spokojnym, wyrozumiałym tonem Rachela. - Chcemy wiedzieć, dokąd poszedł.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pani mówi i nalegam, żebyście natychmiast wyszli, w przeciwnym razie wezwę policję.

- Jakoś nie sędzę, by to leżało w pańskim interesie - stwierdziła Rachela.

- Proszę wyjść. Natychmiast.

Gibbs odwrócił się, by podejść do drzwi, a Semko złapał go za łokieć i obrócił dookoła.

- To nie pora na pieprzenie głupot, stary. Ten człowiek zabija prawie każdego, z kim się kontaktuje. Mów, dokąd poszedł?

- Niech pan w tej chwili zabierze rękę! - zażądał Gibbs.

Semko roześmiałyby się z tego zwrotu, gdyby nie narastający w nim gniew. Zamiast tego zniżył prawą rękę i wpakował pięść w żołądek Gibbsa. Właściciel galerii zgiął się w pół i upadł na podłogę. Miotał się, zwinięty w kłębek, łapczywie chwytając powietrze i jęcząc.

- Wstawaj! - wrzasnął Semko, potem złapał go za kitkę, poderwał na nogi i oparł o ścianę, ustawiając do następnego ciosu.

- Semko! - zawołała Rachela i stanęła między nimi. Nie kierowała się współczuciem; chodziło jej głównie o to, że Semko może pozbawić go przytomności, a tym samym stracą cenny czas, czekając, aż ją odzyska. Często obserwowała terenowe przesłuchania Mossadu, знаła więc wartość właściwie stosowanej siły. Niejednokrotnie sama uczestniczyła w przedstawieniu „dobry policjant - zły policjant” i wymiana spojrzeń z Semką upewniła ją, że on też ma to na myśli - choć wątpiła, by było to konieczne z kimś takim jak Gibbs.

- Przepraszam za mojego partnera - zwróciła się do wstrząśniętego właściciela galerii, który rozszerzonymi ze strachu oczyma wpatrywał się w Semkę. - Proszę, niech pan nam powie to, co chcemy, a pójdziemy.

Gibbs nie mógł opanować drżenia, więc Rachela pomogła mu usiąść na krześle za biurkiem.

- Może szklanekę wody, Matthew?

Gibbs potrząsnął głową.

- Chyba mam coś uszkodzone. Bardzo mnie boli.

- Uszkodzę ci twój cholerny mózg, ty kłamliwy gówniarzu! Gibbs pisnął, gdy Semko trzasnął go w twarz i zrzucił z krzesła, a po chwili pozwolił Racheli wejść między nich.

- Proszę, Matthew - nalegała Rachela, pomagając teraz już naprawdę przerażonemu Gibbsowi usiąść na krześle. - Ten człowiek, Strasser, jest mordercą; trzeba go powstrzymać.

- On mówił o sobie Dieter - wydusił wreszcie Gibbs, z oczami wlepionymi w Semkę.

- Dokąd poszedł? - łagodnie zapytała Rachela.
- Nie wiem. Powiedział, że wróci przed wieczorem.
- Z obrazami? - spytał Semko.
- Nie. Powiedział, żebym zadzwonił do Drussarda i poinformował go, że jest w Londynie, i że najprawdopodobniej będzie miał te obrazy jutro wieczorem. Wróci, żeby zabrać coś, co ma przyjść popołudniową pocztą od Drussarda.
- Wobec tego zaczekamy na niego - stwierdziła Rachela. - Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu.

Gibbs skinieniem głowy wyraził zgodę.

- Czy jest tu jakieś pomieszczenie, żebyśmy mogli zejść z widoku? Gibbs wskazał na drzwi prowadzące na zaplecze.

- Nie jesteście ze Scotland Yardu, prawda?

- Niezupełnie - odparła Rachela. - Niech pan zachowuje się tak jak zwykle i zapomni, że tu jesteśmy.

- Nie zamierzacie mnie aresztować?

- Mówiłam - powiedziała Rachela - nie przyszliśmy tu po pana.

Zostawili Gibbsa, by się pozbierał, a sami weszli do małej pracowni za salą wystawową. Zostawili drzwi uchylone na tyle, by widzieć każdego wchodzącego do galerii.

- Chyba trochę pośpieszyłeś się z tym mordobiciem - powiedziała Rachela. - Twoja matka nigdy ci nie mówiła, że można złapać więcej much na miód niż na ocet?

- Mówiła. Ale kiedy byłem trochę starszy, nauczyłem się, że jak tym małym gadzinom poobrywa się skrzydełka, to jedzą wszystko, co im się da.

Adam Carter siedział przed wiejskim pubem na swym wspaniale utrzymanym motocyklu Triumph Bonneville rocznik 1978. Wyglądał na typowego londyńskiego taksówkarza na urlopie. Wiadomość od Leonowa nakazywała pośpiech, a jednak pokonanie jednogodzinnej trasy zabrało mu ponad dwie godziny. Powoli przejeżdżał przez liczne miasteczka i wioski, leżące między Londynem a Mayfield, szukając telefonu, przy którym mógłby

później czekać bez zwracania niczyjej uwagi.

O jedenastej założył kask i uruchomił Triumph. Powoli wyjechał z wioski i skierował się na zachód. W pewnym momencie zjechał z głównej drogi i zatrzymał się przy wyciosanym z pni mostku, przerzuconym nad strumieniem. Postawił motocykl pod sękatą starą brzozą, zabrał z bagażnika plecak i manierkę, i ruszył skąpaną w słońcu ścieżką, prowadzącą w głąb największej w całym Sussex posiadłości, należącej do Herberta Darcy - Williamsa.

Trawiaste podszycie ustąpiło szerokiej łące poprzedzielanej żywopłotami. W oddali na szczycie pagórka stał Weldon Hall - arcydzieło architektury edwardiańskiej - z którego roztaczał się widok na liczącą pięćdziesiąt hektarów posiadłość. Ścieżką biegnącą wzdłuż granicy lasu i otwartego pola dotarł do potężnego dębu, powalonego przez wichurę przed ponad dwudziestoma laty. Pień został oczyszczony z gałęzi przez dozorcę i pozostawiony tam, gdzie upadł, na skraju strumienia, służąc jako miejsce do napawania się spokojną scenerią.

Carter przykląkł i napełnił manierkę zimną wodą, potem usiadł na szerokim pniu, otworzył plecak i wyjął paczkę z kanapkami. Dla każdego, kto przechodziłby ścieżką, wyglądał jak wiosenny spacerowicz na pikniku, podziwiający krajobraz.

Nikt nie zauważyłby małej metalowej tubki, zawierającej ręcznie pisaną wiadomość, którą Carter wsunął w szczelinę po uderzeniu pioruna, który przed laty wyrwał drzewo z korzeniami.

Po umieszczeniu listu w skrzynce kontaktowej usiadł wygodnie. Zajął się kanapkami i podziwiał okolicę - nie chciał odchodzić zbyt szybko na wypadek, gdyby ktoś go obserwował. Wcześniej zadzwonił do londyńskiego domu i do wiejskiej siedziby Darcy - Williamsa. W obu miejscach zostawił dla niego wiadomość. - Dzwonię w związku z ogłoszeniem w niedzielnym numerze „Timesa”. Pan Darcy - Williams był zainteresowany stołem królowej Anglii - powiedział służbie. W szacownej londyńskiej gazecie w minioną niedzielę zamieszczono wiele ogłoszeń dotyczących stołów z epoki królowej Anny, ale Darcy - Williams wcale nie był nimi

zainteresowany.

Carter musiał teraz jedynie wrócić do budki telefonicznej na skwerku we wsi i czekać na telefon od Anglika.

Na Nikołaja Leonowa, w ambasadzie rosyjskiej na Kensington Palace Gardens pod numerem 13, czekała wiadomość od „nielegalnego” Darcy - Williamsa. Donosił on, iż o 7.10 otrzymał instrukcje Leonowa, potwierdzał, że natychmiast zainicjuje procedurę awaryjnego kontaktu i dodawał, że Darcy - Williams właśnie powrócił z urlopu na sardyńskim Szmaragdowym Wybrzeżu i za trzy dni wraca do pracy w kompleksie szkoleniowym SIS w Fort Moncton.

Informacje, o której Leonow poprosił kwaterę główną *Służby Wniesznej Razwiedki* w Jaseniewie, zostały przywiezione z pocztą dyplomatyczną krótko przed jego przylotem na Heathrow. Otworzył zalakowany pakiet i siedział, wpatrując się w zdjęcie Strassera. Wykonano je przed sześciu laty w czasie dziesięciodniowej wizyty w Związku Radzieckim, gdy prowadził on seminarium na temat innowacyjnych technik w dziedzinie materiałów wybuchowych w byłym centrum szkoleniowym KGB, leżącym sześćdziesiąt kilometrów na wschód od Moskwy. Dołączone do fotografii akta zawierały streszczenie przebiegu działalności Strassera we wschodnioniemieckim Stasi. Najbardziej aktualna informacja, jaką udało się zdobyć, mówiła, że Strasser, ciągle używający pseudonimu „Dieter”, po upadku Niemieckiej Republiki Demokratycznej zorganizował grupę terrorystyczną z

członków Frakcji Armii Czerwonej. Został jej przywódcą i ponosi odpowiedzialność za przynajmniej jeden akt terrorystyczny: podłożenie bomby w amsterdamskiej synagodze. Informacje otrzymane dzięki kontaktom w świecie arabskim wskazywały, że byli finansowi poplecznicy Strassera odcięli mu dopływ gotówki, i że gwałtownie potrzebuje on funduszy operacyjnych. Potwierdzało to podejrzenia Leonowa co do powodu kradzieży łatwo zbywalnych obrazów i dowodziło, że terrorysta nie dostrzegł innego znaczenia listy Göringa.

Leonow, oglądając londyński dom Darcy - Williamsa doszedł do takiego samego wniosku jak Strasser: obiekt nie nadawał się on do prowadzenia dłuższej obserwacji, ani też nie był miejscem, do którego można by wdrzeć się siłą. Przewidywał, że Strasser skoncentruje się na wiejskiej siedzibie w Sussex. Pułkownik zdawał sobie sprawę, że zespół ochronno - obserwacyjny może zostać zauważony przez miejscowych albo przez Darcy - Williamsa. Postanowił jednakże raczej zgrzeszyć zbyt wielką ostrożnością niż polegać na tym, że Anglik skontaktuje się ze swoim prowadzącym na tyle szybko, by można było zapewnić mu bezpieczeństwo.

Oficer operacyjny rezydenta spędził dłuższy czas w Seacox Heath House, wiejskim domu ambasadora we Flimwell, leżącym o godzinę drogi na południowy wschód od Londynu, i znał dobrze te okolice. Leonow wezwał go na odprawę. Oficer na mapie okolic wsi Mayfield o dużej skali wskazał posiadłość Darcy - Williamsa (oddaloną o dwadzieścia pięć kilometrów od rezydencji ambasadora). Stwierdził też, że zalesiony teren wokół Weldon Hall zapewni idealną kryjówkę zespołowi inwigilacyjnemu, jednocześnie pozwalając mu na szybkie wkroczenie do akcji.

Oficer operacyjny osobiście wybrał dwunastu ludzi, część z nich była doświadczona w „eliminacjach” - był to stary termin KGB oznaczający zabójstwo. Zatrudnieni w rosyjskich placówkach handlowych w Londynie, nie podlegali stałej, drobniagowej obserwacji brytyjskiego kontrwywiadu. W każdym z dwóch sześciuosobowych zespołów, czekających w pogotowiu w

rezydencji ambasadora, był snajper wyposażony w karabin z tłumikiem, zdolny zabić człowieka z tysiąca metrów.

Leonow, przekonany, że najrozsądniejszym posunięciem będzie natychmiastowe działanie, skontaktował się za pomocą bezpiecznego łącza komputerowego z ludźmi we Flimwell. Kazał oficerowi operacyjnemu, odpowiedzialnemu za zespoły obserwacyjne, wysłać jeden z nich do Weldon Hali. Przesłał również faksem kopię fotografii Strassera. Zadaniem zespołu było porwanie Niemca, gdy tylko znajdzie się w polu widzenia, ale bez względu na zastosowaną metodę mieli oni doprowadzić go - lub też przywieźć jego ciało - do wiejskiego domu ambasadora razem ze wszystkimi rzeczami osobistymi.

Zawodowi agenci MI - 5, kontrwywiadu brytyjskiego, nie mają sobie równych w tropieniu podejrzanych o szpiegostwo na własnym podwórku. Służba ta cierpi jednak na niedobory kadrowe i obserwowanie każdego z ponad dwustu rosyjskich oficerów wywiadu i agentów, działających w całym kraju, jest rzeczą niemożliwą.

Jedną z najbardziej owocnych operacji MI - 5 prowadzą „obserwatorzy” z sekcji rosyjskiego Wydziału K, mający punkty obserwacyjne po obu stronach Kensington Palace Gardens. Ich zadaniem jest obserwowanie wchodzących i wychodzących z kompleksu rosyjskich budynków (ambasady, ataszatu i konsulatu). Obserwator urzędu celnego i imigracyjne - go w międzynarodowym porcie lotniczym Heathrow uprzedził ich, że na pokładzie samolotu British Airways z Nowego Jorku przybył nie znany im rosyjski dyplomata. Po godzinie obserwator zajmujący pozycję na Kensington Palace Gardens zauważył człowieka zidentyfikowanego jako Siergiej Pietrenko (pod takim nazwiskiem podróżował Leonow), wysiadającego z samochodu z tablicami dyplomatycznymi. Wszedł do rosyjskiej ambasady. Sfotografowano go za pomocą tysięczmilimetrowego teleobiektywu i sklasyfikowano jako podlegającego dalszej obserwacji.

Nazwisko „Pietrenko” nie występowało nigdzie w obszernych aktach MI - 5, pojawienie się tego człowieka było więc kolejnym sygnałem świadczącym o wzrastającej aktywności Rosjan. Aktywność ta rozpoczęła się wcześniej tego dnia - wtedy, gdy obserwatorzy MI - 5 odkryli, że są wodzeni po całym mieście przez znanych sobie rosyjskich agentów wywiadu. Zrozumieli, że służą oni za przynętę, mającą przyciągnąć jak największą ilość agentów kontrwywiadu. Rosjanie stosowali liczne sztuczki - wysiadali w ostatniej chwili z pociągów, zmieniali wielokrotnie taksówki w drodze do punktu przeznaczenia, nawiązywali rozmowy z przypadkowymi przechodniami, których w konsekwencji trzeba było śledzić, dopóki nie została odkryta ich dywersja.

Wysiłki Wydziału K, mające na celu obserwację ponad trzydziestu oficerów wywiadu działających pod przykrywką dyplomatyczną - w związku z czym ich poruszanie się po kraju było ograniczone - były dobrze zorganizowane i wysoce efektywne. Jednak nie można było otoczyć ścisłym nadzorem tych, którzy działali poza środowiskiem dyplomatycznym - w agencjach prasowych, bankach, delegacjach handlowych i radach, jako personel Aerofłotu oraz pracowników różnych instytucji rosyjskich (łącznie z personelem wiejskiej siedziby ambasadora) - ich poruszanie się po kraju również nie podlegało ograniczeniom. Regularnie prowadzono podsłuch ich linii telefonicznych i korzystano z najrozmaitszych metod inwigilacji elektronicznej. Mimo to stosowane środki nigdy nie gwarantowały „pokrycia” każdego podejrzanego.

Obecnie Wydział K nie inwigilowała Seacos Heath House, więc nikt z MI - 5 nie widział rosyjskiego zespołu, który opuścił rezydencję ambasadora i udał się do posiadłości Darcy - Williamsa. Trzy samochody wyjechały w piętnastominutowych odstępach, i każdy z nich ruszył inną, okreśną trasą, by w końcu spotkać się z pozostałymi w ustronnym miejscu niedaleko Weldon Hali.

Strasser po przybyciu do Londynu zatrzymał się w czysćcu na

Gunter Road w Chelsea. Odkleił sztuczne znamię, wyjął szkła kontaktowe i spłukał farbę z włosów, a następnie udał się na wieś. Instrukcje Drussarda, w jaki sposób ma znaleźć wiejską siedzibę Darcy - Williamsa, pozostawiały wiele do życzenia - podawały tylko numer drogi, a położenie opisywały w sposób ogólnikowy. Strasser, nie chcąc pytaniami zwracać niczyjej uwagi, dwa razy wracał po własnych śladach, nim w końcu zauważył mosiężną tabliczkę na porośniętym bluszczem słupie przy wjeździe do Weldon Hali.

Ruszył szeroką drogą dojazdową, wiodącą wśród pastwisk usianych pierwiosnkami i dzikimi żonkilami. Kończyła się ona na brukowanym dziedzińcu przed imponującym edwardiańskim dworem. Na bruku stał czarny Bentley, którego Darcy - Williams prowadził w Londynie i Jaguar - Sovereign. Strasser zaparkował obok. Wyjął rosyjski pistolet *Makarow PB* zabrany ze skrytki w czyścicu, sprawdził, czy nabój jest w komorze, i wsunął broń wszyta na zamówienie kaburę pod lewa pachą. Samopowtarzalny pistolet przeznaczony dla zawodowców, wyposażony w integralny tłumik, był mniejszy i bardziej zwarty, ale nie tak celny i niezawodny jak *Sig Sauer*. Strasser co prawda wolałby mieć przy sobie ten drugi, ale wyrzucił go do kosza w Central Parku - nie chciał ryzykować, że zostanie znaleziony w czasie kontroli celnej, jakiej Brytyjczycy poddawali przypadkowo wybrane bagaże.

Terrorysta wysiadł z samochodu i przystanął, by rzucić okiem na imponujący kamienny dwór. Były tam z pewnością, jak sądził, ogromne, wysokie pomieszczenia, wyłożone boazerią z cennych gatunków drewna o łagodnym kolorycie, wszystkie z kominkami; wysiedziane, skórzane fotele w bibliotece z egzemplarzami „Shooting Timesa”; kapelusze i gumowe buty porozrzucone w holu; ściany obwieszane drogocennymi gobelinami i wspaniałymi obrazami. We wszystkich pokojach bezcenne antyki. Królestwo klasy panującej, pomyślał Strasser, „unieśmiertelnione, ale chylące się ku upadkowi aroganckie i fałszywe poczucie angielskiej wyższości”, jak mawiał jeden z jego profesorów w Lipsku.

Strasser szedł w kierunku potężnych dwuskrzydłowych drzwi,

gdy dobiegł go odgłos zbliżającego się samochodu. Zatrzymał się, by zorientować się skąd dobiega, potem ruszył na dziedziniec, w stronę zachodniego skrzydła domostwa, gdzie znalazł wąską ścieżkę, wzdłuż której ciągnął się graniczący z łąką żywopłot. Ścieżka odchodziła od dziedzińca i prowadziła wokół zachodniego skrzydła oraz tarasowego ogrodu na tyły domu. Strasser doszedł nią do garażu. Żywopłot kończył się niskim kamiennym murkiem, za którym rozciągała się łąka. Kilkaset metrów dalej, na skraju sadu, zobaczył białego Range Rovera sunącego w kierunku otwartych wrót prowadzących do stajni za garażem. Minął psiarnię, z której dochodziło ujadanie kilkunastu wyźłów, i wszedł na podwórze przed stajnią. Stojąc przy otwartej bramie obserwował podskakujący i kołyszący się na wybojach pojazd. W końcu rozpoznał siedzącego za kierownicą Darcy - Williamsa.

Darcy - Williams nie zauważył człowieka idącego wzdłuż kamiennego muru na tyłach domu; był zbyt pochłonięty wiadomością, którą kilka minut temu wyjął ze skrytki w zwalonym drzewie na południowym skraju swej posiadłości. Wyczerpany wczorajszym dniem, przesiadkami i nużącym wyczekiwaniem na lotniskach w drodze z Sardynii, wstał późno i jadł śniadanie na tarasie londyńskiego domu. Z początku zlekceważył niezrozumiałą wiadomość, przekazaną mu przez jednego ze służących - był pewien, że nie dowiadywał się o żaden zabytkowy stół. Minęły całe lata, od kiedy przerabiał ze swym rosyjskim prowadzącym procedurę kontaktu alarmowego, ale w środku śniadania, gdy czytał poranną gazetę, wszystko mu się nagle przypomniało. Wybiegł z domu głęboko zaniepokojony tym, czego może dotyczyć wezwanie. Gdyby to objawienie przyszło kilka chwil później, na drugiej stronie londyńskiego „Timesa” znalazłby artykuł o „Morderstwach kolekcjonerów” w Nowym Jorku.

Jeszcze bardziej zaniepokoił go nagły ton wiadomości, którą wydobył ze skrzynki kontaktowej. Dwa dni przed wyjazdem na Sycylię włożył tam listę nowo przybyłego do Fort Moncton

personelu SIS - był to rutynowy raport, jakich wiele dostarczył w ciągu minionych czternastu lat. Czyżby popełnił błąd, używając starego sygnału, który informował prowadzącego, że coś jest w skrzynce kontaktowej? Sygnał ten powinien - zgodnie z obowiązującymi zasadami - zmienić się kilka miesięcy temu, ale on uważał, że nowy sygnał byłby zbyt kłopotliwy, i nie zastosował się do poleceń prowadzącego. Czy właśnie ta krnąbrność miała stać się jego zgubą, doprowadzić do ujawnienia jego działalności? Zawsze liczył się z tym, że pewnego dnia może się to stać.

Rosyjski oficer wywiadu, dowodzący sześciuosobowym zespołem obserwacyjnym rozrzuconym wokół siedziby Darcy - Williamsa, zajmował stanowisko w kępie brzoź o jakieś sto metrów od domu. Przyglądał się, jak Strasser wjechał na dziedziniec i wysiadł z samochodu. Przez szkła polowej lornetki widział rysy jego twarzy na tyle wyraźnie, iż, rzuciwszy okiem na przysłane z londyńskiej ambasady zdjęciem był pewien, że to ten sam człowiek.

Podniósł radiotelefon i zaalarmował snajpera przyczajonego na łące, przez którą Darcy - Williams przed chwilą przejeżdżał - jego Range Rover minął zaledwie o trzy metry stanowisko strzelca i towarzyszącego mu obserwatora, zlokalizowane w pobliżu przerwy w żywopłocie.

Alarm nie był konieczny; obserwator również zobaczył i rozpoznał Strassera, gdy ten wjeżdżał na dziedziniec, a widział go bardzo wyraźnie przez lunetę na trójnogu, której używał do obserwowania terenu wokół domu. Znajdował się jakieś dwieście czterdzieści metrów dalej od dowódcy, w miejscu, które zapewniało dobry widok na dziedziniec i tyły domu. Obserwował, jak Strasser obszedł zachodnie skrzydło i zniknął za wysokim żywopłotem. Trzymając się poza polem widzenia dostępnym z Rangę Rovera, obserwator ze snajperem przypadli do żywopłotu i razem poczołgali się w kierunku, w którym udał się terrorysta. Zobaczyli go ponownie, gdy szedł wzdłuż niskiego murku w stronę stajni. Schowali się za gęstym jeżynowo - tarninowym żywopłotem, gdy

zrozumieli, że zatrzymał się przy otwartej bramie, by poczekać na przyjazd Range Rovera. Ze swego miejsca dobrze widzieli teren wokół bramy i podwórze przed stajnią.

Snajper położył się na brzuchu, wsunął lufę karabinu *Vaime Mk2* w żywopłot i sprawdził, czy nie wystaje ona po drugiej stronie. Fiński karabin snajperski na naboje kaliber 7,62x51 mm, popularny w jednostkach antyterrorystycznych na całym świecie i znany ze swej celności na dystansie do tysiąca metrów, wyposażony był w wysokiej klasy tłumik, który - gdy używano go wraz z odpowiednią amunicją o prędkości poddźwiękowej - redukował huk wystrzału do odgłosu, jaki towarzyszy strzałowi z wiatrówki, niemożliwego do wykrycia z odległości większej niż dwadzieścia metrów.

Snajper przetoczył się na bok, odciągnął rączkę zamkową, wprowadził nabój do komory i zaryglował zamek. Założył rękawiczki, by ochronić ręce przed ciernistymi krzewami, wsunął rękę w skórzaną pętlę, przycisnął kolbę do ramienia i przyjął taką pozycję, by karabin był wycelowany w kierunku otwartej bramy. Następnie oparł wygodnie policzek na kolbie, spojrział przez lunetkę i ustawił ostrość.

W dolnym lewym rogu teleskopowego celownika znajdowała się wy - skalowana podziałka, dostosowana do wysokości około metra siedemdziesięciu - średniej wysokości dorosłego mężczyzny. Snajper nakierował skalę na sylwetkę Strassera i, wzięwszy poprawkę na jego wysoki wzrost, ocenił odległość na dwieście czterdzieści pięć metrów. Łatwy strzał dla człowieka z jego doświadczeniem, w dodatku wtedy, gdy obiekt jest nieruchomy, nie ma wiatru, który zmieniałby tor pocisku.

Snajper oderwał oko od celownika optycznego, aby nie zmęczyć wzroku, ale obserwator dalej śledził poczynania Strassera przez silną lunetę na trójnogu, koncentrując uwagę głównie na jego rękach. Gdy biały Range Rover zbliżył się do podwórza, zobaczył, jak Strasser podszedł do prawego skrzydła otwartej bramy - górna część jego ciała nadal była widoczna nad kamiennym murkiem. Snajper znów przyłożył oko do teleskopowego celownika i ustawił

go tak, by krzyż zatrzymał się na klatce piersiowej terrorysty.

- Mam go na muszce - wyszeptał przez radio do dowódcy zespołu.

- Widzisz broń? - padło natychmiast w odpowiedzi.

- Nie. Ale nasz obiekt znajduje się teraz w zasięgu strzału z pistoletu.

- Mamy rozkaz wziąć Strassera żywcem, o ile to możliwe. Strzelaj, by zabić, gdy uznasz, że stanowi wyraźne zagrożenie; w przeciwnym razie nie podejmuj żadnej akcji.

Dowódca porozumiał się z dwójką ludzi, którzy zajmowali pozycję po drugiej stronie domu. Rozkazał im wrócić do samochodu i zatrzymać się przy końcu drogi dojazdowej. Tam mogliby przyłączyć się do nich wraz ze swoim partnerem i czekać na Strassera, gdy ten będzie próbował opuścić posiadłość.

Darcy - Williams wjechał na podwórze i zatrzymał Range Rovera, aby wysiąść i zamknąć bramę. Otworzył drzwi, wysunął się zza kierownicy i w tym momencie znalazł się twarzą w twarz z Jurgenem Strasserem.

- Słucham? - powiedział protekcyjnym tonem, który wskazywał, że jest poirytowany obecnością nieznanego. Drugie, bardziej uważne spojrzenie sprawiło, że zeszywniał. W oczach nieznanego i jego postawie było coś, co wskazywało, iż jest on niebezpiecznym graczem. Ale po czyjej stronie? Czy to jest to? - pomyślał. Przyszli po mnie?

- Przyszedłem w sprawie obrazów - powiedział Strasser z obłudnym uśmiechem; miał zamiar pobawić się nieco z tym aroganckim Anglikiem.

- Jakich obrazów?

- Dokładnie chodzi mi o pańskiego Cézanne'a, Matisse'a i Pissarra.

Ogłupiały Darcy - Williams gapił się na Strassera. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Uspokoił się nieco, gdy wykrył ślad akcentu, który mylnie uznał za rosyjski. Pewny jak zawsze, że wie,

o co chodzi, założył, iż stojący przed nim mężczyzna jest rosyjskim prowadzącym, z którym nigdy się nie spotkał, oraz że wzmianka o obrazach może być dawno zapomnianym hasłem rozpoznawczym albo kodem, którego nigdy nie starał się zapamiętać.

- Dobry boże, czyś ty zwariował?

Ku zdziwieniu Strassera Darcy - Williams wziął go pod ramię i poprowadził do Range Rovera. W ten sposób znaleźli się poza zasięgiem wzroku ogrodnika, który na chwilę pojawił się na drodze i podążył w kierunku warzywnika po drugiej stronie stajni.

Terrorysta, zaintrygowany dziwną reakcją, nie opierał się i poszedł za Anglikiem, który kontynuował pełną oburzenia reprimendę.

- Dano mi jasno do zrozumienia, że mam się z tobą skontaktować przez telefon. Straciłeś zmysły czy co, że przychodzisz do mojego domu w biały dzień?

- Chcę obrazy - powtórzył Strasser i zamilkł. Pozwolił, by ta intrygująca i ciekawa scena trwała nadal.

- Chcesz obrazy? Mój Boże, wy, Rosjanie, jesteście trochę bezczelni, prawda? Od czternastu lat dostarczam informacje tobie i twoim marionetkowym szefom, a teraz spodziewasz się, że wydam ci obrazy, przez które znalazłem się w tym szambie? Ja bym na to nie liczył.

Strasser, który był zazwyczaj człowiekiem opanowanym, poczuł się nieco wytracony z równowagi, gdy dotarł do niego sens tych słów. Przypomniały mu się dziwne incydenty, które ostatnio go zaskakiwały: uwaga Cabota o jego rosyjskich szefach, przypisana przewrażliwionej wyobraźni „mijanka” przed blokiem Bancrofta, błyskawiczna reakcja ludzi, których uznał za jego ochroniarzy. Wszystko to pasowało do tego, co właśnie wypaplał ten Anglik.

- Ja dotrzymuję mojej części umowy - ciągnął Darcy - Williams. - Jeżeli chcecie, bym dalej z wami współpracował, żądam od was tego samego.

- Ze mną nie zawierałeś żadnej umowy. - Strasser wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. - Ale zrobisz to.

I wtedy Darcy - Williams zdał sobie sprawę, że popełnił straszną pomyłkę.

- A właściwie kim ty jesteś?

- Kimś, kto cię zabije, bardzo, bardzo powoli, jeżeli nie powiesz wszystkiego, co chcę wiedzieć.

- Czy masz choć najmniejsze pojęcie, z kim masz do czynienia?

- Tak, mam. Ale ty nie.

Darcy - Williams poznał po wyrazie twarzy Strassera, że blefowanie czy pozowanie niczego nie zmieni. Skoncentrował się na tym, jak odzyskać panowanie nad sytuacją. Nie chciał również pogarszać swego, i tak już marnego, położenia i zdradzać obcemu więcej, niż było to konieczne.

- Znajdźmy jakieś spokojniejsze miejsce do rozmowy, dobrze? - Strasser złapał Anglika za tweedową marynarkę i pociągnął na podwórze. Darcy - Williams próbował się wyszarpnąć, lecz terrorysta wepchnął go przez otwarte drzwi do stajni, podciął mu lewą nogę i przewrócił.

Snajper miał właśnie strzelić, jednak zawahał się, rozważywszy instrukcje dowódcy - nadal nie był pewien, czy Anglikowi grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo. Ponownie skontaktował się z dowódcą i zameldował, że Darcy - Williams szamotał się ze Strasserem, gdy razem szli przez podwórze. W odpowiedzi otrzymał rozkaz, że ma strzelać. Ustawił nitki celownika na środku pleców Strassera i zaczął ściągać, pewnym ruchem spustu, gdy terrorysta wepchnął Darcy - Williamsa do stajni. Ułamek sekundy przed strzałem Strasser zatrzasnął drzwi za sobą. Pocisk z wydrążonym czubkiem uderzył w ciężkie dębowe drzwi w tym momencie, gdy się zatrzaśniały. Miał niewielką prędkość, więc utkwiał w pięciocentymetrowej desce zaledwie w połowie. Huk zamykanych drzwi i szczęk opadającej metalowej klamki zagłuszyły odgłos strzału.

- Podejdźcie bliżej - polecił dowódca zespołu w odpowiedzi na kolejny meldunek snajpera. - Strzelaj tylko wtedy, gdy będziesz

pewien, że zabijesz - dodał. Nie chciał, by zraniony Strasser zabił Anglika - o ile już tego nie zrobił.

Darcy - Williams leżał w kącie stajni, krwawiąc obficie ze złamanego nosa i pokaleczonych dziąseł. Wystarczyło tylko kilka ciosów, by poddał się bólowi. Przerzął go widok odwiedzonego kurka pistoletu, wycelowanego w jego kolano. Strasser zrozumiał już większość z tego, co powiedział mu Anglik. Uwierzył, iż nie zna on nazwiska oficera rosyjskiego wywiadu, kierującego operacją GORING - to jasne, że wiedział jedynie to, w jaki sposób kontaktować się z prowadzącym.

- Powiedz swoim rosyjskim przyjaciołom, że skontaktuję się z nimi - oznajmił, rozbawiony wyrazem twarzy Darcy - Williamsa, który zrozumiał, że napastnik nie zamierza go zabić.

- Od kogo ma być ta wiadomość? - zapytał Darcy - Williams, dumny z faktu, że do tego, co już nieumyślnie wyjawiał, dodał jedynie nieważne szczegóły.

- Powiedz im, że Dieter skontaktuje się z nimi przez starych znajomych z ich organizacji.

Strasser otworzył drzwi i wyszedł na podwórze. Darcy - Williams wyjął z kieszeni chusteczkę i zatamował płynącą z nosa krew. Potem palcem wskazującym zbadał zmaltretowane usta i skrzywił się, gdy na dłoń wypadł mu złamany ząb.

Uważasz, że wiesz wszystko, pomyślał obserwując odchodzącego Strassera. Nie wiesz nawet połowy, cholerny bydlaku.

Snajper i jego partner zajęli pozycje za kamiennym murem otaczającym podwórze przed stajnią. Mieli tam znaleźć się, gdy Strasser wyjdzie ze stajni. Przez otwarte drzwi dostrzegli podnoszącego się Darcy - Williamsa. Terrorysta skierował się w stronę domu. Snajper natychmiast zameldował dowódcy o zaistniałej sytuacji.

- Kryjcie Anglika - brzmiał rozkaz. - My poradzimy sobie ze

Strasserem, gdy będzie wyjeżdżał.

Zanim Strasser doszedł do dziedzińca przed domem, do końca zrozumiał, co zdradził mu Darcy - Williams. Za akta, które posiadał, Rosjanie zapłaciliby na pewno dużo więcej, niż miał nadzieję dostać za resztę obrazów. A poza tym istnieli jeszcze Amerykanie i Brytyjczycy, i wiele innych rządów, które zaoferują fortunę, by wiedzieć, kto od czterdziestu pięciu lat pracuje dla Rosjan. Oczywiście pod warunkiem, że żaden z przeciwników nie wiedziałby, że druga strona już kupiła te same informacje. Zresztą nawet gdyby poznali prawdę, to nadal płaciliby hojnie, by wiedzieć to, co wiedzieli inni. Jeżeli pokierować sprawą w odpowiedni sposób, możliwości były nieograniczone. Szczęśliwy obrót wypadków sprawił, że gdy wszedł do wynajętego samochodu i wyjechał z dziedzińca, na jego twarzy zagościł pojawiający się tak rzadko szczery uśmiech.

W chwilę później uśmiech zniknął - za zakrętem, sto metrów dalej, zobaczył dwa samochody blokujące wylot drogi dojazdowej. Zauważył czterech ludzi ukrytych za otwartymi drzwiami pojazdów - celowali w niego z pistoletów maszynowych.

Strasser widział, że pastwiska po obu stronach bramy otoczone są kamiennymi murkami, które ciągną się wzdłuż głównej drogi. Uniemożliwiało to ucieczkę na przełaj. Zwolnił, by przyjrzeć się, jak utworzono blokadę; uśmiech powrócił na jego twarz, gdy zauważył, jaki błąd popełniono.

Oba samochody dotykały się maskami pod kątem na środku rozjazdu, po zewnętrznej stronie kamiennych filarów. Gdyby, ustawione zostały kilka metrów bliżej, przed filarami, solidne kamienne kolumny mogłyby uniemożliwić przepchnięcie jednego z wozów na tyle, by można się precyzyjnie przecisnąć na drogę.

Strasser nauczył się techniki pokonywania blokad w czasie ćwiczeń w Massow - co dwukrotnie uratowało mu życie. Ruszył powoli do przodu, wyliczając precyzyjnie taki kąt, by uderzenie odrzuciło samochód od filara i zapewniło mu wolną drogę. Nie wątpił, że ludzie ukryci za drzwiami zaczną strzelać, gdy znajdzie

się w ich zasięgu, ale też nigdy nie spotkał kogoś na tyle głupiego czy szalonego, kto by wytrwał na stanowisku i strzelał widząc pędzące na siebie auto.

Ściągnął ciasno pasy bezpieczeństwa i trzymając się prawej strony drogi wcisnął gaz do deski, potem przechylił się i, zerkając znad tablicy rozdzielczej, ustawił lewy błotnik w jednej linii z otwartymi drzwiami stojącego po prawej stronie samochodu. Wszystkie cztery pistolety maszynowe otworzyły ciągły ogień, dziurawiąc przednią szybę i zasypując wnętrze wozu odłamkami szkła. Tak jak przewidział, wszyscy strzelali do niego - nikt nie pomyślał, by skoncentrować ogień na oponach. Wybuch opony przy takiej prędkości mógłby sprawić, że straciłby panowanie nad kierownicą i nie uderzyłby w samochód pod odpowiednim kątem - o ile nie wypadłby z drogi na pastwisko. Kilka dziewięciomilimetrowych pocisków uderzyło w kratę chłodnicy, ale były one zbyt słabe, by uszkodzić silnik czy osłabić jego moc.

W odległości dziesięciu metrów od blokady Strasser zobaczył, jak czwórka mężczyzn odskoczyła, aby skryć się za kamiennymi filarami. Przestali strzelać, wyprostował się więc za kierownicą i, uważnie popatrując przez wybitą szybę, ostatni raz skorygował kąt. Oparł ręce mocno na kierownicy i przygotował się na zderzenie. Ford, odpowiadający masą i rozmiarem samochodom Rosjan, z prędkością stu piętnastu kilometrów na godzinę uderzył w stojący po prawej wóz i przewrócił go na bok, na drugie auto.

Siła zderzenia rzuciła Strassera do przodu, ale uprząż pasów i silne oparcie się o kierownicę sprawiły, że ochronił głowę przed uderzeniem w przednią szybę. Terrorysta skręcił ostro w prawo i wydostał się na drogę. Znów przywarł do kierownicy, gdy dwaj znajdujący się najbliżej Rosjanie otworzyli ogień i grad pocisków wpadł przez okno po stronie pasażera. Walczył, by odzyskać kontrolę nad pojazdem, ale tylne opony straciły przyczepność. Udało mu się wyrównać, kiedy zsunął się z nawierzchni i wjechał jedną stroną do płytkiego rowu. Przez pewien czas jechał na pełnym gazie, częściowo drogą, częściowo rowem, w końcu

wyjechał na twardą nawierzchnię.

Znajdował się już poza efektywnym zasięgiem rosyjskich pistoletów maszynowych. Kule uderzały w bagażnik Forda, nie wyrządzając większych szkód. Strasser zerknął w lusterko i zobaczył, że mężczyźni przerwali ogień i ustawiali przewrócony samochód. Wypchnęli na drogę kolejno oba pojazdy po to tylko, by zobaczyć, że są one tak zniszczone, iż pościg nie wchodzi w rachubę.

Na pierwszym skrzyżowaniu Strasser zjechał z drogi do Mayfield i skierował się na południe przez spokojną krainę rozległych pastwisk i niskich lesistych wzgórz. Znalazł odosobnione miejsce i zatrzymał się, by rączką podnośnika odbić lewy przedni błotnik, który tarł o oponę. Odkrył, że powyginany błotnik nie jest jedynym problemem. Uderzenie zniszczyło zawieszenie, więc utrzymanie samochodu na jezdni stanowiło nie lada wyczyn. Ruszył dalej z prędkością, którą uznał za najbezpieczniejszą w tej sytuacji. Zmieniał kierunek i wybierał podrzędne drogi, dopóki kilka kilometrów za miasteczkiem Ringmer nie trafiła się okazja, na którą czekał.

* * *

Peregrine Atkins, ornitolog amator z pobliskiego miasteczka zaparkował swego Jaguara vintage na poboczu i powędrował na usiane polnymi kwiatami pastwisko. Jego ojciec był również obserwatorem ptaków, szczególnie względami darzącym drapieźniki, co wyjaśniało genezę niezwykłego imienia syna. Atkins siedział na wzniesieniu i rozglądał się po okolicy, z lornetką przy oczach. Był pochłonięty identyfikowaniem liczego ptactwa unoszącego się nad polem i notowaniem obserwacji w dzienniku. Obejrzał się przez ramię, gdy padł na niego cień nieznajomego, który zatrzymał się za jego plecami.

- Nad tym żywopłotem po prawej krąży śliczna pustułka - zagadnął z uprzejmym uśmiechem. - Wie pan, pustułki żywią się głównie myszami i owadami - gąsienicami, konikami polnymi, chrząszczami. Wbrew powszechnej opinii łapią ptaki bardzo

rzadko.

Strasser z udanym zainteresowaniem pokiwał głową, potem rozejrzał się po bezludnej okolicy i sięgnął pod skórzaną kurtkę, by wyjąć *Makarowa*.

- Proszę spojrzeć. - Uprzejmy miłośnik ptaków odwrócił się, żeby podać nieznanemu lornetkę. Zamarł z przerażenia, gdy spod kurtki wyłoniła się dłoń zaciśnięta na kolbie pistoletu.

Ostry szcęk zamka i gwizd, który wydobył się z lufy, były tak słabe, że zaledwie kilka ze znajdujących się w pobliżu ptaków poderwało się do lotu. Atkins, z jedną okrągłą dziurką na środku czoła, stoczył się ze wznesienia. Trawa na pastwisku sięgała do kolan, była dość wysoka, by ukryć ciało, więc Strasser zostawił je tam, gdzie znieruchomiało.

Terrorysta wszedł do Jaguara i ruszył do Londynu. Po drodze zastanawiał się, jak najlepiej wykorzystać pozostawione mu przez ojca dokumenty. Mógłby najpierw skontaktować się z Rosjanami. Kiedy dowiedzą się, co się stało, będą skłonni dobić targu na korzystnych dla niego warunkach, byle tylko uratować bezcenną operację. Jediną niewiadomą w tym równaniu stanowił człowiek, który polował na niego w Nowym Jorku. Niemożliwe, aby misja oddziału Delta była w jakiś sposób powiązana z operacją Rosjan, na którą się natknął. Ich ścieżki musiały przeciąć się przypadkiem. Doprowadził ich do niego jakiś strzęp informacji, nie powiązany z Listą Göringa. Zgubił Amerykanina, gdy opuścił Stany, czy też był on gdzieś tutaj, nadal na niego polując? Czy była to forma zemsty za to, co wydarzyło się w Düsseldorfie? Wzruszeniem ramion skwitował te spekulacje. Poradził sobie z amerykańską jednostką antyterrorystyczną wcześniej, więc, gdy okaże się to konieczne, da sobie radę i teraz.

Semko i Rachela siedzieli w galerii Gibbisa ponad cztery godziny, gdy nagle zobaczyli wchodzącego młodego agenta, który zabrał ich z lotniska.

- Sukinsyn! - zaklął Semko. Wpadł do galerii jak burza, złapał mężczyznę za kark i wciągnął do pokoju na zapleczu. - Co z tobą, do diabła, oszalałeś?

Agent wyrwał się z uchwytu Semki i cofnął na wszelki wypadek.

- Dostaliśmy pilną depezę z Langley. Ma pan natychmiast skontaktować się z DDO.

- Skąd wiedziałeś, gdzie nas znaleźć? - spytała Rachela.

- Drogą eliminacji. Oficer operacyjny ma tę samą listę galerii, jaką wam dali wasi przyjaciele.

- Czy nie przyszło panu do głowy, że w ten sposób sprowadzi pan tu Rosjan? - W głosie Racheli był nie tylko gniew, ale nie ujawniła pozostałych emocji.

- Upewniłem się, że nikt mnie nie śledzi.

- O tak, to mnie uspokaja - wtrącił z ironią Semko. - Ty cholerny idioto!

Agent spurpurowiał i wybuchnął:

- Niech pan słucha, Semko, nie wiem, kim pan jest, ale nie zamierzam dłużej tego znosić. Powiedziano mi, że mam was znaleźć jak najszybciej. Wykonuję rozkazy szefa placówki. Jeżeli

ma pan jakieś uwagi, proszę je z nim omówić.

Semko siłą woli powstrzymał się, by nie uderzyć w twarz człowieka, który stał przed nim.

- W czyścúcu w Chelsea mamy zestaw komunikacyjny - powiedział agent i podał Racheli kartkę z adresem na Elyson Street niedaleko Brompton Road. - Może pan zadzwonić stamtąd. Po chwili milczenia dodał: - Powiedziano mi, żebym był w pogotowiu, gdybyście potrzebowali środka lokomocji.

Semko roześmiał się, lecz w jego śmiechu nie było śladu rozbawienia.

- Po prostu daj kluczyki i zejdź mi z oczu.

Pierwsza terenowa operacja Leonowa, którą wcześniej uznał za podniecającą okazję do uzyskania awansu i chwały, obecnie prowadziła jedynie do ruiny jego kariery. W ciągu piętnastu minut od ucieczki Strassera z WeldonHall usłyszał o niej najpierw od dowódcy zespołu inwigilacyjnego, a potem od „nielegalnego” Darcy - Williama. Anglik zadzwonił do prowadzącego i próbował wytłumaczyć, że wskutek pomyłki powiedział zbyt wiele.

Odpowiedź na depezę, którą wysłał do Jewgienija Primakowa, szefa Zagranicznej Służby Wywiadowczej w Jaseniewie, nie nadchodziła, więc Leonow chodził po biurze ambasady wyobrażając sobie najgorsze konsekwencje tego, że zawiódł. Po nadejściu odpowiedzi przeczytał instrukcje. Opóźnienie zostało spowodowane tym, że do Jaseniewa dotarła jeszcze jedna depeza. Wysłał ją Boris Tumanów, oficer rosyjskiego wywiadu w Monachium. Tumanów skontaktował się ze swymi zwierzchnikami w niemiecko - austriackim wydziale w Jaseniewie i poinformował ich o swojej rozmowie z „Dieterem”, którego poznał przed czterema laty, gdy z ramienia KGB pozostawał w bezpośrednim kontakcie ze wschodniemiecką organizacją terrorystyczną. Zameldował, że Dieter następnego dnia chce się spotkać w Monachium z kimś „władnym zawrzeć interes”. Kiedy Tumanów naciskał, by dowiedzieć się, jaki, odparł, że „oni będą wiedzieli jaki”.

Primakow, w odpowiedzi na żądanie Strassera, poczynił przygotowania do przeniesienia szturmowej jednostki Zagranicznej Służby Wywiadowczej z Zossen do Monachium. Podziemne centrum dowodzenia z czasów drugiej wojny światowej w Zossen, zlokalizowane dwadzieścia siedem kilometrów na południe od Berlina, pod koniec wojny zostało zajęte przez Rosjan i do czasu zjednoczenia Niemiec służyło jako kwatera główna Grupy Sił Radzieckich w Niemczech. Stacjonująca w Zossen jednostka składała się z komandosów Specnazu. Obecnie została ona przydzielona do sekcji operacji specjalnych w Zagranicznej Służbie Wywiadowczej. Jej zadanie polegało na doglądaniu demontażu i wysyłki ściśle tajnego sprzętu szyfrującego i komunikacyjnego do Rosji. Wybrano z niej sześćosobowy zespół, który nocą miał przybyć do Monachium.

Leonow również otrzymał rozkaz udania się do Monachium i nawiązania kontaktu z Tumanowem. Po tym, jak Strasser ustalił czas i miejsce, Leonow miał się z nim spotkać, zgodzić na jego warunki i prowadzić rozmowę tak długo, by specjalny zespół operacyjny zdążył zadziałać odpowiednio do sytuacji. Dowodzenie operacją wyeliminowania terrorysty spoczywałoby w rękach dowódcy zespołu z Zossen, a jedyną funkcją Leonowa byłoby zidentyfikowanie Strassera i przejęcie znajdujących się w jego posiadaniu dokumentów. Żeby zapobiec dalszemu szerzeniu informacji o liście Göringa nakazano Leonowowi, by nie ujawniał ich treści ludziom z Zossen, a im z kolei nie wolno było o nic pytać.

Pułkownik dobrze rozumiał przyczyny sprowadzenia specjalnego zespołu operacyjnego. Strasser musiał zostać zlikwidowany. I choć on sam do nich przyszedł, nie istniała żadna gwarancja, że po ustalonych na spotkaniu warunkach nie wysunie dalszych żądań albo że nie roześle kopii dokumentów do innych służb wywiadowczych. Każdy, do kogo by się zbliżył, miał zadanie zabić go. Jego likwidacja zapobiegnie handlowi kopiami oraz umożliwi zniszczenie wszelkich dowodów świadczących o istnieniu dokumentów.

Jedynym pozytywnym akcentem w tym skądinąd dla Leonowa fatalnym dniu było zidentyfikowanie mężczyzny, którego wraz z towarzyszącą mu kobietą sfotografował zespół obserwacyjny na lotnisku. Ich przyjazd do Anglii pułkownik połączył z informacją w amerykańskiej telewizji, z którego dowiedział się o tajemniczej parze zamieszanej w strzelaninę pod blokiem Bancrofta. Mężczyzna został rozpoznany jako Mike Semko, były komandos oddziału Delta, obecnie członek elitarniej jednostki działającej w obrębie antyterrorystycznej sekcji CIA. W archiwum w Jaseniewie znaleziono zdjęcia, zrobione mu w Wiedniu i Madrycie. Zespół, który śledził ich w drodze z lotniska i zgubił po przybyciu do miasta, kontynuował obserwację kierowcy wozu z tablicami dyplomatycznymi. Fakt, że agenci CIA nie pokazali się w Weldon Hall i odkrycie, że przeczesywali londyńskie galerie, utwierdziły Leonowa w przekonaniu, iż próbują oni znaleźć Strassera metodą typowania jego następnej ofiary. Wiedział więc, że nie znają nazwisk z listy Göringa ani nie posiadają innych informacji, które mogłyby zdekspirować jego operację.

Ale Primakow wolał nie ryzykować. Chociaż uznano, że równoległe polowanie CIA nie ma związku z listą Göringa, rozkazał, by zespół specjalny zabił Semkę i kobietę.

Leonow, przy pomocy oficera operacyjnego z londyńskiej ambasady, opracował plan dotarcia do Monachium. Zarezerwował lot z Londynu do Frankfurtu, gdzie miał spotkać się z zespołem antyinteligencyjnym. Jego członkowie mieli eskortować go do Monachium i upewnić się, że nie będzie śledzony w drodze do mieszkania Tumanowa.

Semko i Rachela stracili ponad godzinę, nim w końcu pozbyli się Rosjan, których zauważyli od razu po wyjściu z galerii. Po przejechaniu sześciu przecznic zaparkowali samochód, skorzystali z kilku taksówek i wreszcie udało im się ich zgubić - weszli do domu towarowego Harrodsa, kilka minut później wyszli innymi drzwiami i wsiedli do taksówki, którą przed chwilą opuścił pasażer.

Wysiedli cztery przecznice od czyścica w Chelsea i, na prośbę Racheli, kluczyli tak długo, póki nie była pewna, że nie są śledzeni.

Semko zadzwonił do zastępcy dyrektora CIA do spraw operacyjnych, który niespokojnie czekał na jego telefon w Langley w czynnym przez dwadzieścia cztery godziny na dobę centrum operacyjnym.

- Dlaczego uważasz, że Strasser wybiera się do Monachium?

- Bo właśnie popełnił pierwszy błąd - odparł Brannigan. - Zadzwonił do oficera rosyjskiego wywiadu, Borisa Tumanowa, który był członkiem zespołu KGB wspierającego wschodnioniemieckie operacje terrorystyczne. Dowiedzieliśmy się o nim z kartotek znalezionych w kwaterze Stasi. Teraz działa w Monachium, sprzedając za twardą walutę nadwyżki rosyjskiego sprzętu krajom trzeciego świata i swoim starym znajomym z różnych ugrupowań terrorystycznych. Kilka miesięcy temu założyliśmy mu pluskwę w telefonie.

- Dlaczego, u diabła, Strasser nawiązał kontakt z Rosjanami? Myślałem, że chcą jego dupy tak samo jak my.

- Nie jestem pewien dlaczego. Ale przypuszczam, że postanowił ubić z nimi interes - sprzedać im akta, których szukamy. - Co powiedział temu facetowi z Monachium?

- Przedstawił się jako Dieter, a Tumanów natychmiast wiedział, o kogo chodzi. Kazał mu iść do publicznego telefonu i zadzwonić pod londyński numer, ale Tumanów chciał wiedzieć więcej, nim się zaangażuje. Strasser powiedział, że przyjeżdża do Monachium i jeżeli Tumanów chce, by jego zwierzchnicy z Moskwy nie wrzucili go nogami do przodu do wielkiego pieca, to niech idzie do publicznego telefonu i zadzwoni do niego.

- Skąd telefonował Strasser?

- Z dworca Victoria. Od razu posłaliśmy tam człowieka, ale Tumanów korzystał z aparatu, który znajduje się niedaleko jego mieszkania, i była to krótka rozmowa. Nasz człowiek nie zdążył.

- Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

- Szef londyńskiej placówki nie był pewien, gdzie jesteś, a nie

chciał tracić czasu na wydzwanianie do wszystkich galerii z listy.

- Czy ten Rosjanin z Monachium znajduje się pod obserwacją?

- Jak mówiłem, pilnujemy go od kilku miesięcy. Nasz samolot nadal jest w Heathrow, więc rusz dupsko i skontaktuj się z bazą w Monachium, gdy tylko znajdziesz się na miejscu. Coś się stanie. Czuję to.

- Niech czeka na mnie zespół Delta z bazy SAS. W Niemczech Strasser będzie u siebie i jeżeli będzie miał wsparcie swoich kumpli z Frakcji Armii Czerwonej, to może być tam paskudnie. Chciałbym mieć kilku ludzi, którzy potrafią sobie zawsze radzić.

- Przykro mi. Nie mogę ci tego zorganizować. Są na połączonych ćwiczeniach terenowych i nie wrócą do jutra, ale wyślę zespół specjalny z bazy we Frankfurcie. Będą czekali na ciebie w Monachium.

Semko już miał zamiar rozpocząć tyradę na temat niekompetencji placówki w Londynie, ale powstrzymał się.

- Słuchaj, Jack, musisz obiecać mi kilka rzeczy. Jeżeli Strasser pokaże się tam przede mną, wydaj grupie monachijskiej jasne rozkazy, żeby nie zaczynali beze mnie. I niech nikt w żadnym wypadku nie wychodzi po mnie na lotnisko; skontaktuję się z nimi, gdy będę gotów.

- Miałeś w Londynie jakieś problemy?

- Lepiej nie pytaj.

- W porządku. Poinformuję bazę w Monachium, by trzymali się z daleka.

Rachela po wyjściu z galerii prawie się nie odzywała; niepokoiły ją skandaliczne błędy popełniane przez ludzi, którzy są przecież fachowcami.

- Dlaczego Strasser chce się spotkać z Rosjanami? - zapytała po wyjściu z czyścica w Chelsea. - To nie ma sensu; przecież próbowali go zabić.

- Nie wiem - skłamał Semko. - Przypuszczam, że dowiemy się tego w Monachium.

- Zatrzymaj się przy telefonie na rogu. Muszę zadzwonić do

swego zespołu i przekazać najnowsze informacje.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś z czyścica? - spytał Semko, podjeżdżając do krawężnika.

Rachela nie odpowiedziała, a potem, gdy po zakończeniu rozmowy wróciła do samochodu, znów pograżyła się w milczeniu.

Semko skręcił na Brompton Road i natychmiast zjechał na lewą stronę jezdni, o włos unikając zderzenia z nadjeżdżającym z przeciwka samochodem. Na chwile zapomniał o brytyjskich przepisach ruchu drogowego.

- Co cię martwi? - zapytał.

- To, jak prowadzisz.

- A poza tym?

- Zbyt wiele rzeczy źle idzie.

- No tak, przepraszam za tych idiotów przysłanych nam do pomocy, ale jestem pewien, że Mossad też popełnia błędy.

- A jeżeli to nie były błędy?

- Co masz na myśli?

- Nie jestem pewna.

Semko przez długą chwilę wytrzymywał jej spojrzenie, a potem wzruszeniem ramion skwitował jej sugestię.

- Jack Brannigan chce śmierci Stressera tak samo jak ja. I jest wypróbowanym przyjacielem. Cholera, przecież to niemożliwe, żeby chciał wyprowadzić mnie w pole. Dorwiemy Strassera. Obiecuję ci.

- Czy wiesz coś o problemach, jakie Mike Semko miał z placówką w Londynie? - Jack Brannigan zwrócił się do Alfreda Palmera, szefa kontrwywiadu, gdy wrócił on po krótkiej nieobecności do pokoju w centrum operacyjnym.

- Nie zostałem poinformowany o czymś takim - odparł Palmer. - Powiedziałem im, żeby szli mu na rękę i udzielali wszelkiej pomocy, jakiej zażąda. A co? Stało się coś złego?

- Dokładnie nie wiem, ale ja znam Semkę. Ktoś nawalił. Spróbuj dowiedzieć się, co się stało.

- Każę to sprawdzić.
- Czy zespół z Frankfurtu jest już w drodze do Monachium?
- Wyjechali pół godziny temu.

Agenci Mossadu prowadzili stałą obserwację swych arabskich sąsiadów. Wypatrywali wszelkich oznak aktywności, która mogłaby zagrażać bezpieczeństwu Izraela. Przed czterema miesiącami dowiedzieli się o planowanej serii spotkań między przywódcami świata arabskiego a wysoko postawionymi przedstawicielami rządu rosyjskiego. Spotkania miały odbyć się w Angli, w wiejskiej rezydencji ambasadora rosyjskiego, więc Tel Awiw wysłał do Londynu specjalny zespół. W jego skład wchodził ludźmi wyszkoleni w zakładaniu i prowadzeniu podsłuchu elektronicznego. Nie udało im, się włamać do łączy telefonicznych ani komputerowych, ale, dzięki laserowym urządzeniom podsłuchowym umieszczonym w punktach obserwacyjnych wokół rezydencji we Flimwell, nagrali rozmowy z trzech spotkań, które odbyły się w ciągu trzech tygodni.

Naukowcy z wydziału badawczego i rozwojowego Mossadu znaleźli sposób, aby włamać się do rosyjskiego faksu, dzięki czemu Izraelczycy przechwytywali i rozszyfrowywali wszystkie wysłane i otrzymywane wiadomości. Sprytnie pomyślane urządzenie było skuteczne bez względu na komputerowy protokół łączności, sygnał wywoławczy, użytą szybkość i rozkład graficzny. Niezauważalnie przechwytywało wszystkie transmisje bezpośrednio z łączy, niezależnie od tego, czy były one wysyłane przez automatyczne nadajniki, nadajniki radiowe, satelitarne łącza czy multipleksery, i nagrywało je na twardym dysku. Aktualnie rezydencja we Flimwell nie znajdowała się pod bezpośrednią obserwacją, lecz wszystkie wiadomości nadawane faksem były nadal nagrywane i sprawdzane.

Szyfrant izraelskiej ambasady w Londynie najpierw przechwycił zdjęcie Strassera. Nie towarzyszył mu żaden tekst, więc odłożył je na bok i czekał, czy późniejsza transmisja nie

wyjaśni jego znaczenia. Po czterech godzinach sprawdził, czy na dysku nie nagrało się nic innego. Znalazł wiadomość wysłaną z wiejskiej rezydencji rosyjskiego ambasadora przez człowieka, który podpisał się jako dowódca zespołu ochronno - obserwacyjnego. Był to raport składany niejakiemu Leonowowi. Dowódca informował, że człowiek o nazwisku Strasser zdołał uciec z zastawionej pułapki. Podał godzinę, o której Strasser opuścił miejsce zwane Weldon Hall i w którym kierunku się udał. Wiadomość kończyła się zapewnieniem, że podlegający ochronie zespołu obiekt jest bezpieczny, i że w Weldon Hall zostało czterech ludzi, mających zapewnić mu ochronę do czasu otrzymania dalszych rozkazów. Przechwycona odpowiedź instruowała nadawcę, by skontaktował się bezpośrednio z Leonowem używając bezpiecznej linii - z tego powodu szyfrant nie miał dostępu do dalszych wiadomości na ten temat.

Szyfrant rutynowo powiadomił szefa placówki Mossadu o przechwyconych transmisjach. Szef placówki wiedział o polowaniu na Strassera, natychmiast więc zrozumiał ich znaczenie i zatelefonował do „pomocnika” Mossadu. Godzinę później pomocnik, będący brytyjskim dziennikarzem, zadzwonił i poinformował go, że Weldon Hall w East Sussex jest własnością Herberta Darcy - Williamsa, zamożnego arystokraty, pracującego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych (była to oficjalna przykrywka Anglika, ukrywająca jego powiązania z SIS). Szef placówki przesłał następnie fotografię i przechwycone depeche do Tel Awiwu, dołączając informacje uzyskane od dziennikarza.

Jürgen Strasser nie lubił nie dokończonych spraw; wiedział z doświadczenia, że to one częściej powodują spalenie wielu operacji i śmierć wielu ludzi niż błędy taktyczne. Poleciał do Paryża właśnie w związku z tą kwestią. Posługiwał się tym samym przebraniem i paszportem, jakie wykorzystał przybywając do Anglii. W Paryżu miał trzy godziny do czasu połączenia z Monachium.

Zadzwoił do banku w Liechtensteinie i upewnił się, że pieniądze należne za obrazy z mieszkania Bancrofta wpłynęły na jego konto, a później wynajął samochód. Nie chciał ryzykować pokazywania się w drugim dostępnym mu paryskim czyścicu, wynajął więc pokój w hotelu niedaleko lotniska. Zdjął zamię i zmył farbę z włosów, następnie pojechał w rejon galerii Drussarda na rue de Seine w St - Germaine. Czas, jaki pozostał mu do odlotu do Monachium uniemożliwiał stosowanie drobiazgowych środków ostrożności. Uznał za nieprawdopodobne to, by odkryto jego powiązania z Francuzem. Zaparkował trzy przecznice od galerii, a zanim tam wszedł, jedynie szybko omiótł wzrokiem teren.

Zdziwienie na twarzy Drussarda, gdy Strasser wszedł do małego, schludnego biura na tyłach sali wystawowej, szybko zmieniło się w konsternację.

- W Londynie wystąpiły jakieś komplikacje?
- Nic, z czym nie mógłbym sobie poradzić.

- A obraży? Gibbs nie potwierdził ich odbioru.

- Obrazy już mnie nie interesują.

Drussard wydawał się zakłopotany. Jeszcze nie wiedział o śmierci Westcotta; międzynarodowa prasa skoncentrowała się na masakrze w bloku Bancrofta, pomijając relatywnie mniej ważny pożar w galerii i śmierć jej właściciela. Francuz wiedział zatem tylko to, co wydarzyło się na Sutton Place South. Wnioskował więc, że Strasser przestraszył się i dlatego wycofał z najbardziej lukratywnego interesu, jaki kiedykolwiek zrobił.

- Doniesienia z Nowego Jorku mówią, że wtrącili się Rosjanie.

Czy stwarzali panu jakieś problemy?

- Chcę listy nazwisk i obrazów, jakie panu dałem.

- Ale mamy umowę.

- Lista - powtórzył Strasser.

Drussard wzruszył ramionami i otworzył górną szufladę biurka.

- Chciałbym, żeby pan jeszcze raz zastanowił się nad swoją decyzją. Znalazłem już nabywców na pozostałe obrazy. Mógłbym podnieść pański procent, o ile przekonałoby to pana do kontynuowania współpracy.

Podał Strasserowi dwie kartki. Spojrzenie terrorysty padło na komputer osobisty i mały sejf biurowy w rogu pomieszczenia.

- Niech pan otworzy sejf.

- Nie ma tam nic związanego z naszymi interesami, jedynie moje osobiste papiery i mała sumka pieniędzy.

- Otwieraj. Drussard zawahał się.

- Zapewniam pana, że w sejfie nie ma niczego, co dotyczyłoby pana.

Na widok Strassera, sięgającego pod kurtkę i wyjmującego pistolet z tłumikiem, naiwne rozczarowanie Drussarda przekształciło się w strach. Szybko wstał zza biurka, wystukał kombinację i otworzył drzwi sejfu.

Strasser ruchem lufy pistoletu rozkazał mu, aby odsunął się na bok, a sam przyklęknął przed sejfem. Wyjął dokumenty z półek i położył je na biurku. Przejrzał je i zobaczył, że zawierają duplikaty

listy, rachunki wpłat i nazwiska tych, którzy zakupili ukradzione przez niego obrazy. Potem otworzył małą szufladę w środku sejfu i znalazł to, co jak podejrzewał, znajduje się w posiadaniu Drussarda: dyskietka podpisana DANE KÖN1GA; było to fałszywe nazwisko, jakiego używał w kontaktach z właścicielem galerii.

- Korzystałem z komputera, by mieć ślad naszych transakcji i interesów prowadzonych z moimi klientami; zapomniałem, że przegrałem to na dyskietkę - nieprzekonywująco oświadczył Drussard. Teraz w sposób widoczny wytrącony był z równowagi, a jego samopoczucie pogorszyło się jeszcze bardziej, gdy zobaczył groźbę w oczach terrorysty.

- Włącz komputer.

Drussard posłusznie siadł przy konsoli. Ekran był pusty, jedynie w lewym górnym rogu pojawił się mały symbol wskazujący, że aby uzyskać dostęp do systemu, należy wprowadzić kod.

- Wprowadź kod. Drussard znów zrobił to, co mu kazano.

- Na twardym dysku nie ma niczego o naszych interesach. Tylko na tamtej dyskietce i na wydrukach.

- Wywołaj katalog.

Drussard zrobił to bez wahania. Wgrał jedyne dwa pliki i posłusznie skasował zawartość twardego dysku oraz dyskietki z sejfu.

- Teraz nasze interesy są skończone - powiedział. - Ja dotrzymałem swojej części umowy; wszystkie należne panu pieniądze zostały zdeponowane na koncie, tak jak pan chciał, i zniszczył pan wszystkie ślady naszych transakcji.

- Z jednym wyjątkiem - rzekł Strasser i wrzucił wyjęte z sejfu dokumenty do kosza obok biurka Drussarda. - Poza wiedzą zawartą w twojej chciwej główce, wiedzą, którą - czego jestem pewien - sprzedałbyś komuś, kto by ukradł dla ciebie resztę obrazów.

Dwa pociski przez lewy oczodół przedarły się do mózgu Drussarda. Na zewnątrz biura nie było słycać wystrzałów. Strasser podpalił zapalniczką wrzucone do kosza papiery, przysiadł spokojnie na skraju biurka i, czekając, aż spalą się na popiół, z

ciekawością obserwował kałużę krwi, gromadzącą się wokół głowy Francuza.

- Możemy go przejąć - powiedział do radiotelefonu oficer operacyjny z placówki CIA w Paryżu, siedzący w samochodzie niedaleko galerii Drussarda.

Jeden z miejscowych agentów CIA, zajmujący posterunek obserwacyjny na ulicy, wezwał zespoły lotne, gdy zobaczył, jak człowiek odpowiadający rysopisowi Stresser wchodzi do galerii. Przed frontowym i tylnym wyjściem trzypiętrowego budynku stało teraz czterech ludzi.

- Nie podejmujcie żadnych działań - powiedział Palmer Stevenson, szef placówki paryskiej, kierujący akcją z centrum łączności w ambasadzie.

- Z tego budynku są tylko dwa wyjścia - odparł oficer operacyjny, któremu zależało na tym, by mieć na swym koncie ujęcie międzynarodowego terrorysty. - Z galerii nie można wejść na wyższe piętra; musi wyjść frontowymi albo tylnymi drzwiami na parterze. Kryjemy obydwu.

- Masz rozkaz, by obserwować i meldować o jego poczynaniach.

- Ale, sir...

- Powtarzam, żadnej akcji.

- Tak jest, sir - z wyraźnym niezadowoleniem powiedział oficer.

Stevenson był równie niezadowolony i nieco zmieszany wcześniejszymi instrukcjami, które otrzymał od zastępcy dyrektora do spraw operacyjnych. Przysłano je oddzielnie, poza rutynowo zabezpieczonym kanałem Firmy, przez kanał „gorący”. Stevenson został poinformowany, że jest to wiadomość ściśle tajna i, według szefa kontrwywiadu, wysłana za zgodą dyrektora.

Oficer operacyjny, który siedział obok Stevensona w pokoju łączności na najwyższym piętrze ambasady, z konsternacją pokręcił głową.

- Dyrektorowi cholernie zależy na tym facecie, a oni chcą, żebyśmy pozwolili mu się wymknąć - teraz, gdy mamy go na

widelcu?

- Nie nasza sprawa dociekać, dlaczego tak się dzieje - odparł Stevenson.

Bawarskie miasto Monachium zostało założone przez mnichów na brzegach rzeki Izary w ósmym wieku. Jest to miejsce kontrastów: gotyckiej architektury i nowoczesnych konstrukcji; muzeów i browarów; żałobnego dźwięku katedralnych dzwonów i wygrywających umpa - pa orkiestr dętych; eleganckich restauracji z wykwinną kuchnią francuską i piwiarni, serwujących golonkę.

Alianci w czasie drugiej wojny światowej zrzucili na miasto ponad sześćdziesiąt tysięcy bomb; Brytyjczycy bombardowali nocą, Amerykanie w dzień. Potężne eksplozje i towarzyszące im pożary zniszczyły większość znaczących budynków i fabryk. Dzisiaj w muzeach i budynkach użyteczności publicznej w całym Monachium można znaleźć pożółkłe i spłowiałe fotografie przedstawiające, jak miasto wyglądało wiosną 1945 roku. Było to miejsce trudne dziś do rozpoznania. Na ogromnych połaciach nie było niczego poza pozbawionymi dachów szkieletami konstrukcji o groźących zawaleniem ścianach i poskręcanych dźwigarach, mierzących w niebo znad wypalonych ruin; bezgłowe posągi na piedestałach pokiereszowanych odłamkami stały jak pokonani wartownicy. Po zakończeniu wojny dwanaście milionów ton gruzów, składających się z gotyckich, renesansowych, barokowych i rokokowych pozostałości minionych stuleci, załadowano na ciężarówki i wywieziono na przedmieścia. Tam usypano z nich wielkie wzgórza, okryto glebą, a potem zamieniono w parki, które ciągle są milczącym świadectwem nazistowskiej epoki.

Monachijczycy, zamiast stworzyć nowoczesne miasto ze szkła i stali, od czterdziestu siedmiu lat opanowani są obsesyjnym pragnieniem zrekonstruowania stolicy Bawarii. Odbudowują wszystko tak, jak było przed wojną. Jeżeli zachowały się resztki jakiegoś budynku, restaurowali go, jeżeli nie zachowało się nic - odbudowali z zachowaniem najdrobniejszych szczegółów - muzea,

opery, kościoły, każdy dach kryty czerwoną dachówką i każdą malowaną fasadę, wszystkie barokowe wieże, cherubinki i gargulce, każdą fontannę, iglicę i kalenicę - dopóki nie zatarto wszystkich ran. W ten sposób elegancka niegdyś stolica Bawarii stała się znów sobą.

Wczesnym wieczorem Semko i Rachela pojawili się na monachijskim lotnisku. Zobaczyli, że Brannigan dotrzymał słowa; w położonym na południowym krańcu płyty terminalu nikt na nich nie czekał. Wynajęli samochód i pojechali na Marienplatz - średniowieczny rynek i centralne skrzyżowanie dróg w sercu dzielnicy handlowej. Stamtąd ruszyli piechotą, sprawdzając, czy nie mają ogona. Semko znał dobrze Monachium z czasów służby wojskowej, kiedy to krótko po powrocie z Wietnamu dwa lata spędził w bazie 10. Grupy Sił Specjalnych w pobliskim Bad Tölz. Lubił tutejsze jedzenie, a najbardziej - piwo, i zwykle znajdował jakieś usprawiedliwienie, by odwiedzić miasto przed powrotem do Stanów po zakończeniu operacji w Europie.

Szli wzdłuż Weinstrasse, głównej alei handlowej, zmieszani z tłumem, który zapełnia prawie dziesięć hektarów pasaży. Wchodzili do sklepów tylko po to, by niemal natychmiast wyjść, wypatrując potencjalnych podejrzanych. Używali szyb wystawowych, by w odbiciach szukać śledzących ich ludzi. Dwa razy zatrzymywali się w połowie kwartału i wracali po własnych śladach, a potem szybko skręcali w boczną uliczkę. Semko powiedział Racheli, jak dotrzeć do pobliskiej piwiarni, a sam natychmiast udał się na miejsce spotkania, by obserwować jej przybycie po piętnastu minutach.

Gdy upewnili się, że nie mają ogona, opuścili piwiarnię i przeszli do kawiarenki usytuowanej przy wejściu do pasażu. Pasaż skupiał małe butiki i znajdował się w połowie jednej z wąskich ulic odchodzących od Weinstrasse. Semko zdecydował, by trzymać się z daleka od monachijskiej bazy CIA, która działała pod pokrywką firmy eksportowo - importowej specjalizującej się w wyposażeniu laboratoryjnym. Zadzwoił do bazy i podał numer telefonu

kawiarni oficerowi dowodzącemu zespołem specjalnym z Frankfurtu. Poinstruował go, by oddzwonił z publicznego aparatu.

Oficer operacyjny zatelefonował dziesięć minut później i na polecenie Semki powiedział, jak wygląda i w co jest ubrany, oraz zgodził się spotkać z nim w ciągu godziny w sklepie z upominkami. Semko nie podał mu swojego rysopisu ani nie poinformował, że towarzyszy mu Rachel. Z miejsca przy stoliku w kawiarni widział sklep z upominkami oraz wejście i wyjście z pasażu. Mógł zauważyć przybycie oficera operacyjnego i sprawdzić, czy nie jest on śledzony.

Semko obserwował otwartą klatkę schodową, prowadzącą na piętro, gdy zauważył, że Rachel znów posmutniała. Siedziała w milczeniu, popijając kawę i pustym wzrokiem wpatrywała się w ludzi przy sąsiednich stolikach.

Naszły ją wspomnienia o tym, co opowiedziała jej babcia, i z powodów, które nie całkiem rozumiała, poczuła potrzebę rozmowy. Opowiedziała Semce o granicznym z cudem przeżyciu przez babcię obozu Auschwitz, o śmierci dziadka i ich pięcioletniej córeczki, swojej imienniczki, i o tym, jak jej ojca przerzucono do Szwajcarii. Pojedyncza łza stoczyła się po jej policzku. Powiedziała, że jej babcia tak samo jak wielu innych, straciła wszystkie fotografie, pamiętniki, listy, pozostały jedynie ustne opowieści, przekazywane następnym pokoleniom. Opowiedziała mu o znaczeniu obrazu, który zobaczyła w „New York Timesie” w artykule o śmierci Edwarda, Winthropa Stewarta, i o tym, że miała nadzieję na jego odzyskanie, i jaka była zniechęcona, gdy usłyszała to, co powiedziała policja.

- Masz jakiś dowód, że był on jej własnością?

- Nie. A szansę przekonania sądu o tym, praktycznie są równe zeru. Przypuszczam, że właśnie to tak cholernie mnie przygnębiło; to i ci ludzie, przypominający mi, co przeżyła moja babcia. W każdym razie powinnam przeprosić, że zwałam wszystko na ciebie. Jakbyśmy nie mieli dość problemów z tym psychopatą Strasserem.

- Cieszę się, że mi to powiedziałaś. - Semko pochylił się i delikatnie otarł jej łzę grzbietem dłoni. - Przykro mi, że coś takiego spotkało twoją babcię i jej rodzinę.

Spontaniczny gest życzliwości i wrażliwości zaskoczył Rachełę, która do tego momentu uważała, że siedzący obok niej zatwardziały, beznamiętny samotnik nie jest zdolny do szczerego współczucia. Ścisnęła mu rękę, lecz minutę później ulotna chwila rozviała się. Zobaczyła, że oczy Semki spoczywają na człowieku, który wszedł do pasażu i skierował się ku schodom.

- To on - powiedział. - Czeka tu i miej oko na brzydkich chłopców. A tak przy okazji, jak na specjalistkę od historii sztuki, łatwo chwytasz zasady gry.

Rachela obserwowała, jak Semko nawiązał kontakt w sklepie z upominkami, a potem opuścił pasaż z wysokim, dobrze zbudowanym oficerem operacyjnym, by wrócić po piętnastu minutach.

- Jesteśmy na tropie. Strasser dzwonił do starego kumpla z KGB, Tumanowa, i na jutro wyznaczył spotkanie z Rosjanami.

- Rozmawiali otwarcie na niepewnej linii?

- Nie. Kazał Tumanowowi iść do telefonu publicznego, a on poszedł do tego, z którego korzystał dziś po południu. W bazie podejrzewali, że tak robi, więc założyli w nim pluskwę.

- Gdzie odbędzie się to spotkanie?

- W wielkiej piwiarni na wolnym powietrzu w Englischer Garten. W porze lunchu - odparł Semko, podekscytowany zbliżającą się akcją. - Tak jak mówiłem: dorwiemy go. Więc głowa do góry.

Mosze Simon, szef archiwum Mossadu, wszedł do biura Davida Ben - - Davida w kwaterze głównej Mossadu i zmęczony opadł na fotel przed biurkiem. Stary człowiek o legendarnej pamięci przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu, przerzucając plik papierów. Wreszcie zerknął znad krawędzi grubych szkielec i zaczął mówić łagodnym, cichym tonem, nie zdradzającym wewnętrznej siły tego

człowieka, który przeżył trzy lata w hitlerowskim obozie śmierci.

- Metryka urodzenia wystawiona w Erfurcie głosi, że Jürgen Strasser jest synem Heinza Dietera Strassera, byłego majora SS, który zmarł w Obersalzbergu.

- Gdy rozmawialiśmy po raz pierwszy, wspomniałeś coś o zapisach rozmów, jakie przeprowadziliśmy dziesięć czy dwanaście lat temu z tym zdrajcą z KGB, który współpracował z nami i Brytyjczykami. Czy było tam coś poza aluzjami odnoszącymi się do ściśle tajnej sekcji, która miała coś wspólnego z ukradzionymi przez nazistów dziełami sztuki?

- Szczególnie dziełami zagrabionymi i skonfiskowanymi przez Marszałka Rzeszy Hermanna Göringa - odpowiedział Simon. - Przesłuchiwałem Kowaliowa. Tak, przejrzałem te stenogramy.

Ben - David, przyzwyczajony do metodycznego sposobu konstruowania wypowiedzi przez starszego pana, czekał cierpliwie. Wiedział, że Simon wyjawi swoje spostrzeżenia we właściwym czasie.

- Kowaliow również nawiązywał do faktu, że do tajemniczej sekcji, o której opowiedział mu jego znajomy, przydzielano „nielegalnych”. Można przyjąć, iż przydzielano tam samych najlepszych.

- Jakie w związku z tym masz podejrzenia? - przynaglił delikatnie Ben - David.

Simon wzruszył ramionami i odpowiedział:

- „Nielegalni” są najlepsi do obsługiwania i kontrolowania wysoko postawionych agentów, zwerbowanych na terenie danego kraju.

Ben - David uśmiechnął się. Starszy pan był wyznawcą sokratycznej metody myślenia, którą szef Mossadu nazywał metodą „wyobraź to sobie sam”.

- Skontaktowałem się również ze znajomym z British Museum - ciągnął Simon. - Powiedział, że ten Anglik, Herbert Darcy - Williams, którego, zgodnie z przechwyconymi przez placówkę londyńską depezbami, Rosjanie chronili przed Strasserem, posiada

wspaniałą kolekcję dzieł sztuki. Odziedziczył ją po swoim ojcu. Stary Darcy - Williams należał do tego samego pokolenia, co zamordowani w Nowym Jorku.

- No to powiedz mi, Mosze, jakie z tego wyciągasz wnioski?

- Przypuszczam, że wiem, dlaczego Rosjan tak bardzo niepokoi działalność Strassera.

- Ludzie, którzy zostali zamordowani z powodu niektórych obrazów ze swoich kolekcji w jakiś sposób byli powiązani z Hermannem Göringiem. Z tego powodu szantażem zmuszono ich do współpracy - stali się rosyjskimi agentami. A Strasser jakoś zdobył listę, która mu powiedziała, kim oni są.

- Jest jeszcze dla ciebie nadzieja, Ben - David, przyjacielu - powiedział starszy pan z rzadkim u niego uśmiechem. - "To Jakoś" może dotyczyć jego niedawno zmarłego ojca. Morderstwa i kradzieże zaczęły się po jego śmierci. Biorąc pod uwagę fakt, że były major Strasser przebywał w pobliżu miejsca, w którym pod koniec wojny znaleziono kolekcję Göringa, sugerowałbym, iż te same informacje, za pomocą których Rosjanie szantażowali tych ludzi, zostały znalezione również przez niego.

- I Rosjanie za wszelką cenę pragną zdobyć ten duplikat, by ochronić swoich agentów.

- Prawdopodobnie tak, skoro informacje o spotkaniu w Monachium, które niedawno otrzymałeś, wskazują, że Strasser zdał sobie sprawę z ich prawdziwej wartości.

- A Amerykanie?

- Oczywiście pamiętasz, że akta z Berlińskiego Centrum Dokumentacji przesłane nam przez ludzi z Bonn ujawniły, że OSS polował na Heinza Strassera krótko po zakończeniu wojny. Sensownie jest założyć, że śmierć ojca i wzmożona aktywność syna przyciągnęły uwagę Amerykanów. Można również przyjąć, że interesują się Strasserem, by odebrać mu listę, której szukają od czterdziestu siedmiu lat.

Ben - David przypomniał sobie informację, jaką przysłała mu Rachelą za pośrednictwem zespołu wspierającego, i pomyślał, że

CIA sfuszerowała te wysiłki, ale nie powiedział nic na ten temat Simonowi.

- Dziękuję, Mosze, bardzo mi pomogłeś.

- Jeżeli będziesz jeszcze czegoś potrzebował, jestem w swoim biurze.

Po wyjściu starszego pana Ben - David obrócił się do komputera i zaczął pisać wiadomość dla zespołu wspierającego w Monachium. Wiadomość została automatycznie zaszyfrowana i w ciągu kilku sekund od naciśnięcia guzika wysłana przez antenę na dachu kwatery głównej do satelity komunikacyjnego, który przekazał ją do identycznego terminala w monachijskim czyścicu, gdzie została automatycznie zdekodowana, a na ekranie komputera pojawił się tekst.

Semko nie skorzystał z propozycji wysuniętej przez bazę w Monachium. Nie chciał nocować w czyścicu. Wynajął pokoje w „Hiltonie”, wybranym ze względu na położenie - hotel stał przy południowej granicy Englisher Garten. Razem z Rachelą zjedli kolację w restauracji i przed dziesiątą, po zaznajomieniu się z miejscem spotkania i otaczającym terenem oraz po uzgodnieniu, że jutro muszą wcześniej wstać, udali się do swoich pokoi.

Rachelą najpierw wykąpała się, potem narzuciła szlafrok i zadzwoniła pod numer, jaki dostała od zespołu wspierającego w Londynie. Zaczęła mówić, gdzie jest, podała czas i miejsce spotkania Strassera z Rosjanami, ale przerwano jej i poinformowano, że z kwatery głównej Mossadu nadeszła pilna wiadomość: ma natychmiast skontaktować się z Ben - Davidem.

Rachelą w Londynie dzwoniła do swego zespołu z niepewnego telefonu, ale nie przejmowała się, że linia może być na podsłuchu. Aparaty w czyścicach należących do Mossadu wyposażone były w wysokiej klasy sprzęt zabezpieczający, zdolny do zagłuszenia lub ekranowania bezpośredniego podsłuchu czy różnorodnych urządzeń: nadajników radiowych włączonych w linie, automatycznych magnetofonów, szeregowych interfejsów,

indukcyjnych adapterów, obejść telefonicznych i wewnętrznych modyfikacji. Jednakże wyposażenie to nie było całkowicie niezawodne w przypadku rozmów międzynarodowych, takich jak ta, którą miała przeprowadzić.

Niezależny, zasilany z baterii przenośny koder, który wyjęła z torby, nie wykrywał ani nie ekranował pluskiew. Było to urządzenie z akustycznym modemem, który można przymocować do słuchawki każdego telefonu. Lekkie i zwarte, z ponad pięcioma tysiącami kombinacji kodowych, działało na bardzo duże odległości i poddawało obrobione cyfrowo widmo akustyczne procesowi inwersji, co uniemożliwiała podsłuchanie rozmowy. Po przefiltrowaniu przez dekodek rozmowa między stronami posiadającymi identycznie wyekwipowane telefony była słyszalna wyraźnie, podczas gdy każdy kontrolujący odbierał jedynie zniekształconą transmisję ledwo przypominającą ludzką mowę. Zestawy takie, jaki miała Rachelą, podłączone były do aparatów telefonicznych na biurku Ben - Davida w biurze i w jego gabinecie w domu.

O dziesiątej czterdzieści pięć Racheta połączyła się z nim przez telefon w biurze.

- Amerykanie popełniają godne amatorów błędy, przez które giną ludzie - powiedział szef Mossadu. - Chcę, żebyś od teraz miała przy sobie zespół wspierający.

- Mówiłeś, że ludzie z CIA kłamali w sprawie celu ich operacji. O co ci chodziło dokładnie?

- Wyeliminowanie Jürgena Stresser'a nie jest ich najważniejszym zadaniem. Zależy im na dokumentach, które on ma. A Rosjanie gotowi są zrobić wszystko, by dostać je przed CIA. I nie popełnij błędu, twój amerykański partner, Mike Semko, wie o tym.

- A więc taki jest powód ich spotkania. Strasser chce ubić interes z Rosjanami?

- To nie będzie żaden interes, przynajmniej nie dla Rosjan. Oni zamierzają go zabić, w dowolny sposób, i zabiją każdego, kto wejdzie im w drogę.

- Czy te dokumenty nas też interesują?
- Tak. Jeżeli będziesz miała okazję położyć na nich rękę, koniecznie zrób to. Sporządzimy kopie, a oryginały przekazemy Amerykanom.
- Jak je rozpoznam?
- O ile się nie mylę, są to akta z transakcji - prawdopodobnie sprzedaży dzieł sztuki - zawieranych między Hermannem Göringiem czy kimś, kto go reprezentował, a trzema ludźmi, których zamordował Strasser. Prawdopodobnie również z wieloma innymi, łącznie z ojcem Anglika, na którego polował w Londynie, Herberta Darcy - Williamsa. Jeśli zobaczysz w dokumentach jedno z tych nazwisk czy wszystkie, będziesz wiedziała, że to o to chodzi.
- A jeśli nie będzie miał dokumentów przy sobie, a pojawi się okazja, by go wyeliminować?
- Trzymaj się pierwotnych rozkazów. Dokumenty możemy odnaleźć później.
- Semko będzie próbował porwać Strassera podczas jutrzejszego spotkania. Jestem tego pewna.
- A co z jego przyjaciółmi z bazy w Monachium?
- Nie wiem. Wydaje się, że chce trzymać się od nich tak daleko, jak tylko można. Nie sądzę, by miał do nich zaufanie po tym, co stało się w Londynie.
- Wydam instrukcje, aby twój zespół był na miejscu spotkania. Będą cię kryli. Znajdź ich i trzymaj się na tyle blisko, żeby mogli cię wesprzeć, jeżeli sprawy przybiorą niewłaściwy obrót. I, Rachelo, nie ufaj nikomu poza naszymi ludźmi. - Ben - David mówił teraz ojcowskim tonem, w którym przebijał niepokój o jej bezpieczeństwo. - Rozumiesz?
- Tak. Rozumiem.
- Rachela siedziała na skraju łóżka z telefonem w rękach jeszcze długo po zakończeniu rozmowy. Czuła się zdradzona przez Semkę, który nie powiedział jej prawdy o swoim prawdziwym zadaniu. Na początku miała zamiar iść do jego pokoju i powiedzieć mu, czego się przed chwilą dowiedziała, lecz potem zrezygnowała, pogodzona

z myślą, że to, co on robi, jest istotą profesji, którą również ona wybrała. Ona również przestrzegając reguł narzuconych przez Ben - Davida, nie ujawniła więcej, niż było konieczne. Konfrontacja z Semką niczego by nie wyjaśniła, a prawdopodobnie zrodziła między nimi nieufność. Mogłaby utrudnić lub wręcz uniemożliwić wykonanie rozkazu wyeliminowania Stressera czy zdobycia będących w jego posiadaniu dokumentów.

Podeszła do minibarku i przyrządziła sobie drinka, a potem rozsunęła szklane drzwi i wyszła na mały balkon wychodzący na miasto. W oddali zegar na wieży wydzwonił jedenastą. Myślami znowu była przy babci. Dopiero po północy wróciła do pokoju i położyła się spać. Śniła o życiu, jakie wiodła w Wiedniu Estera Sidrane, nim zostało ono brutalnie zniszczone.

Ogródkowe piwiarnie są dla Monachium tym, czym ogródkowe kawiarnie dla Paryża, a „Chinesischer Turm” jest jedną z największych piwiarni w tym mieście. Na długich ławach ustawionych wzdłuż rzędów drewnianych stołów może zmieścić się siedem tysięcy osób. Leży ona w malowniczym miejscu pod gołym niebem, na brzegu małego jeziora wśród kasztanowców na południowym końcu parku Englischer Garten.

Piwiarnia „Chinesischer Turm”, która wzięła swoją nazwę od znajdującej się w centrum chińskiej pagody, jest odwiedzana przez bardziej wyrafinowanych bywalców niż zwykli turyści - jest popularna wśród studentów i profesorów pobliskiego uniwersytetu oraz tak zwanych artystów i intelektualistów ze Schwabingu, monachijskiej wersji paryskiej Dzielnicy Łacińskiej. Orkiestra dęta na podium w pagodzie gra tradycyjne utwory, ale nikt już nie śpiewa pijackich piosenek ani nie wystukuje kuflami rytmu, jak to bywało dawniej. Ulubioną rozrywką jest czytanie, rozmowa z przyjaciółmi, gra w karty i szachy, czemu towarzyszy opróżnianie kufla i przegryzanie piwa precelkami i rzodkiewką oraz nieodłącznymi *Bratwurst* i *Sauerkraut*.

O pół do pierwszej, a więc w porze lunchu, w „Chinesischer Turm” znajdowało się kilka tysięcy ludzi - sytuacja taka zapewniała Jürgenowi Strasserowi, który przybył na spotkanie z Leonowem,

człowiekiem zapowiedzianym przez Tumanowa, anonimowość. Spędził noc w czystcu w Schwabingu z pięcioma członkami swego ugrupowania terrorystycznego Frakcja Armii Czerwonej, którzy na jego rozkaz przyjechali do Monachium z bazy operacyjnej leżącej na południe od Baden - Baden. Strasser przedstawił im swoje plany i polecił, aby wmieszali się w tłum, ale trzymali na tyle blisko, by móc odeprzeć każdy wymierzony w niego atak - czy to ze strony Amerykanów, czy też Rosjan.

Dowódca dziesięcioosobowego specjalnego zespołu operacyjnego, którego szef rosyjskiej Zagranicznej Służby Wywiadowczej przysłał z Zossen, postanowił nie podejmować żadnych prób na terenie piwiarni. Wykluczył możliwość, że Strasser, były oficer Stasi, będzie na tyle głupi, by przynosić ze sobą dokumenty. Z doświadczenia wiedział, że próba uprowadzenia go w takim tłumie, w którym każdy z jego przyjaciół - terrorystów może się łatwo ukryć, i w niemożliwych do przewidzenia okolicznościach, skończyłaby się fiaskiem. Zamiast tego polecił, by Leonow przekonał Strassera, aby ten spotkał się z nim po raz drugi.

Leonow przybył do piwiarni wkrótce po Strasserze, ale znalezienie go w tłoku zajęło mu ponad pół godziny. Terrorysta popijał piwo przy końcu długiego stołu, skrytym w głębokim cieniu zwieszających się gałęzi, z dala od około tuzina siedzących po drugiej stronie wielbicieli słońca. Ścieżka za stołem prowadziła do bardziej zadrzewionej części parku nad jeziorkiem. Niecałe osiemset metrów dalej znajdował się Marienplatz, centralny rynek miasta, więc w przypadku kłopotów ścieżka stanowiła doskonałą drogę ucieczki.

Mike Semko i Rachela Sidrane zakończyli rozpoznawanie piwiarni i pobliskiego terenu wczesnym rankiem. Nie chcieli ryzykować, że zostaną zauważeni przez Stressera, spacerowali więc po parku, dopóki nie zaczął gromadzić się tłum. Nie wzięli pod uwagę licznych piwoszy, którzy przybyli wcześniej, by zająć swe ulubione stoły, i gdy wrócili, na terenie piwiarni było już ponad

tysiąc osób.

W ogrodowej piwiarni obowiązywała samoobsługa, zatem setki klientów skupiały się przed *Schenke*, długiej ladzie w pagodzie, podczas gdy inni krążyli trzymając kufle bądź stali rozmawiając w małych grupkach. Taka sytuacja sprawiała, że przyjrzenie się siedzącym przy stołach, rozrzuconych wśród drzew, z dużej odległości było niemożliwe.

Semko i Rachelą trzymali się razem. Wtopili się w hałaśliwy tłum i wolno przesuwali wzdłuż stołów. Czterej agenci Mossadu z zespołu wspierającego, nie znani Semce, robili to samo. Obserwowali Rachelę z odległości, która pozwoliłaby na szybką reakcję, gdyby potrzebowała pomocy. Pochłonięci śledzeniem ruchów Racheli nie zauważyli, że sami są obserwowani przez ludzi z zespołu CIA z Frankfurtu. W konsekwencji każdego z nich spotkało to samo. Poczuli nagle wciśnięte między żebra lufy pistoletów, ukrytych pod czasopismami czy gazetami. Agenci CIA zaszli ich od tyłu, ujęli pod ręce i spokojnie oznajmili, że mają udać się z nimi. Odprowadzono ich na obrzeża parku i zamknięto w furgonetce.

Czterej mężczyźni i jedna kobieta z Frakcji Armii Czerwonej nie widzieli tej akcji. Rozrzucony w tłumie, zajmowali pozycje zapewniające dobry widok na Strassera. Bez przerwy oceniali tych, którzy znajdowali się w jego bezpośrednim sąsiedztwie. Jeden z mężczyzn, siedzący przy nasłonecznionym końcu stołu Strassera, zauważył wysokiego człowieka w średnim wieku ze znaczną nadwagą, który zbliżył się od strony pagody.

Strasser dostrzegł go chwilę później. Wsunął rękę pod skórzaną kurtkę i położył na kolbie pistoletu z tłumikiem, spoczywającego w kaburze pod lewą pachą.

- Wydaje mi się, że to na mnie pan czeka - powiedział grubas podchodząc do stołu. - Nazywam się Nikołaj Leonow.

- Niech pan siada. - Strasser wyjął rękę spod kurtki. Rosjanin usiadł naprzeciwko niego, pochylił się i zaczął mówić cichym, ledwie słyszalnym tonem.

- Tumanów powiedział, że ma pan coś, co mnie interesuje.

Strasser po prostu wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i podał Leonowowi świstek z numerem konta i nazwą banku w Liechtensteinie.

- Chcę mieć do jutra na tym rachunku czterdzieści milionów dolarów, jestem pewien, że uzna pan to za rozsądną cenę, jeśli weźmie pan pod uwagę szkody, jakie mogę wyrządzić waszej operacji.

- Najpierw muszę zobaczyć, za co mamy zapłacić.

- Bez zagrywek, proszę. Dobrze wiecie, co ja mam, i nie prowadzicie interesów z pozycji siły, mój rosyjski przyjacielu. Zatem proponuję, żeby zrobił pan dokładnie to, co powiem, w przeciwnym razie przeniosę się z moimi interesami gdzie indziej.

- A jakie mam zabezpieczenie, że pan tego nie zrobi?

- Żadnego. Ale jaki ma pan wybór?

Leonow najeżył się z powodu takiej bezczelności, ale zachował zimną krew.

- Nie mogę zagwarantować, że w ciągu dwudziestu czterech godzin uda nam się zdobyć taką sumę.

- Z czasów służby w Stasi wiem, że wasza Zagraniczna Służba Wywiadowcza, czy jak tam się teraz nazywacie, ma konta w co najmniej jednym banku w Luksemburgu i dwóch w Szwajcarii. Zdeponowane w nich sumy przewyższają tę, o której mówię. Transfer pieniędzy nie zajmie więcej niż godzinę.

- Przedstawię pańską propozycję moim przełożonym, a oni będą musieli poczynić przygotowania.

- Po prostu zróbcie to do jutra.

- A kiedy otrzymamy akta?

- Jak zrealizujecie drugą część umowy.

- To znaczy?

- Dostarczycie mi coś, z czego dostaniem mam wielkie trudności - rzekł Strasser, przypominając sobie o materiałach, co do których negocjował z handlarzem broni w Paryżu. - Pięć skrzyń waszych pocisków do moździerzy z głowicami chemicznymi, a szczególnie

tych, które zawierają sarin, tabun i soman. Jeżeli dobrze pamiętam, są pakowane po sześć sztuk. Chcę także dwa małe moździerze potrzebne do ich wystrzelenia.

Leonow był zaskoczony tym żądaniem. Spośród najłatwiejszych do transportu rodzajów broni chemicznych ta była najbardziej groźna. Bezbarwna, prawie bezwonna; niezwykle śmiertelna, na zatłoczonym obszarze w ciągu kilku minut mogła zabić setki ludzi. Jednakże ten nieoczekiwany warunek zapewnił to, na co miał nadzieję dowódca zespołu z Zossen. Przekazanie broni wymagało drugiego spotkania w odosobnionym miejscu, oddalonym od terenów, na których mogliby zostać przypadkowo nakryci przez policję.

- Nie mamy już tego rodzaju broni - skłamał Leonow. Nie chciał, by zbyt pośpieszna zgoda wzbudziła w Strasserze jakieś podejrzenia.

- Niech pan nie obraża mojej inteligencji. Macie podziemny magazyn w bazie w Neuruppin, sześćdziesiąt kilometrów na północ od Berlina. Właśnie demontujecie tę bazę, ale o ile wiem, tej broni jeszcze nie odesłaliście do Rosji.

Leonow zdawał sobie sprawę, że szef Służby Wywiadu Zagranicznego nigdy nie otrzyma zgody na przekazanie takiej broni w ręce terrorysty; nie wtedy, gdy możliwe było wytropienie jej pochodzenia. Oznajmił, że przekaze te żądania tak, jak mu je podano.

- Oczywiście to również muszę przedyskutować z moimi zwierzchnikami.

- Nie ma o czym dyskutować - uciął Strasser. - Dziś wieczorem skontaktuję się z panem przez Tumanowa i podam dalsze instrukcje dotyczące sposobu, w jaki macie zrealizować moje zamówienie. Zabierze pan broń do miejsca, które wskażę nie wcześniej niż jutro w południe. Po tym, jak ją sprawdzę i przekonam się, że pieniądze zostały przelane na moje konto, przekażę akta.

Mówiąc o miejscu Strasser miał na myśli bazę operacyjną na

farmie w Szwarzwaldzie, ale nie miał zamiaru informować Leonowa o jej położeniu, dopóki on i członkowie RAF odpowiednio się nie przygotują na przybycie Rosjan. Nie przejmował się, że operacja wymiany ujawni lokalizację bazy; planował, że po zakończeniu interesów z Rosjanami będzie miał tyle pieniędzy, że bez problemów założy nowy kompleks szkoleniowy.

- Musimy chronić nasze interesy - powiedział Leonow. - Przywiozę ze sobą broń, a kiedy zobaczę akta i upewnię się, że dostaliśmy to, co jest przedmiotem targu, zadzwonię z polowego telefonu i wydam rozkaz transferu pieniędzy na pańskie konto. W ciągu piętnastu minut od tej rozmowy będzie pan mógł sprawdzić, czy rzeczywiście zostało to zrobione.

Strasser pokiwał głową.

- W czasie transportu broni może panu towarzyszyć nie więcej niż czterech ludzi. Pojedzie pan jednym samochodem, oni drugim, a na miejscu spotkania przez cały czas mają przebywać na otwartej przestrzeni. Broń ma być w furgonetce, w której będzie jechał tylko pan i kierowca.

- Zakładam, że nie rozmawiał pan z nikim innym na temat zawartości akt?

- Słusznie pan zakłada.

- Czy mogę zapytać, w jaki sposób znalazły się one w pańskim posiadaniu?

Strasser miał zamiar powiedzieć Leonowowi, że to nie jego interes, ale w tym momencie zwrócił uwagę na grupkę stojącą w pobliżu lady w pagodzie.

Niski, dobrze zbudowany mężczyzna o grubym karku wrzeszczał na kogoś, kogo Strasser nie mógł dojrzeć. Zwymyślał go za potrącenie i zachłapanie piwem koszuli. Ruszył za sprawcą wypadku i pchnął go, gdy tamten usiłował zgubić się w tłumie. Strasser zobaczył twarz obwinionego, gdy odwrócił się on i uderzył pięścią w żołądek zaczepiającego go mężczyznę. Poszkodowany zwał się na ziemię i zwinął z bólu.

- Co się dzieje? - zapytał Leonow na widok wyrazu twarzy

Strassera.

- Moje amerykańskie nemezis - rzekł Strasser i wsunął dłoń pod skórzaną kurtkę. - Niech pan teraz już idzie. Zadzwoń wieczorem.

Leonow wstał i zniknął w tłumie. Obejrzał się przez ramię, zobaczył, że Strasser skierował się ku ścieżce za stołem.

Terrorystka z Frakcji Armii Czerwonej, która stała w pobliżu i była świadkiem pośpiesznego rozstania, nie była pewna natury zagrożenia ani tego, skąd ono pochodzi. Przyłączyła się do mężczyzny siedzącego przy końcu stołu i razem stanęli z grupą ludzi obok ścieżki, by osłaniać Strassera. Trzej pozostali członkowie ich grupy, którzy zajmowali miejsca w tłumie po obu stronach stołu, zobaczyli reakcję kolegów i ruszyli w ich kierunku, chowając broń pod marynarkami i rozglądając się na wszystkie strony.

Semko zauważył Strassera i zaczął przesuwać się w jego stronę, obchodząc stoły, by zejść go od tyłu, gdy nagle człowiek, którego uznał za pijanego, oskarżył go o rozlanie piwa. Zrozumiał, że pijany zdekonspirował jego usiłowania - Strasser popatrzył w jego kierunku i wstał od stołu. Był tak skoncentrowany na znienawidzonym terroryście, że nie zauważył pary, która zajęła pozycje po obu stronach ścieżki, ani też trzech mężczyzn, zbliżających się ku nim od jego lewej strony.

- Zostań tu - powiedział do Racheli i zaczął przepychać się przez tłum, rezygnując z zachowania pozorów. Jego zachowanie szybko przyciągnęło uwagę trzech mężczyzn. Wyjęli spod marynarek pistolety w tym samym momencie, w którym Semko wyciągnął broń i popędził ku ścieżce.

Strasser nadal znajdował się w polu widzenia. Semko szukał wolnej przestrzeni, by złożyć się do strzału i zranić go w nogi. Na widok jego broni ludzie zaczęli krzyczeć i uciekać. Inni zobaczyli pistolety w rękach biegnących mężczyzn, którzy usiłowali przeciąć mu drogę. Ludzie przepychali się, próbując zejść im z drogi. Stojący z tyłu, którzy nie wiedzieli, o co chodzi, byli przewracani i tratowani w narastającej panice.

Mężczyzna i kobieta zostawili swoich kolegów, aby ich osłaniali,

a sami pobiegli za Strasserem. Pragnęli pomóc mu, gdyby się okazało, że czeka go jakaś pułapka. Semko zobaczył najpierw kobietę. Piwosze rozpierzchli się we wszystkie strony.

Wrzaski spanikowanego tłumu niosły się przez park, więc Strasser puścił się biegiem. Znowu był zdumiony tym, w jaki sposób Amerykanin go odnalazł. Uznał, że przybył w trop za nieświadomym tego Rosjaninem. Obejrzał się i, nim zrozumiał, że to jego ludzie, omal nie strzelił do biegnącej za nim pary. Ruchem ręki nakazał, aby się rozdzielili, potem opuścił ścieżkę i wpadł między drzewa. Wiedział, że park kończy się niedaleko Marienplatz i labiryntu prowadzących we wszystkich kierunkach ulic.

Semko stracił Strassera z oczu, ale tłum przed nim rozproszył się, więc szybko udało mu się pokonać odległość dzielącą go od zadrzewionego terenu. Zbliżał się do ścieżki. Chór przeraźliwych wrzasków i okrzyków sprawił, że się obejrzał. Zobaczył grupkę studentów uciekających przed trzema mężczyznami, którzy zastygli w strzeleckiej postawie i mierzyli prosto w niego. W tym momencie Semko był przekonany, że czeka go nieuchronna śmierć. Błyskawicznie padł na ziemię w nadziei, że przynajmniej kilka pocisków nie trafi w cel, ale jego szansę były niewielkie.

To, co się stało potem, zaskoczyło go kompletnie: wszyscy trzej mężczyźni w ciągu mniej niż dwóch sekund zostali zabici strzałami w głowę. Semko nie usłyszał wystrzałów, ale szybko spojrzał w kierunku, z którego, jak przypuszczał, otworzono ogień. Ku wielkiemu zdziwieniu zobaczył Rachelę. Stała dwanaście metrów od niego i trzymała pewnie w obu rękach mały pistolet z tłumikiem. Ruszyła ostrożnie ku swym ofiarom, ciągle mierząc do nich z pistoletu.

Semko otrząsnął się z chwilowego szoku, którego doznał, gdy zobaczył, że to Rachelę uratowała mu życie. Poderwał się ze ścieżki i rzucił w pogoń za Strasserem. Na ścieżce nie było nikogo, więc zwolnił bieg. Omiatał wzrokiem głębokie cienie między drzewami i miał nadzieję, że dojrzy sylwetkę uciekającego mężczyzny. Wszedł między drzewa, zatrzymał się i nasłuchiwał, ale usłyszał tylko

odległy uliczny hałas. Dochodził tu także gwar podnieconych głosów z piwiarni. Nie wątpił, że do tej pory Strasser uciekł z parku i zginął w labiryncie ulic. Niezadowolony, że znowu zawalił, wsunął pistolet w kaburę pod kurtką i wrócił na ścieżkę. Rachelę czekała na niego. Prawą dłoń trzymała wewnątrz ukrytej przegródki w torebce. Baczenie obserwowała wszystko, co działo się na ścieżce i w lesie.

- Spieprzyłem. Ten sukinsyn uciekł.

- Musimy iść. Każdy glina w tym mieście pędzi właśnie w kierunku piwiarni.

Semko przypomniał sobie ludzi, których zastrzeliła.

- Gdzie nauczyłaś się tak strzelać?

- Przeszłam podstawowy kurs strzelecki w akademii. Jak wszyscy. Nawet analitycy przez to przechodzą.

- Podstawowy kurs! Bezbłędne trafienie trzech celów z odległości dwunastu metrów w półtorej sekundy z małego pistoletu!

- Początkujący mają szczęście - oznajmiła Rachelę i ruszyła ścieżką.

- W każdym razie, dzięki - rzucił Semko, idąc przy jej boku. - Prawdopodobnie byłbym martwy, gdybyś ich nie rozwaliała.

- Jak myślisz, zostanie to przeniesione w moje przyszłe życie jako dobra czy zła karma?

- Gdybym był tobą, to w żadnym wypadku nie liczyłbym, że dostanę za to odznakę wzorowego skauta. Początkujący mają szczęście, co? - dodał, gdy skierowali się ku Marienplatz. - Więc u was wydają tłumiki najnowszej generacji wszystkim z wydziału archiwalnego?

* * *

Pół godziny po wydarzeniach w piwiarni szef monachijskiej bazy CIA skontaktował się z Jackiem Branniganem w całodobowym centrum operacyjnym w Langley i zdał mu sprawozdanie.

Kilka minut później drugi telefon jeszcze bardziej pogorszył nastrój DDO. Zadzwoił szef Mossadu z Tel Awiwu. Ben - David był

wściekły z powodu sposobu, w jaki potraktowano jego ludzi. Zostali oni uwolnieni, gdy tylko wyszło na jaw, że Strasser uciekł. Brannigan nie powiedział Ben - Davidowi, że to nie on wydał rozkaz porwania Izraelczyków. Próbował przedstawić zajście jako wynik mylnego zidentyfikowania, jednakże szef Mossadu nie przyjął tego do wiadomości. Brannigan po zakończeniu rozmowy właśnie miał zamiar wygłosić tyradę skierowaną do Alfreda Palmera, szefa kontrwywiadu, który, jak się domyślał, był za wszystko odpowiedzialny, lecz odezwał się George Sinclair, dyrektor CIA.

- Chcę, żebyś zdjął Semkę.

- Dlaczego? - zapytał DDO. - Nie doszło do przekazania dokumentów. Rosjanie wyznaczą następne spotkanie i prawdopodobnie skorzystają z tego samego telefonu. A nawet jeżeli tego nie zrobią, obserwujemy Leonowa. Więc z pewnością jakimś sposobem wrócimy do gry.

- Gra się zmieniła. I nie chcę, żeby Semko coś popsuł. Ściągnij jego i tę kobietę z Mossadu.

- Co się zmieniło? Nie mamy akt, a Strasser nadal jest na wolności. A jeżeli idzie o zawalenie - Brannigan zwrócił się do szefa kontrwywiadu - to prawda, że spieprzyliśmy robotę w Nowym Jorku, skompromitowaliśmy Semkę w Londynie i straciliśmy doskonałą okazję, by złapać Strassera w Paryżu. Do diabła, Semko może szybko zakończyć tę sprawę, a jest jedynym człowiekiem, który nie popełnia błędów.

Brannigan był ciągle zły, bo - jak się dowiedział - szef kontrwywiadu odwołał jego początkowe rozkazy wydane placówce w Paryżu. Rozkazy te mówiły, że mają obserwować Drussarda i nie podejmować żadnych działań, gdyby pojawił się Strasser. Semki co prawda nie było, ale nadarzyła się okazja ujęcia terrorysty, gdy wychodził z galerii, jednakże zmarnowali tę szansę z powodu polecenia szefa kontrwywiadu. Palmer wyjaśnił, niezbyt przekonująco, że skoro wiedzieli, iż Strasser jest w drodze do Monachium, to mogli tam przeprowadzić lepiej zorganizowaną

akcję, korzystając ze wsparcia specjalnego zespołu operacyjnego z Frankfurtu.

- Mamy najwyżej jeden albo dwa dni, dopóki Rosjanie nie załatwią Strassera - dowodził DDO. - Pozwólmy Semce działać; jeżeli będziemy informować go o ich ruchach i damy mu wolną rękę, gwarantuję, że zakończy swoją misję.

- Misja skończona, Jack! - powiedział wolno Sinclair.

- O co tu, do diabła, chodzi? Albo zapomniałeś o celu tej operacji, albo ja czegoś nie rozumiem. Ciągłe możemy mieć te akta.

- To skończone - powtórzył DCI.

Dyrektor i Palmer wymienili znaczące spojrzenia, z których Brannigan dowiedział się więcej, niż by chcieli ujawnić. W tej chwili zdał sobie sprawę, że obaj działali za jego plecami. Doszedł do głosu jego irlandzki temperament. Wszystko zaczęło się klarować. Niezręczne posunięcia, celowo zaprzepaszczone okazje i dokuczliwe myśli, że dyrektor nie był szczery uzasadniając niektóre decyzje operacyjne.

- Od początku macie te akta, prawda?

Palmer odwrócił wzrok, a Sinclair zachował milczenie.

- Odpowiedzcie mi, do cholery! Macie te cholerne akta od samego początku, prawda?

Dyrektor zawahał się, potem zdecydował, że nadszedł czas, by zrobić to, o czym myślał w chwili, gdy powierzył Branniganowi kierowanie polowaniem na Strassera. Gdyby Semko nie zaszedł tak daleko i nie był taki gorliwy oraz gdyby wszystko szło według planu, operacja mogłaby zostać uznana za nieudaną, bez wzbudzania najmniejszych podejrzeń DDO. Ale w tej sytuacji trzeba było zastanowić się nad innym rozwiązaniem.

- WĘDKA ma więcej aspektów, niż ci powiedziałem - odezwał się w końcu Sinclair. - Rzeczywiście operacja ta trwa od października 1945 roku, kiedy to pewien archiwista z jednostki OSS przeznaczonej do poszukiwań zagrabionych dzieł sztuki miał szczęście. Pracował w centralnym punkcie zbiorczym w Monachium, gdzie wszystkie skradzione dzieła sztuki i powiązane z

nimi dokumenty były składowane do czasu, póki nie zostaną określone ich prawowici właściciele. Dzięki niemieckiej namiętności do robienia zbędnych kopii udało nam się skompletować duplikat akt Göringa.

- Krótko mówiąc, sami prowadzimy każdego agenta, jakiego Rosjanie od tego czasu zwerbowali - podsumował Brannigan.

- Właśnie. Łącznie z następcami, których ci początkowo zwerbowali według naszych instrukcji. Jim Angleton zaplanował operację WĘDKA i kierował nią od początku do swego ustąpienia w 1974 roku. Grał na Rosjanach jak na pięciostrunowej gitarze przez prawie trzydzieści lat. To było coś pięknego. Prawdopodobnie była to jego najlepsza operacja. Od jego rezygnacji wiedzę o niej przekazywano kolejnym szefom kontrwywiadu. Zawsze zastrzegano, że jest to operacja ściśle tajna. Jedynymi ludźmi, którzy znali kryptonim, był każdy prezydent, jego doradca do spraw bezpieczeństwa, no i kolejni dyrektorzy CIA i szefowie kontrwywiadu. A teraz - ty. Takie ograniczenia wynikały z oczywistych przyczyn.

- Z tego, co słyszałem na temat sposobu działania Angletona, macie szczęście, że nikomu o tym nie powiedział.

- - To był dziwny gość, ale miał swoje dobre chwile; nie zdawałem sobie sprawy z ich doniosłości, dopóki WĘDKA nie przeszła na mnie i póki nie zaznajomiłem się z jej historią - stwierdził dyrektor. - Do diabła, Jack, możesz jedynie zacząć wyobrażać sobie, jakie znaczenie ma operacja trwająca od czterdziestu pięciu lat. W kilku przypadkach spowodowaliśmy, że Rosjanie zmienili kierunek projektów badawczych i rozwojowych, co kosztowało ich miliony godzin prasy i miliardy dolarów, nim zrozumieli, że są na złym tropie. Jasne, od czasu do czasu dawaliśmy im kilka prawdziwych pereł, ale zawsze po mistrzowsku kierowaliśmy ich w niewłaściwym kierunku.

- Kiedy po raz pierwszy wspomniałeś o tej operacji, dałeś mi do zrozumienia, że wśród tych, którzy nabyli obrazy Göringa znajdowali się zamożni i wpływowi Anglicy oraz Europejczycy. Czy

oni także pracują dla nas? Bez wiedzy swych rządów?

- Wszyscy, od pierwszego do ostatniego, nie wyłączając zwerbowanych przez nich ludzi.

Na twarzy Brannigana pojawił się wyraz podziwu.

- I to całkiem gładko, mogę dodać - kontynuował dyrektor. - Rosjanie byli przekonani, że mają swoich agentów w Departamencie Stanu czy na Kapitolu, więc dzięki temu mogliśmy karmić ich informacjami o zmianach kierunków politycznych czy o naszych tajnych programach rozbrojeniowych. Sprzedawaliśmy im rzeczy, o których i tak by się w końcu dowiedzieli, więc nie mogli wyrządzić nam krzywdy. Gdy wiedzieliśmy, że przyłapanie jednego z pracujących dla nas Rosjan jest tylko kwestią czasu, sami go odślanialiśmy. Nawet ujawniliśmy kilka naszych operacji, o których było wiadomo, że i tak są spisane na straty; takich jak Zatoka Świń i kilka akcji w Wietnamie czy nasze dostawy do Afganistanu, gdy stało się jasne, że Rosjanie mają dość i wynoszą się stamtąd.

- Kiedy wiedzieliśmy, że jakieś nowe pociski czy samoloty, nad którymi pracujemy, mają poważne usterki, dostarczaliśmy im jak najbardziej aktualne informacje. Dawaliśmy im pół roku, by wprowadzili te wady do swoich programów, a potem pozwalaliśmy, by informacje te przedostawały się w ręce naszej prasy. Dzięki temu Rosjanie wierzyli, że informacje nie były spreparowane. Byli przekonani, że po prostu kradli nam wadliwe projekty. Dostawali też rzetelne, dość cenne informacje techniczne, na przykład dotyczące aktualnie używanych systemów obronnych, które miały zostać poddane generalnej modyfikacji czy też w ciągu roku iść na złom, by ustąpić miejsca systemom nowej generacji. Takie rzeczy, pozornie niebezpieczne, były mniej podejrzane niż próby świadomego wprowadzania ich w błąd. Co więcej, dawaliśmy im nawet dobry towar - systemy naprowadzania i udoskonalenia wprowadzone w technologii radarowej; wiedzieliśmy, jak się przeciw nim bronić i znaleźliśmy ich słabe punkty. Pozwalaliśmy im kraść technologię komputerową z wirusami w jednostkach centralnych, które mogliśmy zdalnie

uaktywnić. Pamiętasz pokazy Air Show w Paryżu, gdy próbowali zaprezentować swój nowy naddźwiękowy samolot pasażerski Tu - 144, „Concordski”? Rozwalił się na podejściu do lądowania. Rosjanie wyszli na bandę niekompetentnych durniów, którzy nawet nie potrafią skopiować tego, co ukradli. W końcu przypisali to błędowi pilota, ale my wiemy, że nie to było przyczyną katastrofy.

- Mogę tak wyliczać bez końca, Jack. Przez cały czas orientowaliśmy się, co Rosjanie wiedzą, a czego nie, i na czym koncentrują swoje wysiłki. Ale najważniejsze znaczenie operacji WĘDKA polega na tym, że bycie ona jednym z głównych powodów rozkładu i ostatecznego załamania Związku Radzieckiego.

Brannigan częściowo doceniał ironię tego, co właśnie usłyszał i rozumiał daleko idące implikacje, ale to nie ostudziło jego gniewu. Wściekał się, że kierował operacją, a nie powiedziano mu o prawdziwym celu polowania na Strassera. Przeanalizował wypadki minionych kilku dni i był wstrząśnięty, ponieważ wydarzyły się one za zgodą siedzących tu z nim ludzi.

- Mogłeś zapobiec śmierci Philipa Bancrofta - zwrócił się oskarżycielskim tonem do Sinclaira. - Musiałeś wiedzieć, że będzie on jednym z celów Strassera.

- A jak mieliśmy to zrobić bez zdekonspirowania najważniejszej operacji kontrwywiadowczej, jaką kiedykolwiek prowadziła Firma? Pomyśl o tym, Jack. Mieliśmy bardzo mało czasu. Oczywiście, poświęciliśmy kilku ludzi, ale to tylko jedna strona medalu. Próba ich uratowania, a w efekcie naprowadzenie Rosjan na odkrycie tego, że od czterdziestu siedmiu lat wodzimy ich za nos, mogłaby zniszczyć całe dziesięciolecie pracy.

- Jeżeli kierowałeś Bancroftem, musiałeś mieć opracowane dyskretne sposoby komunikowania się z nim. Mogłeś zaaranżować coś, co nie wzbudziłoby niczyich podejrzeń, a jego utrzymałoby poza zasięgiem Strassera.

- Kiedy stało się jasne, że Strasserowi chodzi tylko o obrazy, wiedzieliśmy, że szkody, jakie wyrządzi, będą ograniczone. Każda

próba powstrzymania go mogłaby z łatwością wzbudzić podejrzliwość Rosjan. Zaczęliby przypuszczać, że posiadamy informacje, które mogły pochodzić tylko z jednego źródła - z Listy Göringa. Wiedzieli, że szukaliśmy ich pod koniec drugiej wojny światowej. Przez minione czterdzieści lat podejmowaliśmy wysiłki, by ich przekonać, że nadal szukamy tych dokumentów. Po drugim morderstwie w Nowym Jorku zrozumieliśmy, co się dzieje. Zdecydowaliśmy, że jeżeli zignorujemy zaistniałą sytuację, Rosjanie zaczną się zastanawiać dlaczego. Naszym zadaniem stało się przekonanie ich, że podejrzewamy, iż upragniona kopia wypłynęła na światło dzienne, i że próbujemy ją zdobyć, ale w rzeczywistości musimy pozwolić, by to oni ją przechwycili.

- No to dlaczego, na miłość boską, kazaliście wciągnąć w to Semkę?

- Sam mówiłeś, że to najlepszy człowiek do takiej roboty. Chciałem, aby Rosjanie uwierzyli, że zajmujemy się tym na poważnie. I jeżeli w swoich archiwach mają jakieś informacje o Semce - a mamy podstawy sądzić, że tak jest - jego obecność stała się bardzo przekonująca.

- Uczepiłeś się jednej cholernej szansy - warknął Brannigan. - Nie masz żadnych gwarancji, że on nie zdobędzie akt i nie spali całej operacji.

- Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli będziemy kontrolować wszystkie dostarczane mu informacje. Chciałem trzymać go w bezpiecznej odległości, ale na tyle blisko Stresser, by Rosjanie byli przekonani, że bierzemy udział w grze. Nie mogłem przecież przewidzieć, że Mossad dowie się o prowadzonej przez Rosjan obserwacji domu Bancrofta i że w konsekwencji Semko znajdzie się znacznie bliżej, niż zamierzałem. Muszę przyznać, mieliśmy niezłego stracha.

- A to dzisiejsze spotkanie w piwiarni?

- Mieliśmy tam ludzi, których zadaniem było przeszkodzenie mu w podejmowanych działaniach.

- No cóż, teraz masz na głowie kolejny nie kontrolowany

czynnik. Numer, jaki zrobiłeś z izraelskim zespołem, przekonał ich, że połączone polowanie na Strassera nie było niczym więcej, jak tylko fasadą.

- To, co teraz zrobią, nie ma już żadnego znaczenia. Kiedy ten Anglik skontaktował się ze swym agencyjnym prowadzącym i powiedział, co się stało, zrozumieliśmy, że Strasser będzie negocjował bezpośrednio z Rosjanami. Postanowiłem, że pokażemy się po raz ostatni w Monachium, a potem niech rzeczy toczą się własnym torem. Teraz pozostało nam jedynie zadbać o to, by Izraelczycy nie zdobyli akt przed Rosjanami, a to już sam kontroluję.

- Zatem pozwól, niech cię oświecę, czego nie masz pod kontrolą: Mike'a Semki.

- Dlatego powiedz mu, żeby się wycofał, że sprawą zajmie się baza we Frankfurcie. Wydałem rozkaz, by dawali się zauważyć, ale nie robili nic poza tym.

- Możemy mieć z tym problem. Semko nie jest z tych, których można odstawić bez podania cholernie dobrych powodów.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie masz kontroli nad jednym ze swoich ludzi? Że on nie wykona rozkazów?

- To nie takie proste. Wycofa się z misji bez pytania, ale odwołanie go z polowania na Strassera, kiedy jest przekonany, że ma szansę go dopaść, jest całkowicie inną kwestią. Znam tego człowieka, jest moim przyjacielem i jednym z najbardziej lojalnych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem. Strasser w Dusseldorfie zabił komandosa z oddziału Delta, który w Wietnamie uratował mu życie. Od tej pory Semko łoży na utrzymanie i kształcenie jego dzieciaków. Dla niego śmierć jest końcem życia, ale nie przyjaźni; on nie zapomina o swoich przyjaciółach i nie spocznie, póki nie dopadnie Strassera. To jedyny powód, dla którego zgodził się przyjąć pracę w Firmie.

- Skoro jest twoim przyjacielem, to, nie wspominając o operacji WĘDKA, daj mu do zrozumienia, że odmowa wykonania rozkazu nie leży w jego interesie.

- Nie mogę niczego zagwarantować, jeżeli nie powiem mu, jak ważne jest to, żeby Rosjanie przejęli te akta.

- Powtarzam jeszcze raz: Semko nie może dowiedzieć się niczego o operacji WĘDKA ani nawet o tym, że chcemy, by Rosjanie odnieśli sukces. I jeżeli ty go nie odwołasz, to ja sam to zrobię.

Brannigan znów wybuchnął.

- Zrobiłeś wszystko, by narazić go na niebezpieczeństwo, a teraz każesz mi to odkręcać!

- Chodzi mi jedynie o poddanie go obserwacji - wycofał się szybko dyrektor. Nie chciał dalej denerwować DDO. - Możemy po prostu trzymać go z dala od Strassera, dopóki Rosjanie nie zdobędą akt. Oni i tak zabiją tego sukinsyna, więc Semko nie będzie musiał się mieszać.

- Niedługo ma się ze mną skontaktować - powiedział Brannigan.

- Zrobię, co będę mógł.

Sinclair opuścił centrum operacyjne. Palmer, który przez cały czas siedział cicho i pozwalał dyrektorowi mówić, teraz przeprosił Brannigana za to, że został wprowadzony w błąd.

DDO błędził myślami zupełnie gdzie indziej - wspominał operację, którą Semko kierował pod koniec wojny w Wietnamie. Drugiego dnia misji, której celem było porwanie generała Armii Północnego Wietnamu (NVA), Semko dwa razy o wyznaczonej porze nie nawiązał kontaktu radiowego. Kiedy po trzech kolejnych dniach nie dał znaku życia, powszechnie przyjęto, że on i pięciu ludzi z plemienia Nung, którzy razem z nim zostali zrzućeni na spadochronach na terytorium wroga, zostali odkryci. Jedenaście dni później Semko, spisany na straty przez kolegów, po graniczącym z cudem wymknięciu się tropiącemu go batalionowi NVA, wyszedł z dżungli; przed jego kompletnym zespołem maszerował północnowietnamski generał z pistoletem przyłożonym do potylicy.

Brannigan uśmiechnął się na to wspomnienie. Sinclair nigdy nie był w terenie. Przyszedł do Firmy z za biurka wywiadu Marynarki, by spędzić następne dwadzieścia lat za kolejnym biurkiem

analitycznego wydziału Firmy. Później został awansowany na dyrektora. Nie miał żadnych podstaw, żeby zrozumieć pasję kierującą kimś takim jak Mike Semko, człowiek, którego zawsze było trudno prowadzić i który nie był przyzwyczajony do lekceważenia.

Wszystko to sprawiło, że Brannigan, podnosząc słuchawkę telefonu, czuł się wobec Mike'a jak zdrajca.

- O czym ty mówisz? Wycofać się? - zapytał Semko. - Przecież masz kogoś, kto pilnuje Rosjanina z piwiarni, prawda? Nie zakończyli interesów. Musi odbyć się jeszcze jedno spotkanie. Po prostu daj mi znać kiedy, albo powiedz, gdzie mogę znaleźć Rosjanina, sam go wezmę pod obserwację.

- Masz się wycofać, Mike.

- Śmiało, Jack. O co chodzi? Straciłeś do mnie zaufanie? Ciągle mogę przygwoździć tego sukinsyna. Wiesz, że tak jest. Gdyby nie to, że jakiś palant oskarżył mnie o polanie go piwem, już bym go miał, żywego.

Brannigan zastanowił się, czy nie powiedzieć, że incydent z piwoszem nie był przypadkowy, ale wiedział, że to pociągnęłoby za sobą dalsze pytania, na które nie wolno mu było udzielić odpowiedzi.

- Przykro mi, Mike. Sytuacja uległa zmianie. To wszystko, co mogę ci powiedzieć.

- Pieprzenie. Nic mi nie powiedziałaś.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by naprowadzić cię później na trop Strassera, ale teraz musisz spasować.

- Strasser zniknie i nie wypłynie, póki znów nie zabije kilku niewinnych ludzi.

- Będziesz jeszcze miał okazję go dorwać; dam ci słowo. Ale nie teraz. Wiesz, jak to działa, Mike. Przechodziliśmy przez to wcześniej. Przypomnij sobie misję w Laosie, przełącz Mu Gia.

- Tak, pamiętam. Straciłem trzech cholernie dobrych ludzi w tej głównianej operacji. I po co? Po nic. Znaleźliśmy ciężarówki i cały

pułk NVA, a wtedy okazało się, że dowództwo nie mogło wysłać samolotów, o które prosiłem, bo w ciągu tych czterech dni, jakie zabrało znalezienie tego cholernego miejsca, Waszyngton odwołał bombardowanie.

- Teraz mamy sytuację tego samego rodzaju.

- Nie całkiem, Jack. Muszę dotrzymać obietnicy.

- Na miłość boską, zechciej mnie wysłuchać. Oni zrobią wszystko, by cię powstrzymać, jeżeli mnie się to nie uda, a ja nie będę mógł im przeszkodzić.

- Oni! Kurwa mać, kim oni są? Zresztą, zapomnij o tym. Wycofam się. Nie masz wyboru, prawda? Brannigan nic nie powiedział.

- Słuchaj, ułatwię ci to. Zaraz po tej rozmowie składam rezygnację. I co do pierwotnego celu misji, wyłączam się. Ale nie zrezygnuję ze Strassera. Zbyt długo polowałem na tę szumowinę, by teraz się poddać. I nic do ciebie nie mam, Jack. Jak powiedziałeś, wiem, jak to działa. Do zobaczenia.

- Cholera, Mike, nie możesz... - Ale na drugim końcu linii zapadła cisza.

Rachela ze swego miejsca w holu hotelu „Hilton” nie słyszała ani słowa z ożywionej rozmowy, ale wyraz twarzy Semki, gdy wyszedł z kabiny telefonicznej, powiedział jej, że sprawy idą źle.

- Chcę, żebyś była ze mną szczerą. - Semko usiadł obok niej na kanapie.

- Tak samo jak ty byłeś szczery ze mną? - zapytała prawie bez namysłu.

- Domyśliłaś się, prawda?

- Tego i wielu innych rzeczy - odparła Rachela, lecz powstrzymała się od wyjawienia, czego dowiedziała się od Ben - Davida na temat dokumentów z czasów drugiej wojny światowej.

- No cóż, wygląda na to, że miałaś rację także w czymś innym - wtedy, gdy mówiłaś o zbyt wielu błędach popełnianych przez ludzi z Firmy.

- Nie byłam pewna, póki nie zobaczyłam, jak ten człowiek w piwiarni sam wylał sobie piwo na koszulę, a potem zrzucił winę na ciebie. Ten incydent był zainscenizowany. Później, gdy powaliłeś go na ziemię, podniósł się, kiwnął na drugiego przy pagodzie i razem zniknęli w tłumie.

- Pasuje. Słuchaj, nie wiem, o co chodzi, ale nie dałbym za to wszystko złamanego centa. Dawno temu poddałem się i już nie próbuję zrozumieć tych układów. Przyznaję, nie byłem z tobą szczery, nie powiedziałem ci o prawdziwym celu misji. Nadal nie mogę tego zdradzić. Ale daję ci słowo: to, czego ci nie powiedziałem, nie narażało cię na większe niebezpieczeństwo od tego, w jakim już byłaś. Lecz teraz to należy do przeszłości. Zostałem wyłączony z akcji. Zawsze polowałem na Strassera i nadal będę polował. Tak samo jak ty. A teraz jestem w lepszej sytuacji - mogę skorzystać z twojej pomocy.

Rachela, w świetle tego, co powiedział jej Ben - David wierzyła, że Semko mówi prawdę. Musiała wszakże być lojalna wobec Mossadu; chociaż Semko sugerował, że nie będzie próbował zdobyć dokumentów, nie miało to wpływu na decyzje Izraela. Ciągle ciekawiło ją, dlaczego CIA świadomie rzuca kłody pod nogi człowiekowi, którego wysłano w celu wykonania ich własnej misji. Podejrzewała, że był to po prostu kolejny tajny program, w który Semko nie został wtajemniczony. Ale nadal chciała wykonać rozkazy, które dostała, czyli wyeliminować Jürgena Strassera i, o ile to będzie możliwe, zdobyć dokumenty, więc dalsza współpraca z Semką mogła okazać się korzystna.

- Co masz na myśli? - zapytała.

- Czy twoi ludzie śledzili Rosjanina, który pokazał się na dzisiejszym spotkaniu?

- Nie wiem, lecz zapewniam cię, że po tym, co spotkało ich w piwiarni, nie podejda do współpracy z tobą ze zbytnim entuzjazmem.

- Jesteś więc za czy przeciw? Rachela zawahała się.

- Za. Moim zadaniem zawsze było to, aby dopaść Jürgena

Strassera. Nie otrzymałam żadnych rozkazów odwołujących.

- Zatem pozwól mi porozmawiać ze swoim zespołem.

- Wątpię, czy to przyniesie coś dobrego.

- Nie zaszkodzi spróbować. Nawiasem mówiąc, tylko to mi pozostało.

- To - i ja - powiedziała z przekornym uśmiechem Rachel.

- Nadal chciałbym usłyszeć uczciwą odpowiedź na pytanie, gdzie, do diabła, nauczyłaś się tak strzelać.

- Może pewnego dnia ci powiem.

- Specjalistka od historii sztuki, też coś - skwitował Semko, gdy wychodzili z hotelu.

Była to niezbyt przyjemna dzielnica Monachium. Zamieszкана przez prostytutki, handlarzy narkotyków, narkomanów, pijaków, gastarbeiterów; jej ulice, zaułki, domy czynszowe i bary stanowiły ciemną stronę pomyślnie rozwijającego się miasta.

Późnym popołudniem atrakcyjna młoda kobieta wysiadła z taksówki dwie przecznice od swego celu i ruszyła brudną ulicą. Miała na sobie džinsy, drogą zamszową kurtkę i wyglądała na delikatną osobę - nie pasowała do tej dzielnicy. Jednakże ten, kto oceniałby ją jedynie po wyglądzie, myliłby się bardzo, ponieważ była daleko bardziej niebezpieczna niż większość tych, którzy chcieliby na nią zapolować. Od ośmiu lat znana była niemieckiej policji i międzynarodowym organizacjom antyterrorystycznym jako Erica Hohner vel Inge Wendel vel Gretchen Zimmerman vel Martene Stiner, lub też pod wieloma innymi nazwiskami. Urodziła się jako Erica Hohner dwadzieścia dziewięć lat temu w szacownej i bogatej rodzinie w Stuttgarcie. Kiedy miała piętnaście lat, zaimponowała jej działalność Baader Meinhof, grupy, która wypowiedziała wojnę społeczeństwu i założyła coś, co ostatecznie stało się Frakcją Armii Czerwonej.

Jej obecnym idolem i mentorem był Jürgen Strasser, którego poznała w czasie, gdy krótko po skończeniu szkoły średniej przywódca jej komórki RAF wysłał ją do bazy terrorystycznej w

Niemczech Wschodnich, gdzie była poddana szkoleniu i indoktrynacji. Teraz, gdy skręciła za róg i skierowała się ku małej pakistańskiej restauracji w głębi dzielnicy, wykonywała rozkazy Strassera.

Erica i jej czterej koledzy po opuszczeniu piwiarni rozdzielili się, by uniknąć ewentualnego ogona. Przed wyjazdem do bazy operacyjnej leżącej na południe od Baden - Baden, w której mieli spotkać się ze Strasserem, wyznaczyli sobie restaurację jako punkt zborny. Erica nie wiedziała jeszcze, że Rachela Sidrane zastrzeliła jej trzech kolegów. Nie zdawała sobie również sprawy, że przecnicę za jej taksówką do krawężnika podjechał inny wóz.

Dwóm członkom zespołu Racheli udało się umknąć funkcjonariuszom CIA, którzy wcześniej tego dnia uwięzili ich kolegów w furgonetce. Zadaniem ich i czterech miejscowych agentów było obserwowanie otoczenia piwiarni. Usłyszeli krzyki i wrzaski piwoszy, ruszyli więc w tamtą stronę. Jeden z nich zobaczył i rozpoznał Erikę Hohner, która wyszła z lasu i wmieszała się w tłum na terenie Englischer Garten. Celem Mossadu było nie tylko wyeliminowanie Strassera, lecz także wszystkich, którzy należeli do jego ugrupowania i - jak Erica - brali udział w zamachu na synagogę w Amsterdamie. Człowiek, który zauważył terrorystkę, zaczął ją śledzić. W czasie, gdy wstąpiła na kawę na Marienplatz, nawiązał kontakt z agentami, którzy tymczasem zostali uwolnieni z furgonetki i wezwał ich do pomocy.

Erica Hohner wysiadła z taksówki. Wtedy na ulicy pojawił się drugi samochód agentów Mossadu. Ludzie z pierwszego wozu zameldowali przez radio, że terrorystka skręciła w boczną uliczkę. Drugi samochód pojechał do skrzyżowania, okrążył kwartał i pojawił się z drugiej strony w chwili, gdy dochodziła do restauracji. Hałas grającej szafy dobiegający z otwartych drzwi znajdującego się naprzeciwko baru, zamaskował warkot podjeżdżającego auta. Erica stała odwrócona tyłem i była kompletnie zaskoczona, gdy z samochodu wyskoczyli dwaj mężczyźni. Szybko unieruchomili jej ręce, poderwali ją w górę, zanieśli do wozu, rzucili na podłogę i

wsiadli w chwili, gdy kierowca ruszał.

Jeden z nich ogłuszył ją uderzeniem rękojeści noża w podstawę czaszki. Drugi przeszukał ją i wyjął z torebki dziewięćdziesięciomilimetrowy pistolet, a z kabury na łydce lewej nogi mały rewolwer. Porwanie w biały dzień trwało mniej niż dziesięć sekund. Kilku narkomanów leżących w pobliżu wejścia przyglądało się całej scenie obojętnym wzrokiem, a dwie dziwki stojące na rogu uciekły w wielkim pośpiechu. Była to okolica, w której przypadkowe akty gwałtu, pijackie burdy i napady były na porządku dziennym, i w której nikt nigdy nie wzywał pomocy.

Dwupiętrowy ceglany budynek na przedmieściu Monachium stał na dużej, narożnej parceli, osłoniętej gęstymi iglastymi drzewami. Należał do „pomocnika” Mossadu, miejscowego przedsiębiorcy budowlanego. Semko zatrzymał wynajęty samochód na podjeździe i podszedł za Rachelą do drzwi na tyłach budynku. Przy wejściu spotkali Rubina Weissmana, niskiego dobrze zbudowanego mężczyznę, który na widok Semki obrzucił Rachelę pełnym dezaprobaty spojrzeniem. Usunął się na bok, by pozwolić im wejść do czyścca.

- Dlaczego go tu przyprowadziłaś?

- Bo ją o to prosiłem - powiedział Semko.

- Wysłuchaj go - wtrąciła Rachelą.

- Nie interesuje mnie, co on ma do powiedzenia.

- Chcesz Strassera, prawda? - spytał Semko.

- I będziemy go mieć. Bez twojej pomocy.

- Nie mam nic wspólnego z tym, co się stało w piwiarni.

- To ty tak uważasz.

- Firma mnie zdekonspirowała, a potem odsunęła od operacji, ale ja wciąż chcę dorwać Strassera.

Weissman zwrócił uwagę na drugiego agenta Mossadu, który wyszedł frontowymi drzwiami, gdy Semko i Rachelą wchodzili do domu. Teraz człowiek ten wrócił i wchodząc do kuchni skinął do Weissmana. W rękach trzymał przenośny radiowy transponder -

detektor - lokator.

- On nam kogoś tu sprowadzi - Weissman zwrócił się do Racheli.

- Nikt nas nie śledził - zaprotestował Semko. - Jestem pewien.

- W twoim samochodzie jest urządzenie naprowadzające. Dzięki niemu można być śledzonym z odległości siedmiu kilometrów.

- To prawdopodobnie moi ludzie - powiedział Semko. - Czy to ci nic nie mówi?

- Tak. Że nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Racheli odciągnęła Weissmana na bok i zabrała go do sąsiedniego pokoju na rozmowę.

- Po tym, co się stało w piwiarni powiedziałabym, że to całkiem jasne, iż musieli cię śledzić, skoro do tego doszło. A jego śledzą, by uniemożliwić mu dopadnięcie Strassera. Oznacza to, że wszyscy mamy ten sam problem. I niezależnie od twych podejrzeń wierzę, że Semce można zaufać.

- Ja nie.

- Chcę, żebyś pomógł nam się wyrwać.

- Dlaczego?

- CIA ma dużo więcej ludzi niż my. Nie urwiemy się im wszyscy, ale dzięki twojej pomocy mnie i Semce może się to udać.

- Nie zamierzam znów narażać cię na niebezpieczeństwo, i to jeszcze z wolnym strzelcem, kimś takim jak on.

- Zapominasz, że to moje zadanie. Dopóki Ben - David nie powie niczego innego, ja tu decyduję, a ty jesteś zobowiązany udzielić mi pomocy. I twierdzę, że nadal możemy dorwać Strassera, a przy odrobinie szczęścia również i dokumenty.

- Powiedziano mi, że nie bierzesz udziału w żadnych akcjach skierowanych przeciwko Stanom Zjednoczonym.

- To prawda. Ale ta operacja skierowana jest przeciwko Strasserowi. CIA sprowadziła nas do pomocy, więc zamierzam im pomóc. Jeżeli zdobędę dokumenty, podzielimy się nimi. Jeżeli złapię Strassera, wtedy osiągniemy pierwotny cel. Moim zdaniem nadal jest to połączona operacja.

- Teoretycznie. Jestem przeciwny.

- Świetnie, przedstawiłeś swój punkt widzenia. A teraz powiedz

mi, czy jacyś lokalni agenci lub pomocnicy obserwowali Rosjanina, z którym spotkał się Strasser?

- Nie. Ale mamy coś dużo lepszego. Erikę Hohner.

- Gdzie? - Zdziwienie Racheli było zupełnie szczere.

- W suterenie.

- Co wam powiedziała?

- Jeszcze nic. Zaczęliśmy ją przesłuchiwać dopiero przed godziną.

- Jeżeli wie coś, co może nas doprowadzić do Strassera, to on zmieni plany, gdy ona się nie pojawi.

- Pomyśleliśmy o tym. - Weissman uśmiechnął się. - Mamy wysoko postawionych przyjaciół w prasie i policji. Zgodzili się powiedzieć, że Erica została zastrzelona podczas próby ucieczki z parku. Taka wersja już została przedstawiona w wiadomościach telewizyjnych. Zadbaliśmy, by je obejrzała.

Rachela milczała przez chwilę, przypominając sobie dane biograficzne i charakterystykę psychologiczną Eriki Hohner, z którymi się zaznajomiła, gdy sprawdzano dane o aktualnych członkach Frakcji Armii Czerwonej.

- Jak się trzyma?

- Nie mamy czasu na narkotyki, więc postanowiliśmy iść na całość. Problem w tym, że ciągle mdleje.

- To, co czytałam na jej temat, wskazuje, że nie jest zbyt bystra, ani też wytrzymała na ból. Jeżeli przyciśniemy ją zbyt mocno, pęknie i nie będziemy mogli ufać niczemu, co powie.

- Masz lepszy pomysł?

- Prawdę mówiąc - mam.

Rachela wróciła do kuchni i powiedziała Semce o Ericie Hohner. Jej nazwisko było mu dobrze znane z informacji na temat członków RAF, jakie od spotkania w Dusseldorfie gromadzono w oddziale Delta i antyterrorystycznej sekcji CIA.

- Co myślisz o zagranju przed nią scenki dobry glina - zły glina?

- Czy ja miałbym być tym złym?

- Nie. Ja - stwierdziła Rachela i przez dwadzieścia minut

tłumaczyła Semce, jaki ma plan.

Weissman niechętnie przystał na pomysł Racheli. Rozkazał, by dwaj prowadzący przesłuchanie opuścili suterенę po wejściu Semki.

Erica Hohner siedziała na drewnianym krześle na środku wilgotnego, pozbawionego okien pomieszczenia. Z sufitu zwieszała się goła żarówka. Jej ostre światło padało na bielone wapnem ściany. Kostki Eriki przywiązano do nóg krzesła, a ręce do poręczy. Dziewczyna była ubrana jedynie w skąpe majtki bikini, lecz mimo niskiej temperatury jej ciało zlewał pot. Na oczach miała przepaskę uniemożliwiającą obserwowanie dręczycieli, kręciła więc głowę w prawą i lewo by ustalić, czy zostawili ją samą. Zesztywniała na dźwięk kroków i wyczuła, że ktoś zatrzymał się na wprost niej.

Semko zerknął na zamontowaną w rogu kamerę wideo i na stojący obok krzesła mały polowy telefon na korbkę. Aparat został przysposobiony do wysyłania prądu elektrycznego przez parę przewodów z krokodylkami, zaciśniętymi na sutkach Eriki. Z kącików ust terrorystki spływała krew; był to rezultat przygryzania języka na skutek wstrząsów elektrycznych. Pod wpływem straszliwego bólu mimowolnie oddała mocz i zapach z kałuży, która zebrała się pod krzesłem, przenikał duszne powietrze.

Semko zdjął jej opaskę. W oczach dziewczyny odnalazł mieszaninę strachu i nienawiści. Przez chwilę było mu jej żal, ale przypomniał sobie, co powiedziała Rachel: to ona - poza popełnieniem innych przestępstw - osobiście podłożyła bombę w amsterdamskiej synagodze i przyczyniła się do masakry osiemnastu osób.

- Rozebrali cię do majtek, by dodatkowo cię poniżyć - powiedział przyjaznym, prawie przepraszającym tonem. - Przepaska na oczach pogłębia uczucie strachu; ludzie są bardziej przerażeni, gdy nie mogą brać w czymś udziału lub przygotować się na coś, co ma nastąpić.

- Kim jesteś? - Jej głos był cichy, ale nadal rozpoznawał w nim upór.

- To trochę zaboli. - Semko skrzywił się, odpinając krokodylki z jej piersi.

- Nie jesteś jednym z nich. Mówisz jak Amerykanin.

- Jestem Amerykaninem. Nazywam się Mike Semko. Pracuję w Centralnej Agencji Wywiadowczej. Przykro mi, że musiałaś przez to przejść.

- Czego chcesz? - ton głosu wyrażał ulgę, lecz brakowało w nim wdzięczności.

- Chcę Jürgena Strassera.

- Powiedziałaś tym Żydom, że nie znam nikogo o takim nazwisku. - Zaledwie godzinę temu, gdy zaczęto ją przesłuchiwać, było to prawdą; znała Strassera tylko jako Dietera.

- Nie jestem twoim wrogiem. Mogę cię z tego wyciągnąć, ale musisz ze mną współpracować.

- Ja nic nie wiem.

Semko podszedł do stołu, na którym leżało ubranie Eriki. Zabrał bluzę i zarzucił jej na ramiona, by okryć nagie piersi. Jego postępowanie było wynikiem wcześniejszych instrukcji Racheli.

- Czy masz pojęcie, co ci ludzie z tobą zrobią, jeżeli nie dostaną tego, czego chcą? A nawet jeżeli dostaną?

- Nie obchodzi mnie to.

- Będzie cię obchodziło. Wierz mi. I bez względu na to, za jak silną się uważasz, w końcu powiesz im wszystko. Są dobrzy w tym, co robią. I mają bardzo dużo czasu.

Erica odwróciła wzrok i milczała, lecz drżenie, które przebiegło przez jej ciało, świadczyło o tym, że jego słowa wywarły pożądany efekt.

- Zrozum, jeżeli nie będziesz mi posłuszna, mam rozkaz oddać cię z powrotem w ich ręce. A jeśli ja nie dopadnę Strassera, to zrobią to oni. On jest już martwy, nieważne, jak na to patrzeć. A jeżeli chodzi o ciebie, to dla niego i reszty organizacji ty jesteś martwa. Więc co masz do stracenia? Powiedz mi, jak go znaleźć; wyciągnę cię stąd i wyślę tam, gdzie będziesz mogła zacząć nowe życie pod nowym nazwiskiem. Jak mówiłem, w końcu i tak im

wszystko powiesz, a chyba nie jesteś na tyle głupia, by wierzyć, że potem darują ci życie.

Erica szukała wzrokiem oczu Semki. Rachela, obserwująca ją na monitorze w sąsiednim pomieszczeniu, zrozumiała, że zrozpaczona dziewczyna zaczyna go akceptować jako kogoś, komu może zaufać. Wpadła do pokoju przesłuchań.

- Wynoś się! - wrzasnęła na Semkę.

- Jeszcze nie skończyłem z nią rozmawiać.

- Wynoś się! Natychmiast! - Rachela podeszła do telefonu i podniosła krokodylki, potem zerwała bluzę z ramion Eriki i rzuciła ją na podłogę.

Erika skuliła się na jej widok. Rachela dobrze odegrała swoją rolę. Patrzyła w oczy terrorystki z nienawiścią, na jaką było ją tylko stać.

Semko wyrwał przewody z ręki Racheli i stanął między nią a Eriką.

- To mój więzień. Powiedzieliśmy wam, gdzie ją znaleźć i uzgodniliśmy, że to my będziemy ją przesłuchiwać.

- Miałeś okazję. Teraz my zajmiemy się nią po swojemu.

- Chcesz wojny z CIA? Ja zadzwonię do mego szefa, on zadzwoni do twojego szefa i twoja lesbijska dupa wieczorem znajdzie się w drodze do Izraela. Idź do diabła i daj mi skończyć.

- Dziesięć minut. To wszystko. Jeżeli przez ten czas nie powie ci, gdzie jest Strasser, będzie moja. - Rachela wypadła z pokoju, trzaskając drzwiami.

- Nie mamy dużo czasu - powiedział Semko z wyrazem głębokiego niepokoju na twarzy. Podniósł bluzę i otulił ramiona Eriki. - Mojemu rządowi na tobie nie zależy; Izraelczycy patrzą na wszystko w inny sposób. Myślą, że zabiłaś wielu ich ludzi. Za coś takiego odpłacają taką samą monetą. Więc jak będzie? Ja czy oni?

Erika zgarbiła plecy i opuściła głowę na piersi. Zmiana w jej wyzywającej postawie oraz zagubiony i przestraszony wyraz twarzy powiedziały Semce, że przestraszyła się groźby wznowienia tortur.

- Muszę znać odpowiedź.
- Pozwolą mi odejść z tobą? - odezwała się w końcu i Semko wiedział, że wygrał.

- Nie będą mieli wyboru. To nasza operacja. Gdzie jest Strasser?

- Która godzina?

Semko zerknął na zegarek.

- Parę minut po szóstej.

- Nie wiem, gdzie jest teraz, ale wiem, gdzie będzie za kilka godzin. W naszej bazie operacyjnej.

- Gdzie ona leży?

- Znasz Szwarcwald?

- Słabo. - Semko rozwiązał więzy na jej rękach i nogach, a potem wyjął z kieszeni wiatrówki mapę Niemiec. - Pokaż.

Dziewczyna z trudem utrzymywała równowagę, więc pomógł jej podejść do stołu, na którym rozłożył mapę. Pomasowała zdrętwiałe palce i wskazała położenie bazy w południowo - zachodniej części Niemiec.

- To w centralnej części Szwarzwaldu, pięćdziesiąt pięć kilometrów na południe od Baden - Baden. Dokładnie dwa i pół kilometra na południe od Baiersbronn, na prawo od szosy numer sześćdziesiąt dwa, zobaczysz nie zaznaczoną na mapie żwirową drogę. Prowadzi ona przez las u podnóża gór. Po przejechaniu trzech kilometrów i sześciuset metrów znajdziesz następną gruntową drogę w lewo. Jedź nią do rozjazdu i skreć w lewo. Dokładnie dwa kilometry i siedemset metrów od rozwidlenia drogę zamyka mała farma. To nasza baza operacyjna.

- Scharakteryzuj okolicę.

- Dolina otoczona wzgórzami. Są tam pola i pastwiska teraz zarośnięte wysoką trawą. Reszta terenu jest zalesiona.

- Ile budynków?

- Dom, stodoła i dwie przybudówki, które kiedyś służyły jako szopy do przechowywania narzędzi.

- Sąsiedzi?

- Żadnych na tyle blisko, by słyszeli strzały, gdy strzelamy do

celu. To odizolowane miejsce. Większa część otaczającego terenu jest chroniona przez rząd, w Ameryce nazywacie to parkiem narodowym. Właśnie z tego powodu Dieter wybrał tę farmę.

- Ile osób tam jest?

Erika zawahała się.

- Powiedziałaś mi, gdzie go znaleźć.

- Muszę wiedzieć, czego się spodziewać, gdy tam pojedę. Ilu ludzi?

- Jedenastu... nie, ośmiu - poprawiła się, bo przypomniała sobie dziennik, z którego dowiedziała się o śmierci trzech kolegów w piwiarni. - Będzie ich ośmiu i Dieter.

- Uzbrojenie?

Erika ponownie się zawahała, ale westchnęła z rezygnacją i odpowiedziała.

- Broń maszynowa, dwie czy trzy ręczne wyrzutnie rakietowe i broń krótka.

- Granaty?

- Nie. Plastik, detonatory i zapalniki czasowe w pomieszczeniu w stodole, gdzie konstruujemy bomby, ale niczego, co mogłoby służyć do obrony w wypadku ataku.

- Co Strasser zamierza tam robić?

- Zakończyć interes z Rosjanami. Przywiozą mu broń chemiczną, stanowi to część zawartej umowy. Ma coś, co bardzo chcą mieć; co - nie powiedział.

- Kiedy mają przyjechać Rosjanie?

- Jutro. Przed południem.

- Dobrze - powiedział Semko. - Doceniam twoją pomoc.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i weszło dwóch agentów, którzy ją wcześniej przesłuchiwali. Złapali ją i zaciągnęli z powrotem na krzesło, posadzili i przytrzymali.

- Co robicie? - krzyknęła. Jej oczy błagały Semkę, który stał i patrzył, jak jeden z mężczyzn zrzucił bluzę na podłogę. - Obiecałeś, że mnie zabierzesz, jeżeli będę z tobą współpracować.

- Kłamałem.

Erika wrzasnęła i zaczęła się szamotać, daremnie próbując uwolnić się z uścisku silnych rąk. Przechyliła się i splunęła na Semkę, gdy odwracał się do wyjścia.

- Ty skurwysynu! Ty zakłamany skurwysynu!

- Bywałem nazywany gorzej - rzucił Semko i zatrzasnął za sobą drzwi.

Przyłączył się do Racheli, stojącej obok monitora wideo, i obserwował, jak jeden z mężczyzn wbił w ramię Eriki igłę z zastrzykiem podskórnym. Terrorystka w ciągu kilku sekund stała się spokojna i uległa.

- Teraz już mają czas na użycie narkotyków - powiedziała Rachela. - Nie dadzą jej spokoju, póki nie powie wszystkiego, co wie o RAF i poplecznikach ugrupowania.

- A co potem?

- Zostanie przewieziona do Izraela i oskarżona o podłożenie bomby w Amsterdamie. Jeżeli sąd uzna, że jest winna, zostanie stracona.

- Dobrze się spisałem, prawda?

- Byłeś bardzo dobry, bardzo przekonujący. - Rachela z rozbawieniem spojrzała Semce prosto w oczy. - Moja lesbijska dupa?

- Zawsze miałem smykałkę do dramatyzowania.

Eksperci od inwigilacji elektronicznej z zespołu stacjonującego przy monachijskiej bazie CIA wprost nie mogli uwierzyć, że Rosjanie nadal będą korzystali z publicznego telefonu znajdującego się o przecnicę od mieszkania Tumanowa. W czasie spotkania w piwiarni założyli podsłuch w pięciu pobliskich aparatach. Ich przezorność opłaciła się, gdyż Leonow zadzwonił do Strassera z jednego z nich.

Amerykanie siedzący w przyczepie ciężarówki załadowanej elektronicznym ekwipunkiem, którą zaparkowano kilka przecnic od mieszkania Tumanowa, nagrali wskazówki Strassera. Terrorysta opisał, jak dojechać do bazy operacyjnej i podał czas spotkania:

między jedenastą a południem następnego dnia. Otrzymali niespodziewaną premię, gdy usłyszeli, że rozmowa prowadzona jest z jednego z pięciu telefonów, w których założyli podsłuch. Dowódca rosyjskiej grupy specjalnej zarządził przyjazd sześciu dodatkowych ludzi z Zossen i polecił, aby spotkali się z nim wieczorem w okolicach Baiersbronn.

Szef bazy monachijskiej był zadowolony z otrzymanych informacji. Oznaczały one, że nie musi śledzić Leonowa, lecz jechać bezpośrednio na miejsce spotkania. Zameldował o wszystkim centrum operacyjnemu w Langley i w odpowiedzi otrzymał instrukcje, które przyprawiły go o rozterkę. Jednakże jako agent terenowy z ponad piętnastoletnim doświadczeniem niejedną raz otrzymywał rozkazy, które pozornie wydawały się sprzeczne z celami misji, zatem i teraz ich nie kwestionował.

Zabrał dwóch ludzi i razem pojechali w okolice bazy Strassera. Za pomocą telefonu satelitarnego skontaktowali się bezpośrednio z Branniganem w centrum operacyjnym. Mieli obserwować miejsce spotkania i meldować, co się tam będzie działo. Zastępca dyrektora do spraw operacyjnych podkreślił, że pod żadnym pozorem nie wolno im podejmować akcji czy w jakikolwiek inny sposób wtrącać się w to, co zajdzie między Strasserem a Rosjanami.

Szef bazy w Monachium miał również dopilnować, by zespół wydzielony z bazy frankfurckiej nadal śledził Mike'a Semkę i towarzyszącą mu kobietę. Ich nastawienie uznano za „nieprzyjazne” dla całej operacji. Na pierwszy znak, świadczący o tym, że dowiedzieli się o miejscu spotkania i skierowali w tamtą stronę, mieli zostać aresztowani i zatrzymani do odwołania.

Rozkazy te nadeszły bezpośrednio od dyrektora. Kiedy szef bazy monachijskiej zapytał, jakie środki wolno im zastosować w przypadku, gdyby Semko i kobieta stawiali opór, powiedziano mu, że zespół z Frankfurtu może zareagować czynnie.

Łokalny agent CIA obserwujący podmiejski czyściec Mossadu zobaczył, jak krótko po zapadnięciu zmroku Semko i Rachela wyjechali z podjazdu srebrnoszarym Audi, które wynajęli na lotnisku w Monachium. Przekazał tę informację dwóm oficerom operacyjnym z bazy agencji we Frankfurcie, czekającym w samochodzie trzy przecznice dalej. Agenci natychmiast podjęli obserwację. Śledzili Audi w drodze do sklepu sportowego, potem do hotelu „Hilton International”. Semko i Rachela weszli do środka. Pojawili się dwadzieścia minut później i wyjechali z miasta. Skierowali się na zachód autostradą E - 11 w stronę Salzburga.

Wcześniej, w czasie gdy Semko dopełniał formalności w biurze agencji wynajmu samochodów, do podwozia Audi przymocowano nadajnik z magnetycznym zaczepem. Automatyczny nadajnik, posiadający w optymalnych warunkach zasięg siedmiu kilometrów, był nie większy niż kostka mydła i emitował pulsujący sygnał radiowy, odbierany przez radionamiernik zamontowany pod deską rozdzielczą śledzącego pojazdu.

- Ciekaw jestem, dokąd jadą - powiedział operator radionamiernika. - Strasser spotka się z Rosjanami gdzieś w Szwarzwaldzie, prawda?

- Prawda. A my mamy rozkaz zatrzymać Semkę i tę kobietę tylko wtedy, gdy będzie jasne, że kierują się w tamtą stronę - odrzekł

kierowca. - Nie obchodzi mnie więc, dokąd jadą, póki zmierzają w przeciwnym kierunku.

Kilka minut później uwagę operatora przyciągnęła zmiana odczytu sygnału.

- Zwolnij. Chyba się zatrzymali.

Kompas na podświetlonym ekranie ciekłokrystalicznego wyświetlacza, z którego można było odczytać położenie i kierunek przemieszczania namierzanego pojazdu, wskazywał odległość około pięciu kilometrów i stały kierunek. Czujnik ruchu informował, że samochód Semki rzeczywiście stoi. Graficzny wskaźnik przesunął się do końca skali, a rosnąca wysokość i częstotliwość sygnałów nadajnika mówiła, że szybko zbliżają się do obiektu.

- Może zjechali, żeby zatankować - zasugerował kierowca. Zwolnił do osiemdziesiątki, by w porę dostrzec znak zjazdu z autostrady.

- Nie. Do stacji benzynowej jest co najmniej piętnaście kilometrów.

Niecałe dwa kilometry za pierwszym samochodem jechali czterej dalsi członkowie frankfurckiego zespołu. Pozostawali w kontakcie radiowym z pierwszym wozem i byli gotowi do udzielenia pomocy, gdyby trzeba było zatrzymać i aresztować śledzonych. Operator poinformował ich o zaistniałej sytuacji i polecił, żeby zwolnili i trzymali się za nimi.

Odbiornik emitował już stały, wysoki pisk, gdy pierwszy samochód pokonał długi zakręt i agenci zobaczyli Audi, stojące na poboczu sto metrów przed nimi.

- Muszą mieć jakieś kłopoty z samochodem. Przejeżdż obok nich.

- Cholera! - zaklął kierowca i trzasnął pięścią w deskę rozdzielczą. Na równoległym, prowadzącym na wschód paśmie, oświetlonym w tej chwili przez przejeżdżający motocykl, zobaczył dwie osoby wsiadające do zaparkowanego pojazdu.

- Co jest? - zapytał operator, potem spojrział tam, gdzie patrzył jego partner. Zobaczył samochód odjeżdżający na wschód.

Natychmiast zrozumiał, co się stało. - Jezu. Naprawdę nas wykiwali.

- Jak daleko do najbliższego skrzyżowania?

- Jakieś czternaście kilometrów. Przy stacji benzynowej.

- Cholera! - klął kierowca, gapiąc się na aluminiową barierę biegnącą między pasmami autostrady.

- Połączymy się z bazą, może ktoś spróbuje ich przechwycić, nim znajdą się za daleko. Widziałeś dobrze ten samochód?

- Nie. Był ciemny i mały, to wszystko, co zauważyłem.

- Może wyślą wozy w okolice kryjówki Strassera i złapią ich w porę.

- Stąd do tego miejsca prowadzi wiele dróg. Nie pokryjemy ich wszystkich. A poza tym, mamy rozkaz nie rozgłaszać tej sprawy. No cóż, zawaliliśmy. Połącz się z bazą w Monachium i powiedz im, co się stało.

Semko poprosił Weissmana, by jego miejscowy pomocnik dostarczył mu szybki samochód, nadający się do jazdy po bocznych drogach. Dostał wóz, który przekroczył jego najśmielsze oczekiwania. Porsche Carrera 4 było wyposażone w napęd na cztery koła i mogło rozwinąć prędkość ponad dwustu dwudziestu kilometrów na godzinę. Był to szybki i zwrotny sportowy wóz, z którym mogło się mierzyć niewiele samochodów.

Ruch na autostradzie był mały, więc Semko zjechał na zewnętrzny pas i na próbę przyśpieszył do dwustu dziesięciu kilometrów na godzinę, lecz po chwili zwolnił do stu dziewięćdziesięciu.

Rachela obliczyła, że odległość od miejsca, w którym znaleźli Porsche, do bazy operacyjnej wynosi około trzystu pięćdziesięciu kilometrów. Planowali, że pojedą autostradą do Stuttgartu, potem skręcą na południe do Herrenbergu, a następnie skierują się na zachód bocznymi drogami prowadzącymi do Schwarzwaldu. Oceniała, że jadąc z taką prędkością w pobliżu celu znajdą się przed północą, co pozwoli im zająć pozycję pod osłoną ciemności, na długo przed tym, nim Strasser przedsięwzięmie środki ostrożności,

jakie planował zastosować przy spotkaniu z Rosjanami.

Wcześniej zatrzymali się w hotelu, by zmienić ubrania. Teraz mieli na sobie dżinsy, sportowe buty, ciepłe swetry i skafandry, które zakupił w sklepie sportowym, przewidując, że przyjdzie im spędzić noc pod gołym niebem.

- Sprawdź, czy udało im się zdobyć wszystko, czego chcieliśmy - powiedział Semko. Błysnął światłami i z rykiem wyprzedził wolniej jadący samochód.

Rachela odwróciła się; na tylnym siedzeniu znalazła dwie kabury i dwa małe plecaki. Przeciągnęła je do przodu i sprawdziła zawartość. W kaburach znajdowały się pistolety maszynowe *H&KMP - 5 - SD*, wyposażone w integralne tłumiki i celowniki laserowe *Pulse Beam*. Ważyły mniej niż cztery kilogramy, miały nieco ponad pół metra długości i przełączone na ogień ciągły mogły wystrzeliwać osiemset pocisków na minutę.

- Śliczne - rzekł Semko, gdy Rachela pokazała mu jeden z nich. - Umiesz posługiwać się pistoletem maszynowym?

- Chyba tak.

- Tego też nauczyłaś się w szkole?

- To była dobra szkoła - odparła Rachela i otworzyła plecak.

Weissman zdobył wszystko, o co prosił Semko. Plecaki zawierały pięć zapasowych magazynków do pistoletów maszynowych, dwie pary gogli noktowizyjnych, lornetki polowe, zestaw małych radiotelefonów na wypadek, gdyby musieli się rozdzielić i będącą cudem techniki kamerę pracującą w podczerwieni.

- Jest wszystko - stwierdziła Rachela.

- Magazynki załadowane? Rachela sprawdziła i przytaknęła.

- Zobacz, czy znajdziesz jakąś muzykę w radiu. Obojętnie jaką, byle nie rap.

Rachela nastawiła radio na stację nadającą muzykę klasyczną i opuściła oparcie fotela. Zamknęła oczy i w ciągu kilku minut, ku zdziwieniu Semki, zapadła w sen.

Zaczął padać deszcz, gdy mijali rogatki Augsburga, lecz w okolicach Stuttgarts przemienił się w lekką mżawkę. Wkrótce

przestało padać. Rachela obudziła się z godzinnej drzemki i słuchała symfonii Mozarta. Dojechali do Herrenbergu i skręcili na zachód, w centralny region Szwarcwaldu.

Zjechali z autostrady i Semko zmniejszył prędkość o połowę. Ukształtowanie terenu i sceneria zmieniały się jak kolejne odsłony w teatrze. Wijąca się dwupasmowa szosa była czarna jak smoła, jedynie od czasu do czasu pojawiały się samochody, a w oddali słaby poblask z odosobnionych miast i wiosek z wysokimi, cienkimi iglicami kościelnych wież. Zagajniki brzoź i buków przeplatały się z gęstymi skupiskami świerków, sosen i srebrnych jodeł, ustępując gdzieniegdzie małym poletkom i otwartym pastwiskom. Żwirowa droga, na którą skręcili za Baiersbronn, była wyboista i wąska, wcinała się w zbocza licznych wzgórz. Semko trzymał się jej środka, z dala od stromej skarpy po lewej stronie. Zwolnił do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, gdy droga zaczęła piąć się w górę.

Wiatr od gór szybko rozegnał nisko wiszące chmury i księżyc w pełni oświetlił ciągnące się bez końca ciemne lasy iglaste, od których region ten wziął swoją nazwę - Szwarcwald. Ten ponury i posępny pejzaż promieniował teraz nieledwie mistycznym blaskiem księżycowego światła. Racheli przypomniały się wykłady dotyczące Holocaustu, w których uczestniczyła na uniwersytecie w Tel Awiwie. Tematem części wykładów był charakter narodu niemieckiego. Przypomniała sobie coś, co Tacyt, rzymski orator i historyk sprzed więcej niż osiemnastu stuleci, napisał o plemionach germańskich, gdy rzymskie legiony stanęły przed niezdołym Czarnym Lasem: „Lasy i gaje są świętymi miejscami barbarzyńców. Dają schronienie ich wolnemu i nieokiełznanemu duchowi”. Germańska dusza, jak mówił wykładowca, została ukształtowana przez fascynację naturą i jej okrucieństwem oraz podatność na mity. Zrozumienie tego mistycznego aspektu psychiki Niemców, mówił profesor, wyjaśnia, dlaczego naród, który dał tak wiele dobrego literaturze i muzyce, mógł podpisać się pod szaleństwami hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Semko, gdy zauważył w jej oczach ten sam odległy wyraz, jaki widział w kawiarni w Monachium.

- W porządku.

- Zbliżamy się.

Zjechali w głęboką dolinę. Semko dostrzegł przed sobą przecinkę. Sprawdził na liczniku ile przejechali kilometrów, i znalazł zakręt dokładnie w miejscu, o którym mówiła Erika. Wyłączył radio i zgasił przednie światła, używając wyłącznie postojowych. Zwolnił do piętnastu kilometrów na godzinę. Teraz jechali wyboistą, pełną kurzu drogą, tak wąską, że dwa samochody z trudnością mogłyby się na niej wyminąć. Nim dotarli do rozwidlenia, za którym w odległości niecałych trzech kilometrów znajdowała się farma, zauważył wąską przecinkę po lewej stronie. Miękkie gałęzie drzew iglastych omiatały boki Porsche i całkowicie zaciemniały drogę. Samochód podskakiwał w głębokich koleinach, kilka razy zahaczył podwoziem i prawie się wywrócił, gdy Semko ostro skręcił w prawo. Szlak stał się nieprzejezdny. Semko zatrzymał wóz, wysiadł i obejrzał teren; Porsche znajdowało się dość daleko od drogi i było zasłonięte przez gęstą kępę sosen.

- Stąd pójdziemy piechotą - powiedział do Racheli, która już wysiadła i zakładała plecak.

Sposób, w jaki obchodziła się z pistoletem, też nie uszedł jego uwadze - obserwował, jak sprawnie i szybko włożyła magazynek, przełączyła bezpiecznik i odciągnęła zamek, by wprowadzić nabój do komory.

- Zabierasz torebkę? - zapytał, gdy zobaczył, że przełożyła ramię przez ramię i zacisnęła go pod prawym ramieniem.

- To poręczna torebka. Nigdzie bez niej nie chodzę.

- Rób, jak uważasz. - Semko zdecydował, że to jedna z tych „babskich rzeczy”, których nigdy nie potrafił zrozumieć.

„Pomocnik” Mossadu dostarczył również mapę topograficzną o dużej skali, na której zaznaczono położenie starej farmy. Semko rozpostarł ją na dachu Porsche i, używając małej osłoniętej latarki, określił, gdzie się znajdują.

Zagłębili się w las. Błady blask księżyca przesączał się między drzewami, więc w czasie przeprawy nie potrzebowali zakładać gogli noktowizyjnych. Ruszyli w dół stromego stoku, chwytając się gałęzi. Starali się iść na krawędziach butów, by zapobiec ześlizgnięciu się po grubym dywanie sosnowych igieł. U stóp zbocza Semko spojrział na kompas, potem poprowadził Rachelę wąskim wąwozem wzdłuż górskiego strumienia. Szli przez godzinę, zatrzymując się co dziesięć minut i nasłuchując, póki nie dotarli do miejsca, w którym dno doliny rozszerzyło się, a las zaczął rzednąć. Semko rozróżnił skraj pola zarośniętego wysoką po pas trawą. Ruszył w jego stronę, a po chwili opadł na kolana i gestem dał znać Racheli, żeby zrobiła to samo.

Na końcu pola, dwieście metrów przed sobą, zobaczyli ciemną sylwetkę starego domu ze stromym dachem. Po prawej stronie widać było ogromną stodołę i szopę. W domu paliły się światła, a z pojedynczego komina unosił się gruby słup dymu. Rachelę pomyślała przelotnie o ciepłym kominku i zapięła suwak skafandra, broniąc się przed zimnym górskim powietrzem.

Trzymali się głębokiego cienia na skraju lasu. Semko wyjął z plecaka Racheli gogle noktowizyjne i dostosował pasek tak, by gumowe osłony przylegały dokładnie do skóry wokół oczu. Włączył je i ciemne zakamarki na leżącym sto metrów po lewej stronie wzniesieniu stały się wyraźnie widoczne w niesamowitym, zielonym świetle. Powoli obracał głowę w prawo i lewo, dopóki tuż poniżej szczytu wzgórza nie wypatrzył skalnej półki, częściowo ukrytej przez zwieszające się gałęzie. Przypuszczał, że prawdopodobnie roztacza się z niej doskonały widok na dom i większą część zagrody.

Znów spojrział w kierunku domu. Tym razem rozróżnił trzy samochody stojące w pobliżu stodoły. Schował gogle do plecaka Racheli i kiwnął, by dziewczyna podążyła za nim. Wstał i ruszył w stronę skalnego występu. Wspinali się na szczyt wzgórza. Przemknęli szybko przez kilka małych polanek i znów znaleźli się pod osłoną lasu. Tak jak Semko przypuszczał, półka okazała się

doskonałym punktem obserwacyjnym, oddalonym od domu o niecałe sześćdziesiąt metrów. Za ich plecami skała podnosiła się prawie pionowo do kolejnego występu, który sterczał pod kątem i tworzył daszek, ukrywający ich przed wzrokiem każdego, kto przechodziłby powyżej. Kępy drzew iglastych po lewej i prawej stronie osłaniały flanki, a przed nimi rzadkie drzewa liściaste i niskie sosny schodziły stromo ku roztaczającej się wokół domu polanie, widzieli więc bez przeszkód zabudowania.

O pierwszej czterdzieści pięć zajęli pozycje na skalnym występie. Rachela, pamiętając o zachowaniu ostrożności, przysunęła się do Semki i wyszeptała mu do ucha:

- Ja się zdrzemnęłam. Będę czuwała pierwsza.

Semko pokazał jej dwa palce. Rachela skinęła na znak, że rozumie: chciał spać nie dłużej niż dwie godziny.

Semko skrzyżował nogi i oparł się plecami o ścianę. Położył pistolet maszynowy w poprzek kolan, opuścił głowę na piersi i zamknął oczy. Pod nimi, u stóp zbocza, światła na farmie zgasły. Rachela wyjęła gogle noktowizyjne i zaczęła powoli przeszukiwać sąsiadujący z farmą las i teren wokół domu. Jej oczy przyzwyczyły się do zielonego światła, jakie dawały szkła noktowizora, i wkrótce mogła rozróżnić jakieś małe zwierzątka biegające w podszyciu, a nawet zlokalizować sowę, która przycupnęła na pobliskim drzewie i swym żalobnym pohukiwaniem przyciągnęła jej uwagę.

Nie odczuwała potrzeby snu, pozwoliła więc Semce spać dłużej. W ciągu trzeciej godziny czuwania zaczęła odnosić wrażenie, że zawodzą ją zmysły. Księżyc nie wisiał już nad głową i w lesie zrobiło się ciemniej. Pomyślała, że słyszy szmery między drzewami ponad półką po lewej stronie, ale nic nie zauważyła, nawet myszy czy innego żerującego nocą stworzenia, którego obecność mogłaby wyjaśnić dziwne odgłosy. Skoncentrowała się na intrygującym obszarze. Wydawało jej się, że zobaczyła przesuwający się cień, lecz przypisała go nocnemu podmuchowi, delikatnie kołyszącemu opuszczonymi do samej ziemi gałęziami drzew.

Z doliny uniosła się mgła, która powoli zaczęła przenikać

między drzewa i to dezorientowało ją jeszcze bardziej. Kiedy znów usłyszała cichy, przytłumiony hałas, tym razem wyraźniejszy, postanowiła obudzić Semkę. Mężczyzna otworzył oczy. Rachel przycisnęła palce wskazujący do jego ust, nakazując milczenie. Chwilę później, gdy był zupełnie rozbudzony, cofnęła dłoń i wskazała w prawo.

Semko powoli odwrócił głowę we wskazanym kierunku i przyłożył ręce do uszu, by lepiej wyłowić odległe dźwięki. Usłyszał jedynie szum sosen i szelest roślin na wietrze. Założył gogle noktowizyjne i popatrzył na niskie sosny, i krzaki rosnące poniżej po ich prawej stronie. Miał wrażenie, że coś się poruszyło, ale nie był tego pewien. Przyziemna mgła drastycznie zredukowała zasięg i efektywność gogli, odłożył je więc na bok i w milczeniu otworzył plecak, by wyjąć termowizor.

Unikalny przyrząd obserwacyjny rozmiarem i kształtem przypomina kamerę wideo, ale służy całkowicie odmiennym celom. Uzyskiwany dzięki niemu obraz jest przekształconą w światło widzialne projekcją promieniowania podczerwonego, niewidocznego dla nie uzbrojonego oka. Urządzenie czułe na różnicę temperatur nawet rzędu 0,9 stopnia, może wykrywać i pokazywać zarys przedmiotów oraz osób znajdujących się w całkowitej ciemności czy pod naturalną osłoną w odległości do czterystu pięćdziesięciu metrów. Za jego pomocą łatwo też odróżnić zwierzę od istoty ludzkiej.

Doskonały instrument jest w stanie wykryć ciepło szczątkowe pochodzące na przykład z organicznego rozkładu ciała niedawno pochowanego w płytkim grobie czy z silnika, opon i hamulców niedawno używanego samochodu. Żywi ludzie przypominają upiorne widma w odcieniach czerni, szarości i bieli, z różnym zabarwieniem głowy oraz klatki piersiowej - części ciała emitujących największe ilości ciepła - w postaci najjaśniejszych plam. Mgła nie wywiera na kamerę termowizyjną żadnego wpływu - zimno i wilgoć w rzeczywistości wzmagają kontrastowość - i podczas gdy gogle noktowizyjne nie pozwalają wykryć nikogo

ukrytego wśród drzew i zarośli, kamera z łatwością wychwytyje ich ciepłe sygnały na tle naturalnego, chłodniejszego tła.

Semko wycelował urządzenie w grubą łąkę mgły, która spowijała drzewa trzydzieści metrów poniżej, na prawo od półki. Wystarczyło pierwsze spojrzenie, by dostrzegł to, co wcześniej zaniepokoiło Rachelę.

Naliczył dziesięć osób, poruszających się we mgle jak widma. Kierunek, w którym maszerowali, wskazywał, że przybyli z grzbietu za występem. Semko obserwował, jak schodzili jeszcze niżej. Trzymali broń w pozycji gotowej do strzału i przemieszczali się etapami, osłaniając wzajemnie. W końcu zgromadzili się w odległości około osiemdziesięciu metrów od nich, w miejscu, gdzie teren był wyrównany, a drzewa ustępowały otwartej polanie przed domem. Jeden z nich, najwidoczniej dowódca, ruchem ręki skierował pozostałych na zamaskowane pozycje. Rozbiegli się i zajęli wyznaczone miejsca, zwrócenie w kierunku zabudowań i wiodącej ku nim drodze.

Sposób, w jaki się zachowywali i poruszali po lesie, sugerował, że działania taktyczne w terenie nie są im obce. Semko bardzo chciał wiedzieć, z kim ma do czynienia. Zogniskował obiektyw kamery na dwóch najbliższych i nacisnął mały przycisk z boku urządzenia, co pozwoliło mu zatrzymać obraz i przestudiować szczegóły. Wyraźnie widział zarys sylwetek, ale nie mógł określić, jaką mają broń ani czy noszą jakieś mundury, co powiedziałoby mu, kim są.

Podał termowizor Racheli i wskazał, gdzie powinna patrzeć, potem wyprostował dwa razy palce prawej dłoni na znak, że jest ich dziesięciu. Rachela podniosła kamerę do oczu i przesuwała ją powoli, póki nie zlokalizowała wszystkich, a wtedy nachyliła się do Semki i zapytała szeptem:

- Kim oni są?

Semko w odpowiedzi wzruszył ramionami. Rachela obserwowała ich jeszcze przez kilka minut i oddała termowizor Semce.

- Co teraz zrobimy?

Semko przyłożył usta do jej ucha i wyszeptał:

- Poczekamy. Zobaczymy, co z tego będzie.

W ciągu godziny wzdłuż krawędzi gór na wschodzie pojawiła się białawoszara wstęga światła, pierwsza oznaka świtu. Mgła zaczęła rzednąć i podnosić się, więc Semko znów założył gogle noktowizyjne, by zobaczyć więcej szczegółów. Spojrzał w kierunku najbliższej postaci i zwiększył powiększenie oraz nastawił ostrość. Mężczyzna leżał na brzuchu w niskich krzewach za starym pługiem zarośniętym chwastami, z bronią przyłożoną do ramienia. Lufa spoczywała na zardzewiałym kawałku dawno porzuconego narzędzia i skierowana była w stronę domu. Semko przypatrzył się broni i zauważył, że kolba ma konstrukcję szkieletową. Natychmiast rozpoznał karabin - rosyjski *AKSU - 74*, pomniejszona, karabinkowa, wersja ich karabinu *AKS - 74*, w który obecnie wyposażali swoje jednostki przeznaczone do operacji specjalnych.

- Wygląda na to, że przybyli Rosjanie - wyszeptał. - I tym razem jest to pierwsza liga.

Szare światło świtu nie rozproszyło jeszcze głębokich cieni lasu, więc Semko i Rachela obserwowali Rosjan przez gogle noktowizyjne. Chcieli mieć pewność, że niepostrzeżenie nie zmienią oni swoich pozycji. W końcu pierwsze złote promienie wschodzącego słońca przesączyły się przez gałęzie i pocętkowały poszycie. Semko wyjął polową lornetkę i zobaczył, że Rosjanie są ubrani w cywilne stroje podobne do tych, jakie mieli na sobie on i Rachela. Miał rację co do broni, z jednym wyjątkiem. W świetle dziennym okazało się, że człowiek najbardziej oddalony od półki trzyma karabin snajperski SWD z celownikiem teleskopowym.

Krótko po tym, jak słońce wzniosło się nad horyzontem, z dołu zaczęły dobiegać ciche odgłosy: hałas krzątających się po domu terrorystów. Semko usłyszał trzaśnięcia drzwi na tyłach budynku i zobaczył, że wyszło z niego trzech mężczyzn. Stanęli obok starej kamiennej studni, palili papierosy i rozmawiali, a wkrótce przyłączyli się do nich trzej dalsi. Pięciu było uzbrojonych w amerykańskie karabiny *M - 16*. Jeden z karabinów miał zamocowany pod lufą granatnik, dobrze znany Semce z Wietnamu. Erika Hohner albo zapomniała o nim powiedzieć, albo też zrobiła to celowo.

Szósty człowiek miał na ramieniu jeszcze bardziej niepokojącą broń: rosyjski *RPG - 7*. Ręczny granatnik przeciwpancerny,

przeznaczony do niszczenia czołgów, broń skuteczna również w walce z ludźmi. Posiada zasięg ośmiuset metrów. Semko zauważył, że *RPG - 7* był załadowany, a na wystającym z rury pocisku znajduje się charakterystyczny aluminiowy kaptur. Dostrzegł również, że człowiek z granatnikiem przymocowanym do *M - 16* ma pas z co najmniej dziesięcioma czterdziestomilimetroowymi granatami, a mężczyzna z *RPG - 7* dźwiga płócienną torbę z czterema dodatkowymi pociskami o napędzie raketowym.

Jeżeli Erika Hohner mówiła prawdę, to w domu oprócz Strassera znajdowało się jeszcze dwóch terrorystów RAF. Semko był zaskoczony, że Strasser nie wystawił na noc posterunków, przynajmniej w bezpośrednim sąsiedztwie zabudowań. Nawet teraz mężczyźni stojący przy starej studni, na otwartej przestrzeni w jasnym świetle poranka, sprawiali wrażenie, że kwestia bezpieczeństwa jest im całkowicie obojętna.

Semko i Rachelą byli dobrze ukryci przed wzrokiem każdego, kto patrzyłby w ich kierunku z domu - ich stanowisko osłonięte było młodymi drzewkami i krzakami porastającymi skarpe tuż poniżej występu. Semko przeczołgał się w lewo do końca półki, gdzie zbocze opadało stromo do miejsca, w którym stali mężczyźni. Dziesięć metrów w głębi lasu biegł w dół stoku porośnięty gęstymi zaroślami płytki żleb, zapewniający doskonałą osłonę przed wzrokiem Rosjan z prawej strony i terrorystami w dole.

Semko przez pewien czas badał ukształtowanie terenu i żleb prowadzący na tyły domu, następnie odczołgał się na środek półki i znów podniósł lornetkę, aby obserwować Rosjan. Patrzyli w kierunku domu, co znaczyło, że również usłyszeli głosy terrorystów, znajdowali się jednak co najmniej sześćdziesiąt metrów od budynku, na wprost frontu, i kąt widzenia uniemożliwiał im widok na mężczyzn przy studni. Semko poczuł na ramieniu dotknięcie i odwrócił się, by spojrzeć tam, gdzie wskazywała Rachelą.

Ludzie Strassera skończyli palić i rozproszyli się. Trzech przesunęło się na bok domu i zwróciło ku skalnym stopniom. Jeden

za węglem położył na brzuchu, by kryć miejsce do parkowania przed frontowym wejściem. Drugi poszedł w prawo, trochę dalej i skrył się w lesie za gęstą kępą krzewów, skąd miał widok na ten sam obszar. Trzeci zajął pozycję za głazem oddalonym o dziesięć metrów od drugiego terrorysty.

Semko wiedział teraz, że skoncentrowali się jedynie na kryciu frontu domu. Nie widział trzech pozostałych, którzy ruszyli w kierunku stodoły, ale przypuszczał, że zajmą pozycje po drugiej stronie drogi, by kryć ten sam teren pod innym kątem.

Sprawdził, co robią Rosjanie. Nie ruszyli się, a ludzie Strassera nadal nie byli świadomi ich obecności. Rosjanie znajdowali się tylko sześćdziesiąt metrów od tych terrorystów, którzy zajęli pozycje poniżej półki, ale byli doskonale zasłonięci niskimi krzakami i głazami.

Semko początkowo miał zamiar czekać, póki Strasser nie zabezpieczy się przed spotkaniem z Rosjanami. Wtedy mógłby ominąć stanowiska jego ludzi i dotrzeć do domu. Razem z Rachelą bez problemu mogli wyeliminować trzech terrorystów, ale takie posunięcie zwróciłoby uwagę Rosjan. Ich obecność wymagała innego rozwiązania, więc Semko jeszcze raz przyjrzał się ich pozycjom. To, co zobaczył, jeszcze bardziej skomplikowało sytuację.

Dowódca rosyjskiego zespołu ruchem ręki nakazał trzem ludziom, aby zajęli się terrorystami, którzy znajdowali się na ich lewej flance. Semko patrzył, jak Rosjanie wczołgują się głębiej między drzewa, by zająć ich od tyłu. Dowódca wyjął z kieszeni radiotelefon i przysunął go do ust. Semko natychmiast zrozumiał, o co chodzi: ktokolwiek miał się spotkać ze Strasserem, prawdopodobnie czekał w pobliżu na sygnał. Rosjanin, przekonany, że trzech terrorystów po jego lewej stronie są jedynym elementem zabezpieczającym, powiedział, że ma wszystko pod kontrolą.

Semko wiedział, że Rosjanie kompletnie nie zdają sobie sprawy, że trzech terrorystów z granatnikiem i wyrzutnią raketową ukryli się po drugiej stronie domu. Każdy błąd, jaki popełnią ci, którzy poszli

wyeliminować trzech terrorystów, pozostających w zasięgu ich wzroku, mógł wciągnąć do gry pozostałych i ostrzec Strassera. Semkę najbardziej niepokoił człowiek z granatnikiem przeciwpancernym. Jeżeli wiedział, jak obchodzić się z tą bronią - a nie było powodów, by w to wątpić - mógł zmieść wszystkich Rosjan jednym pociskiem.

Semko uznał, że musi działać teraz, nim wszystko wymknie mu się z rąk i straci okazję dopadnięcia Strassera. Odwrócił się do Racheli i ruchem ręki kazał jej cofnąć się pod skalną ścianę.

- Nie możemy zająć się jednocześnie ludźmi Strassera i Rosjanami - wyszeptał. - Zamierzam podejść bliżej domu i zastrzelić Strassera, gdy wyjdzie, albo jeśli mi się uda, wejdę do środka. Jeżeli dobrze to rozegram, reszta powystrzela się wzajemnie i nigdy nie będzie wiadomo, że tu byliśmy.

Rachela chciała zaprotestować, lecz Semko podniósł rękę i nie dopuścił jej do głosu.

- Musisz być tutaj, by dać znać, co się dzieje wokół mnie na dole. Jeżeli rozpęta się piekło, zapomnij o mnie i zabieraj tyłek w garść, przez las na drugą stronę wzgórza. Wszyscy będą zbyt zajęci własnymi problemami, by ścigać ciebie - o ile w ogóle cię zauważą.

Zdjął plecak i wyjął dwa nadajniki dostarczone przez pomocnika Mossadu. Jeden podał Racheli, drugi przypiął do paska, potem pod kołnierzem kurtki przeciągnął słuchawki. W ten sposób mógł odbierać transmisje bez zdradzania swojej pozycji.

- Gdy Rosjanie się ruszą albo gdy ludzie Strassera zauważą mnie czy usłyszą, kuknij przyciskiem nadawania dwa razy, a odezwę się tak szybko, jak będę mógł. Zrozumiałaś?

Rachela skinęła głową, potem pochyliła się do jego ucha, by coś powiedzieć, ale zmieniła zamiar. Przypięła nadajnik i podniosła lornetkę, a Semko poczołgał się do skraju półki i zniknął z pola widzenia.

Nikołaj Leonow siedział w kabinie ciężarówki, przytrzymując się kurczowo, gdy pojazd podskakiwał i kołysał się na głębokich

koleinach drogi prowadzącej do gospodarstwa. W tylnej części ciężarówki nie było skrzyń i bronią chemiczną, jak żądał Strasser; zajmowało ją sześciu ludzi ściągniętych wieczorem poprzedniego dnia z Zossen; znosili jeszcze większe niewygody niż Leonow i kierowca. Z karabinami AKSU przewieszonymi na piersiach siedzieli na podłodze i przytrzymywali się burt, by nie obijać się o siebie i ściany. Za ciężarówką podążał radzący sobie znacznie lepiej na wyboistej drodze Mercedes z czterema ludźmi. Przyśpieszył i zmniejszył odległość między pojazdami, gdy drzewa ustąpiły polom i pasażerowie ujrzeli zabudowania.

Kierowca ciężarówki zwolnił, a Leonow odsunął przepierzenie.

- Pamiętajcie - zwrócił się do siedzących z tyłu ciężarówki mężczyzn - macie czekać, póki nie otworzę tylnych drzwi. W tej samej chwili wasi koledzy ukryci na stanowiskach w lesie otworzą ogień do Strassera i jego ludzi. Jak wysiądziecie, zajmijcie pozycje po drugiej stronie drogi i zacznijcie strzelać. Potem razem z innymi przeszukajcie dom i stodołę, by do końca oczyścić teren.

Mężczyźni pokiwali głowami i Leonow zamknął przegrodę, ukrywając ich przed wzrokiem każdego z zewnątrz. Ciężarówka zwolniła i zatrzymała się przed starym domem.

Jürgen Strasser wyjrzał przez okno i zobaczył, że Leonow wysiadł z kabiny, z polowym telefonem w torbie. Obserwował, jak kierowca ciężarówki i czterej mężczyźni z Mercedesa stanęli na otwartej przestrzeni obok wysokiego, potężnie zbudowanego Rosjanina. Zadowolony, że nie mają innej broni poza pistoletami, które mogli mieć schowane pod kurtkami, odwrócił się do dwóch swoich ludzi uzbrojonych w karabiny *M - 16*.

- Jeżeli Rosjanie stojący obok Leonowa sięgną po coś bez pytania, choćby po papierosa, zabijcie ich.

Zatknął pistolet za pas i zabrał skórzaną aktówkę, zawierającą jedną z kopii Listy Göringa. Dwaj terroryści wyszli przed dom i stanęli po obu stronach drzwi, natomiast Strasser ruszył na spotkanie z Leonowem. Natychmiast wycelowali broń w czterech

ludzi z Mercedesa i w kierowcę ciężarówki.

Strasser wyciągnął aktówkę tak, by Leonow mógł ją zobaczyć.

- Jest pan przygotowany do zakończenia naszych interesów?

- Czy mogę najpierw obejrzeć jej zawartość?

- Oczywiście - powiedział Strasser i rzucił mu aktówkę. - Potem, gdy ja będę sprawdzał ładunek, może pan zatelefonować.

Semko usłyszał nadjeżdżającą ciężarówkę i zamiast podążyć zbieżną w dół zbocza, zatrzymał się w połowie i przeszedł na skraj lasu, skąd mógł obserwować front domu. Znieruchomiał na widok Strassera wychodzącego na spotkanie człowieka, którego widział w piwiarni, potem szybko spojrzał tam, gdzie ukryli się terroryści.

Dwóch było martwych, leżeli z poderżniętymi gardłami, obok nich przycupnęli Rosjanie. Trzeci Rosjanin przedzierał się przez kępy wrzosów i jeszcze nie dotarł do terrorysty ukrytego najbliżej domu. Był oddalony od niego o dziesięć metrów i czołgał się przez niczym nie osłoniętą łąkę.

Ze swego miejsca Semko widział Strassera, stał twarzą do Leonowa. Tłumik pistoletu, w połączeniu z amunicją o prędkości niższej od prędkości dźwięku, mógł zredukować huk wystrzału do świstu, niemożliwego do usłyszenia z odległości ponad sześciu metrów. Nic nie mogło zdradzić jego pozycji. Mógł zabić Strassera, a potem zniknąć w lesie, gdy nastąpi piekło wymiany ognia między Rosjanami a terrorystami.

Z oczami wbitymi w Strassera położył się płasko na ziemi i wygiął w łuk, by skompensować nachylenie terenu, potem zastygł w strzeleckiej pozycji. Ostrożnie rozsunął kępę krzaków i rozłożył składaną kolbę broni. Przesunął przełącznik rodzaju ognia z trzypociskowych serii na strzały pojedyncze i nacisnął wyłącznik ciśnieniowy przymocowany z przodu rękojeści, podobnej do kolby pistoletu - w ten sposób włączył celownik laserowy. Urządzenie, efektywne na odległość stu metrów, pozwalało na celowanie bez przymrużania jednego oka i na strzał z broni trzymanej na wysokości biodra, piersi czy ramienia.

Słońce ciągle wisiało nisko nad horyzontem i front domu pogrążony był w cieniu, co zapewniało doskonałe warunki do wykorzystania lasera. Pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym leżał Semko, na szyi Strassera pojawiła się intensywnie czerwona, pulsująca plamka wielkości pięciocentówki, wskazująca punkt uderzenia kuli.

Semko zaczerpnął powietrza, wypuścił je powoli i zaczął naciskać spust. Spomiędzy drzew dobiegł ostrzegawczy okrzyk, zwolnił więc nacisk, by zobaczyć, co się dzieje. Terrorysta, ukryty po prawej stronie domu odwrócił się i wystrzelił serię ze swego *M-16* prosto w twarz Rosjanina. Rosjanin zdołał zbliżyć się do niego na pięć metrów, gdy pod ciężarem jego ciała pękła niewidoczna w wysokiej trawie gałązka, trzask zdradził jego pozycję.

Przed domem wybuchło zamieszanie, powstał jeden wielki chaos. Dwaj ludzie stojący obok Strassera otworzyli ogień do kierowcy ciężarówki i czterech mężczyzn z Mercedesa, zabijając ich na miejscu. W odpowiedzi Rosjanie ukryci wzdłuż skraju lasu zaczęli strzelać seriami, zabijając dwóch ludzi Strassera. Tylne drzwi ciężarówki otworzyły się z hukiem, a w tej samej chwili powietrze wypełni gwizd raketowego pocisku wystrzelonego z boku oddalonej o czterdzieści metrów stodoły. Tylko dwóm Rosjanom udało się wyskoczyć, nim rakietę worała się w bok skrzyni ładunkowej, wybuchając w pomarańczowo - białym błysku i zabijając znajdujących się jeszcze wewnątrz czterech ludzi. Wtórna eksplozja benzyny w ciągu kilku sekund zamieniła pojazd w płonący i dymiący wrak.

Terrorysta z granatnikiem wypatrzył Rosjan za linią drzew, gdy otworzyli ogień, i w chwilę później dał się słyszeć głuchy dźwięk, po którym nastąpił potężny wybuch czterdziestomilimetrowego granatu na skraju lasu. Semko zobaczył, że dwaj Rosjanie padli martwi, a dwaj inni wili się z bólu na ziemi, krwawiąc z poszarpanych ran na brzuchu i piersiach.

Tuż przed wybuchem rakiety widział, że Leonow wbiegł z za Mercedesa i ukrył się za nim z dwoma mężczyznami ocalałymi z

ciężarówki. Chwilę później w przelocie ujrzał Strassera biegnącego do domu.

Odwrócił się i zaczął czołgać na tyły budynku, gdy usłyszał wycie kolejnej rakiety. Obejrzał się i zobaczył ognisty ogon straszliwego pocisku sunącego nad polem i wybuchającego wśród drzew. Jednakże pozostali przy życiu trzej Rosjanie już ruszyli w stronę domu i znaleźli się w bezpiecznej odległości. Pocisk ten był ostatnim, jaki wystrzelił człowiek obsługujący *RPG - 7*; tym razem czarny dym zdradził jego pozycję. Rosjanin z karabinem snajperskim przyklęknął, wymierzył starannie i zabił go jednym strzałem.

Dowódca, do którego przyłączyli się dwaj mężczyźni z lasu, przegrupował pozostałych przy sobie ludzi. Na jego rozkaz trzej z nich, łącznie ze snajperem, natychmiast pobiegli w stronę stodoły. Mieli zlikwidować terrorystę z granatnikiem i drugiego, który ze swego *M - 16* otworzył ogień do Leonowa oraz ludzi schowanych za Mercedesem, skutecznie przyciskając ich do ziemi.

Terrorysta zajmujący pozycję najbliżej domu, który wcześniej zabił skradającego się ku niemu Rosjanina, odczołgał się na bok i pozostawał w ukryciu. Przykucnął i zaczął się wycofywać, gdy zobaczył przegrupowujących się Rosjan. Nie wiedział, że Semko obserwuje jego ruchy. Nie zdawał sobie również sprawy, że, kiedy odwrócił się ku tyłowi domu, na boku jego głowy tuż nad uchem pojawiła się mała czerwona plamka. Semko strzelił; jedynym rozpoznawalnym dźwiękiem było uderzenie ciała o ziemię.

Rosyjski dowódca kątem oka zauważył przewracającego się terrorystę, ale nie miał pojęcia, skąd nadleciał pocisk. Nie dostrzegł bezpośredniego zagrożenia i przypisał śmierć człowieka zabłąkanej kuli. Natychmiast skoncentrował się na trzech ludziach zmierzających ku stodole i razem z pozostałymi otworzył ogień zaporowy. Jednakże terrorysta z granatnikiem był doświadczony i dobrze wyszkolony. Wystrzelony przez niego granat rozerwał się w odległości metra od biegnących, zabijając dwóch z nich i śmiertelnie raniąc trzeciego. Dowódca zespołu krzyknął do ludzi

ukrytych za Mercedese, by go kryli, i wraz ze swoim towarzyszem rzucił się w stronę stodoły, by kontynuować atak. Jeden z terrorystów strzelił krótką serią z *M - 16*, potem umknął za róg stodoły, kryjąc się przed gradem pocisków wystrzeliwanych z Mercedesa.

Obsługujący granatnik skłął tchórzostwo kolegi i sam trwał na posterunku. Kiedy biegnący ku niemu znaleźli się w odległości sześciu metrów, a kule darły ścianę stodoły i orały ziemię wokół niego, pośpiesznie strzelił z biodra. Granat minął cel i eksplodował, nie wyrządzając żadnych szkód biegnącemu. Nim terrorysta zdołał wykorzystać swoją broń jako karabin, trzypociskowa seria jednego z Rosjan rozdarła mu klatkę piersiową. Dowódca zespołu krzyknął, by pozostali przyłączyli się do niego, i cała czwórka ruszyła powoli do przodu. Lufy ich broni omiatały teren, gdy szukali terrorysty, który uciekł za stodołę.

Rachela przez szkła polowej lornetki obserwowała Semkę. Widziała, że wyszedł ze żlebu i zmienił kierunek, gdy nadjechała ciężarówka. Obserwowała zabudowania. Chciała mieć pewność, że nikt nie zajdzie go od tyłu. Po chwili zauważyła otwarte drzwi szopy po drugiej stronie podwórza, oddalonej o dziesięć metrów od kamiennej studni. Skoncentrowała się na mrocznym wnętrzu i zobaczyła coś, co wcześniej uszło jej uwagi. Miała właśnie zamiar wezwać Semkę przez radio, gdy rozpętała się strzelanina; potem, kierując się przecuciem, postanowiła wkroczyć do akcji.

Wszyscy byli zajęci walką rozgrywającą się przed frontem domu, więc niepostrzeżenie opuściła półkę i szybko ruszyła w dół zbocza. Żlebem dotarła na otwartą przestrzeń wokół studni, szybko pobiegła do szopy i ukryła się w pobliżu otwartych drzwi za stosem pustych dwudziestolitrowych baniek po oleju. Najwidoczniej używano ich w czasie ćwiczeń strzeleckich.

Strasser wbiegł do domu, do małego pokoju obok kuchni, który służył mu jako pracownia. Zgarnął oryginał listy Göringa i cztery kopie, jakie sporządził, i włożył je do aluminiowej walizki pełnej

pieniędzy. Wpadł do bawialni i wyrzwał na zewnątrz w chwili, gdy wybuch granatu zabił Rosjan zbliżających się do stodoły. Nie mógł zdobyć żadnego z trzech zaparkowanych przed domem samochodów, przemknął więc przez kuchnię i wypadł tylnymi drzwiami.

Popędził przez podwórze i wszedł do szopy, gdzie szybko przymocował walizkę do bagażnika motocykla. Potężna terenowa maszyna, z szerokimi oponami i grubym bieżnikiem, była niezawodna w pokonywaniu wąskich ścieżek, które prowadziły na wzgórze za domem. Siadł na motor, otworzył dopływ paliwa, włączył zapłon i spróbował zapuścić silnik. Kątem oka dostrzegł, że coś poruszyło się za drzwiami. Podniósł głowę i zobaczył stojącą przed nim kobietę z wycelowanym w niego pistoletem maszynowym. Prześledził wzrokiem promień światła z laserowego celownika, kończący się migoczącą czerwoną kropką na środku jego piersi.

- Chyba nie zastrzeli pani bezbronnego - powiedział głosem zimnym jak lód. Nie widział Racheli wcześniej, więc nie wiedział, kim ona jest.

- Dokładnie to zamierzam zrobić i powiem ci nawet dlaczego - odparła Rachela i weszła do szopy, by nie zobaczyli jej Rosjanie.

Oczy Strassera na ułamek sekundy przesunęły się w lewo, potem wróciły na twarz Racheli, a w kącikach jego ust pojawił się sarkastyczny uśmiech.

Terrorysta, który uciekł za stodołę, pojawił się za plecami Racheli. Baczny wzrokiem przeszukał najbliższe otoczenie, by upewnić się, czy nikt jej nie towarzyszy. Uznał, że jest sama, podniósł więc *M - 16* do ramienia i wycelował, lecz nagle drgnął i wytrzeszczył zdumiony oczy na Strassera. Upuścił broń i upadł. Konwulsje, które wstrząsnęły jego ciałem, z początku zdezorientowały Strassera, lecz zobaczył wychodzącego zza studni Semkę z pistoletem przy biodrze i zrozumiał, co się stało.

Rachela usłyszała odgłos upadającego ciała, zawirowała wokół osi i przyklękała. Miała strzelić do zbliżającego się od strony lasu

człowieka, ale na szczęście rozpoznała Semkę. Celował ponad jej głową; lufa jeszcze raz plunęła ogniem. Rachela padła płasko na ziemię. Kątem oka zobaczyła, jak dwie krótkie serie zmiotły Strassera z siodełka motocykla i podziurawiły mu klatkę piersiową.

Semko zbliżył się ostrożnie, potem sięgnął po rękę Racheli i pomógł jej się podnieść.

- Nic ci nie jest?

- Nic, w porządku.

Semko nadal celował w Strassera, leżącego na brudnej podłodze z rozrzuconymi rękoma i nogami, z koszulą i kurtką przesiąkniętymi krwią. Odsunął nogą pistolet na bok, przyklęknął i przyłożył czubki palców do jego szyi.

- Nie żyje?

Semko przytaknął, a potem rzekł:

- Szkoda, że wszystko odbyło się tak szybko. Chciałem, by wiedział, kto i dlaczego.

- Było wiele powodów - powiedziała Rachela. Zdjęła aluminiową walizkę z bagażnika motocykla, położyła na siodełku i otworzyła. Miała zamiar wyjąć dokumenty spoczywające na porządknie ułożonych paczkach banknotów, gdy usłyszała hałas w pobliżu otwartych drzwi. Odwróciła się.

- Rzućcie broń! - rozkazał Leonow.

Semko dokonał błyskawicznej oceny sytuacji. Obok człowieka, którego widział ze Strasserem w piwiarni, stali czterej mężczyźni z karabinami gotowymi do strzału, z palcem na spuście. Wiedział, że każda próba sprzeciwu okaże się daremna. Rzucił broń, za nim to samo uczyniła Rachela.

- A teraz, droga pani - kontynuował Leonow - prosiłbym o podanie mi tej walizki.

Rachela podeszła i zrobiła to, co kazał, potem cofnęła się i stanęła przy Semce.

Leonow otworzył walizkę i uważnie obejrzał dokumenty. Popatrzył na stojącą przed nim parę.

- Na wasze nieszczęście, gdybyście nawet przysięgali, że nie

czytaliście tych dokumentów, nie mógłbym ryzykować. - Zamknął walizkę i zwrócił się do stojących za nim trzech mężczyzn. - Odprowadźcie mnie do samochodu.

Potem odwrócił się do dowódcy i, wychodząc z trzyosobową ochroną, po prostu skinął głową. Rosjanie nieustannie lustrowali teren w poszukiwaniu terrorystów, których wcześniej mogli nie zauważyć.

Dowódca rosyjskiego zespołu nazywał się Anatolij Woronin; miał trzydzieści osiem lat i, jak jego sześciu ludzi, których stracił tego dnia, by weteranem wojny afgańskiej. Mimo wieku i krwawej przeszłości nigdy nie zastrzelił nie uzbrojonego człowieka. Spojrzał na piękną kobietę i stojącego z nią mężczyznę, zaczerpnął powietrza i postanowił wypełnić swój obowiązek.

Rachela zauważyła jego wahanie.

- Proszę - zaczęła więc błagać. - Nie zabijaj mnie. Nie zaglądałam do walizki, przysięgam, że tego nie zrobiłam.

Oczy Woronina złagodniały, ale nadal był zdecydowany wykonać rozkaz.

- Przykro mi - powiedział i powoli podniósł lufę karabinu. - Proszę mi wybaczyć.

- Nie! Nie rób tego! Proszę - zawołała Rachela. Złapała rękę Semki i przycisnęła ją do swego boku. - Semko, zrób coś!

Semko po raz pierwszy w życiu był kompletnie bezradny. Objął Rachelę, by ją pocieszyć.

- Przynajmniej załatwiliśmy Strassera.

Rachela puściła jego rękę i pocałowała go w policzek. Jej zachowanie sprawiło, że Woronin przed pociągnięciem za spust zawahał się na ułamek sekundy. Chwilę tę przypłacił życiem - trzy bezgłośne pociski rozdarły jego szyję i głowę.

Semko gapił się z niedowierzaniem na przewracającego się Rosjanina. Spojrzał na Rachelę i zobaczył, że jej prawa ręka znajduje się w środkowej przegródce torebki. Z drugiego końca wystawał tłumik *Walthera PPKS*. Był wycelowany w miejsce, w którym przed chwilą znajdowała się głowa Rosjanina.

- Cholera! - zawołał ze szczerym podziwem i zdziwieniem. - Coś nowego. Przypomnij mi, żebym nigdy nie zadawał żadnych pytań kobiecie, która zabiera ze sobą torebkę.

Podbiegł do drzwi i wyjrzał zza narożnika szopy. Leonow i jego trzech ludzie zniknęli przed frontem domu. Semko szybko odciągnął na bok ciało Woronina i podniósł jego broń.

Charakterystyczny huk dwóch serii, gdy wystrzelił z *AKR*, odbił się echem od otaczający wzgórz.

- To powinno dać nam trochę czasu - powiedział do Racheli. - Musimy się wynosić.

- A dokumenty?

- Jakie dokumenty? - Jednakże Semko nigdy nie umiał dobrze kłamać i jego twarz zdradziła, że dokładnie wie, o co chodzi Racheli.

- Wiesz, o czym mówię.

- Dajmy sobie z nimi spokój. Twoim zadaniem było zabicie Strassera. Misja skończona. Nie ma sensu kusić losu, trzech Rosjanie nadal tu są, mają pistolety maszynowe - i wiedzą, jak ich używać.

- Chcę zdobyć dokumenty, które były w walizce.

- Nie pozwolę ci tego zrobić. Dałem słowo przyjacielowi, że nie będę ich szukał. Moim jedynym celem było dopadnięcie Strassera.

- A jak zamierzasz mnie powstrzymać?

- Nie zamierzam. Ale również nie mam zamiaru ci pomagać.

- Twój przyjaciel okłamał cię; wiesz o tym.

- Myślę, że jego też okłamano - powiedział Semko, potem rzucił niespokojne spojrzenie w kierunku domu. - Słuchaj, oni przyjdą tu, by zobaczyć, co jest z tym facetem. Musimy się wynosić.

Rachela rozważyła swoje szansę. W pojedynkę nie miała ochoty stawić czoło Rosjanom. Pogodziła się ze stratą dokumentów. Nadrzędny cel jej misji został wypełniony.

- Idziesz? - zapytał Semko i wyszedł z szopy.

Rachela znalazła się obok niego.

- Rozczarowujesz mnie, Semko.

- Nie przyjmuj się za bardzo, ja sam jestem przez cały czas sobą

rozczarowany - odparł Semko i poprowadził ją przez podwórze. Po chwili zniknęli w lesie za studnią.

Człowiek, którego Leonow wysłał po Woronina, wrócił biegiem do samochodu.

- Anatolij nie żyje! - krzyknął do Leonowa. - Amerykanie zniknęli.

- Wsiadaj - warknął pułkownik i rozkazał, by kierowca ruszał. Teraz, gdy posiadał to, co jak wierzył było ostatnimi kopiami listy Göringa, nie dbał ani o Amerykanów, ani o nic innego.

- A co z ciałem Woronina i innych?

- A co ma być? - Leonow wiedział, że jego ludzie nie mieli żadnych dokumentów tożsamości. - Nie możemy ich zabrać. Zmarli bohaterską śmiercią. Zachowajmy ich w swej pamięci.

Kierowca skręcił ostro i jak mógł najszybciej oddalił się od domu. Leonow, kurczowo ściskając walizkę, zerknął przez ramię. Amerykanów nie było widać. Kosztowna operacja, pomyślał, ale to już koniec. Przed zachodem słońca będzie mógł wrócić do swego biura w Jaseniewie, do biura, którego w miarę możliwości postara się już nigdy nie opuszczać.

W prywatnej jadalni dyrektora na szesnastym piętrze siedziby CIA w Langley George Sinclair nalał po szklaneczce szkockiej sobie i Alfredowi Palmerowi. Szef placówki monachijskiej, który z pewnej odległości obserwował wydarzenia rozgrywające się na farmie Strassera, przekazał swoje spostrzeżenia przez satelitarny system łączności do centrum operacyjnego. Sinclair nie był jednakże do końca przekonany, czy Rosjanom udało się zdobyć kopię listy Göringa. Leonow co prawda opuścił farmę z walizką w rękach, ale nie było sposobu, by odgadnąć, co zawierała. Sześć godzin później Jack Brannigan otrzymał telefon od Semki, który zapewnił go, że Rosjanie rzeczywiście zdobyli to, na czym im zależało, więc obecnie dyrektor CIA był w nastroju do świętowania.

Znacząca nieobecność Brannigana na uroczystym obiedzie była tym bardziej dotkliwa, że niecałą godzinę wcześniej złożył on na ręce DCI rezygnację. Wszystkie operacje pociągają za sobą ofiary, pomyślał Sinclair, razem z Palmerem podnosząc szklaneczkę, by dalej świętować sukces operacji WĘDKA - i, mimo zdarzających się od czasu do czasu zakłóceń, gra toczy się dalej.

Siedem tysięcy czterysta kilometrów na wschód od miejsca, w którym dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej i jego szef kontrwywiadu spełniali toasty, Nikołaj Leonow siedł przez parking

znajdujący się na terenie tajnego kompleksu w Jaseniewie. Było po drugiej w nocy. Ponad trzy godziny spędził z szefem rosyjskiej Zagranicznej Służby Wywiadowczej, składając mu drobiazgowe sprawozdanie z wypadków minionych pięciu dni. Otrzymał pochwałę za przeprowadzenie operacji i obietnicę awansu.

Po tym spotkaniu Leonow powinien być w doskonałym humorze, lecz nie mógł przestać myśleć o drobnych niekonsekwencjach, które przysły mu na myśl w czasie zdawania szczegółowego raportu. Nie potrafiłby dokładnie określić, co go niepokoi; było to raczej mgliste wrażenie, że coś nie gra, że pewne rzeczy udały się zbyt łatwo, albo że pokierowano nimi w sposób daleki od profesjonalizmu, jakiego spodziewał się po CIA. Ale nie było to nic konkretnego, nic, na czym można by się oprzeć. Wyjeżdżając z kompleksu zmusił się zatem, by więcej o tym nie myśleć. Wszystko dobrze się skończyło. Lista Göringa była bezpieczna. Niczego więcej nie potrzebował.

* * *

W drodze powrotnej do Monachium Semko zatrzymał się na stacji benzynowej przy autostradzie i anonimowo zadzwonił na posterunek w Baiersbronn. Udzielił policji wskazówek, w jaki sposób dotrzeć do bazy operacyjnej Strassera i uprzedził, co tam znajdą. Później dowiedział się, że pracownik służby leśnej i jeden z sąsiadów usłyszeli wybuchy i zawiadomili policję, która teraz była na miejscu wypadków. Policjanta, który odebrał telefon, bardzo ciekawiło, kim jest jego rozmówca i skąd wie tak dużo na temat wypadków na farmie. Pytania te natychmiast sprowokowały Semkę do odłożenia słuchawki i opuszczenia stacji benzynowej na wypadek, gdyby policjanci próbowali wytropić, skąd dzwonił.

Razem z Rachelą wrócili wieczorem do Monachium i zanim udali się na długi, zasłużony wypoczynek, zjedli kolację w małej restauracji na Marienplatz. Zagubieni we własnych myślach, czuli męczący efekt tego, co Semko nazwał odreagowaniem po walce - odpływ resztek strumienia adrenaliny, który przepłynął przez ich ciała tego ranka. Rozmowa podczas kolacji, podobnie jak w czasie

jazdy do Monachium, nie kleiła się, zapadały długie chwile milczenia, a następnego dnia, gdy jechali na lotnisko, też nie byli rozmowni.

Od ich spotkania w Nowym Jorku minęło zaledwie pięć dni, ale wspólne przeżycia i konieczność polegania na sobie w sytuacjach zagrożenia wytworzyły między nimi ten rodzaj więzi, jaka pozostaje na całe życie.

Samolot do Frankfurtu z odpowiednim połączeniem do Nowego Jorku odlatywał dopiero za godzinę, Semko czekał więc z Rachelą na ogłoszenie lotu do Tel Awiwu. Semko nigdy nie wiedział, jak się zachować w czasie rozstania - podobnie zresztą jak we wszystkich innych sytuacjach, które wiązały się z koniecznością okazywania uczuć.

Razem podeszli do bramki i Rachelą postawiła torbę, by się pożegnać. Ich oczy spotkały się. Semko stał w milczeniu. Miał nadzieję, że właściwe słowa same się znajdą. Miał zamiar wyciągnąć rękę, gdy Rachelą przełamała niezręczną chwilę - podeszła do niego i objęła go.

- Tworzyliśmy dobry zespół - powiedziała.

- Tak. Mielśmy swoje dobre chwila, prawda?

- Zamierzasz pojednać się z CIA?

- Nie. W nocy dzwoniłem do DDO; opowiedziałem mu o wszystkim, co się stało. Powiedział, że wybaczone mi niepodporządkowanie się rozkazom, ale ja mam dość.

- Zrobiłeś się za stary, żeby balansować na krawędzi?

- Mniej więcej. Czytałem gdzieś, że gdy patrzy się w otchłań, to otchłań patrzy w człowieka. Myślę, że tym razem zobaczyłem, jak coś się we mnie wpatrywało.

- To z „Tako rzecze Zaratustra” - powiedziała Rachelą. - Zaskoczyłeś mnie. Czytujesz Nietzschego.

- Tak. Lubię jego poematy.

Rachela uśmiechnęła się i podniosła torbę.

- Trzymaj się, Semko. - Odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

- Hej! - zawołał za nią Semko. - Mówiłaś, że twoi rodzice

mieszkają w Nowym Jorku?

- Tak.

- No cóż, prawdopodobnie przez jakiś czas będę w Waszyngtonie. Jeżeli przyjedziesz do nich w odwiedziny, zadzwoń. Może wybierzemy się na kolację albo wymyślimy coś innego.

- To byłoby miłe. - Rachelą odwróciła się i poszła w dół rampy. Zdawała sobie sprawę, że prawdopodobnie widzi go po raz ostatni. Targały nią sprzeczne uczucia. Miała rację w wielu sprawach co do Semki, lecz ten sam instynkt, który zapalił ostrzegawcze światełka, gdy zobaczyła go przy basenie lwa morskiego w Central Parku, teraz przypomniawszy jej, że sam urok mimo wszystko jest niewystarczającym powodem, aby angażować się w bliższy związek. Zdawała sobie sprawę, że nic nie zmieni natury Semki. Był człowiekiem, który lubi samotność i nie potrafi żyć bez ryzyka.

Obejrzała się i zobaczyła, że Semko nadal stoi przy bramce. Pomachał ręką, gdy odwróciła się i wsiadała do samolotu. Na jego twarzy zobaczyła wyraz bezradności. Była to twarz zagubionego małego chłopca.

Parę minut po szóstej Semko wszedł do małego baru niedaleko Lexington Avenue. W ciemnym narożnym boksie znalazł czekającego na niego Mike'a Kelly'ego. Porucznik wodził oczami po wnętrzu, mierzył wzrokiem klientów przy barze i każdego wchodzącego - w każdym calu wyglądał na nowojorskiego glinę.

Chociaż „Morderstwa kolekcjonerów” zakończyły się tak, jak powiedział Semko, Kelly w dalszym ciągu miał na głowie czternaście niewyjaśnionych przypadków zabójstw; wciąż narastała presja zarządu miasta i szycy z One Police Plaża, którzy z kolei byli bombardowani przez środki masowego przekazu. Pięć dni wcześniej, kiedy ostatni raz widział Semkę, dochodzenie utknęło w martwym punkcie, zatem po telefonie z lotniska ochoczo opuścił biuro i przyjechał do baru, by się z nim spotkać.

- Prawdę mówiąc - zaczął, gdy Semko wsunął się do boksu - nie spodziewałem się, że otrzymam od ciebie wiadomość.

- Dałem ci słowo.

- Dałeś. No to przekaz mi te dobre wieści.

- Okay. Mam dobre wieści. - Semko skinął na barmana, by przyniósł piwo, potem gdy tamten odszedł, ciągnął dalej: - Jutro o tej porze policja w Baiersbronn, w Niemczech, powinna zakończyć badanie ciał, które wczoraj znaleziono na starej farmie w górach. Wyślij im odciski palców zdjęte z furgonetki w zaułku za galerią. Poproś, by porównali je z odciskami facetów, których mają w kostnicy. Gwarantuję, że jeden komplet będzie pasował. W miarę możliwości niech ci przyślą fotografię tego faceta. Jego twarz jest nienaruszona, więc gliniarz ze skutera na Sutton Place powinien zidentyfikować go ze zdjęcia; widział go, gdy odjeżdżał furgonetką.

- Powiedziałeś: ciała? Tych Niemców było więcej?

- O, tak. Ale tylko jeden z nich ma coś wspólnego z wydarzeniami, jakie rozegrały się w Nowym Jorku. I możesz liczyć się z tym, że niemieccy policjanci będą zadawać ci wiele pytań, ponieważ nie będą mogli zidentyfikować tego człowieka po odciskach palców, a przecież będą chcieli wiedzieć, kim, u diabła, on jest.

- A ty wiesz?

Semko pociągnął kolejny łyk piwa i zerknął na Kelly'ego znad krawędzi szklanki.

- Tak, wiem.

- No to kim?

- To nie wyszło ode mnie, rozumiesz?

- W porządku.

Semko podał mu nazwisko terrorysty i powiedział o jego przynależności do Stasi oraz o terrorystycznej działalności po upadku NRD.

- Więc ten Strasser kradł obrazy, by zdobyć pieniądze na akcje terrorystyczne?

- Właśnie.

- A co z obrazami, które ukradł?

- Idź śladem prowadzącym z galerii.

- Robimy to, ale wspólnik właściciela zwał, a my nie możemy znaleźć ani jego, ani żadnych dokumentów.

- Zajmij się wykazem rozmów telefonicznych prowadzonych z galerii w ciągu trzech dni przed pożarem. Znajdziesz to, czego szukasz.

- Mój człowiek już nad tym siedzi, ale na razie niczego nie ma. Właściciel prowadził wiele rozmów.

- Skoncentruj się na telefonach do niejakiego Drussarda, handlarza dziełami sztuki z Paryża.

- A w jaki sposób z tym wszystkim wiąże się CIA? - zapytał Kelly, gryzmołąc w notesie.

- CIA?

- Okay, zapomnij, że o to pytałem. A Rosjanie?

- Tego też nie mogę ci powiedzieć. Popraw mnie, jeżeli się mylę, ale to, co już ci zdradziłem, powinno wystarczyć do zamknięcia spraw zabójstw. Uwolnisz się również od prasy.

- Jeżeli to wszystko da się potwierdzić i jeżeli dostanę z Niemiec akt zgonu Strassera, to rzeczywiście wystarczy. - Kelly wyciągnął rękę, a Semko nią potrząsnął. - Wiem, że nadstawiałeś dla mnie karku, i doceniam to. Może kiedyś też będę mógł wyświadczyć ci przysługę.

- Chcesz piwa?

Kelly zerknął na zegarek.

- Jasne, jestem po pracy.

Semko zawołał barmana, potem odczekał, aż przyniesie dwa piwa do boksu, a następnie przechylił się w stronę Kelly'ego i wyszeptał niskim, konspiracyjnym tonem:

- Słuchaj, przed chwilą powiedziałeś, że być może kiedyś wyświadczysz mi przysługę. Naprawdę tak myślisz?

- Tak, naprawdę. Tylko dlaczego mam wrażenie, że będę tego żałował do końca życia?

Epilog

Pierwszą rzeczą, jaka uderzyła Semkę po przybyciu do Tel Awiwu, było to, że miasto jest niezwykle nowoczesne; a poza tym wielka liczba żołnierzy. Byli wszędzie: spacerowali ulicami, robili zakupy, odpoczywali na ławkach na promenadzie nad morzem, załatwiali codzienne sprawy. Niektórzy byli ubrani po cywilnemu, ale wszyscy nosili Uzi na ramionach - tak niedbale, jak Anglicy na wypadek deszczu noszą parasole.

Semko przed wyjazdem z Nowego Jorku zatelefonował do starego przyjaciela z oddziału Delta, obecnie pracującego w ochronie ambasady w Tel Awiwie. Dysponował jedynie nazwiskiem i nie wiedział, gdzie mieszka poszukiwana przez niego osoba, przygotował się więc, że usłyszy, iż zadanie jest niemożliwe do wykonania. Na szczęście nazwisko to nie było tak powszechne, jak się obawiał. Sześć godzin później przyjaciel, skorzystawszy z pomocy izraelskiego kolegi, oddzwonił i podał mu imię oraz adres poszukiwanej osoby.

Czterdzieści pięć minut po wyjeździe z lotniska Ben Guriona taksówka Semki podjechała do kamiennego chodnika w ekskluzywnej dzielnicy Sa - vian, wiodącego przez wspaniałe zagospodarowaną posiadłość do parterowego nowoczesnego domu. Semko otworzył walizkę, której nie pozwolił kierowcy zapakować do bagażnika, wyjął z niej ubrania i położył na siedzeniu. Ku

zdziwieniu szofera, który obserwował jego poczynania we wstecznym lusterku, odpiął cztery rzepy w wewnętrznych narożnikach dużej walizki i odsłonił fałszywe dno. Ze skrytki wyjął płaski pakunek o wymiarach sześćdziesiąt na czterdzieści centymetrów, owinięty w zwykły szary papier. Powiedział taksówkarzowi, by na niego zaczekał, i wysiadł, zabierając pakunek ze sobą.

Starsza pani, która otworzyła drzwi, miała najbardziej wyraziste oczy, jakie Semko kiedykolwiek widział. Jej twarz była głęboko pobrużdżona, a kobieta była drobna i krucha, lecz natychmiast dostrzegł rodzinne podobieństwo oraz wyczuł wewnętrzną siłę i pewność siebie, jaka z niej emanowała.

- Pani Sidrane? - zapytał. - Estera Sidrane?

- Tak, jestem Estera Sidrane.

- Nazywam się Mike Semko. Mam coś dla pani; prawdę mówiąc, to od pani wnuczki, Racheli.

- Od Racheli? - Starsza pani uśmiechnęła się na myśl o wnuczce.

- Jest pan Amerykaninem?

- Tak.

- Przyjacielem Racheli z uniwersytetu?

- Jestem jej przyjacielem.

- Proszę, niech pan wejdzie. - Odsunęła się na bok, by wpuścić Semkę do wykładanego marmurem holu pięknego domu. - Dlaczego Racheli sama tego nie przyniosła?

- To niespodzianka, dla pani i dla niej. - Semko podał jej pakunek.

- Na specjalną okazję, czy też mogę otworzyć teraz?

- Jak pani sobie życzy.

Estera położyła pakunek na stole w holu i zaczęła zdejmować pakowa papier. Gdy zobaczyła, co jest w środku, wydała słaby okrzyk. Stała bez ruchu, jedynie ręce jej drżały. Semko zobaczył, że starsza pani zachwiała się niebezpiecznie. Podtrzymał ją, nim upadła, i zaniósł do jasnego i przewiewnego pokoju. Położył ją delikatnie na sofie i wsunął jej poduszkę pod stopy.

- Dobrze się pani czuje, pani Sidrane? Czy chce pani, bym zadzwonił po doktora?

Starsza pani spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Semko zobaczył łzy w jej oczach, a na twarzy dziwną mieszaninę radości i smutku.

- Proszę, niech mi pan go poda.

Semko przyniósł pakunek i stał w milczeniu, a kobieta usiadła i, trzymając obraz na kolanach, zdjęła resztę papieru.

- Jest pani pewna, że wszystko w porządku?

- Tak. Nic mi nie jest. Byłam wstrząśnięta, gdy zobaczyłam go raz jeszcze. Proszę, panie Semko, niech pan zostanie - skosztuje pan mojej herbaty i owoców. Porozmawiamy.

- Bardzo bym chciał, lecz niestety muszę już iść.

Kobieta spojrzała mu głęboko w oczy i uśmiechnęła się. Semko jeszcze u nikogo nie widział takiego uśmiechu. Wydawało się, że spłynął na nią wielki spokój i poczucie wielkiej ulgi, jak gdyby z jej barków zdjęto straszliwe brzemię.

- Bardzo dziękuję. - Przerwała, by znów popatrzeć na obraz. - Przykro mi, nie wiem, co powiedzieć. Nie potrafię wyrazić, jak wiele on dla mnie znaczy.

- Myślę, że wiem - rzekł Semko, po czym schylił się i pocałował ją delikatnie w policzek. - Było mi bardzo miło panią poznać, pani Sidrane. Proszę przekazać Racheli wyrazy szacunku.

Estera Sidrane nie widziała, jak Semko opuścił jej dom. Siedziała bez ruchu w fotelu, zahipnotyzowana widokiem obrazu. Jej głowę wypełniały gorzko - słodkie wspomnienia dnia w Wiedniu, kiedy przywiozła ze szpitala swą nowo narodzoną córeczkę, a mąż podarował jej bezcenny prezent.

- Och, Eugen - mruzczała, pieszcząc ramę czubkami palców, a potem cichym głosem zaczęła recytować Kadisz.

* * *

Semko miał dwie godziny do odlotu do Nowego Jorku. Pijąc kawę w kawiarni na lotnisku pomyślał, że mógłby zadzwonić do Racheli. Znalazł jej numer w książce telefonicznej, ale zmienił

zamiar. Zrobił to, co obiecał, nadeszła więc pora, by odejść. Jeżeli chodzi o kontakty z płcią przeciwną nie zaliczał się do mężczyzn obdarzonych specjalną intuicją, wiedział jednak, że przyjaźń z Rachelą mogłaby otworzyć nowy etap w jego życiu. Rachelą była piękna i inteligentna, podziwiał ją, lecz jednocześnie zdawał sobie sprawę, że niewiele może jej zaoferować. Nie sądził również, aby pragnęła związać się z kimś takim jak on. Dawno pogodził się z faktem, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa resztę życia spędzi na niewiele znaczących miłostkach. Zaakceptował to jako swoje przeznaczenie, karę za to, jak postępował w czasie małżeństwa z Janet.

Siedział w kawiarni, póki nie zbliżył się czas odlotu, wtedy wyszedł z głównego terminala i ustawił się w kolejce, by przejść przez kontrolę celną. Młoda kobieta, która uważnie przeglądała jego torbę, uśmiechnęła się kokieteryjnie. Zasunęła suwak i miała mu oddać bagaż, lecz ze zdumieniem zauważyła, że w ich kierunku śpieszy dwóch strażników ochrony uzbrojonych w *Uzi*. Semko odwrócił się, by sprawdzić, co tak' zaniepokoiło celniczkę. Dwaj mężczyźni zatrzymali się obok i złapali go za ręce.

- Zechce pan pójść z nami, panie Semko. Natychmiast.

- Po co? O co chodzi? - zapytał, i w tej chwili jego żołądek skurczył się w ciasny węzeł. Uświadomił sobie, co mogło się stać: w jakiś sposób dowiedzieli się, że przemycił do ich kraju ten obraz. Przypomniał sobie taksówkarza; to on musiał donieść, co widział w swoim samochodzie.

Mężczyźni zaprowadzili go do małego pomieszczenia obok sali odpraw, najwidoczniej przeznaczonego do przesłuchiwania podejrzanych pasażerów. Stał w nim jedynie mały stół i dwa krzesła.

- Zaczeka pan tutaj - powiedział jeden z ludzi, a potem obaj wyszli i zamknęli za sobą drzwi na klucz.

Semko zaklął i kopnął krzesło. Tylko kilka razy w życiu próbowałem zrobić coś przyzwoitego, pomyślał, i jak zwykle spieprzyłem. Podniósł przewrócone krzesło, usiadł na nim

okrakiem, oparł szczękę na oparciu i gapił się na białe ściany pokoju.

Po ponad godzinie usłyszał szcęk klucza w zamku. Podniósł głowę i zobaczył wchodzącą Rachelę.

- O cholera - powiedział i wstał. - Hej, słuchaj, naprawdę przykro mi, że wciągnąłem w to ciebie i twoją babcię. Załatwię to tak, że zrozumieją, iż nie macie z tym nic wspólnego.

Rachela podeszła do niego i delikatnie położyła mu ręce na ramionach. Wspięła się na palce, pocałowała go, długo i namiętnie, potem cofnęła się i uśmiechnęła.

- Zrobiłeś piękną, cudowną rzecz, Mike. I będę cię za to kochała do końca życia.

- Chwileczkę - wydusił Semko, odzyskawszy zimną krew po jej pocałunku. - To ty jesteś za to odpowiedzialna? Ty kazałaś mnie tu zamknąć?

- Mam wysoko postawionych przyjaciół.

- Świetnie. Naprawdę świetnie. A ja siedziałem tutaj i zastanawiałem się, jak będę gnił w izraelskim więzieniu przez następne dziesięć lat.

- Babcia opowiedziała mi o twojej wizycie i wtedy zrozumiałam, że samolot odleci, nim zdołam tu dotrzeć. Chciałam ci podziękować.

- W Izraelu nie macie telefonów?

- Jak, u licha, zdobyłeś ten obraz?

- Jesteś pewna, że chcesz wiedzieć?

- Tak.

- Pamiętasz tego nowojorskiego gliniarza, Kelly'ego?

- Tego z Sutton Place?

- Tak. Wyświadczyłem mu przysługę; on zaproponował rewanż. Kiedy usłyszał moją opowieść, aż się palił do pomocy. W każdym razie, obraz twojej babci, razem z innymi, które znaleźli w sekretnym pokoju w domu Stewarta, był zamknięty w depozycie w dziewiętnastym komisariacie. Sąd miał zdecydować, co się z nimi stanie. Kelly dowiedział się, że Metropolitan Museum of Art na mocy testamentu Stewarta rości sobie pretensje do obrazu twojej

babci, ponieważ nie można udowodnić, że został on ukradziony prawowitemu właścicielowi. Więc, krótko mówiąc, obmyśliliśmy plan.

- Wcześniej czy później odkryją, że obraz zniknął, Semko. I dojdą, że dowiadywałam się o niego, gdy byłam w Nowym Jorku. Semko błysnął szerokim uśmiechem.

- Nie dojdą.

- Czego mi nie powiedziałaś?

- Jestem pewien, że nie będzie to dla ciebie niczym nowym - w mieście, w którym przyszłaś na świat, znajduje się największe w świecie skupisko kanciarzy, oszustów i recydywistów, nie mówiąc o psychopatach. A gliny znają ich wszystkich. Uwierzysz, że są wśród nich ludzie, którzy namalują co tylko zechcesz: van Goghi, Monety, Rembrandty, i podpiszą je „prawdziwymi” nazwiskami. Trzeba eksperta, by stwierdzić różnicę.

- W chwili, gdy faceci z Metropolitan Museum rzucą na niego okiem, poznają, że to falsyfikat.

- Tak? Stewart miał w swoim pokoju fałszywy obraz? Co ty powiesz! Rachela uśmiechnęła się i powoli pokręciła głową.

- Jak mówiłam wcześniej, jesteś nie tylko przystojny.

- To nieprawda. Czasami nawet sam siebie zaskakuję.

- I mnie. W sposób, jakiego nigdy bym się nie spodziewała.

- To lepsze od rozczarowania, no nie?

- Dużo lepsze - stwierdziła Rachela. - A więc miałeś zamiar odlecieć i nawet nie zadzwonić, by mi powiedzieć cześć? Zresztą, spóźniłeś się na samolot.

- Myślę, że dzisiaj jest kilka lotów do Nowego Jorku. Jestem pewien, że polecę któryś z nich.

- A nie chciałbyś spędzić kilku leniwych dni w wygodnym mieszkaniu z widokiem na Morze Śródziemne? Mogę pokazać ci najpiękniejsze miejsca. Izrael jest niebrzydkim krajem; robi wrażenie.

- Czyje mieszkanie masz na myśli?

- Moje.

- Chyba bym chciał. Nie zamierzasz mnie uwieść, prawda?
- Nawet o tym nie marz, Semko.
- Do diabła, Sidrane, nawet w moich najdzikszych marzeniach masz na sobie sukienkę.

Semko po raz pierwszy usłyszał jej śmiech, i śmiał się razem z nią, gdy wsunęła mu rękę pod ramię i wyprowadziła z pokoju.

- Jesteś naprawdę szarmancki, wiesz? - powiedziała i ścisnęła mu rękę, kiedy szli przez hol.

- Mówiono mi o tym. Słuchaj, z przyjemnością zaprzędam swoją duszę za jeszcze jeden taki pocałunek przed odjazdem.

- To może się zdarzyć. - Rachela spojrzała na niego z uśmiechem i mrugnęła łobuzersko. - Powiem ci, co zrobię, jeżeli naprawdę będziesz grzecznym chłopcem.

- Co?

- Nauczę cię, jak trafiać w coś, do czego strzelasz.